



**KLUB
BIAŁYCH
ZĘBÓW**

KAJETAN SZOKALSKI





**KLUB
BIAŁYCH
ZĘBÓW**

KAJETAN SZOKALSKI

wydawnictwo
OSOBLIWE

Klub Białych Zębów copyright by © Kajetan Szokalski 2022
Copyright by © Wydawnictwo Osobliwe
Copyright for the cover art by © Marlena Sychowska
Copyright for vector ilustratio by © Mariseida
Copyright for fotografy by © Tyler Olson
Copyright for fotografy by © Елена Николаева

Wszystkie prawa zastrzeżone, All rights reserved
Wydanie pierwsze, Gdynia 2022

ISBN: 9788396342133

Redaktor prowadząca: Anna Dziedzic
Redakcja i korekta: Kamila Śliwińska
Projekt okładki: Marlena Sychowska
Ilustracja: Marta S.
Skład: Marlena Sychowska

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Osobliwe
tel:691962519

www.wydawnictwoosobliwe.pl

[www.facebook.pl/wydawnictwoosobliwe](https://www.facebook.com/wydawnictwoosobliwe)

[www.instagram.pl/wydawnictwoosobliwe](https://www.instagram.com/wydawnictwoosobliwe)

biuro@wydawnictwoosobliwe.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

PIERWSZA POŁOWA WIDMO PRZESZŁOŚCI

1 OBECNIE

2 KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

3 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

4 OBECNIE

5 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

6 OBECNIE

7 CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

8 OBECNIE

9 OBECNIE

10 TYMCZASEM

11 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

12 OBECNIE

13 OBECNIE

14 CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

15 OBECNIE

16 DWADZIEŚCIE SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

17 OBECNIE

18 TYMCZASEM

19 OBECNIE

20 OBECNIE

DRUGA POŁOWA KLUB BIAŁYCH ZĘBÓW

1 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

2 OBECNIE

3 OBECNIE

4 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

5 OBECNIE

6 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

7 OBECNIE

8 TYMCZASEM

9 OBECNIE

10 OBECNIE

11 CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ.

12 OBECNIE

13 OBECNIE

14 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ.

DOGRYWKA CZARNY LAS

1 OBECNIE

2 TYMCZASEM

3 OBECNIE

4 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ.

5 OBECNIE

6 TYMCZASEM

7 OBECNIE

8 OBECNIE

9 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ.

10 OBECNIE

11 TYMCZASEM

12 OBECNIE

13 TYMCZASEM

14 OBECNIE

15 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ.

16 OBECNIE

17 TYMCZASEM

18 OBECNIE

19 DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ.

20 OBECNIE

EPILOG

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ.

PIERWSZA POŁOWA

WIDMO PRZESZŁOŚCI

SŁUŻEW

Ta rozmowa trwała zdecydowanie zbyt długo.

- Byłoby dyskretnie. - Ręka rozboleła go w zgięciu, więc przełożył telefon z dłoni do dłoni. - Tak, jestem pewien. Będzie na sto procent.

Dziennikarz, do którego się dodzwonił, perorował coś na linii, ale on ledwo go słuchał, przytakując automatycznie. Zamknął za sobą drzwi tarasowe, podszedł do barierki, a nagle podmuch wiatru załopotał połami jego rozpiętej koszuli. Dziesięć pięter niżej trwał armagedon; światła samochodów tkwiących w popołudniowym korku na Puławskiej i Dolinie Służewieckiej drażniły go. Odwrócił wzrok. Wiele metrów poniżej zielony park powoli okrywał się cieniem. Zapatrzył się tam, próbując dostrzec sylwetki wieczornych biegaczy i osób, które wyszły z psami na spacer. Pomimo że od lat mieszkał w Warszawie, zawsze tęsknił za łonem natury.

Zabynijcz. Gęsty las, piękne stawy, mnóstwo miejsc do wędrowni, jazdy na rowerze. Nie to co w tej miejskiej namiastce prawdziwych dzikich lasów i puszczy. Za oknami budziłby go trzask ptaków, a nie odgłosy sznura pojazdów sunących w akompaniamencie klaksonów. Jakby to cholerne trąbanie mogło cokolwiek zmienić.

- Zapłata tak jak zawsze? - Głos po drugiej stronie słuchawki wyrwał go z zamyślenia.

- Tak - potwierdził. - Do usłyszenia.

Z ulgą odłożył telefon na szklany stolik i oparł się o barierkę tarasu. Zastanawiał się, jak się czuje z tym, że znów to zrobił.

Wrócił do wnętrza apartamentu, nalał whisky i usiadł przy wyspie kuchennej z marmurowym blatem, którą wymarzył sobie podczas remontu. Poruszył myszką, leżącą obok laptopa, i

wybudził urządzenie z uśpienia; na ekranie wyświetliła się poczta.

Nic. Nie czuł nic.

1

OBECNIE

Półmrok nocy załął się w dwupokojowym mieszkaniu na Bielanych.

Dlaczego teraz?

Ciemna postać przemknęła z salonu do aneksu kuchennego. Skrzypnęła lodówka, a zimne światło oświetliło na chwilę pomieszczenie. Ze zlewu wystawały talerze z niedojedzonymi resztkami i kubki oblepione fusami. Poplamiony plastikowy śmietnik nie domykał się od wepchniętych do środka jednorazowych opakowań po jedzeniu, a butelki po wódce i zgniecione puszki stały obok w krzywym rządku.

Znalazł w końcu to, co chciał, i uśmiechnął się triumfalnie. Otworzył chłodną butelkę piwa, trzasnęły drzwi lodówki i znów zapadła ciemność.

W mieszkaniu porządek panował jedynie na ścianie nad kanapą. Podświetlona specjalnie zamontowanymi żarówkami LED, eksponowała obramowane zdjęcia i plakaty przedstawiające młodego piłkarza. Wysoki, dobrze zbudowany, z burzą jasnych włosów. Łatwo można było prześledzić jego karierę. Polonia Warszawa. HSV. Werder Brema. Pośrodku zaś dumnie wisiała koszulka reprezentacji Polski z numerem dwadzieścia dwa i nazwiskiem WIDMOWSKI. Dookoła numeru markerem nabazgrano dziesięć autografów.

Karol Widmowski przyssał się do butelki. To już siódme piwo tej nocy. W świetle ekranu nieogolona twarz wydawała się jeszcze pulchniejsza. Załzawionymi oczami od dłuższego czasu studiował skład małego klubu piłkarskiego z Ameryki Południowej. Cursor myszki bez celu krążył po profilu jednego z piłkarzy - przystojnego, z kilkudniowym zarostem, o ciemniejszej karnacji, typowej dla południowców. Usta zastygły w uśmiechu, odsłaniając równe zęby, lecz oczy pozostawały zimne i martwe. Oczy, które bardzo dobrze znał. Jedno błękitne, drugie orzechowe.

Ostatni raz je widział, gdy dwadzieścia siedem lat temu leżąco się w nich śmiertelne przerażenie.

Czy to możliwe, aby po tylu latach się pojawił?

2

KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

Karol wysiadł pod KFC na Popularnej i przeszedł na drugą stronę ruchliwej trasy. Przeczesał nerwowo włosy i spojrzął jeszcze raz na adres. Aleje Jerozolimskie 195D. Wszystko się zgadzało; ogromne, kolorowe logo AEGamez widoczne było już spod Blue City.

Poprawił krawat, wytarł spocone dłonie o spodnie i kuśtykając, wszedł do budynku. Wszędzie pachniało kwiatowym odświeżaczem powietrza. Podeszedł do lady, a drobna recepcjonistka grzecznie wytłumaczyła, jak dostać się na odpowiednie piętro. Kilka chwil później stał przed gabinetem Łukasza Desroches'a.

- Zapraszam! - usłyszał w odpowiedzi na pukanie.

Gabinet był typowym korporacyjnym tworem, żywcem wyrwanym z pobliskiej Ikei w Jankach. Pastelowe kolory, funkcjonalne biurko, wszędzie szafki na dokumenty, sztuczne kwiatki i nieśmiertelne bambusy. Na krześle obrotowym siedział mężczyzna - na oko trzydziestoletni, o sylwetce przypominającej trójkąt, z idealnie przystrzyżoną czarną brodą i toną żeluz w włosach. Na widok Karola wstał, by uściśnąć mu mocno dłoń.

- Widmo! - Łukasz uśmiechnął się szeroko. - Mogę ci tak mówić?

- Nie korzystam z tego pseudonimu.
- Ale możemy przejść na ty? Jestem Łukasz.
- Karol.

Zajęli miejsca przy biurku. Desroches złączył palce w piramidkę.

- Przede wszystkim chciałem ci podziękować, że po naszej ostatniej rozmowie zgodziłeś się na ten projekt. - Łukasz wyciągnął teczkę z szuflady. - To będzie cudowne doświadczenie mieć taką osobę i eksperta w naszym zespole.

- Nie przesadzajmy z tym ekspertem. - Karol machnął dłonią. - Po prostu coś tam wiem na temat piłki.

- Karolku, Karolku. Nie bądź taki skromny. Kilka lat na boiskach spędziłeś, rzesze fanów zebrałeś, jeśli o kimś można tak mówić, to na pewno o tobie.

Karol skrzywił się, gdy usłyszał, jak Łukasz zdrobnił jego imię. Już chciał to skomentować, lecz uznał, że lepiej puścić to mimo uszu. Potrzebował pracy, a nie zbędnej dyskusji.

- Zanim przejdziemy do interesów, muszę tylko powiedzieć, że śledziłem twoją karierę. To, co wyprawiałeś na środku pola w Werderze, to było coś! A ten gol na wagę zwycięstwa w debiucie z Serbią? Dobry Boże! Błaszczkowski się chowa! Szkoda, że nie pojechałeś na mistrzostwa świata w Niemczech, ta kontuzja, coś straszego...

- To mam coś podpisać? - Karol uciął temat.

- Tak. Pozwolenie na przetwarzanie danych osobowych. O, i już. Gotowy? To idziemy.

Kiedy przemierzali korytarz AEGamez, Karol podpytał o projekt, w którym ma uczestniczyć.

- Widzisz, nasza kompania chciałaby włączyć się na poważnie do walki o rynek gier piłkarskich. Ciężko będzie z gigantem z Kalifornii z jednej strony i japońską bestią z drugiej. Niemniej udało się nam stworzyć świetny zespół, który na bazie

naszego autorskiego silnika zaprojektował... cudo. - Ostatnie słowo Łukasz podkreślił ruchem dłoni, niczym magik zachęcający dzieci do udziału w spektaklu.

Doszli do windy. Łukasz na panelu dotykowym wybrał poziom minus dwa i drzwi zasunęły się za nimi bezszelestnie.

- Chcemy ruszyć na rynek angielski, niemiecki, francuski i hiszpański. Tam gdzie same największe ligi europejskie. Nie zapominamy oczywiście o polskim, stąd nasza współpraca. - Puścił oczko do Karola, a ten uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi.

- Nigdy nie brałem udziału w nagraniu - przyznał się.

- Ale w radiu występowałeś?

- Częściej na ściankach po meczach, ale tak, w radiu też się zdarzyło.

- No właśnie - ucieszył się Łukasz. - To prawie to samo. Tylko że tutaj dostaniesz gotowe kwestie i będziesz musiał je wypowiadać w odpowiednim czasie. I pamiętaj, odrobina improwizacji też nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Opuścili windę i znaleźli się w przestronnym korytarzu, wyłożonym miękką wykładziną, której jasny kolor dobrze współgrał z drewnianymi ścianami. Łukasz pokierował Karola do pokoju nagrań.

- Cześć, Magda - rzucił z szerokim uśmiechem do kobiety grzebiącej przy ogromnej konsolocie.

- Cześć. - Okręciła się na krześle w ich stronę. Zagryzła wargę i zatrzepotała rzęsami. Miała trochę zbyt duży nos i brzydką cerę, ale ładnie wycięte usta i sposób, w jaki nawijała na palec pukiel gęstych włosów, zdecydowanie wpisywały ją w kanon tych niestandardowo pięknych i pociągających.

- Karolu, to jest Magda Migalska, nasz skarb od spraw technicznych. Pomoże w nagrywaniu dźwięku.

Uścisnęli sobie dłonie. Magda nawet na moment nie oderwała wzroku od nowo przybyłego, jak gdyby chciała dobrze zapamiętać jego twarz. Przez jej piwne oczy przemknął dziwny błysk. Karol poczuł, że się czerwieni.

- To ten ekspiłkarz? - rzuciła, jakby w pomieszczeniu była sama z Łukaszem.

- Zgadza się. Jeden z najlepszych, jakich polska ziemia spłodziła.

- Zobaczmy, czy w studiu nagrań lawiruje równie dobrze jak na boisku. - Wzruszyła ramionami, wracając do swojego sprzętu.

- Nie przejmuj się, Magda jest specyficzna. - Łukasz poklepał Karola po ramieniu.

- Nie takich dziwaków spotykałem. - Widmowski ukradkiem przyjrzał się zgrabnej dziewczynie.

- Wszystko słyszę - wtrąciła, poprawiając kucyk.

- Nie wątpię. - Łukasz się zaśmiał i zwrócił do Karola: - Potrzebujesz wokalnej rozgrzewki czy zaczynamy nagranie?

Karol zrezygnował z ćwiczeń i po chwili siedział naprzeciwko mikrofonu w wyciszonym pomieszczeniu, siłując się z ogromnymi czarnymi słuchawkami przypiętymi do aparatury ustawionej na stoliku obok. Przynął się do drewnianego biurka. Przejrzał pod metalową lampką kartki z komentarzami.

Czerstwe. Ale nie płacę mi w końcu za redagowanie tekstów.

- Możemy zacząć? - Głos Magdy zadźwięczał w słuchawkach. Karol pokazał uniesiony kciuk.

Sześćdziesięciocalowy ekran w rogu sali rozbłysnął. Widniał już na nim główny interfejs gry. *Total Football 2020* na pierwszy rzut oka prezentował się porządnie, dużo lepiej, niż Karol mógł się spodziewać. Przejrzyście menu, w którym najprawdopodobniej Łukasz operował zza szyby. Odpalił tryb

szybkiej gry, gdzie można rozegrać sparingi pomiędzy znajomymi „na kanapie” lub w Internecie. Wybrał niższą ligę brazylijską, losowe zespoły i ustawił symulację, tak aby nie musieć samemu rozgrywać pojedynku.

Karol podziwiał szczegółowe wykonanie stadionu, żywo reagującą widownię i twarze piłkarzy. Cała ceremonia otwarcia meczu robiła wrażenie. Ostatnie lata spędzał głównie na grze w piłkę na konsoli, tak więc miał porównanie. AEGamez zrobiło dobrą robotę.

Gdy w stopce wyświetliła się informacja, że mecz komentuje Karol Widmowski, spojrzął w swoją kartkę, odchrząknął i ponagłony gestem Łukasza zaczął czytać.

- Witam państwa w ten piękny, eee, słoneczny dzień...

- Kartka, kartką, ale u nich jest wieczór, wystarczy spojrzeć na niebo - usłyszał Magdę w słuchawce. Zacerwienił się i zerknął za szybę. Desroches stał zdecydowanie zbyt blisko przymilnie uśmiechającej się Magdy, dłoń trzymając na jej talii. Kiedy złowił wzrok Karola, szybko cofnął rękę i na migi przekazał mu, aby się nie przejmował i czytał dalej. Widmowski poczuł ukłucie zazdrości. Gdy był w swojej najlepszej formie, to jemu kobiety posyłały takie uśmiechy. Odchrząknął i zabrał się za komentowanie.

Połowa meczu trwała siedem minut. Gdyby Karol siedział za padem, nawet nie zauważyłby mijającego czasu. W roli komentatora sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Musiał się skupiać jednocześnie na kartce i na obrazie gry, próbując rozczytać skomplikowane nazwiska. Po pierwszej połowie meczu był cały rozdygotany, jakby dopiero co zdjęto go z murawy.

- Nie stresuj się aż tak - polecił Łukasz, wchodząc do sali nagrań.

- Przepraszam, nie byłem w stanie skoordynować tych wszystkich kwestii z sytuacją na boisku. Postaram się...

- Wiesz co? - Łukasz wyrwał mu z dłoni kartki z przygotowanymi komentarzami. Uśmiechnął się szeroko. - Spróbuj improwizować. Tak jakbyś był na meczu. Oglądaj i komentuj. Nazwiskami się nie przejmuj. Dzisiaj i tak mamy tylko taką próbę przed generalką.

Karol przytaknął i kiedy Łukasz opuścił pokój, założył z powrotem słuchawki na uszy. Otrzymał sygnał z za szyby i odpalili drugą połowę.

- Witam państwa ponownie na zielonej murawie Maracany. Pierwsza połowa dostarczyła nam wielu emocji, tak że nie możemy się już doczekać wszystkich pięknych akcji, jakimi uraczą nas zaraz piłkarze...

Zdziwił się, że jego komentarze brzmiały tak naturalnie, gdy zanurzył się całkowicie w boiskowej sytuacji. Złapał się na tym, że czerpie z komentowania frajdę. Od dawien dawna nic nie sprawiło mu takiej satysfakcji.

Nic nie mogło mu popsuć tej zabawy - a przynajmniej tak myślał do sześćdziesiątej piątej minuty.

- Ależ fatalny kiks! Napastnik Futbol Clube powinien popracować nad celnością. Za chwilę wznowi bramkarz, a to daje kilka chwil trenerowi Juventadu na przeprowadzenie zmian. Boisko opuszcza... eee... Santiago Rodrigo, a w jego miejsce na murawie pojawi się...

Karol zamarł z otwartymi ustami, kiedy na ekranie rozgrywała się krótka scenka przerywnikowa. Na zbliżeniu zobaczył nowego zawodnika Juventadu. W jego wyglądzie najbardziej przykuwały uwagę różnokolorowe oczy: jedno niebieskie, drugie orzechowe. Gdy w stopce pojawiło się nazwisko, Karol zerwał się z fotela, omal nie wrywając słuchawek z gniazda. Z hukiem otworzył dźwiękoszczelne drzwi i wybiegł na korytarz, kuśtykając.

- Karol, co się stało? Gdzie uciekasz? Karol! - Łukasz, zdezorientowany, wypadł z sali nagrań. Migalska stanęła w

progu z założonymi rękoma i obserwowała obu mężczyzn.

- Przepraszam, coś mi się przypomniało, muszę wyjść, zadzwonię... - mamrotał Karol. Dopadł do pustej windy i kiedy drzwi zamykały się za nim, starał się nie patrzeć na Łukasza, stojącego z rozłożonymi rękoma i nieodgadzionym wyrazem twarzy.

W środku szybko wygrzebał portfel. Sięgnął do przegródki, w której trzymał stare zdjęcia legitymacyjne otrzymane niegdyś od bliskich i wyciągnął wyświechtaną fotografię przedstawiającą ciemnowłosego, dwunastoletniego chłopca. Choć nie zachwycała jakością, to doskonale widać było, że tęczęwki jego oczu różnią się od siebie. Jedno błękitne, drugie orzechowe.

- Niemożliwe, niemożliwe... - szeptał, przyglądając się przyjacielowi z dzieciństwa.

3

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Wieczór w końcu przyniósł wielu rodzicom ukojenie, i to z dwóch powodów. Po pierwsze czerwcowe upały osłabły na tyle, że dało się oddychać, a po drugie mogli w końcu zawieźć swoje pociechy na środy trening.

- Karolku, spakowałeś wszystko? - spytała wysoka, szczupła brunetka, zakładając adidas.

- Tak, mam, możemy już jechać? - Podekscytowany dwunastolatek w stroju piłkarskim podskakiwał niecierpliwie. Jak na swój wiek był trochę zbyt chudy, co w połączeniu z jego długimi nogami dawało komiczny efekt.

- Rozumiem, że korki też masz spakowane? Bo jeśli tak, to co leży tutaj? - Podniosła parę czerwono-srebrnych butów.

- Dzięki, mam. Musiałabyś mi je dowieźć, jakbym zapomniał.

- Tak, na pewno, nie mam nic innego do roboty - odpowiedziała z przekąsem i poczochrała jego blond czuprynę. Karol wywinął się od pieścizot i wybiegł na podwórko.

- Julia, a ty czegoś nie zapomniałaś? - rozległ się głos w korytarzu.

Odwróciła się. Barczysty mężczyzna z jasnymi włosami świątymi na jeża i z gęstą, słomianą brodą podał żonie dokumenty od samochodu.

- Byłoby szkoda, gdybyś ich nie wzięła.

Julia pocałowała go w policzek.

- Masz rację, Tadek, do zobaczenia niedługo.

- Wracajcie szybko, zrobimy grilla.

Julia wraz z synem wpakowali się do nagrzanego samochodu i wyjechali spod domu.

Karol najbardziej w ich posiadłości uwielbiał spore podwórko, bo ojciec specjalnie dla niego postawił na nim bramkę piłkarską, zbitą z drewnianych belek. Dzięki szczypcie wyobraźni stawało się areną potyczek, gdzie rozgrywał niezliczone ilości meczów, w których to ścigał się jednocześnie z Kapitanem Tsubasą i Christem Stoiczkowem.

Kiedy dwa lata temu, tuż po przeprowadzce do Zabynijcza, rodzice zaproponowali, że zapiszą go do pobliskiego klubu, Zagończyka, zgodził się od razu. Perspektywa zbliżających się wakacji, podczas których będzie mógł znowu skupić się tylko i wyłącznie na piłce, była spełnieniem marzeń.

- Jesteśmy. - Julia zaparkowała przed niebieską bramą. Zaraz za nią znajdował się wysypany białymi kamyczkami parking dla kibiców, a dalej rozciągało się boisko nawadniane zraszaczami. Obok parkingu stał niski, biały budynek z blaszanym dachem, robiący za szatnię oraz biuro, a wzdłuż boiska - kryta trybuna mogąca pomieścić około dwustu osób.

- Dzięki, mamgo, do zobaczenia! - Karol trzasnął drzwiami i popędził do kolegów, którzy już zbierali się przed szatnią.

Trening tak naprawdę był jedynie godzinnym oczekiwaniem na gierkę pod koniec zajęć. Wszystkich nudziły wszelkie sprinty, skipy A, skipy C, pajacyki, rozciąganie i bieganie dookoła boiska. Każdy bez wyjątku czekał na ćwiczenia z piłką.

Karol szybko odkrył, że najlepiej wychodzi mu odgrywanie piłek do kolegów. Codziennie na podwórku przerabiał tyle meczowych scenariuszy, że kiedy grali, przewidywał wszystko

kilka ruchów do przodu. Musiał popracować nad siłą i precyzją zagrań, ale większość posyłanych podań tworzyła groźne sytuacje. Tę umiejętność zauważył także jego trener, Maciej Grzybicki. Dwudziestotrzylatek po AWF-ie, który sam grywał w seniorskim zespole Zagończyka, wiele uwagi poświęcał Karolowi i jego zmysłowi rozgrywającego.

Aż do połowy lipca, kiedy przedstawił drużynie nowego gracza.

Jak przed każdym treningiem, wszyscy siedzieli na murawie i dyskutowali o ostatnich odcinkach *Yattamana* i *Siedmiu życzeń*. Żartowali i wiercili się, czekając na trenera. Najbardziej dowodzili, jak zawsze, najstarsi - czternastolatki Bartek, Kuba i Czarek, którzy rzucali w siebie piłkami. Nagle jeden z chłopaków wskazał w kierunku szatni, a wszyscy zgodnie spojrzeli w tamtą stronę.

Razem z trenerem szedł „Nowy”. Już z daleka widzieli, że wyróżnia się ciemniejszą karnacją. Latynoska uroda dla wielu dzieciaków wychowanych całe życie w okolicznych wioskach to widok nietypowy. Rozszedł się szmer wymienianych uwag. Karol rozejrzał się po szepczących kolegach. Wiedział, co to oznacza.

Wszystko, co odmienne, odbierane jest z rezerwą w hermetycznych społecznościach, także takich jak młodzieżowe drużyny piłkarskie.

- Słuchajcie. - Trener opiekuńczo trzymał ręce na ramionach chłopaka. - Od dzisiaj w drużynie mamy nowego zawodnika.

Uśmiechnął się do chłopca pokrępijając i popchnął go lekko w stronę reszty zespołu.

- Śmiało, przedstaw się.

Wzrok wszystkich chłopców skupił się na dzieciaku, który sprawiał wrażenie, że gdyby nie trener, to w życiu by tu nie podszedł. Zatrzymał spojrzenie na Karolu, a ten nieznacznie

kiwnął głową, próbując dodać otuchy Nowemu. Zwrócił uwagę na jego oczy, kiedy chłopiec zamrugał szybko i z jego gardła wydobył się niepewny głos:

- Nazywam się Gabriel Maśliński.

4

OBECNIE

Obudził się na kanapie. Głowa pulsowała rytmicznie od wypitego alkoholu, ale Karolowi to nie przeszkadzało. Po zakończeniu kariery miał wystarczająco dużo czasu, by przyzwyczaić się do porannego kaca.

Kiedy w końcu wstał, syknął i złapał się za prawą łydkę. Dopłynęła do niej krew i spowodowała ostry ból w okolicy piszczeli. Walcząc z nim, doczłapał do kuchni i włączył czajnik. Zalał wrzątkiem kubek z kawą rozpuszczalną, mimowolnie rozpamiętując wczorajszy dzień.

Odpalił laptop, aby z trzeźwiejszą głową przejrzeć profil Gabriela na portalu Twój Futbol. Na stronie stworzonej przez gazetę sportową o tej samej nazwie znajdowała się najlepiej prowadzona baza piłkarzy z całego świata i wszelkich statystyk, jakie można było sobie wymarzyć – gole, asysty, liczba podań na mecz. Brakowało chyba tylko informacji o rozmiarach butów i liczbie kochanek.

Jak mogłem na to nie wpaść wcześniej! Gdziekolwiek teraz jesteś, to logiczne, że musisz zajmować się futbolem – rozmyślał, pijąc kawę.

W końcu Windows zaskoczył. Karol włączył przeglądarkę i wprowadził adres strony. Wpisał nazwisko zaginionego przyjaciela w wyszukiwarce i sprawdził wyniki.

„Znaleziono: 0 osób”.

Zamarł. Wprowadził nazwisko jeszcze raz, lecz odpowiedź z serwera była identyczna. Drżał tak, że razem z nim latał kursor myszki. Wszedł w historię przeglądarki i znalazł zakładkę z wczorajszego wieczoru.

„Przepraszamy, ale podana strona nie istnieje”.

Siedział z rozdziawionymi ustami. Najpierw przemknęło mu przez myśl, że ma zwidy, a zaraz potem zastanowił się, czy zostało jeszcze coś mocniejszego w zamrażarce. Dziś musiał się znieczulić szybciej, niż planował.

Nie mógł znaleźć na portalach sportowych żadnej informacji o Gabrielu, dlatego stwierdził, że musi wrócić do AEGamez. Chwilę wzbraniał się przed tym pomysłem, bo wciąż rozpamiętywał wczorajszą haniebną ucieczkę, ale ostatecznie alkohol pomógł mu podjąć decyzję. Sznurując buty, zastanawiał się, czy ten Łukasz o idiotycznym nazwisku będzie w stanie mu jakkolwiek pomóc.

Wypił jeszcze dwa kolejne drinki, a potem zszedł do zamówionej taksówki. Z billboardu po drugiej stronie ulicy powitała go uśmiechnięta twarz opalonego pięćdziesięciolatka z równiutkimi zębami i starannie ułożonymi siwymi włosami. Typowa twarz polskiego celebryty, nierealnie idealna, wymuskana i bez jednej zmarszczki. Redaktor Jerzy Kidys reklamował nowy numer magazynu piłkarskiego swoim zamaszystym podpisem: „Polecam!”.

Karol spojrział na niego spode łba i splunął soczyscie na chodnik.

- Skurwysyn.

Gdy wsiadał do zamówionego pojazdu, czuł, że wraca mu wczorajszy stan. Dojazd z ulicy Przytyk do Alei Jerozolimskich dłużył mu się niemiłosiernie. Warszawa, tradycyjnie zakorkowana, nie chciała, aby szybko dotarł pod siedzibę AEGamez.

- Przepraszam pana - zagaił taksówkarz, który od początku ich podróży co rusz zerkał w lusterko wsteczne. - Czy przypadkiem nie jest pan tym piłkarzem, Widmowskim?

- Być może - burknął Karol, nie odklejając wzroku od szyby. Sprawa korku szybko się wyjaśniła. Plac Zawiszy. Rolnicy ciągle protestowali, kolejny już rok. Wszędzie dookoła paliły się stogi siana i leżały skrzynie jabłek.

- Wie pan, w tajemnicy powiem, że ja to zawsze za Polonią byłem - ciągnął niezrażony taksiarz. - W Warszawie to lepiej się z tym nie obnosić. Chodziłem na Konwiktorską, akurat jak pan tam u nas zaczynał. Dobry Boże, co pan robił z piłką! Już wtedy wszyscy mówili, że daleko pan zajdzie. Szkoda, że do Szkopów pan wyjechał, a nie został u nas w Polsce, może wtedy nic by się nie stało...

Wściekły wzrok Karola skutecznie uciał temat. Nic nie denerwowało go bardziej niż gdybanie. A najwięcej mądrych głów pojawiło się właśnie dzięki Kidysowi. Tak jakby sam nie rozważał setek scenariuszy. „A co by było, gdyby to...?” „A co by było, gdyby tamto...?” W końcu przestał się zamęczać, bo nie miało to najmniejszego sensu.

Przeszłości nie da się zmienić.

Zajechali pod biurowiec. Karol uiścił należność i bez słowa opuścił taksówkę. Kuśtykając, wszedł do budynku.

- Przepraszam, w czym mogę panu pomóc? - spytała opryskliwie recepcjonistka; musiała dobrze zapamiętać jego wczorajsze wybryki.

- Dziękuję, nie trzeba. Wiem, gdzie idę. - Zbył ją machnięciem ręki i przywołał windę. Obejrzał się przez ramię. Recepcjonistka, zerkając na niego, szeptała coś do słuchawki telefonu. Zignorował ją. Gdy winda nadjechała, wszedł do środka i wybrał odpowiednie piętro.

Metalowe drzwi rozsunęły się bezszelestnie, a na korytarzu już czekał na niego Łukasz Desroches. Ochroniarz z rękoma

założonymi na piersi czaił się mało dyskretnie za jego plecami.

- Karolku, witaj. Co się stało? Czekaliśmy na twój telefon... - Łukasz rozłożył ręce tak, jakby jeszcze nie zdecydował, czy chce Widmowskiego przytulić, czy też mu przywalić.

- Potrzebuję informacji, o wczorajszym nagraniu... - wybełkotał Karol. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że jest pijany bardziej, niż sądził. Musiał podeprzeć się ściany, aby utrzymać równowagę.

- Oczywiście, postaram się pomóc, ale niestety musimy spotkać się w innym terminie. Mam zebranie na wysokim szczeblu, zadzwonię i się umówimy...

- Ale ja muszę wiedzieć już teraz - zaprotestował. - Jest taki piłkarz, on tam grał...

- To nie jest odpowiedni moment, Karolku, nie róbmy scen.

Kilka głów wychyliło się z biur, by z zaciekawieniem przyglądać się niecodziennej sytuacji. Co poniektórzy dyskretnie powyciągali telefony i nagrywali to zdarzenie.

Wszystko, co nietypowe, odbierane jest z rezerwą.

- Słuchaj, on zniknął lata temu. - Karol usilnie starał się brzmieć poważnie. - Muszę wiedzieć, czy to on...

Zrobił krok do przodu i lekko się potknął. Ktoś w korytarzu głośno westchnął, inna osoba zaśmiała się krótko. Zrobiło się głośno, teraz już wszyscy wyszli na korytarz. Łukasz musiał poczuć woń alkoholu albo po prostu stwierdzić, że ta rozmowa nie ma sensu. Pokręcił przecząco głową i szeptem poprosił ochroniarza, aby odprowadził kłopotliwego gościa do wyjścia. Barczysty mężczyzna ujął Karola pod ramię - bez zbędnej agresji, ale stanowczo. Coraz więcej osób nagrywało pijanego Widmowskiego. Z pewnością jeszcze dziś będzie gwiazdą na YouTubie. Sposób, w jaki został potraktowany przez Łukasza, oraz niezdrowe zainteresowanie tych bezmózgów z korporacji rozsierdziły go ostatecznie.

- Schowajcie sobie te telefony w dupę! - wydarł się. - Właśnie tak, takie jest wasze życie, zasrańcy! Nic ciekawszego niż ja już was w nim nie spotka...!

Tłum pracowników AEGamez zaszumiał zdecydowanie głośniejszą obelgą pijanego Karola.

- Taki mocny jesteś, to chodź! - zagrzemiał jakiś brodac z za pleców Desroches'a.

Widmowski, napędzany upokorzeniem i wódką, chciał wyrwać się ochroniarzowi, ale ten najwyraźniej nie z takimi się już w życiu obchodził. Wymierzył Karolowi cios w splot słoneczny, wygiął rękę za plecy i w akompaniamencie okrzyków aprobaty wyprowadził go do windy. Na końcu bez pardonu wyrzucił go na chodnik i zamknął drzwi za sobą.

Karol, czerwony ze złości i wstydu, wstał, a potem sięgnął do kieszeni, z którą przez chwilę się mocował, aż w końcu wyciągnął telefon. Wybrał z listy kontaktów numer swojego byłego agenta oraz trenera z czasów młodzieżowych, Macieja Grzybickiego.

„Jadę” - brzmiał lakoniczny esemes, który Karol wysłał, gdy zmierzał, kulejąc, w kierunku najbliższego przystanku autobusowego.

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Szybko się okazało, że Gabriel to talent czystej wody, co każdy z zespołu musiał przyznać. Nie zjednało mu to zbyt wielu przyjaciół. Wręcz przeciwnie - zazdrosne dzieciaki stały się jeszcze bardziej cięte. Najwięcej przykrości sprawiali mu Bartek Czekał, Kuba Frankowski i Czarek Jasło. Pierwszy z nich najbardziej ucierpiał z powodu przybycia Gabriela, ponieważ ten natychmiast wygryzł go ze składu. Idealną pożywkę stanowiła też niespotykana w okolicy uroda Nowego - ciemna karnacja, czarne jak smoła włosy. I jeszcze te różnokolorowe oczy. Szkodniki, jak nazywano w Zagończyku Bartka i jego bandę, wyżywali się na nim, gdy tylko mogli. Kiedy w okolicy nie było trenera, rzecz jasna. Pilnowali się, ponieważ Grzyb już kilkakrotnie przyłapał ich na gnębieniu Nowego. Potem za karę spędzali całe treningi na bieganiu dookoła boiska.

Karol zaś, dla odmiany, od pierwszego dnia nawiązał z Gabrielem nić porozumienia, zwłaszcza tę boiskową. Bardzo dobrze współpracowali, co wielce cieszyło trenera. Widmowski asystował, Maśliński strzelał.

Po jednym z treningów w szatni zostali już tylko Karol i Gabriel. Podczas przebierania się Nowy wyjątkowo się ociągał.

- Co jest? - spytał Karol. - Jakiś smętny jesteś.

Gabriel zamrugał, tak jakby słowa kolegi wyrwały go z głębokiego zamyślenia.

- Nie - odparł po chwili. - Wydaje ci się.

- Gdzie mieszkasz? Moja mama już przyjechała, możemy cię podwieźć.

- Niedaleko, przejdę się.

- Daj spokój, pakuj graty i chodź.

- Naprawdę, nie trzeba...

Karol nie słuchał dalszych wymówek, tylko złapał jego torbę i wybiegł z szatni.

- Jedziesz ty albo sama torba!

Julia ze zdziwieniem obserwowała dwa roześmiane dzieciaki ganiające się po parkingu. Gdy w końcu obaj zatrzymali się przed seatem Widmowskich, dyszeli jak konie wyścigowe.

- Mamo, to jest... - Karol zrobił przerwę, by złapać oddech.

- Gabriel - dokończył za niego chłopak.

- Miło mi - odparła Julia. - Ciekawe masz imię.

- Możemy podwieźć Gabriela do domu?

- Jasne, powiedz tylko, dokąd mamy jechać.

Okazało się, że mieszka dwie ulice dalej od Widmowskich, którzy sprowadzili się z miasta na ziemię odziedziczoną po rodzicach Tadeusza. Działka Maślińskich była zdecydowanie mniejsza niż ich, ale wystarczająco przestronna. Przynajmniej tak powiedziałyby ojciec Karola, który namawiał wszystkich znajomych do budowy w Zabynijczu, póki mało tu „wielkomięskich imigrantów” podbijających ceny za metr kwadratowy. Na zarośniętym podjeździe stał samochód skryty pod plandeką. Na środku terenu wznosił się niewielki domek z bali - nietypowa konstrukcja pośród okolicznych domów, zbudowanych przeważnie z cegieł lub pustaków.

Julia zaparkowała wzdłuż bramy. Na zaniedbanej werandzie stał chudy, wysoki mężczyzna palący papierosa. Przyglądał się

uważnie seatowi Widmowskich.

- To twój tata? - Julia nie spuszczała wzroku z mężczyzny.

- Tak - odparł Gabriel, a Karol odniósł wrażenie, że głos mu zadrżał.

- A czym się zajmuje?

- Jest handlarzem - mruknął. - Lepiej już pójdę. Pa, Karol!

Trzasnął drzwiami i wszedł przez skrzypiącą furtkę. Kiedy był na werandzie, ojciec zadał mu jakieś pytanie, na co Gabriel skinął głową. Spojrzał jeszcze raz w stronę samochodu Karola, ale ojciec ponaglił go gestem dłoni, by wszedł do domu. Sam skończył papierosa, rzucił niedopałek na podwórko. Posłał jeszcze podejrzliwe spojrzenie Widmowskim, a potem poszedł w ślad za synem.

- Przyjemniaczek, nie ma co - wymamrotała do siebie Julia, zwracając na podjeździe.

To był pierwszy i ostatni raz, gdy Karol widział Ryszarda Maślińskiego.

6

OBECNIE

Po kilku przesiadkach Karol w końcu dotarł do wysokiego bloku na Służewcu. Wklepał kod, który znał na pamięć, a potem wjechał na ostatnie piętro. Drzwi do mieszkania były już otwarte.

Mniej więcej wtedy, gdy zaginął Gabriel, Maciej skończył swoje kursy z prawa sportowego. Wiele lat później przyznał Karolowi, że nie miał tyle zacięcia, aby samemu starać się być lepszym piłkarzem. Zwłaszcza że mając niemal ćwierć wieku na karku, kopał się dalej w czoło w okrągówce. Postanowił zostać agentem młodych piłkarzy, takich jak Widmowski i Maśliński, aby ukierunkowywać ich dalsze losy, kiedy opuszczą już Zagończyka.

Karol rozejrzał się po dwupiętrowym apartamencie z widokiem na Dolinę Służewiecką. Pomyślał, że choć to on miał najbardziej owocną karierę – mimo że krótką – to z całego zespołu najlepiej wie gdzie się teraz byłemu trenerowi.

– Karol „Widmo” Widmowski! Kręci obrońcami, zagrywa do Mira, odegranie i gol! – Maciej podbiegł znienacka do Karola, chwycił go w pasie, imitując piłkarską cieszynkę. – Siemasz byku! Jak tam moja przyszła gwiazda gier wideo?

– Cześć, Maciej, cześć. Jak leci? – Wyrwał się z potężnego uścisku.

- Ty mi powiedz. No, jak tam poszło? Siadaj, może winka? Chociaż już coś sobie dziś golnąłeś. - Puścił Karolowi oczko.

- Nalej, przyda się bardziej tobie niż mnie. Mam ci coś do powiedzenia.

Maciej zmrużył podejrzliwie oczy i podrapał się po świeżo przystrzyżonej brodzie. Był jedenaście lat starszy od Karola, ale dzięki diecie, codziennym ćwiczeniom i zastrzykom z botoksu to on prezentował się lepiej.

Gospodarz nalał dwa kieliszki wina. Wyszli na przestronny taras, żeby skorzystać z ciepłej wiosennej pogody. Rozsiedli się na plecionych krzesłach, a wtedy Karol streścił wydarzenia wczorajszego dnia; od wizyty w AEGamez, poprzez tajemnicze zniknięcie profilu Gabriela na portalu, aż do dzisiejszego zajścia na Jerozolimskich.

Maciej przysłuchiwał się temu z nachmurzoną miną. Osuszył kieliszek, kiedy jego gość skończył, i zanim cokolwiek skomentował, dołał nowej porcji.

- Słuchaj, wiem, że mocno przeżyłeś to całe gównno. Wtedy w Zabynjczu to był fatalny rok. Dla każdego. Ale czy szukanie śladów kogoś, kto zniknął dwadzieścia siedem lat temu, nie jest trochę... no, na siłę? Zwłaszcza że mieli powody, aby się ukryć.

Nie rozmawiali o Gabrielu od lat, ale Karol dobrze wiedział, że tak się potoczy ta rozmowa. Pogodził się z zaginięciem przyjaciela, zakopał tamten dzień głęboko w pamięci, pozwolił, aby życie płynęło dalej swoim tempem.

Jednak teraz sytuacja diametralnie się zmieniła. Gabriel się pokazał.

- Mówię ci, jak jest. - Wstał z krzesła i oparł się o barierkę. - To musiał być on. Wszystko się zgadzało.

- Dobra, załóżmy, że to jest on, okej? - Maciej zmienił podejście. - Mieszka gdzieś sobie w chatce w jakimś Buenos Aires...

- To w Argentynie - wtrącił Karol i widząc zdezorientowaną minę Macieja, zaraz dodał: - Klub, w którym go widziałem, jest z Brazylii.

- Pies to trącał - zachnął się Grzyb. - Więc mieszka w tym Buenos, kąpie się w oceanie i dodatkowo grywa w piłkę w trzeciej lidze. Czyli żyje, ma się dobrze, w formie też jest. Coś tam pewnie zarabia, może ma nawet fajną laseczkę i zrobił jej dzieciaka. Czemu nie! Więc skoro ma takie możliwości, dlaczego po prostu się nie odezwie? W Internecie znalazłby mnie i ciebie bez żadnego problemu, jesteście bądź co bądź postaciami w jakimś stopniu medialnymi.

- Nie wiem - przyznał Karol. Też się nad tym zastanawiał, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Myślę, że po prostu za dużo wczoraj popiłeś, co? Odplynęłaś w rejs? Słuchaj, ja ci ten odwyk mogę załatwić...

- Odwał się!

- Ej, no co? Nie obrażaj się. Kto jak kto, ale ja nie osądzam. Chcę dla ciebie jak najlepiej, przecież wiesz...

- Nic sobie nie wymyśliłem. Myślałem, że chociaż ty mi pomożesz. - Karol poczerwieniał ze złości.

- No i chcę pomóc. Gdzie idziesz? No zostań, daj spokój. Ej! Nie trzaskaj mi tylko... Dzieciak, no dzieciak.

Karol opuścił apartament Macieja. Nie miał pojęcia, co go tak zdenerwowało. Dobrze znał Grzyba, wiedział, że jest bezpośredni. W końcu taki musiał być jako piłkarski agent - szczerzy aż do bólu. Czasem, gdy ktoś nie ma przyszłości, trzeba mu to powiedzieć wprost, a nie owijać w bawełnę, że może Real, że może Barcelona, kiedy tak naprawdę czeka tylko KS Młoty Ciechocinek. Tym bardziej więc poczuł się urażony, że Maciej nie potraktował poważnie historii o Gabrielu.

Tylko czy mógł mieć o to jakiegokolwiek pretensje, skoro prawdopodobnie był jedyną osobą, która wiedziała, co wydarzyło się trzynastego lutego dwadzieścia siedem lat temu?

Jego ocena tamtych zdarzeń znacznie odbiegała od tej powszechnie przyjętej. Dla wszystkich wyrok dawno zapadł.

Po dłuższym spacerze dotarł na zatłoczony peron metra Wilanowska. Gdy podjechał skład w kierunku Młocin, Karol jakimś cudem dopchał się do wolnego miejsca i usiadł z westchnieniem ulgi.

Metro ruszyło. Miarowy terkot, wcześniej wypity alkohol i emocje z tego dnia sprawiały, że powoli odpływał w sen.

Z zamroczenia wyrwało go mrowienie na karku. Czuł się tak, jakby ktoś go obserwował. Wielokrotnie doświadczał tego uczucia w szczytowym punkcie kariery, gdy wręcz wytykano go palcami na ulicach Bremy. Otworzył oczy. Wagon wypełniony był od drzwi do drzwi. To mógł być praktycznie każdy. Metro zatrzymało się na stacji Wierzbno. Skupił się na ludziach. Blondynka w dżinsowej kurtce, łysy kark w koszulce z Batmanem, szczebiocące siwowłose staruszki, spocony biznesmen w pomiętym garniturze, niski chłopak z dreadami związanymi chustą, grający na telefonie...

I wtedy dostrzegł. Czapka z daszkiem, kaptur granatowej bluzy naciągnięty na głowę. Wiedział, że oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi patrzą prosto na niego. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, obserwator utorował sobie łokciami drogę w ludzkiej masie, nie zważając na protesty reszty pasażerów, i wyskoczył na peron. Drzwi się zamknęły, a metro pojechało dalej.

Serce Karola zabiło mocniej. Próbował dostrzec coś więcej, ale metro wjechało już do tunelu. Za oknami szybko przemykająca ciemność zajęła miejsce zatłoczonego peronu.

Wspiął się na szóste piętro swojego bloku. Winda znowu się zacięła, więc większość drogi pokonywał, wspierając się o chłodne poręcze schodów. Otworzył drzwi mieszkania. Cały zgrzany i spocony wszedł do środka. Wyjął z lodówki butelkę

wody, a po chwili ciężko opadł na kanapę. Opustoszałe wewnątrz wypełnił głośny dźwięk łapczywego przełykania. Westchnął z ulgą i usłyszał, że telefon zadzwijał mu w kieszeni. Wyciągnął urządzenie, odblokował i zerknął na ekran. Dostał eśemes.

[Mama]: Hej. Pamiętajx jutro oobiedzie.z nami?
Twoja mAma.

Uśmiechnął się mimowolnie. Nic nie poprawiało humoru bardziej niż rodzice borykający się ze współczesną elektroniką.

Pamiętał, że Julia długo wzbraniała się przed nowinkami technologicznymi. Miała romantyczne podejście do życia, więc uważała, że listy są zdecydowanie ciekawszą formą wymiany wiadomości i myśli. Akceptowała jedynie stacjonarny. Ostatecznie i Tadeusz, i Karol szybko wyperswadowali jej tę fanaberię.

[Karol]: Tak, pamiętam. Będę.

Po chwili przyszła odpowiedź, krótkie „ok.!”. Uśmiech znowu zawitał na twarzy Karola. Matka zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

Odłożył telefon. Z lodówki wyciągnął schłodzone piwo i wrócił na kanapę. Po drodze poślizgnął się na kartonie po pizzy, dlatego otwierając butelkę, obiecał sobie, że jutro wysprząta całe mieszkanie. Znalazł pada pod poduszką i nacisnął okrągły przycisk; konsola zapiszczała krótko. Nie mógł się doczekać, aż włączy ulubioną grę i pograży się na chwilę w wirtualnej rzeczywistości.

Pitch Legends 2019 od AEGamez całkowicie wciągnęło Karola. Możliwość stworzenia gracza od zera niczym w typowym RPG dawała już na starcie sporo frajdy. Vidmo Vidmowski rozpoczął karierę w Polonii Warszawa, ale szybko skierował się na zachód. Wyczekiwał, aż w końcu otrzymał

ofertę z Bundesligi. Był pomocnikiem o zabójczej precyzji podań, ale Karolowi nie przeszkodziło to w tym, aby zostać najsukuteczniejszym strzelcem w zespole. Człowiek orkiestra.

Sprawdził, czy wśród dostępnych znajomych użytkowników wyświetla się Yush_Byegne, gracz, z którym Karol lubił toczyć zacięte boje w sieci. „Not connected”. Tak czy inaczej wybrał okienko dialogowe.

[Vidmo1981]: Siema, co tam?

Nie czekając na odpowiedź, włączył rozgrywki dla jednego gracza i oddał się grze. Średnio co mecz otwierał nowe piwo. Przy trzeciej butelce poczuł się przyjemnie zrelaksowany. Mieszkanie było azylem, do którego nie miały dostępu duchy przeszłości. Skutecznie tłumił je alkoholem, a konsola pozwalała mu zakotwiczyć myśli w nieistniejących światach.

Nie mógł jednak wygonić z głowy pytań dotyczących niespodziewanych wydarzeń z ostatnich dni. Zastanawiał się, czy Obserwator (tak nazwał dla swojej wygody tajemniczą postać z metra) ma związek z nagłym pojawieniem się Gabriela. Równie dziwny był tajemniczy profil piłkarza z Twojego Futbolu. Piłkarza, który wyglądał jak Gabriel. Nie mógł to być przypadek.

Zaklął pod nosem, gdy jeden z przeciwników zaatakował go wślizgiem od tyłu w desperackiej próbie odebrania piłki. Sędzia nie wahał się ani chwili i wyciągnął czerwony kartonik. Karol podrapał się mimowolnie po prawej nodze, obserwując, jak jego postać ustawia piłkę do rzutu wolnego. Lewa strona pola karnego, dwadzieścia metrów do bramki. Vidmo podskakuje w oczekiwaniu na to, co będzie dalej. Karol przestawia gracza tak, aby podbiegł do piłki z prawej strony. Wyduża rozbieg.

- ...Czy ten młody gracz po raz kolejny zachwyci nas świetnym strzałem? Wszystkiego dowiemy się już za moment!

Nacisnął odpowiedni przycisk, wychylił drążek pada i Vidmo ruszył do piłki.

- ...Podbiega do piłki i... Gool, proszę państwa! Ależ bramka! Cudowne uderzenie zewnętrzną częścią stopy, piłka wpadła pod samą poprzeczkę. Bramkarz nie miał szans. Stadiony świata...

Uśmiechnął się i pociągnął łyk piwa. Bułka z masłem, strzały z wolnych opanował praktycznie do perfekcji.

Kilka drinków później, ponieważ piwo się skończyło, Karol wyłączył konsolę i chwiejnym krokiem doszedł do łóżka, na które padł jak robot pozbawiony zasilania. Zaczął chrapać, nim choćby pomyślał, że nawet się nie rozebrał.

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Cała drużyna Werderu była jak naelektryzowana. Zbliżał się najważniejszy moment sezonu. Nie dość, że walczyli o tytuł mistrza Bundesligi, to również o awans do półfinału Ligi Mistrzów. Za spory sukces sztab szkoleniowy i zawodnicy mogli uznać już wyjście z grupy Ligi Mistrzów razem z FC Barceloną. Jednakże po zaskakująco korzystnym wyniku pierwszego meczu z Juventusem ich apetyty wzrosły.

Karol siedział ubrany w pomarańczowo-zielony trykot z czerwonym logo sponsora na piersi. Wzrok miał spokojny, lecz reszta ciała chciała już wybiec na boisko. Słuchając ostatnich rad trenera, mimowolnie trzymał się za grubo wyhaftowany herb klubu i przebierał energicznie nogami.

Jeszcze w trampkarzach nauczył się przekuwać przedmeczowy stres w pozytywną energię. Maciej Grzybicki uważał, że to właśnie jest klucz do jego sukcesu.

Trener przypomniał Karolowi, żeby trzymał się lewej strony w środku pola. Miał być w ciągłym ruchu, obserwować, co się dzieje na boisku, i podchodzić do gry. Upomniął go, żeby wracał do obrony, ale przede wszystkim regulował tempo, rozciągał defensywę przeciwników szerokim rozgrywaniem, no i, rzecz jasna, posyłał piłki do napastników.

- ...Miro będzie czekał na twoje podania. - Zakończył przemówienie, a Miro, Niemiec z polskimi korzeniami, nachylił się do Karola.

- Podawaj mi tak jak w Monachium i będzie w sam raz. - Mrugnął porozumiewawczo i poklepał go po ramieniu.

- O to się nie bój - odparł po niemiecku Karol i uśmiechnął się szelmowsko. - Jestem tutaj najlepszy, prawda?

Kiedy zaczął grać w Bundeslidze, szybko stał się fenomenem. Młody talent oszlifowali najpierw w Hamburgu, a gdy zrobiło się tam za ciasno dla Widmowskiego, Maciej szybko znalazł zespół, który walczył o najwyższe cele. Prezes klubu z Bremy z miejsca zakochał się w umiejętnościach Polaka i zagwarantował, że Karol będzie grał w pierwszym składzie. Transfer ten przy okazji był pstryczkiem w nos dla zespołu HSV, z którym Werder zacięcie rywalizował. Na ten moment Widmowski pracował całe swoje życie - w końcu mógł pokazać pełnię swoich możliwości. I do tej pory szło mu wyśmienicie, szybko skradł serca kibiców *Die Grün-Weißen* - Zielono-Białych. Grał pierwsze skrzypce zarówno w Bundeslidze, jak i w Lidze Mistrzów, prowadząc swój zespół ku kolejnym zwycięstwom.

Drużyna wydała ostatni motywacyjny okrzyk i pełna nadziei wyszła z szatni, kierując się do tunelu prowadzącego na murawę.

Stadion w Leverkusen powitał ich buczeniem. Gra na wyjeździe to zawsze dodatkowa presja, ale i motywacja. Nic tak nie poprawia humoru piłkarzom i kibicom, jak utarcie nosa przeciwnikowi na jego własnym stadionie.

Za każdym razem widok pełnych trybun zapierał Karolowi dech w piersiach. Czuł, że całkowicie zasługuje na to, żeby tu być. Wdrapał się na podnóże piłkarskiego Olimpu.

Przekraczając boczną linię boiska, podskoczył kilkakrotnie na palcach prawej nogi, a potem dotknął murawy i uniósł palec

w kierunku nieba. Dla Gabriela. Gdziekolwiek teraz był. Od momentu zaginięcia przyjaciela dedykował mu każdą bramkę, celebrował z nim każde wyjście na boisko. Pamięć o nim traktował jak swój talizman.

Odetchnął głęboko i wraz z resztą zespołu ustawił się w rzędzie. Karol napawał się atmosferą BayAreny, która - wypełniona ponad dwudziestoma tysiącami kibiców - wibrowała niczym ogromny ul. Oficjalne przywitanie minęło mu szybko. Uśmiechnął się do fotoreporterów, gdy ci robili tradycyjne zdjęcie drużynie. W końcu piłkarze rozeszli się na wylosowane przez kapitanów połowy. Miro podszedł do piłki, ustawionej na środku boiska, a po chwili sędzia odgwizdał początek spotkania.

Początek końca.

8

OBECNIE

Budzik zmusił Karola do uniesienia powiek. Niechętnie zrzucił z siebie pościel domagającą się wyprania i lekko kulejąc, poszedł do łazienki. Ulżył pęcherzowi, a potem zabrał się za szczotkowanie zębów. Po krótkiej toalecie przeszedł do kuchni, gdzie przygotował mocną kawę, i z gorącym kubkiem wrócił do salonu. Siadając na kanapie, aż syknął – noga dawała o sobie znać. Pomyślał tępo, że codziennie przeżywa tę samą historię – suchość w gardle, ból głowy i krew napływająca do nogi.

Sprawdził telefon. Esemes informował go o nieodebranym połączeniu od Macieja. Wybrał numer przyjaciela i czekał, aż ten się odezwie.

- Siemasz byku, nie śpisz już? – rozległo się po drugiej stronie słuchawki.

- Już nie. Co słyhać?

- Nie dawała mi spokoju sytuacja z Gabrielem. Wiesz, to całe zniknięcie ze strony.

Nachylił się, tak jakby ta pozycja miała mu pomóc się skupić.

- Mam znajomego w redakcji tego portalu. Powiedział mi, że to niemożliwe...

Karol westchnął. Może zbyt głośno.

- Ale dał mi namiary na gościa od utrzymania, takiego magika, co to pilnuje, aby strona działała, który nie wyjawiał wprost, że doszło do jakiegoś włamania, ale przyznał, że wczoraj wydarzyło się na stronie coś nietypowego.

- Mówiłeś mu o Gabrielu? - Karol czuł, jak rumieńce wychodzą mu na policzki.

- Tak, ale gość nie chciał omawiać tego telefonicznie. Umówiłem cię z nim na dwunastą. Wyrobisz się?

Karol przypomniał sobie o rodzinnym obiedzie i już miał zaprotestować, ale po chwili namysłu uznał, że się wyrobi.

- Jasne.

- Wyślę ci zaraz numer kontaktowy gościa. Nazywa się Jacek Tyglowski.

- To ich informatyk?

- Tak... to znaczy nie. Nie mów „informatyk”. To programista. Jeszcze się obrazi.

Karol przewrócił oczami.

- Dzięki wielkie.

Rozłączył się i zaraz wpadł na pomysł. Wszedł na Facebooka, żeby poszukać dźwiękowczynie z AEGamez, Magdy.

Napotkał problem w postaci własnej pamięci, więc przez dłuższą chwilę wprowadzał różne warianty imienia i nazwiska, aż w końcu znalazł odpowiednią osobę. Magda MIGAS Migalska. Pracuje w: Łoża Szyderców. Zdjęcie profilowe było mało wyraźne, ale Karol wątpił, by się pomylił.

[Karol]: Cześć. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, byłem przedwczoraj u was w AEGz. Nagrywałem komentarz. Mogę cię prosić o pomoc?

Zawahał się przed wysłaniem wiadomości, ale ostatecznie nacisnął enter i tekst pojawił się w okienku dialogowym. Serce zabiło mu mocniej, zupełnie jakby był nastoletnim podlotkiem,

który pisał do najładniejszej koleżanki z klasy. Skarcił się za niedojrzałe myśli, ale nie mógł Magdzie odmówić jednego – potrafiła zaintrygować samym spojrzeniem.

Telefon zawibrował. Maciej przesłał mu obiecany kontakt. Skopiował numer i szybko wysłał wiadomość do Jacka, żeby potwierdzić spotkanie. Informatyk, tfu, programista odpisał rekordowo szybko. Zaproponował KFC przy Rotundzie, a Karol niechętnie zaakceptował wybór miejsca. Zerknął na zegarek. Miał niecałe dwie godziny. Wstał ciężko i poszedł doprowadzić się do porządku.

Karol wysiadł z metra na rozgrzaną „patelnię” i od razu miał wrażenie, że czuje osiadający na języku smak spalin. Rozejrzał się.

Nigdy nie lubił centrum Warszawy, które – niezależnie od dnia i pory roku – było zawsze zatłoczone. Tłumy pulchnych nastolatków z doczepianymi rzęsami wlewały się do sklepów. Dziesiątki nachalnych ankieterów walczyły o podpisy przechodniów. Wieczne pikiety przed wejściem. Na zmianę Greenpeace i Anonymous. Nie dla aborcji i nie dla szczepień. Gość parodiujący grę na perkusji. Chrześcijańscy beatboxerzy. Zagraniczni turyści skrupulatnie nagrywający wszystko, co widzą, na relację na Insta. Najprawdziwsi w tym wszystkim wydawali się Karolowi bezdomni, którzy siedzieli pod filarami i prosili o datki. Na jedzenie, na piwo, na lekarstwa, na życie. Oni najmniej uczestniczyli w tym całym rozgardiaszu.

Kiedy już w końcu udało mu się wydostać na chodnik po drugiej stronie ulicy, tuż obok przeszklonego szkieletu Rotundy, dyszał z wysiłku i naklął się jak przysłowiowy szewc. Zignorował żebraka z gnijącą nogą i ruszył do KFC.

W środku zastał tłum nie mniejszy niż na ulicy. Skorzystał z panelu do samoobsługi i wybrał pierwszy z brzegu zestaw. Po chwili odebrał taczkę z zamówieniem i zajął stolik przy oknie skierowanym na Widok Towers, gdzie pomału kończyły się

prace budowlane. Sprawdził czas. Jacek powinien być już na miejscu.

Rozejrzał się po lokalu, zastanawiając się, jak może wyglądać Jacek, i wtedy zwrócił uwagę na ogromnego brodacza. Miał z dwa metry wzrostu. Mężczyzna stał między klientami i rozglądał się po stolikach. Wyglądał jak powiększona kopia Obserwatora z metra. Spod zarzuconego na głowę kaptura wystawał mu tylko daszek czapki, a wzrok skryty za ciemnymi ray-banami zatrzymał się na Karolu, który cały stęzał. Zaklął pod nosem, kiedy brodacz ruszył pewnym krokiem w jego stronę. Drgnął na krześle, ale wiedział, że nie ma szans na ucieczkę.

Padł na niego cień.

- Widmowski? - spytał brodacz tubalnym głosem.

- Zgadza się. - Karol z całych sił starał się zabrzmieć pewnie.

- Cześć, jestem Jacek, ale możesz mówić mi Tygiel. - Brodacz ściągnął kaptur i okulary, odsłaniając sympatyczne oczy. - Twój znajomy musi mieć niezłe chody w redakcji portalu, skoro mnie zarekomendowali do rozmowy. I to na cito.

Uścisnęli sobie dłonie, a Karol odetchnął z nieopisaną ulgą. Serce biło mu jak szalone.

- Co tak się ubrałeś, ukrywasz się? - spytał, kiedy Tygiel zajął miejsce naprzeciwko.

- Żebyś wiedział. - Programista podkradł mu frytkę z tacki. - Wyrwałem się na chwilę z knajpy, szefowi powiedziałem, że muszę skoczyć do apteki. Nie chciałem, żeby przypadkiem ktoś mnie zobaczył.

Karol uniósł brew w zdziwieniu.

- Poczekaj, to ty... pracujesz w restauracji?

- W pubie, specjalizujemy się w belgijskich piwach, wiesz, lambic, gueuze i tym podobne. Wpadnij kiedyś, pokażę ci kilka

fajnych kranów.

Kolejna frytka zniknęła w ustach Tygla. Karol odchrząknął.

- A Twój Futbol? Masz dwie roboty?

- Zgadza się. Barmanem jestem z zamiłowania, programuję z zawodu.

- Da się to w ogóle połączyć?

Tygiel uśmiechnął się, ukazując bielutkie jak śnieg uzębienie.

- Zalety bycia freelancerem. Jeśli terminy gonią, to dopasowuję sobie grafik na barze i jazda. W gastro nie ma z tym problemu.

Karol czuł, że musi skierować rozmowę na odpowiednie tory.

- Mielicie włamanie na serwer, czy jak wy to tam nazywacie, prawda?

- I tak, i nie.

- Co to znaczy? - Zmarszczył brwi.

Tygiel splótł dłonie i spojrzał na swojego rozmówcę.

- Wolisz wersję krótszą czy dłuższą?

- Pośrednią?

Programista się zaśmiał.

- No dobra, postaram się. Do tworzenia strony dla Twojego Futbolu zwerbowano mnie przez LinkedIna. Nie powiem, redakcja się szarpnęła, było w sumie dwoje programistów.

- Dwoje? - Karol nachylił się nad stolikiem.

- Taa, ja odpowiadałem za bebechy, a do frontów przyjęto jakąś Niemkę. Jak ona się nazywała...? Helga albo Greta. Spoko babka. Gadaliśmy po angielsku, trochę o piłce, trochę o robocie, ale ciągle dawała jakieś wstawki typu *guten tag*, *guten morgen*, *was ist das?* i tak dalej. Irytujące, ten ich język brzmi jak tarcie kamienia o kamień. Co prawda na testerach postanowili już przyciąć, dlatego za API odpowiadałem ja...

- API? - Karol, chociaż starał się nadażyć za słowotokiem, przegrał z nomenklaturą programisty.

- Sorry. - Tygiel, widząc zdezorientowaną twarz Widmowskiego, westchnął ze zrozumieniem. - Upraszczejmy, API to taki programistyczny kelner, kumasz? Klient na froncie składa zamówienie, kelner znosi je do kuchni, na back-end, a potem wraca z odpowiedzią do klienta, że dziś golonki nie ma, ale polecamy schabowe. Kumasz?

Widmowski skinął głową.

- Tak czy siak, Niemka testowała front razem z jakimś typkiem od marketingu. W sensie on jej podawał wymagania, a ona to dla niego sprawdzała.

- A jak to się ma do włamania? - rzucił Karol niecierpliwie.

Tygiel uspokoił go gestem.

- W gorącej wodzie kąpany jesteś, co? Gdybym skończył tylko na napisaniu kodu pod stronę, to teraz byśmy nie rozmawiali. Po zakończeniu projektu zaproponowali mi utrzymywanie strony. Nawet się nie dziwię, pewnie nie chcieli przepalać środków na wdrażanie nowej osoby. Zgodziłem się, w sumie nic trudnego, *easy money*. Część danych aktualizuje się sama poprzez naszego kelnera, API, a część wprowadzam ręcznie. Najwięcej roboty jest latem i zimą, podczas okienek transferowych.

Tygiel zamyślił się i zaczął przeczesać palcami brodę. Wyrzwał na wiecznie budujące się centrum. Gdyby oderwał wzrok od okna i spojrzął teraz na swojego rozmówcę, zobaczyłby, że Karol nerwowo wstrzymuje oddech.

- To twoje znalezisko, ten piłkarz widmo, zbiegło się z niezłą awarią - odezwał się w końcu programista. - Tej samej nocy wywaliło mi tabelę *player info*, zniknęły informacje o wszystkich piłkarzach na stronie.

- To chyba dość poważna usterka?

- Tak, ale mamy odpowiedni back-up, więc szybko postawiłem stronkę na nogi. Po problemie nie ma śladu.

Widmowski aż podskoczył na krześle.

- Czyli wszystko działa? Jego dane znów są na stronie?

- Niestety, nie tak szybko. - Programista nachylił się przez stół i zmarszczył brwi. - Piłkarz, o którego pytałeś... Ja nie wprowadziłem go do bazy danych.

- Co? To w ogóle możliwe? - Karol odchylił się gwałtownie, prawie spadając z krzesła.

- Przeszukałem rekordy z mojego back-upu, ale jest pusto. Nie ma go w piłkarzach aktywnych zawodowo, kontuzjowanych ani emerytowanych. Ktoś taki jak Gabriel Maśliński nigdy w naszej bazie nie istniał.

Karol złapał się za głowę i zacisnął zęby.

- Czyli Grzyb miał rację, odbiło mi.

- Niekoniecznie.

- Nie zgrywaj się.

- Nie zgrywam, słowo kibica. - Tygiel uderzył pięścią w klatkę piersiową, aż zadudniło. - Uważam, że nic ci się nie przywidziało i faktycznie mieliśmy włam.

Widmowski podniósł wzrok, czekając, aż programista rozwinie temat.

- Widzisz, istnieje coś takiego jak SQL Injection. W ten sposób hakerzy mogą ukraść hasła użytkowników lub „wstrzyknąć” nam złośliwe dane. Pogrzebałem trochę, po czym okazało się, że formularze logowania i rejestracji nie mają odpowiedniej walidacji, co zdecydowanie ułatwia takie zagranie. Helga-Greta musiała to przeoczyć podczas swoich frontowych testów.

- I co to dla nas oznacza?

- Oznacza to, że ktoś „wstrzyknął” dane Maślińskiego, a potem zrobił dropa na bazie, czyli, kolokwialnie mówiąc,

wypierdolił mi wszystkie dane.

Karol zauważył, że to zdanie Tygiel wypowiedział z dużą dozą pewności.

- Skąd to wiesz?

- Jako przykładowy pracownik posprawdzałem też inne elementy w bazie. - Tygiel podkradł kolejną, już zimną, frytkę. - Okazało się, że ten żartowniś zmienił też datę założenia Legii. Mogę zapomnieć dzień urodzin matki, ojca i babki, ale tego jednego, nigdy.

Karol parsknął. Wolał nie pytać, czy Tygiel, zgadzając się na rozmowę z nim, wiedział o jego przeszłości w innym stołecznym klubie.

- Na co zmienili? Piątek trzynastego?

- Blisko. Trzynasty lutego, ale w tysiąc dziewięćset szesnastym to była niedziela.

Chłód przebiegł po plecach Karola.

- Trzynasty lutego? - powtórzył.

Tygiel rozłożył ręce.

- Data jak data, pewnie taki hakerski podpis.

Ta wiadomość zupełnie wytrąciła Karola z równowagi. Zrobiło mu się duszno. Poczł nagle, że jeśli zaraz nie wyjdzie z restauracji na świeże powietrze, to zemdleje. Gdy Tygiel zapytał go, czy wszystko w porządku, bo bardzo poblądł, pokręcił tylko głową. Podziękował za spotkanie i szybko się pożegnał, zostawiając zdezorientowanego Jacka samego przy stoliku.

Idąc w stronę metra, gorączkowo myślał o tym, czego dowiedział się od programisty.

Czyżby kolejny przypadek? Zaczynało ich być za dużo. Tak jakby podsuwano mu karty do odkrycia.

Trzynastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego zginął Kuba Frankowski, a Maślińscy wyjechali,

zacierając za sobą wszelkie ślady.

Po spotkaniu z Jackiem Karol wrócił do mieszkania. Znow wszystko w nim buzowało. Odpędzając myśli o kuszącej zawartości zamrażarki, wszedł na Facebooka, by sprawdzić skrzynkę odbiorczą, ale nadal nie otrzymał odpowiedzi od Magdy. Chodził jak nakręcony i odbijał się od ścian małego mieszkania, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Stwierdził, że skoro i tak wybiera się do rodziców, to wyjątkowo po obiedzie zostanie na noc. Być może wizyta pomoże mu rozwikłać tę dziwną układankę. Spakował kilka rzeczy do podręcznej torby z dużym logo Polonii, reliktu z dawnych czasów, i wyszedł z mieszkania.

Zjechał na parter windą, która na szczęście znow działała. Pokuśtykał do parkingu przy bloku. Zakurzony fiat punto evo, upstrzony ptasimi odchodami, wiele mówił o nawykach Karola. Nieczęsto wsiadał za kółko, głównie z tego powodu, że rzadko kiedy bywał trzeźwy. Poza tym preferował komunikację miejską - lubił myśleć, że chociaż w ten sposób dba o środowisko. No i kosztowała mniej niż benzyna.

Wyjechał na ulicę Kasprowicza i skierował się na południe. Musiał się bardzo skupiać na drodze, ponieważ uporczywe myśli nie odstępowały go nawet na moment. Nie przejechał nawet kilometra, a już wymusił pierwszeństwo. Machnął przepaszająco dłonią do dostawcy na skuterze, który prawie zapluł kask ze złości.

Trzynasty lutego. Niedziela. Dzień Dokarmiania Zwierzyny Leśnej. Dzień, który odcisnął piętno na historii Zabynijcza.

Odpłynął myślami do trzaskającego mrozem dnia, kiedy to w Zimnych Dołach, leśnym kompleksie wypoczynkowym, odbył się lokalny festyn. Mimowolnie zacisnął dłonie na kierownicy.

Zupełnie jak w grze podczas tworzenia swojego „ja”, Karol dokonał kilku wyborów, które nie zaprocentowały. Starał się

więc nie myśleć o tym, że właśnie w pełni świadomie zmierza ku przeszłości, a ona nie była dla niego łaskawa.

Tamtego dnia miało nie być ofiar.

9

OBECNIE

- Karol, w końcu dojechałeś!

Julia pięknie się postarzała. Odpowiednia dieta i zamięłowanie do sportu - które syn musiał po niej odziedziczyć - przyniosły świetny efekt. Takiego wyglądu zazdrościły wszystkie dojrzałe kobiety z Zabynijcza. Od lat żywiła się na wzór Japończyków, słynących z długowieczności. *Musi coś być w tej surowej rybie* - przyznał w myślach Karol.

- Wchodź śmiało, kochanie, obiad czeka.

- A ja przygotowałem nam domową naleweczkę. - Tadeusz uśmiechnął się pod siwą brodą. Nie miał tyle szczęścia co żona. Zawsze z pobłażaniem patrzył na jej nawyki żywieniowe, konsekwentnie odmawiając jedzenia sfermentowanej soi. Twierdził, że cała jego rodzina dożyła sędziwego wieku na polskiej kuchni, i tego też będzie się trzymać. Niestety, miało to też swoje konsekwencje, czyli nadprogramowe kilogramy, które szły w parze z miłością do lokalnych potraw.

- Tadek, przecież Karol przyjechał samochodem - zaoponowała z kuchni Julia.

- Zostanę dziś u was, jeśli nie macie nic przeciwko - odparł szybko Karol.

Tadeusz aż podskoczył z radości. Zaprowadził syna do salonu i podszedł do barku, skąd przyniósł butelkę złocistego,

gęstego płynu i kieliszki. Stół był już nakryty. Usiedli, a Julia wyszła z kuchni, niosąc miskę z ziemniakami. *A więc dziś na modłę taty.*

- Co się stało? - wyszeptała, nachylając się nad synem.

- Co masz na myśli, mamó?

- Po prostu rzadko nas odwiedzasz, rzadko zostajesz.

Karol wbił wzrok w stół. Przed matką nic się nie ukryje.

- Po prostu pomyślałem, że złożę wam dłuższą wizytę. Planowaliście coś? Jeśli tak, to mogę jeszcze...

- Nie, nie, nie - przerwała mu szybko, jakby się bała, że zmieni zdanie. - Cieszymy się, że jesteś.

- Dokładnie tak - dodał Tadeusz, wznosząc kieliszek. - No to siup, twoje zdrowie, synek.

Wypili, a Julia przyniosła resztę obiadu. Karol nalał sobie i ojcu. Zauważył, że nie ma trzeciego kieliszka.

- Tato, jeszcze jednego potrzeba, dla mamy.

- Mama przerzuciła się na wegańskie wina - burknął Tadeusz, nakładając solidną porcję młodych ziemniaków z masłem i pulpetów w sosie grzybowym.

- Na co? - zaśmiał się Karol.

- Wegańskie wino - powtórzyła Julia z miną znawczyni. Sama nałożyła na talerz jedynie sałatkę. - Nie zawiera pochodnych zwierzęcych, jakich używa się podczas procesu winifikacji w klasycznych winach.

- Poodne zerzące? - Karol prawie zadławił się ziemniakiem. Nie sądził, by kiedykolwiek mógł przyzwyczaić się do fanaberii matki.

- Tak, tak. Mogą to być białka kurzych jaj lub krew. Poza tym chityna, żelatyna, olej rybny...

- Nie wierzę, że to wszystko znajduje się w winie. - Nie wyglądał na przekonanego.

- Używane jest podczas procesu tworzenia - poprawiła go Julia. - To co innego.

- Twoja matka zawsze czymś zaskoczy - mruknął Tadeusz.

- Ciesz się - wtrąciła od razu. - Udowodniono, że rutyna przyspiesza upływ czasu. To nie moje widzimisię. Szukam nowych rzeczy, aby nasze życie było dłuższe i ciekawe.

- Uchowaj Boże, to kiedy to się skończy? -Tadeusz uniósł dłonie w błagalnym geście.

Salon wypełnił się głośnym śmiechem. Karolowi aż łzy pociekły. Kiedy tak patrzył na roześmiane twarze rodziców, pomyślał, że pobyt w domu faktycznie dobrze mu zrobi. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak szczerze się śmiał.

Dlatego z żalem musiał zakłócić tę radosną scenę, bo w kieszeni zawibrował mu telefon. Przeprosił rodziców i przeszedł do kuchni, aby odczytać wiadomość.

[Magda]: Cześć, ciężko byłoby zapomnieć. Dałeś niezły pokaz hehe. O co chodzi?

Karolowi zrobiło się gorąco. Miał świadomość, że jego ucieczka z pokoju nagrań była niezbyt elegancka. Jeszcze gorzej wypadła jego druga wizyta, zwłaszcza że się przed nią zaprawił. Postanowił przełknąć tę gorzką pigułkę. Potrzebował pomocy Magdy.

[Karol]: Możemy się spotkać w cztery oczy, np. jutro? Chodzi o grę. Jest to zbyt pokręcone, aby się rozpisywać, ale może wytłumaczę się z ucieczki.

Tym razem odpowiedź przyszła niemal natychmiast, nie zdążył się nawet ruszyć od kuchennego kontuaru. Zawsze podziwiał to, że ludzie potrafią tak diabelnie szybko pisać na tych małych klawiaturach.

[Magda]: Oh, ale jesteś tajemniczy. Niech ci będzie. Jutro po pracy idę na Pawixy, możemy się tam spiknąć. 19:00?

[Karol]: Godzina mi pasuje. Ale jeszcze raz, gdzie?

[Magda]: Z innej epoki jesteś? Pawilony, Nowy Świat, mówi więcej? Jak tak, to bez odbioru.

Zaklął pod nosem. Dwa dni z rzędu w centrum Warszawy. Trudno, trzeba będzie to przeżyć.

Wrócił do salonu, gdzie atmosfera drastycznie zgęstniała. Rodzice z naburmuszonymi minami wymieniali szeptem jakieś uwagi. Kiedy Karol wszedł do pokoju, ucięli od razu tę dziwną rozmowę i wrócili do jedzenia.

- Wszystko w porządku? - spytał, siadając na krześle. Rzucił podejrzliwe spojrzenia to na Julię, to na Tadeusza. Miał wrażenie, że temperatura spadła o kilka stopni.

- Tak - odparła krótko Julia.

- W jak najlepszym, synek.

- Nie wyglądacie, jakby tak było. Nie mam dwunastu lat, do cholery! Nie musicie traktować mnie protekcyjnie. Jak mam spieprzać, to po prostu powiedzcie.

- Nie, Karol, to nie tak. Nie o ciebie chodzi - zaprotestowała Julia, nie podnosząc głowy znad talerza.

- I nie klnij przy stole, proszę cię, synek - dodał Tadeusz.

- To nie zachowujcie się, jakbym miał oczy w dupie - warknął Karol.

Dźwignął się z krzesła. Rodzice nie powiedzieli już ani słowa. Cały roztrzęsiony wyszedł przed dom. A więc nic się nie zmieniło. Było sympatycznie przez pół godziny, a potem ta sama stara śpiewka.

Z powodu kontuzji traktowali Karola jak bombę z opóźnionym zapłonem. Jak szklaną figurkę. Unikali przy nim

ciężkich tematów, chuchali na niego. A to tylko i wyłącznie dolewało oliwy do ognia. Nie potrzebował współczucia ani obchodzenia się z nim jak z jajkiem.

I tak był rozbity. Od lat.

Wyszedł za bramę i kuśtykając, ruszył wyasfaltowaną ulicą Sarnią. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem, które tak się różniło od tego warszawskiego. Zabynijcz. Wszystkie ulice można zliczyć na palcach obu rąk. Dosłownie. Stadion Zagończyka znajdował się przy - a jakżeby inaczej - Stadionowej, tuż pod lasem. Każdy znał tu każdego. Obecnie żyło tu około półtora tysiąca osób, tak że była to malutka społeczność.

Karol powoli dreptał ulicą Główną. Tylko ona w całej wiosce dorobiła się chodnika i ścieżki rowerowej. Za Zabynijczem ulica łączyła się ze Stawową, prowadzącą na Zimne Doły pomiędzy ogromnymi stawami rybnymi. Okoliczni turyści i zapaleńcy rekreacji chętnie obierali właśnie tę trasę. Lokalsi wybierający się na polanę wypoczynkową preferowali drogę na skróty, nazywaną przez wszystkich Traktem, który zaczynał się na krańcu ulicy Dzikiego Boru.

Zatopiony we własnych myślach, upajał się ciszą i spokojem niedostępnymi nawet w miejskich parkach. Raz na jakiś czas minął go pojedynczy samochód, ale nie spotkał żadnego przechodnia. Karol minął ulicę Wilgi i zatrzymał się w pół kroku. Serce zabiło mu szybciej. *Następna będzie Wilcza, tam mieszkał Gabriel.* Czy znajdzie tam jakąś wskazówkę? Szczerze wątpił, ale skoro i tak był w okolicy...

Przyśpieszył i po chwili znalazł się na usypanej gruzem ulicy. Chciał dotrzeć na sam jej koniec, by się przekonać, czy coś się zmieniło na terenie posiadłości Maślińskich. Czy domek z bali, o który już wtedy nikt zbytnio nie dbał, nadal tam stoi

Karol czuł, że koszulka lepi się mu do pleców. Z każdym krokiem pragnął przyśpieszyć, ale noga pulsowała

nieprzyjemnie. Już z daleka widział, że coś jest nie na miejscu, ale dopiero gdy dotarł na kraniec Wilczej, zobaczył, co go tak zaniepokoiło – domek z bali zniknął, a sam teren został podzielony na dwie równe części. Na jednej z nich trwała budowa dwupiętrowego domu, na drugiej zaś ktoś urządził sobie działkę rekreacyjną.

Gdy tylko minął pierwszy szok, Karol dostrzegł na niej starszego mężczyznę pielęgnującego tuje.

- Proszę pana, halo, przepraszam! - zawołał.

Mężczyzna rozejrzał się, a gdy dostrzegł przybysza pod bramą, wstał z klęczek i ruszył w jego stronę.

- Dzień dobry, nie chciałem kłopotać, jestem Karol. - Wyciągnął dłoń do staruszka, a ten ją uściśnął. Krzaczaste brwi zmarszczyły się podejrzliwie.

- Zbigniew.

- Miło mi. Proszę pana, mam pytanie, bo nie było mnie od lat w okolicy. Niegdyś te działki były jedną i mieszkał tu mój przyjaciel. A jego też nie widziałem od lat. Kto panu sprzedał ziemię?

Staruszek podrapał się po głowie. Zerknął gdzieś w bok, a potem na Karola.

- A co? Jakies machloje tu były? - spytał, próbując odkryć intencje rozmówcy.

- Nie, nie, absolutnie - zaprzeczył szybko Karol. - Sądziłem, że pomoże mi pan odnaleźć tego znajomego.

To przekonało Zbigniewa, że gość za bramą nie stanowi zagrożenia.

- Ogłoszenie znalazłem w Internecie jakieś dwa lata temu. Akurat sprzedałem swój interes, sklep spożywczy, taki osiedlowy na Mokotowie. Teraz Biedronkę tam postawili. - Zbigniew splunął z odrazą. - No, ale i tak na emeryturkę

szedłem, więc postanowiłem kupić sobie działkę. W sumie to okazja była, niedrogo...

- Z kim pan podpisywał umowę? - wtrącił się Karol.

- Pośrednik był, wie pan, taki w garniturze i tak dalej. Francja-elegancja.

- A jak się nazywał? - Miał wrażenie, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Niech no ja pomyślę... - Zbigniew wbił wzrok w ziemię. - Miał ten gość takie dziwne, zagraniczne nazwisko...

- De la Garza? - ożywił się Karol.

Panięskie nazwisko Ewy, matki Gabriela. Jeśli nie chciał, żeby go rozpoznano, być może przestał używać nazwiska po ojcu.

- Nigdy nie miałem pamięci do trudnych słów. Musiałbym sprawdzić, w domu mam akt notarialny.

- Zostawię panu mój numer, byłbym zobowiązany, gdyby udało się to potwierdzić.

Zbigniew zerknął nieufnie, ale ostatecznie uznał, że nie będzie mu to wadzić. Zapisał numer i obiecał się odezwać.

Karol odszedł żwawym krokiem. Czuł, że po raz pierwszy od wizyty w AEGamez to on chwycił za lejce.

Nie chciał wracać jeszcze do domu. Przeszedł między domami wąską alejką prowadzącą do ulicy Stadionowej. Już z daleka ogromne lampy rozświetlały murawę Zagończyka, a okrzyki trenujących niosły się echem wzdłuż drzew.

Nie mógł przestać myśleć o działce Maślińskich. Jeśli nie Gabriel, to ktoś - pewnie z rodziny - zdecydował się ją sprzedać. Tuż po ich zaginięciu, w dziewięćdziesiątym czwartym, znalazło się kilku chętnych na ten spory kawałek ziemi, lecz bez zgody i podpisu właścicieli w grę wchodziłoby tylko nielegalne przejęcie własności. Ówczesny sołtys, Wawrzyn

Pełko, powiedział wtedy: „Może i by to sprawiedliwość była, ale ziemia to rzecz święta”.

I tak został kawałek działki przy ulicy Wilczej. Samotny, zarastający. Po kilku latach znaleźli się odważni i porozkradali z domku, co się dało, aż ostał się tylko szkielet konstrukcji obleczonej w bale. Nieletnie łebki często zakradały się tam, aby pić alkohol.

Karol oderwał się od rozważań i przystanął przed bramą stadionu. Wiele się tu zmieniło od jego ostatniej wizyty; odnowione trybuny, wyremontowane i powiększone biuro, parking z prawdziwego zdarzenia. Zagończyk Zabynicz zdecydowanie urósł w siłę.

Na boisku treningowym minimecz rozgrywała grupka dzieciaków w wieku około dziesięciu lat. W zielonym dresie i z gwizdkiem w ręku przyglądał się poczynaniom podopiecznych trener. Jakże Karol się zdziwił, kiedy usłyszał znajomy głos.

- Maks, nie prowadź tyle piłki! I nie podawaj przez środek! Kamola na obieg. O tak, dokładnie.

Cezary Jasło. Czarek. Prawy skrzydłowy Zagończyka z jego rocznika, niegdyś z czupryną charakterystycznych loków, teraz zaś łysy jak kolano. Przybyło mu kilka kilogramów, ale takich w granicach normy, które przychodzą z wiekiem. Z pełnym skupieniem podążał wzrokiem za przesuwającymi się formacjami młodzików.

Karol wszedł na teren klubu i przystanął kawałek od murawy. Czarek dostrzegł go kątem oka, ale nie przerwał treningu. Karol znał to znudzone spojrzenie, którym ten go obrzucił. Grzyb po latach mu opowiadał, że nienawidził, jak rodzice przychodzili w trakcie zajęć i próbowali przekonać go, aby wystawił akurat ich syna w pierwszym składzie. Teraz Czarek musiał uznać go za takiego właśnie natręta.

Gierka treningowa trwała jeszcze dziesięć minut. Trener odgwizdał koniec, dorzucił dwa okrążenia truchtu, a chłopcy

jęknęli niezadowoleni. Kiedy banda kolorowych koszulek ruszyła, Czarek podszedł do przybysza.

- Witam, w czym mogę pomóc? - Podniósł wzrok dopiero, gdy stanął naprzeciwko Karola. - O kurwa, to ty.

- Cześć, Czarek, zostałeś nowym Grzybem? - Wyciągnął dłoń, a Jasło odwzajemnił uścisk. Dobry początek.

- Trochę, kurna, tak wyszło. To dobre dzieciaki są, a piłka fajny sport. Ogólnorozwojowy. No i przykład mamy, że karierę z Zagończyka można zrobić. - Uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby, i klepnął Karola po ramieniu.

- Coś tam się udało - przyznał Karol. - Ale dawno temu i nieprawda.

- Niestety, Niestety. Jak mecz reprezentacji Polski był, co w nim debiutować miałeś, to świętej pamięci sołtys Pełko kazał tutaj na Zagończyku projektor i setkę krzeseł zorganizować. Chujowo, bo w połowie zaczęło padać, ale jak tylko wszedłeś w siedemdziesiątej, to cała wieś ryknęła radośnie. Z Serbią to było. A jak potem gola na trzy do dwóch zasadziłeś, to chyba i w Piasecznie nas słyszeli. Wszyscy byli dumni, nasza krew.

Czarek się zaśmiał, a Karol wraz z nim. Nieoczekiwane ciepło spłynęło mu na serce tylko po to, by żal zaraz mocno zamknął je w żelaznym uścisku. Nigdy nie słyszał tej historii, nie sądził, że wywoływał tak pozytywne emocje w rodzinnej wsi.

Zabolało go, że rodzice nigdy mu o tym nie wspomnieli. Dlaczego? Od zaginięcia Gabriela czuł się wykluczony z życia społecznego wioski, być może niepotrzebnie, bo historia opowiedziana przez Czarka pokazywała, że Zabynijcz nadal miał go za swojego.

- Co u ciebie słyszać poza tym, że trenujesz dzieciaki?

- Śmigam w okręgówce, wiatr na skrzydłach robię. - Puścił oczko do Karola. - Ale lata już nie te, mamy kilku młodych wilków z dwa tysiące i dwa tysiące jeden.

- Jak ten czas leci - zauważył Karol.
- Zapiardala, chciałeś powiedzieć - poprawił go Czarek.
- Masz jakiś kontakt z resztą drużyny?

Czarek wzruszył ramionami.

- Niezbyt. Dużo osób wyjechało ze wsi. Na Wyspy, na Zachód, do Warszawy, Krakowa. Tutaj to teraz fajnie mieć działkę i dom, żeby w weekend odpocząć. Poza tym nic się nie dzieje.

- Ale do Piaseczna czy Warki przecież niedaleko. Tam pracy nie ma? - spytał Karol.

Młodzi piłkarze skończyli drugie okrążenie i Czarek dał im znać, aby kierowali się do szatni.

- Trochę pozmieniało się myślenie, wydaje mi się. - Podrapał się po łysinie. - Teraz każdy chce zrobić karierę. Wszyscy chcą być prezesami, ale zapomnieli, że najpierw trzeba na to zapracować. Mówiło się kiedyś, że żadna praca nie hańbi. Gówno prawda, niektórzy teraz brzydzą się schylić po drobne na ulicy, bo to uwłacza. Ja to na magazynie dorabiam i nie przeszkadza mi robota. A inni? Porzucają rodzinne domy i wynajmują obszczone klitki w Londynie. - Uśmiechnął się do Karola. - Wiesz, w sumie to ty zaczęłeś ten bum. Jako jedyny ze wsi zrobiłeś karierę, taką wielką, światową. Rozpaliłeś wyobraźnię ludziom.

- A Bartek? Też pracuje dla Zagończyka? Zawsze mówił, że będzie najpierw nowym Deyną, a potem nowym Górskim.

Twarz Czarka momentalnie stężała. Założył ręce na piersi. Przybył myślą do miejsca, o którym od dawna chciał zapomnieć.

- Bartek, cóż. Nigdy do końca nie wybrnął z tego, co się stało z Kubą. Na początku może nie dawał nic po sobie poznać, ale z biegiem lat było z nim coraz gorzej.

Karol pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Można gdzieś go znaleźć?

Czarek spojrzał mu prosto w oczy, tak jak to potrafią tylko ludzie z małych społeczności: bez zawahania czy mrugnięcia. Taką bezpośredniość często mylono z agresją bądź zaczepką.

- Nie można - odparł. - Wyjechał, zaraz rok będzie.

- Do pracy?

- Tak mi się wydaje. - Carek odwrócił wzrok. - Nie mamy najlepszego kontaktu.

Karol odniósł wrażenie, że Jasło nie mówi mu wszystkiego, ale nie zamierzał naciskać. To nie jego sprawa. Zamiast tego zmienił temat.

- Nie wiesz, czy Ratajowa dalej sprzedaje w Nastce?

- Oczywiście, że tak. Wołami jej z tej budy nie wyciągniesz.

Sklep Spożywczo-Monopolowy Numer Piętnaście był zabynijczańskim odpowiednikiem warszawskiego centrum. To tutaj tętniło życie. Na wylanym asfalcie placu przewijali się co rusz mieszkańcy Zabynijcza oraz okolicznych wiosek, którzy wpadli na szybkie zakupy. Na przystanku autobusowym plotkowała grupka staruszek wyczekujących pekaesa, a na ławeczkach ustawionych wzdłuż długiego budynku przesiadywali lokalni koneserzy tanich win i amatorzy wysokoprocentowych trunków.

Dla wielu przejezdnych widok tuzina podchmielonych mężczyzn o czerwonych od alkoholu twarzach, drących się tak, jakby byli królami tego wyasfaltowanego placu, stanowiłby sygnał do poszukania innego sklepu. Karol zaś minął głośną gawiedź bez najmniejszego lęku. Pomimo iż nie był w okolicy kawał czasu, wiedział, że to swoi. Ludzie, których znał od dziecka. Widywał ich w obszczanych spodniach czy śpiących w krzakach. Nieraz pomagał odpalać im papierosy, kiedy ich ręce odmawiały posłuszeństwa. I co najważniejsze, to nigdy nie był dla nich powód do wstydu. Nikt z tych pijaczków nigdy nie

uciekał chyłkiem następnego dnia na widok ludzi. W Warszawie wszyscy bezdomni, pijacy i menele byli szykanowani przez dużą część społeczeństwa – najbardziej przez słoików, którzy wyrwali się z domowych pieleszy i ruszyli w świat, próbując po drodze pozbyć się słomy z butów.

W Zabynijczu sytuacja przedstawiała się inaczej. Tutaj to bezdomni, pijacy i menele pogardzali tobą.

Karol wszedł do Nastki. W środku nic się nie zmieniło. Regały stały w tym samym porządku, nawet teraz mógłby z zamkniętymi oczami podejść do półki ze słodyczami i wybrać swoją ulubioną wedlowską czekoladę. Albo ulubione zimne piwo. Zależy, do jakiego okresu z młodości chciałby się cofnąć.

- Czego trzeba? - usłyszał zza kontuaru.

Za ladą stała nieśmiertelna pani Teresa Ratajowa. W spranym, niebieskim sklepowym fartuchu spoglądała groźnie na obcego spod włosów farbowanych na wściekły rudy kolor. Usta w podobnym kolorze ściągnęły się groźnie. Fenomen wiejskich sklepów – jak to możliwe, że potrafią przetrwać tylko i wyłącznie dzięki lokalnej bazie klientów? Każdy nowy jest skutecznie odstraszaany przez przykładową panią Tereskę.

- Dobry, nie poznaje mnie pani? - spytał Karol, podchodząc do kasy. Sprzedawczyni wbiła w niego twardy wzrok i nagle opadła fasada tworzona dla osób spoza zabynijczańskiego kręgu.

- O mój Boże, dobra duszo, Karol, toż to ty - zawołała. - Cóż cię przywiało w nasze kąty?

- Rodzice, pani Teresko - odparł zgodnie z prawdą. - Nic się tutaj nie zmieniło. Klienci dopisują?

- Myśmy wszyscy myśleli, że ty u tych Niemców dalej siedzisz, tyle czasu cię nikt nie widział - ciągnęła niezrażona Ratajowa. Karol, również niezrażony, dał jej się wygadać. - Ile to już lat, jak ostatnio mnie odwiedziłeś, urwisie? Ja to cię pamiętam, jak przychodziłeś tutaj, o taki knypek, a potem nagle

patrzcie go, pan z telewizji, pan piłkarz, no, no! Taka persona u mnie w sklepie, niech no ja opowiem to jutro wszystkim sąsiadkom...

Karol z grzecznym uśmiechem słuchał gadaniny Teresy. Zawsze taka była: jak tylko temat jej podpasował, od razu stawała się w nim ekspertem. Do plotek? Pierwsza, oczywiście. Wiedziała wszystko o życiu publicznym i prywatnym lwiej części wsi. Chciał to wykorzystać.

- Pani Teresko, bo ja mam takie pytanie - przerwał jej wywód.

- Słucham cię, słucham, chętnie pomogę.

W to nie wątpił. Kolejny pomysł na plotkę: Ratajowa pomaga światowej sławy piłkarzowi.

- Widziała pani ostatnio Bartosza?

- Starego Bańkę? Przecie on nie żyje od lat, Karol.

- Nie tego, pani Tereso. Bartosza Czekaaja czy pani nie widziała?

To imię działało jak katalizator. Najpierw na Czarka, teraz na sprzedawczynię. Mimochodem zaczęła układać papierosy na półce, a usta ściągnęła w grymasie złości.

- Przecież ten chlejus wyjechał, rok już będzie. U mnie długi zaciągnął, wszystko na zeszyt kupował. Nie powiem, płacił raz w miesiącu, ale jak zniknął, to jak kamień w wodę. Ludzie mówią, że do pracy pojechał. Ja to raczej sędzę, że wątroba mu pękła, i tyle go widzieliśmy.

- A jego rodzice? Nadal mieszkają w Zabynijczu?

Teresa spojrzała z politowaniem na Karola. Poczul się, jakby znów miał dwanaście lat.

- Jego matka zmarła niedługo potem, ze zgryzoty. A ojciec nie żyje od chyba siedmiu lat. Pijany pod ciężarówkę wpadł.

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Podziękował Ratajowej za cenne informacje i postanowił popytać jeszcze przed sklepem.

Uzbroił się w dwie setki czystej wódki. Jedną wypił jeszcze przy kontuarze, w zasadzie na trzy łyki. Z drugą opuścił sklep, wcześniej podziękowawszy pani Teresce za pomoc i obiecawszy częstsze wizyty.

Oczywiście kłamał. Gdyby nie ostatnie wydarzenia, przyjechałby do rodziców tak, jak przyjeżdżał od dziesięciu lat. Dyskretnie. Aby uniknąć pytań i spojrzeń. Ludzie tutaj widzieli więcej niż ci w mieście, a on nie chciał, aby ktoś odkrył jego sekrety. W tym momencie nie miało to znaczenia - ktoś i tak wiedział zbyt dużo.

Przed Nastką, na zielonych, obdrapanych ławkach siedziało sześciu dżentelmenów. Karol rozpoznał dwóch: Stefan, którego ogromny brzuch wylewał się spod poplamionej koszuli w kratę, był spawaczem, a lata temu w wolnym czasie pracował w Zagończyku jako drugi trener. Czyli załatwiał znaczniki, piłki i na tym kończyły się jego obowiązki. Drugim, którego kojarzył, był Mieszko, syn Wawrzyna Pełki, poprzedniego sołtysa. Od początku cały Zabynijcz wiedział, że w ślady ojca nie pójdzie - zbyt lubił przesiadywać pod sklepem. I czynił to regularnie od prawie trzydziestu lat, jak zresztą większość tu obecnych.

- Mieszko Pełko. - Postanowił postawić na tę kartę. - To ty? Dawno cię nie widziałem.

Mężczyzna podniósł ciężko głowę znad butelki. Głęboko osadzone, mętne oczy próbował skupić na przybyszu. Wyglądał fatalnie - był krzywo ogolony, brodę znały strupy, ale najgorzej wyglądał nos, który musiał być wielokrotnie połamany.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - sformułował w końcu pytanie, ale nie bez trudu.

- A niech mnie, przecież to Karol! - uprzedził odpowiedź Stefan, który rozpromienił się na widok znajomej twarzy z dawnych lat. - Co cię sprowadza w okolicę?

- Jaki Karol?

- Rodziców przyjechałem odwiedzić i tak przy okazji na spacer wyszedłem...

- Jaki, kurwa, Karol?! - Mieszko powtórzył swoje pytanie głośnym, pijackim krzykiem, domagając się natychmiast odpowiedzi.

Nawet nie zauważyli, kiedy wstał z ławki i chwiejnym krokiem zbliżył się do Widmowskiego. Karol splótł ręce na piersi i spokojnie obserwował pijaczka.

- Mieszko, przecie to je nasz. - Stefan próbował załagodzić sytuację. - Widmowski, w Zagończyku go trenowałem.

- Aaa, to ta gwiazda. - Zmierzył go krytycznie nietrzeźwym spojrzeniem. - No patrzcie go, kurwa. W telewizji na chudsze go wyglądał.

Karol zmusił się do uśmiechu, wstrzymał oddech. Od Mieszka śmierdziało przetrawionym alkoholem. Rozchodził się też od niego odór ciała niemytego od dłuższego czasu. Zrobił krok w tył i zwrócił się do Stefana:

- Słyszałem, że sporo ludzi wyjeżdża z miasteczka.

- Ano, niestety - westchnął ciężko. - Tutaj roboty nie ma. Jeno stawami się zajmować. Młodzi jak mają już wyjechać, to wolą dalej, a nie do Piaseczna. Życie takie, życie...

- Jestem ciekaw, co z chłopakami z Zagończyka się stało. Wie pan?

- Ano, jasne! - ucieszył się.

Karol odkręcił setkę i wyciągnął w kierunku mężczyzny. Reszta towarzyszy z ławki zazdrośnie spojrziała na Stefana. Wypił połowę jednym haustem i oddał Widmowskiemu.

- Tomek Bieguń wyjechał do Londynu, na kuchni tam pracuje - zaczął wyliczankę. - Hubert Ulikowski studia skończył i w jakimś urzędzie w Warszawie papierki przerzuca. Walicki w policjantów i złodziei się bawi, a Synek jakieś biznesy

raz za razem otwiera, ale niezbyt mu to idzie. Czarek w Zagończyku tradycje piłkarskie podtrzymuje, a...

- A Bartek?

- A Bartek to rok temu bez słowa zniknął. Wyjechał, rzucił wszystko i tyleśmy go widzieli.

- Co ty chcesz od Bartka?

Mieszko znów o sobie przypominał. Zachwiało nim na bok i znalazł się ponownie przed Widmowskim, strosząc się jak kogut na obsranym podwórku.

- Usiądź sobie, bo jak wiatr zawieje, to nie będzie co zbierać - powiedział spokojnie Karol.

- Pytam się grzecznie: co, kurwo, chcesz od Bartka? - powtórzył Mieszko, rozkładając ręce szeroko jak szympan. - Jego nie ma! Zniknął! Nikt nic nie wie.

- Właśnie tyle usłyszałem.

- Nie ma go! Nikt nic nie wie!

- Mieszko, no dajże spokój... - Stefan próbował go uspokoić.

Pełko chwycił niespodziewanie Karola za koszulkę, a wolną ręką celował w niego ostrzegawczo palcem. Karol nie przejął się tym zbyt; Mieszko był od niego niższy o głowę, mizerniejszy i przede wszystkim dużo bardziej pijany.

- Ty go, kurwo, nie szukaj, jego tu nie ma.

- Puścisz mnie?

- Znam twojego ojca, ja u niego na budowach pracuję, ty, kurwo, sobie uważaj...

Tego już było za wiele. Karol odepchnął Mieszka trochę mocniej, niż zamierzał. Pijaczek zakołysał się, a że nie miał się o co podeprzeć, upadł twardo pośladkami na asfalt. Klął głośno pod nosem, ale nie próbował wstać. Karol otrzepał koszulkę.

- Dziękuję za rozmowę, panie Stefanie. Na mnie czas.

- Pozdrów Tadka i Julię - poprosił Stefan. - I wpadnij jeszcze kiedyś.

- Do zobaczenia.

Odwrócił się na pięcie i pokuśtykał, zostawiając za plecami Nastkę. Dzisiaj upewnił się, że w Zabynijczu nic się nie zmienia. Młodzi nadal wyjeżdżali, a starzy zostawali pod rozgrzaną, chropowatą ścianą sklepu. A potem ci, którym się nie udało, wracali i zajmowali wolne miejsca na ławce.

Niesiony tą nostalgiczną myślą, skierował się w stronę domu. Zerknął na niebo i przyśpieszył kroku. Zbierało się na deszcz.

TYMCZASEM

Deszcz zacinał tak, jak robi to tylko podczas wiosennej burzy. Krople wybijały rytm na młodych, sprężystych liściach. Dziesiątki pór roku i tysiące godzin minęły od splotu tragicznych wydarzeń na Trakcie, lecz nikt jeszcze nie zapomniał śmierci Kuby Frankowskiego. Odcisnęła piętno na małej społeczności Zabyniczca i obrosła w legendę. Karmiono ją wszystkich ku przestrodze - zwłaszcza młodsze pokolenie.

Z różnych mniej i bardziej wiarygodnych źródeł dało się słyszeć, że dusza udreżonego chłopca nadal błąka się po zarośniętym torowisku, połączona z nim już na zawsze.

Tak mawiali ludzie na wsi, zazwyczaj pijaczki spod Nastki. Starsi mieszkańcy Zabyniczca nadal wędrowali wąską ścieżynką Traktu, wydeptaną przez setki stóp, które chciały skrócić sobie podróż na Zimne Doły. Była zdecydowanie mniej malownicza niż główna droga, lecz szybciej się ją pokonywało. Oczywiście, jeśli znało się trasę. Prowadziła koło zarośniętego traktu kolejowego, gdzie należało bardzo uważać na pochowane w ściółce leśnej podtorze. Szyny dawno rozkradziono, ale niejeden nierozważny skręcił tu kostkę lub złamał nogę. Takich nieprzyjemności na Trakcie można było doświadczyć nawet w świetle dnia, w nocy zaś nawet imprezowicze wracający z Zimnych Dołów korzystali z dłuższej drogi. Chyba każdy rodzic

dostawał gęziej skórki, kiedy okazywało się, że ich dziecko przemierzało beztrąsko ten zakazany fragment lasu.

O prawdziwości legendy przekonać się chciał na własnej skórze Waldek Rataj, wnuk sklepikarki, kapitan młodzieżowej drużyny Zagończyka. Dla zgrywy udał się z kolegami na Trakt, aby na własne oczy zobaczyć zjawę. W środku majowej nocy, uzbrojeni w latarki, wkroczyli na wąską ścieżkę na krańcu ulicy Dzikiego Boru. Wszystko bez wiedzy dorosłych.

- Waldi, może jednak wracajmy, babcia zaraz się zorientuje i będzie przypał. - Patryk słabym głosem próbował przekonać starszego o rok brata do zmiany zdania. Fizycznie dzieliło ich prawie wszystko: Waldek był wysoki i zbity, mało kto chciał walczyć z nim o piłkę na boisku. Patryk z kolei nie mógł się poszczycić imponującym wzrostem ani atletyczną sylwetką, a z aktywności preferował bieganie z mieczem w grach RPG.

- Jak chcesz, to uciekaj. Lamus jesteś i tyle - zakpił z brata Waldek.

- Właśnie, lamus - zawtórował mu Dawid Koczko, kumpel Waldka. Grał z nim w Zagończyku, wyglądem przypominał gada.

Obok ze smętną miną szedł jego kuzyn z pobliskiej wsi, Radek Wolak, który również nie palił się do tej wyprawy. Jego ojciec znów trafił na odwyk, więc razem z mamą przeprowadził się do rodziców Dawida. Trzeci raz w tym roku.

- Dajcie spokój - wtrącił się.

- No Radek, no weź, nie mów, że też pękasz! - Dawid wydał usta, niezadowolony z postawy kuzyna.

- Nie pękam - odparł twardo Radek. - Po prostu, sami wiecie... I do tego ten deszcz.

Faktycznie, tego czwórka zabynijczańskich pogromców duchów nie przewidziała. Jedyne Patryk miał na sobie nieprzemakalną wiatrówkę, lecz on nie rozstawał się z nią nawet w gorące letnie popołudnia.

- Myślicie, że pokaże się dzisiaj? - spytał Wolak, kiedy wyminęli ostatni dom na ulicy. Przeszli nisko na nogach obok ogrodzenia, bo Wdowa Bańka, jak nazywali wszyscy Adrianę Bańko, krzątała się w salonie na parterze swojego domostwa.

- Cholera wie. - Waldek wzruszył ramionami. - Ponoć Zegarmistrz, wiecie, pan Janek co przesiaduje często u babci pod sklepem, widział go tutaj tydzień temu.

- A skąd wiesz? - spytał Dawid.

- Babcia coś tam gadała ostatnio przy kolacji.

- Mówiła też, że stary Janek to alkoholik i kanalia. I że wisi jej za przynajmniej skrzynkę wina - wtrącił Patryk.

- Zamknij się, młody!

Trakt był bardziej zarośnięty, niż sądzili. Tuż za działką Wdowy Bańki zaczynał się pas nieużytku. Nikt go nie uprawiał i nikt jeszcze nie wykupił tej ziemi pod budowę. Chłopcy brodzili w trawie wysokiej po pas i mokrej od deszczu, więc nim dotarli do ciemnej ściany drzew, całe spodnie im zawilgotniały. Zatrzymali się, by w akompaniamencie deszczu podziwiać las. Głęboka czerń drzew odcinała się ostrymi czubkami pod granatowym, ciężkim niebem. Czarny Las zdecydowanie zasłużył na swoją nazwę, chociaż wzięła się ona od Czarnej - małej rzeczki płynącej w kierunku Warki. Trakt nie sprawiał wrażenia, jakby kogokolwiek do siebie zapraszał.

- Wiecie, jak on się pojawia? - wyszeptał Patryk, a cała trójka drgnęła i spojrzała na niego.

- O czym ty gadasz, młody? - spytał Dawid.

- Najczęściej tak, jak zginął - kontynuował cicho Patryk, a ten szept w ciemnościach brzmiał głośniej, niż gdyby krzyczał na całe gardło. - W starej kurtce, z czapką na głowie. Kiedy podchodzisz bliżej, okazuje się, że ma dziurę koło oka, a czapka jest czerwona od krwi. Pyta o drogę, ale zanim odpowiesz, znika tak szybko, jak się pojawia.

- Głupoty pleciesz. - Radek zgrywał odważniaka, ale mina mu trochę zrzędła.

- Słyszałem co innego - wtrącił Waldek. Wzrok wlepił w kołyszące się niespokojnie czubki sosen. - Wygląda jak kostucha. Wysoki jest, wyższy nawet niż Robercik z Polnej.

- On ma przecież z dwa i pół metra wzrostu - odezwał się Dawid, ale Waldek się nie przejmował i mówił dalej.

- A do tego przeraźliwie chudy. I ubiera się w futra zdechłych zwierząt, które znajduje na torowisku. A oczy świecą mu tak, jak odbija się światło w stawach rybnych, wiecie, martwo, ale czujesz, że coś tam pływa pod spodem.

Nikt więcej się nie odezwał. Nadal stali w tym samym miejscu, mocząc dzinsy i patrząc na kołyszące się drzewa. Było coś niepokojącego i hipnotyzującego w tym ruchu. Nawet z Waldka wyparował wcześniejszy zapach.

Patryk nerwowo poprawił kaptur, a potem przerwał ciszę.

- To co? Wchodzimy?

- Teraz grasz chojraka, tak? - spytał ostrym głosem Waldek.
- Myślisz, że się zesraliśmy i nie idziemy?

- Nie, to nie tak... - próbował bronić się Patryk.

- Twoje niedoczekanie, młody! Latarki w górę, wchodzimy na Trakt.

Dawid i Radek, podniesieni na duchu przypiływem odwagi Waldka, odpalili swoje latarki i ruszyli gęsiego za nim. Patryk westchnął, włączył swoje urządzenie i ruszył w ślad za kolegami brata, zamykając pochód.

Las zaskoczył ich przerażającą ciszą. Tylko gdzieś wysoko nad ich głowami szumiały liście. Szmer kurtek, smarknięcie, chrząknięcie, każdy szeleszczący krok, pękające pod stopami gałęzie - wszystko to było nie na swoim miejscu, zakłócało świętą ciszę lasu.

Waldek, chociaż nie przyznałby się przed młodszym bratem, był przerażony jak nigdy w życiu. Idąc na czele pochodu, czuł się odsłonięty. Oświetlał ścieżkę, ale serce co rusz podchodziło mu do gardła. Cienie igrały z podświadomością, wydobywały z za pni koszarne postacie, a pokręcone krzewy sprawiały wrażenie, jakby chciały pochwycić intruzów i zaciągnąć ich w tylko sobie znane rewiry.

Nagle błyskawica rozjarzyła się na niebie, a nocną ciszę rozdarły krzyki czterech młodzieńczych głosów. W tym momencie nawet Wdowa Bańka przerwała swoje cotygodniowe czyszczenie komódki, by nadstawić ucha, lecz po chwili wróciła do pracy, uznając, że te wrzaski to nic istotnego.

- O cholera, ale mnie przestraszyło. - Radek śmiał się nerwowo.

- Stary, myślałem, że umrę - dodał Dawid, oświecając sobie latarką twarz od spodu.

- Chłopaki... - szepnął Patryk.

- Na grubo, jazda lepsza jak w *Outlaście*...

- Chłopaki!

Waldek, Dawid i Radek odwrócili się do Patryka, źli, że przerywa rozmowę. Miny im zrzedły, kiedy zobaczyli, na co ten wskazuje. Dawid, chociaż nigdy się potem nikomu nie przyznał, popuścił trochę w spodnie.

Nawet się nie zorientowali, kiedy dotarli na miejsce zbrodni. Stali pośrodku starego torowiska, gdzie widzieli tylko zdradliwe podtorze ze zbutwiałymi belkami. Po prawej był wysoki nasyp, po lewej - przerzedzone drzewa. Naprzeciwko zaś, w zasięgu światła latarek, na Trakcie stała ciemna postać. Chłopcy byli w stanie powiedzieć, że stoi plecami do nich. Narzucone na siebie miała ciemne futro, ciężkie i mokre od deszczu.

- Patryk, chodź, chodź, uciekamy, już... - Potok słów wylewał się z ust Waldka, który zachował trzeźwość umysłu i szarpał

brata za ramię.

To nie te ponagłania wyrwały Patryka z otępienia, tylko odwracająca się zjawa. Zrobiła to obrzydliwie płynnym ruchem – jeden snop światła latarki, stoi plecami. Drugi snop – stoi frontem. I błyszczącymi ślepiami patrzy wprost na chłopaków.

– Won! Won, won, won, won!

Bez żadnego ostrzeżenia zjawa ruszyła prosto w ich kierunku. Przerażliwy skrzek wydobył się z jej gardła.

Z piskiem niegodnym dojrzewających mężczyzn cała czwórka zerwała się do biegu. Patryk i Waldek przewrócili się na obłożonym Trakcie, ale zaraz poderwali się na nogi i uciekali dalej, goniąc za oddalającymi się Dawidem i Radkiem.

Całe zdarzenie trwało tylko chwilę. Kiedy ucichł tupot stóp na ścieżce i zjawa została sama na Trakcie, ściągnęła futrzany kaptur z głowy.

Bartek Czekał nieobecny wzrokiem patrzył w ślad za uciekinierami. W końcu. Został tylko on i Kuba. Usiadł na mokrej od deszczu ziemi, dłonią dotknął rozmiękłej belki starego torowiska.

– Szukają mnie, Kubuś, znowu mnie szukają – bełkotał, a jego głos zlewał się z leśnym szumem. – Wiedzą, co zrobiłem, dlatego po mnie przyszli. Ale nie uda im się, nie uda. Siedzimy w tym razem, Kubuś.

Obejrzał się na nasyp tonący w mroku, tak jakby szukał kogoś na jego szczycie. Nikogo jednak nie dostrzegł, więc wstał z ziemi i zarzucił kaptur na głowę. Pora wracać.

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Co roku w wakacje zawodnicy Zagończyka wyjeżdżali na obóz sportowy, aby zbudować formę przed kolejnym sezonem. Dwudziestu pięciu chłopaków zebrało się na parkingu. Część zajęła już miejsca w autokarze, reszta zegnała się z rodzicami. W podróż mieli wyruszyć za niecały kwadrans.

Karol rozglądał się nerwowo, ponieważ nigdzie nie widział Gabriela. Maśliński zawsze był pierwszy na treningu, obozu także doczekać się nie mógł, a teraz spóźnił się jak nigdy. Karola przeszyła nieprzyjemna myśl: Gabriel zrezygnował z piłki. Matka próbowała go uspokoić, zapewniała, że się pojawi. Tylko że ona nie wiedziała, jak przebiega wdrażanie się Gabriela do zespołu. Szkodniki dbały o to, aby Nowy otrzymywał codzienną dawkę zaczepek. Nie tak dużo jak na początku, ale też nie za mało. Chodziło o to, żeby nie czuł się swobodnie. Reszta drużyny nie miała nic przeciwko niemu, zwłaszcza że okazał się wesołą osobą, która kochała futbol.

Karol często wracał z treningów z Nowym, kilka razy nawet zaprosił go do siebie, aby pokopać piłkę na podwórku. Kiedy zaś znudziło się im rozgrywanie meczów, siadali na werandzie i grali na prostokątnym, żółtym Game Boyu Karola.

Maciej Grzybicki z kwaśną miną rozglądał się i zerkał na zegarek. Kiedy już miał iść do biura, aby skorzystać z telefonu, przed bramę ośrodka zajechała rozklekotana taksówka.

Wysiedli z niej Gabriel oraz najpiękniejsza istota, jaką Karol miał okazję ujrzeć w ciągu swojego krótkiego życia.

Kobieta o lśniących czarnych włosach, splecionych starannie w warkocz, wyciągnęła torbę z bagażnika i poprosiła taksówkarza, aby chwilę poczekał. Powabnym krokiem podeszła razem z synem wprost do Karola.

- Cześć - rzucił Gabriel do kolegi i poszedł przywitać się z trenerem.

- Cześć - odparł Widmowski i onieśmielony spuścił wzrok.

Matka jego przyjaciela wyciągnęła dłoń.

- Ty pewnie jesteś Karol, zgadza się?

- Tak jest.

Podniósł wzrok i oniemiał. Wpatrywały się w niego duże ciemne oczy z nierealnie długimi rzęsami, a pełne i kształtne usta, które nie potrzebowały żadnej szminki, uśmiechały się wesoło.

- Jestem Ewa, mama Gabriela. Miło mi. Wiesz, że mówi o tobie same dobre rzeczy?

Nie zdołał nic wydukać w odpowiedzi, ale na ratunek przyszła Julia. Przedstawiła się Ewie i obie zaczęły wymieniać uprzejmości.

Karol rozejrzył się dookoła. Ciche szepty, które zastąpiły wesoły gwar sprzed chwili, mówiły wszystko. Nie tylko on zwrócił uwagę na urodę Ewy. Gabriel natomiast jakby przygasł. Karol podążył za jego wzrokiem. Skryty za plecami kumpli Bartek pokazywał obsceniczne gesty, mało dyskretnie patrząc w kierunku Maślińskiej.

Nadchodzący obóz miał być preludium tragicznego splotu wydarzeń.

OBECNIE

Deszcz bębnił o blaszany dach. Karol rozchylił powieki i po chwili zorientował się, że nie jest w mieszkaniu na ulicy Przytyk, tylko w starym pokoju w Zabynjczu. Rozkładane łóżko skrzypnęło, gdy podniósł się na rękach i oparł o ścianę.

Jako dzieciak nie wiedział, jakie to szczęście mieszkać w tak ogromnym pokoju. Prawie trzydzieści metrów kwadratowych wolności. W Warszawie niektórzy mają mniejsze mieszkania.

Dawno temu te wyblakłe żółte ściany Karol obkleił plakatami swoich piłkarskich idoli: Maradony, Romaria, Stoiczkowa, Van Bastena oraz wielu innych. Zmieniali się z biegiem lat. Gdzieś przewijały się także bilety z koncertów, na które chodził. Najważniejszą pamiątką były bilet i plakat z koncertu Metalliki, z białym napisem na granatowym tle: „Warszawa, Stadion Gwardii, 1 czerwca 1999”. Nad nim widniało zdjęcie zespołu jeszcze z Newstedem w składzie. Tyle wspomnień z czasów, które już nie wrócą. Nie wiedział tylko, czy go to raduje, czy raczej przytłacza.

Kanapa skrzypnęła głośniej, gdy Karol usiadł na jej brzegu. Zerknął na telefon. Nieodebrane połączenie od Felicji, a zaraz pod powiadomieniem esemes, także od niej.

[Felicja]: Znowu cieknie nam z kranu, nie mogę tego dokręcić. Jest szansa, aby podjechał pan do nas

dzisiaj?

Zaklął pod nosem. Felicja Wersalka, razem z dwiema innymi dziewczynami, wynajmowała jedno z jego dwóch mieszkań – trzypokojowe na Żoliborzu. Zainwestowanie w nieruchomości to jedyna rozsądna decyzja, jaką podjął, kiedy miał siano w głowie i pieniądze z gry w Niemczech. Nigdy nie sądził, że w przyszłości to może być jego jedyne źródło utrzymania. Oszczędzał więc, jak mógł, na jakichkolwiek majstrach, naprawiał od ręki wszystko, co potrafił zrobić sam. Wcześniej sam tam mieszkał, ale koszty były zbyt duże na jedną osobę. Dlatego przeprowadził się do mniejszego lokalu na Bielanach.

[Karol]: Jestem za Warszawą, mogę być koło 14-15.

Krótkie „okej” przyszło w odpowiedzi za moment, a Karol ubrał się i szedł do salonu.

W kuchni krzątała się Julia z kraciatą ścierką przewieszoną przez ramię. Ojca nigdzie nie było widać. Albo dłubał coś w garażu, albo pojechał na zakupy do Castoramy.

- Dzień dobry – przywitał się Karol, włączając czajnik.

Matka posłała mu krótkie, spłoszone spojrzenie, ale nic nie odpowiedziała. Zesztywniał. Zbyt dobrze znał ten wzrok.

- Co się stało?

- Piłeś wczoraj – odparła sucho.

- Zgadza się, co w związku z tym?

- To w związku z tym, że zanim wszedłeś do domu, narzygałeś na klomb.

Powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Julia zmarszczyła brwi.

- Nie uważam, aby to było śmieszne.

- Ani ja. - Próbował zachować powagę.

- Rozmawialiśmy już wiele razy, Karol, masz problem.

- Nie mam - zaprzeczył, odwracając wzrok. Wyciągnął kubek z szafki i nasypał do niego kawy.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyjechałeś do nas i się nie nachlałeś jak świnia. - Matka podniosła głos, co zwiastowało nadchodzące grzmoty. Przechodzili to przy każdej jego wizycie.

- A co mam robić? - rzucił, nim zdążył ugryźć się w język.

- Słucham? Chłanie na umór to jedyne, co możesz robić, gdy odwiedzasz rodziców?

- Nie to miałem na myśli.

- Ale to powiedziałeś! - Julia cała się gotowała. Tak jak lata temu, kiedy przechodziła podobny okres z jego ojcem.

- Nie - zaprzeczył Karol. - Ty tak to interpretujesz, mammo.

- Jak masz upijać się za każdym razem, gdy do nas przyjeżdżasz, to może sobie odpuść te wizyty. Nie mam zamiaru znowu sprzątać twoich rzygowin. Chyba wszyscy jesteśmy na to zbyt poważni, nie uważasz?

Talerz, który akurat wytarła, odstawiła z takim impetem, że aż pękł. W tym momencie i w Julii coś pękło. Wstrząsnął nią spazm zbyt długo duszonych w sobie emocji, aż zgięła się w pół. Zanim Karol zdecydował się do niej podejść, rzuciła ścierkę do zlewu, wyminęła syna i poszła na piętro, do sypialni. Nie próbował jej zatrzymać. Miała rację. Za każdym razem wyglądało to tak samo: pogodzą się, obieca, że następnym razem będzie inaczej, i pojedzie. A za dwa tygodnie dostanie esemes z pytaniem, kiedy ich odwiedzi.

Koło trzynastej Karol siedział już za kółkiem fiata i jechał piaseczyńską obwodnicą, gdzie minął właśnie mokre od deszczu skrzyżowanie z ulicą Chyliczkowską. Pożegnanie z matką było zdecydowanie chłodniejsze, niż się spodziewał. Czuł, że w ich czarze gorzocy utworzył się menisk wypukły,

jeszcze kropla i... Wolał nie debatować nad tym, co dalej. Ojca nie zastał w domu, wysłał mu więc krótką wiadomość.

Miał zamiar jechać prosto na Stary Żoliborz, żeby załatwić obowiązki jak najszybciej. Na wysokości Ursynowa wjechał na trasę S2, przy węźle Konotopa odbił na S8 i jeszcze przed drugą zaparkował pod blokiem.

Lokalizacja zawsze mu się podobała: sporo parków dookoła, rzut beretem do knajpek na placu Wilsona, Teatr Komedia tuż za rogiem. Do tego metro i tramwaje, umożliwiające szybką komunikację z resztą miasta.

Wygrzebał z bagażnika podręczną torbę z narzędziami i podszedł do bramy. Nacisnął odpowiedni przycisk domofonu, a gdy szczęknął zamek, wszedł na podwórko porośnięte trawą, z kilkoma drzewami i ławeczkami. Skierował się do pierwszej klatki z lewej. Chwilę później jechał windą na czwarte piętro.

- Dzień dobry, panie Karolu.

W drzwiach powitała go Felicja - wesoła blondynka o pełnych kształtach, które zawsze podkreślała obcisłym strojem. Dzisiaj miała na sobie biały podkoszulek i szare dresowe spodnie. Wiecznie żuła gumę. Karol zastanawiał się, czy chociaż przed jedzeniem wyjmuje ją z ust.

- Cześć. - Przekroczył próg. - Jak na studiach, wszystko w porządku?

Chociaż tego nienawidził, starał się prowadzić grzecznościowe rozmówki z najemcami, ponieważ uznał, że im lepszy będzie miał z nimi kontakt, tym mniej przysporzą mu kłopotów.

- A, wie pan, jak to przed sesją - odpowiedziała, głośno przy tym ciamkając. - Czyli tak naprawdę nudy, jazda się zaczyna dopiero wtedy, kiedy trzeba zarywać noce, żeby się uczyć.

- No bo po co się uczyć wcześniej, prawda? - rzucił trochę sarkastycznie, ale Felicja w ogóle tego nie wyczuła.

- Dokładnie tak! Widzę, że pan to rozumie. Prokrastynacja, hedonizm i te sprawy. Takie studia bym skończyła najchętniej. - Westchnęła głęboko, odpływając w tylko sobie znane kierunki.

- No dobra, to który kran przecieka? - Karol uznał, że pora na konkrety.

- Ten, co ostatnio, w kuchni. Wiecznie z nim problem.

Skinął głową i wszedł do aneksu kuchennego. Dobrze wiedział, o co chodzi z kranem. Problem powtarzał się co kilka tygodni. Mógłby wymienić całą baterię i mieć to z głowy, ale czasami myślał, że po prostu lubi tu przychodzić. Czuł się potrzebny. Żałosne. Od dawna lewitował w mydlanej bańce, unosząc się gdzieś obok życia. Te proste roboty były jak lina, która nie pozwalała odlecieć na dobre.

- Gotowe - oznajmił po kilku minutach, ocierając pot z czoła. Schował narzędzia do torby. - Mogę dostać trochę wody?

- Jasne, niech się pan czuje jak u siebie - zaszczebiotała Felicja. Na swój sposób była urocza; zawsze otwarta na ludzi i zadowolona ze wszystkiego. Karol zazdrościł jej takiej pogody ducha.

Kubki stały w tym samym miejscu co za jego kadencji w mieszkaniu; wyciągnął więc biały z kolorowym napisem „Sopot - Miasto Marzeń” i nalał wody z kranu. Wypił wszystko na raz, wciąż go suszyło po wczoraj.

- Wie pan - zaczęła Felicja, owijając pukiel włosów na palec. - Robimy w poniedziałek imprezę.

- Żaden problem, Felicja, nie musisz mnie pytać o zgodę - zaśmiał się. - Tylko że w poniedziałek? Wy studenci, szczęśliwe bestie.

- Ja wiem, panie Karolu, że nie muszę pytać. Chciałam pana zaprosić. Wiem, że my to gówniarze przy panu i tak dalej, ale z pana taki super gość. Pomyślałam, że może chciałby pan poznać resztę współlokatorek i te de. Proponuję, bo jest pan

spoko - dodała szybko na koniec. Karol zauważył, że lekko się zaczerwieniła.

- Wiesz, nic nie obiecuję, ale może, może. - W końcu poza dzisiejszym spotkaniem na Pawilonach z Magdą nie miał szczególnych planów na nadchodzące dni. - O której się zaczyna impreza?

- O dwudziestej - odparła uradowana Felicja.

Podziękowała jeszcze raz za pomoc, pożegnali się i Karol zjechał windą na parter. Zapakował się do fiata.

No chyba się we mnie nie buja. Fajna studenciara, niegłupia, z ikrą. Szkoda, że formę i wygląd zostawiłem na boisku.

Im dłużej myślał nad motywami Felicji, tym mniej wiedział, co sądzić o tym zaproszeniu na studencką imprezę. I to do jego mieszkania. Uśmiech mu trochę zbladł.

No cóż, nie jest to Gala Mistrzów Sportu, ale chyba czas się pogodzić z tym, że nic lepszego już mnie nie czeka.

Niecałe dziesięć minut później zaparkował pod swoim blokiem. Po wejściu do mieszkania rzucił niedbale torbę w kąt. Przebrał się w poplamiony dres, otworzył piwo i rozwalił się na kanapie. Odpalił konsolę; w końcu wrócił na miejsce, w którym czuł się najlepiej.

Podczas ładowania się interfejsu *Pitch Legends 2019* włączył skrzynkę odbiorczą, licząc na odpowiedź od konsolowego znajomego. Nie zawiódł się.

[Yush_Byegne]: Elo, elo. A nic, po staremu, nogę zламаłem w robocie, więc całe dnię spędzę teraz w domu :/.

[Yush_Byegne]: Odzywaj się jak będziesz na arenie, pykniemy meczyk.

[Vidmo1981]: Co ty gadasz? A co się stało? No właśnie wjeżdżam na Pitch, możemy zagrać. Razem czy przeciwko?

Yush faktycznie był dostępny, bo odpisał dosłownie po kilkunastu sekundach. W tym czasie Karol wybrał z menu rozgrywki online.

[Yush_Byegne]: Razem. Głupia sprawa w sumie. Jestem kelnerem, no nie? Akurat niosłem dostawę i bum! Poślizgnąłem się.

[Yush_Byegne]: To było tuż przed schodami do piwnicy, wiesz jakiego rabanu narobiłem spadając w dół?

[Vidmo1981]: Mogę się tylko domyślać :D.

Rozpoczęło się starcie. Karol z Yusem wybrali barwy narodowe Polski, a mecz rozgrywali przeciwko dwójce graczy, którzy wybrali reprezentację Hiszpanii. Bołączką serii było, że ta część nie miała jeszcze pełnej licencji, tak że na bramce Polski występował Szczęście, w pomocy Grzychowiak, a w ataku Prawandowski i Piętek.

Vidmo został rozstawiony jako środkowy pomocnik ofensywny, a Yush - na prawym skrzydle. Mecz rozpoczęła Hiszpania. Vidmo szybko dopadł piłki, odbierając ją tuż za kołem środka pola. Bułka z masłem. Efektowną ruletką ograł następnego gracza i podał piłkę na dobieg w kierunku Yusha. Ten przyjął, wziął lewego obrońcę na zamach, dzięki czemu zrobił sobie miejsce. Oddał strzał, ale piłka poszybowała obok dalszego słupka. Komentator lamentował nad straconą szansą.

Kolejne akcje rozgrywali wolniej, ponieważ gracze z przeciwnej drużyny zauważyli, że nie mogą pozwolić sobie na głupie straty piłek. Przed końcem pierwszej połowy Vidmo i

Yush mieli jeszcze dwie okazje, lecz nie zakończyły się one golem: raz Vidmo strzelił prosto w bramkarza, a później Yush obił „aluminium”. Gdy tylko rozbrzmiał gwizdek sygnalizujący koniec połowy, Karol szybko pobiegł do toalety, aby zrobić miejsce na kolejne piwo.

[Vidmo1981]: Uff, dobrze się bronią skurczysyny, musimy bardziej dokręcić śrubę.

[Yush_Byegne]: Ustawiamy wyżej zespół i gramy pressingiem czy lecimy na kontry?

[Vidmo1981]: Jedziemy na kontry, będzie ciekawiej.

Karol ledwo zdążył otworzyć puszkę, a już przenieśli się z powrotem na boisko. Tym razem poszło dużo łatwiej. Każda akcja Hiszpanii kończyła się na drugiej linii reprezentacji Polski, najdalej – na obrońcach. Piłkę dostawał w środku pola Vidmo, od razu szukał wybiegających napastników. Przy pierwszym голу podanie na skrzydło otrzymał Yush, dośrodkował, a akcję strzałem głową sfinalizował Piętek.

Druga bramka także padła po kontrze: ładną akcją przeprowadził skrzydłem Yush, zagrał do wchodzącego na szesnasty metr Vidma, który pokonał bramkarza płaskim strzałem tuż przy słupku.

Więcej goli nie udało się strzelić, ponieważ przeciwnicy zdezerterowali, wcześniej wykrzyczawszy coś do mikrofonów.

[Vidmo1981]: Nic mnie tak nie wkurza jak dezserterzy :/. Przegrywasz? Dograj do końca, przecież nigdy nie wiadomo co się wydarzy.

[Yush_Byegne]: Racja, wystarczy spojrzeć na Ligę Mistrzów. Liverpool już dwa razy dokonał niemożliwego, w necie jest nawet łatwiej :D.

[Vidmo1981]: Anonimowe bezzębne breje...

[Vidmo1981]: Nawrzucają bluzg i myślą, że są bezpieczni za szklanym ekranem.

[Vidmo1981]: Są jak te wszystkie małe pieski składające się pół na pół z ujadania i dreszczy: gdy przychodzi co do czego, szczekają, ale nie wyjdą zza nóg właściciela :/.

[Yush_Byegne]: Ouaa, dużo jadu się z ciebie wylewa. Wystarczy, bo się zadławisz, gramy.

Yush wybrał następną rozgrywkę. Karol popijał piwo, czekając, aż pojawią się nowe ofiary. Zerknął na zegarek; miał jeszcze sporo czasu do spotkania z Magdą.

OBECNIE

W opustoszałych wagonach metra królowali obcokrajowcy z lustrzankami i plecakami turystycznymi. Dopiero ten widok uświadomił Karolowi, że dziś zaczyna się majówka. Większość mieszkańców wyjedzie, a ci, którzy mieszkają poza granicami stolicy, zostaną na swoich działkach. Taką Warszawę Karol lubił najbardziej – rozleniwioną i pozbawioną codziennego pędu.

Oczywiście są miejsca, których to nie dotyczyło. Przekonał się o tym, gdy skręcił z Nowego Świata w bramę podwórka prowadzącego na Pawilony. W latach siedemdziesiątych znajdowały się tutaj sklepy i zakłady rzemieślnicze, jednak po zmianie stroju zaczęły się przekształcać w puby, bary i pijalnie. Przystępne ceny i klimat miejsca przyciągały tłumy. Im ciekawiej wyglądał bar, tym więcej klientów go odwiedzało, dlatego właściciele prześcigali się w pomysłach.

Sprawdził ostatnią wiadomość od Magdy. Czekala na niego w Klapsie. Chwilę mu zajęło, zanim trafił do odpowiedniego pawilonu. Gdy już znalazł się na miejscu, pomyślał, że wolałby się pomylić.

Różowe ściany wszędzie ozdobione były piersiami, penisami i waginami. Mniejsze, większe, dłuższe, szersze. Do wyboru, do koloru. Z głośników leciał lekki rock w stylu Rolling Stonesów. Oryginalny bar, balansujący na granicy kiczu i groteski, cieszył się sporym zainteresowaniem. Całą salę wypełniał rozgadany

tłum. Karol miał wrażenie, że wszyscy, którzy zostali w Warszawie, przyszli akurat tutaj.

Zamówił piwo, starając się nie patrzeć na ogromne, gumowe dildo przyklejone do kontuaru. Gdy otrzymał swoje zamówienie, z ulgą odszedł od baru i rozejrzał się za Magdą.

Siedziała w drugiej części Sali, na kanapie przy oknie. Sączyła kolorowego drinka i grzebała w telefonie. Nad jej głową świeciła się lampka w kształcie dorodnego biustu.

- Cześć - rzucił Karol, siadając naprzeciwko dziewczyny.

- Spóźniłeś się. - Nie oderwała wzroku od telefonu.

- Wybacz. - Upił spienionego piwa. - Ciekawe miejsce.

- Prawda? Odkryłam je kilka lat temu. Od tamtej pory jestem stałą klientką. - Zablokowała telefon i spojrzała na Karola tym samym świdrującym spojrzeniem co w AEGamez. - Co to za sprawę masz, panie Tajemnica?

Zakręcił szklanką, zastanawiając się, ile jej może powiedzieć.

- Po pierwsze chciałem przeprosić za ostatnio...

- O Boże, no odpuść już, wiesz, jakie są nudy w biurze? - Nachyliła się nad stolikiem. Karol zauważył, że nie ma okularów, co wraz z rozpuszczonymi włosami nadawało jej urok barowej flirciary.

- Nawet przy tworzeniu gier komputerowych?

- Praca to praca, wszystko może cię śmiertelnie znudzić, kumasz?

- Chyba tak. - Próbował znów zebrać myśli. - Nie zdążyłem się przekonać.

- I tak byś pewnie nie zdążył. - Pociągnęła spory łyk alkoholu, zupełnie ignorując włożoną do drinka słomkę.

- Jak to? - zdziwił się.

Magda spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem, tak jakby to teraz ona kalkulowała, ile może powiedzieć.

- To Łukasz - rzuciła w końcu.

- Ale co Łukasz?

- Miał innego kandydata, jakiś redaktorek sportowy, niski, drobny, ulizany. Nie pamiętam nazwiska. Tak czy inaczej, ważniak...

- Jerzy Kidys - szepnął Karol, czując w kościach, że ma rację.

Magda pstryknęła palcami.

- Tak, tak, dokładnie ten sam! Ten wymuskany z billboardów. Znasz go?

- Nie, ale nasze drogi przecięły się w inny sposób. - Musiał zmienić temat, bo czuł, że zaraz wybuchnie. - Po cholere więc Łukasz mnie sprawdzał?

- Byliście umówieni, a takie firmy jak AEGamez dbają o wizerunek bardziej niż o cokolwiek innego, zwłaszcza że twój agent, Grzybicki, to gruba ryba. Nie mógł więc cię odwołać, ale mógłby potem podziękować za współpracę, powiedzieć, że to jednak nie to. - W jej oczach zamigotał złośliwy chochlik. - No, ale wyręczyłeś go. Gdyby on był Brutusem, a ty Cezarem, wyrwałbyś mu nóż z ręki i poderżnął sobie gardło.

- Co za chuj - wymamrotał Karol, nie wiedząc, czy mówi o Łukaszu, czy Kidysie. Dopił piwo w trzech łykach. Poprosił Magdę, aby chwilę zaczekała, i podszedł do baru. Po chwili wrócił z czterema kieliszkami wódki. Opróżnił dwa, zaproponował szota Magdzie, ale ta podziękowała. Po chwili namysłu wypił resztę.

- Takie to życie. Nie ma sentymentów - przyznała Magda. - To była ta sprawa? Chciałeś się wkręcić znów do pracy?

- Nie. Chodzi o rzecz, która wyniknęła podczas nagrania.

- Dostałeś grzybiczego zapalenia ucha zewnętrznego? - spytała na jednym wydechu.

- Co? - Karola zbiło z tropu.

Jak ludzie z nią wytrzymują?

- Nic, po prostu te słuchawki... czasem ich nie tego, nie czyszczą, były takie przypadki...

- Nie, nie o to chodzi.

Wziął oddech i opowiedział o Gabrielu - o tym, że jego wizerunek pojawił się w grze, a profil zniknął z sieci. Magda słuchała go z otwartymi ustami. Nie przerwała mu ani razu.

- Stary, ale jazda, ten programista naprawdę nie mógł nic odkopać?

Karol pokręcił głową.

- Nic, a nic. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Myślisz, że to Łukasz cię tak wkręcił?

Wzruszył ramionami. Zanim tu przyszedł, nawet nie rozważał takiej opcji, lecz słowa Magdy rzucały zupełnie nowe światło na sprawę. Skoro Łukasz i tak nie miał zamiaru go zatrudnić, to po co to wszystko? Argument o dbaniu o wizerunek firmy nie przemawiał do Karola. Nawet skonfigurowali grę tak, aby w stopce komentatorskiej pojawiło się jego nazwisko. Telefon z podziękowaniami byłby mniej kosztowny. No i do tego Gabriel, który zupełnie przypadkowo pojawił się na murawie.

- Być może - burknął pod nosem.

- Kosmos. - Magda wlepiła w niego wzrok. Ekscytowała ją ta sprawa.

- Dasz radę poszukać jakichś tropów w firmie?

- No jaszka. Tylko wiesz... - Ściągnęła brwi. - To będzie trochę ryzykowne. Jak odkryją, co robię, mogą mnie nawet zwolnić.

Karol westchnął.

- Racja, proszę o dużo - przyznał zgaszony. - Do cholery! My się tak naprawdę nawet nie znamy.

- Ale pomogę ci - wypaliła Magda.

- Naprawdę? - zdziwił się szczerze.

- Tak. Zawsze miałam Łukasza za dzbana, chętnie mu zrobię na złość. Czego mam szukać?

Dobre pytanie.

- Masz dostęp do *Total Football*?

- Tak.

- Odpal ją i przeszukaj bazę piłkarzy, wiesz, w „Biuro”, potem w „Okienko transferowe”...

- Ziomek, nie rozmawiasz z żółtodziobem, grało się trochę w *Total* i *Pitch Legends* - przerwała mu.

- Serio?

- A co? Bo laska, tak? To już nie mogę w gałę ponapierdalać na konsoli? - Zrobiła groźną minę, parodiując głos osiedlowych osiłków.

Karol uśmiechnął się mimowolnie, a Magda wróciła do rozmowy:

- Dobra, czyli mam znaleźć go na liście transferowej.

- Tak, żeby zobaczyć, czy w ogóle figuruje w grze, czy był tylko na demówce, którą komentowałem.

- Brzmi rozsądnie - przyznała. - A co, jeśli nie będzie go w grze?

- To znaczy, że ktoś to wszystko odpowiednio przemyślał.

Reszta wieczoru upłynęła lepiej, niż Karol mógłby zakładać. Kiedy ustalili szczegóły dotyczące ich małego śledztwa, rozmowa zesła na piłkę nożną i gry. Magda miała szeroką wiedzę na oba tematy, co go mile zaskoczyło. Zdążył zapomnieć, jak to jest znaleźć wspólny język z drugim człowiekiem.

Po czwartym drinku Magda przeprosiła i zesła do łazienki. On zaś skorzystał z chwili i wyszedł przed lokal, aby złapać oddech.

Majowe powietrze niosło w sobie ciepło minionego dnia i zapowiedź wciąż jeszcze chłodnych nocy. Dochodziła dziesiąta, ale pijany tłum ani myślał zbierać się do domów. Jutro też będzie dzień i spora część miała zamiar doczekać go właśnie tutaj.

Uwagę Karola przykuł ruch za pomazaną ścianą kamieniczki naprzeciwko Klapsa. Imprezujący tłum przeniósł się na lewo, czyli tam, gdzie znajdowało się najwięcej pawilonów, dlatego w pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś gnojki schowały się za winklem. Jednak niepokojące mrowienie na karku nie dawało mu spokoju. Podobnie czuł się na Wilanowskiej w metrze. Obserwowany.

Tak szybko, jak pozwalała mu noga, przeszedł na drugą stronę uliczki i przywarł do pomazanego budynku. Krok za krokiem przesuwał się do krańca ściany. Chciałby zobaczyć całującą się parę albo wyrostków z jointem, ale intuicja ostrzegała go przed niebezpieczeństwem.

Wychylił się i ledwo uniknął nadchodzącego uderzenia. Gruba gałąź rozbiła się na ścianie, tuż nad głową Karola.

- Ożeż ty... - wykrztusił jedynie. Stał przed nim szczupły mężczyzna ubrany w czarną bluzę i krótkie szorty. Spod kaptura wystawał daszek czapki. Ciemność w zaułku nie pozwalała dostrzec jego twarzy.

Niewiele myśląc, szybkim ruchem złapał nieznajomego za rękaw. Tamten mógł jedynie wykorzystać element zaskoczenia; Karol był prawie dwa razy większy.

- Czego chcesz?

Obserwator nie odpowiedział, tylko warknął wściekle i zamachnął się wolną ręką na Karola. Ten bez większego problemu sparował słabe uderzenie, ale to wystarczyło, by poluzował uścisk, i stalker mu się wyrwał. Pobiegł sprintem między budynkami w kierunku Alei Jerozolimskich. W świetle

jednej z latarni Karol dostrzegł, że na łydce ma wytatuowaną czerwono-złotą maskę.

- Stój!

Rzucił się w pościg, ignorując odrętwiający ból w piszczeli. Wybiegł zza budynków i krew odpłynęła mu z twarzy. Obserwator stał przy grupce mężczyzn pokazanej postury. Trzej elegancko ubrani, w garniturowe spodnie i białe koszule, co niezwykle kontrastowało ze scenerią, w której delectowali się piwem. O czwartym nie można było powiedzieć za wiele, ponieważ siedział na ławeczce, schowany w cieniu. Prześladowca wskazał wprost na Karola, a wzrok drabów zawiesił się na nim niczym zły omen.

- Panowie, pomóżcie, gość chyba ze Starego Miasta, chciał mnie jebnąć, jak o Legii zacząłem gadać...

W mieście, gdzie znajdują się dwa stołeczne kluby, a jeden cieszy się zdecydowanie większą popularnością, była to całkiem niezła podpucha.

- No, no, no. - Pierwszy z nich odezwał się takim głosem, jakby najadł się przed chwilą zyletek. - Polonista wypuścił się tak daleko od Konwiktorskiej?

- Łać go na łeb - warknął drugi. Strzyknęły stawy, gdy zacisnął pięści.

- Ładnie to tak ganiać mniejszych od siebie? - spytał trzeci, poprawiając krawat.

Rozgadani obrońcy uciśnionych ruszyli w kierunku Karola. Czwarty kończył piwo na ławeczce.

- To nie tak. - Karol próbował się bronić. - Ten gość mnie zaatakował...

- Zamknij się - przerwał mu pierwszy z mężczyzn. Przez ścięte na jeża włosy jego głowa wyglądała jak jajowata, mięśnie napinały się pod koszulą. - Nie uważacie, że za dużo gada nam koleżka?

- I do tego pizda - przytaknął ten od strzykających palców. Pomimo iż był niższy i węższy w barkach od kumpla, to sprawiał wrażenie groźniejszego. W oczach połkniętych przez czarne źrenice czaiła się paraliżująca nieobliczalność. - Łać mniejszego chciał.

Karol dostrzegł, że Obserwator nieśpiesznie kieruje się w stronę Nowego Świata, co rusz oglądając się przez ramię na sprokurowane przez siebie zajście. Miał wrażenie, że widzi szyderczy uśmiech wymalowany na jego ustach. Krew znów w nim zakipiała, spróbował przejść pomiędzy awanturnikami.

- Po prostu mnie puśćcie...

Reszta słów stanęła mu kością w gardle, a nogi zmiękły, gdy wzrok spoczął na nożu wyciągniętym przez trzeciego z elegantów. Wszyscy podeszli bliżej, słyszał ich przyśpieszone oddechy.

- Rozumiem cię. Jakbym zobaczył takiego motylka, tobym nawet matki rodzonej się wyparł - zarechotał. Na szpakowatej twarzy z wąskim nosem malowało się okrucieństwo. - Gdzie schowałeś szalik, co? W gaciach pewnie trzyma.

Pozostali przytaknęli ochoczo koledze. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jajowaty huknął Karola w nos i wykręcił mu bark. Ten o niepokojącym spojrzeniu wykorzystał pochyloną postawę ofiary, by uderzyć go z całej siły w brzuch, a wtedy szpakowaty ściął go kopnięciem. Gdyby Karol wcześniej nie stracił oddechu, teraz krzyczałby ile sił w płucach; piszczel eksplodowała bólem, o którego istnieniu zdążył zapomnieć. Jajowaty złapał go za włosy, szpakowaty przyłożył mu nóż do szyi. Chłód stali był jedynym wyraźnym bodźcem. Przez głowę Karola przebiegały chaotyczne myśli, które nijak miały się do przekonania, że tuż przed śmiercią człowiek odtwarza całe swoje życie.

- Wystarczy. - Czwarty mężczyzna wstał z ławki i podszedł bliżej. - Idziemy, zanim zjawią się psy.

Głos wydał się Karolowi znajomy, ale nóż wpijający się w gardło skutecznie ucinął wszelkie rozważania.

- Nie no, takiej kurwie odpuścisz? - zasmucił się szpakowaty.

- Właśnie, mordo, pouczyć trzeba typa - wstawił się za kolegą jajowaty. - Chcieli nam zrobić z Warszawy drugi Kraków, to mają.

- Puszcząć i spadamy.

Ton nieuznający sprzeciwu sprawił, że trójka drabów z niechęcią puściła ofiarę. Szpakowaty nie omieszkał splunąć na do widzenia. Odeszli między kamienice, poprawiając mankiety koszul. Kiedy zniknęli w cieniu, czwarty - największy z nich wszystkich, z godną podziwu brodą - nachylił się nad Karolem, który ciężko oddychał i po części nie wierzył, że jeszcze może to robić. Krew sączyła się z rozbitego nosa i naciętej skóry na gardle. Gdy podniósł wzrok, cały stężał. Nie bez powodu głos wydał mu się znajomy.

- Tygiel... - wydusił z siebie.

- Wybacz. - W oczach programisty malowała się troska. - Mocno dostałeś?

- Wal się.

- Nie mogłem nic więcej zrobić. Ani się do ciebie przyznać. Zajebaliby mnie na Mokotowie - wytłumaczył. - Głupio wyszło.

- Odjeb się, powiedziałem!

Tygiel wstał, ciągle z tym samym współczującym wyrazem twarzy. Zapalił papierosa i obszedł leżącego Karola.

- Jeśli będę mógł się zrekompensować, to masz mój numer - rzucił na odchodnym, a potem poszedł w ślad za swoimi kompanami.

Karol nie wiedział, jak długo leżał na ziemi, zanim gdzieś do bańki, w której zamknęła go podświadomość, wtargnęły głosy Magdy i obcych ludzi. Wszelkie myśli zdezerterowały, a wzrok

skupił się na krwi kapiącej na chodnik. Krople tworzyły upiorny wzór. Krew, która naznaczyła swoją obecnością każdy z punktów zwrotnych w jego życiu.

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Rozpoczęła się pierwsza połowa. Gracze Werderu szybko przejęli inicjatywę, zmuszając graczy Bayeru Leverkusen do biegania od samego początku, a niemałą w tym zasługę miał pewny siebie Widmowski.

Po ładnej klepce w środku pola Karol wykonał podanie do Mira, który przejął je w polu karnym. Zgrabnie odwrócił się z piłką przy nodze, przygotował się do strzału, lecz wtedy jeden z obrońców ostrym wślizgiem zaatakował nogi Niemca. Sędzia nie miał wątpliwości i podyktował rzut karny. Na zegarze rozpoczęła się czwarta minuta meczu.

Karol poczuł klepnięcie w plecy.

- Dobre podanie, młody - pogratulował mu Torsten, który truchtał już w stronę jedenastki, aby wykonać stały fragment gry.

- Tylko takie potrafię posyłać! - odkrzyknął Niemcowi.

Buczenie z trybun za bramką Bayeru wzmogło się o dobrych kilkanaście decybeli, kiedy Torsten ustawił piłkę na „wapnie”. Wycofał się i zmierzył wzrokiem bramkarza, czekając na gwizdek sędziego. Gdy arbiter dał sygnał, wziął krótki rozbieg i precyzyjnie strzelił w prawy górny róg bramki. Piłka otarła się o rękawicę bramkarza, a kibice ubrani w zielono-

pomarańczowe koszulki wybuchli radością. Wynik na tablicy świetlnej zmienił się.

BAYER 04 LEVERKUSEN 0:1 WERDER BREMA

Gospodarze musieli się otworzyć, a goście dostali wiatru w żagle. Karol, rozochocony po początku meczu, był wszędzie na boisku. Wracił do obrony, rozpoczął kontry, rozgrywał wzdłuż i wszerz boiska, szukając kolejnej okazji do stworzenia sytuacji bramkowej. Środek pola zagęścił się jednak, a defensywny pomocnik Bayeru, Marcos, obrał za cel spacyfikowanie Karola. Miał problemy z graczem o takiej zwinności i kontroli nad piłką, co sprawiło, że tuż po czterdziestej minucie po raz pierwszy stracił cierpliwość. Gdy Widmowski próbował kolejny raz oszukać go zwodem, ten bez ceregieli przygwoździł mu stopę do murawy. Kiedy ogląda się mecze w telewizji, można się śmiać z wijących się niczym w śmiertelnych spazmach piłkarzy, jednak każdy, kto kiedyś grywał, wie, że nakładka metalowymi korkami o nacisku równym wadze przeciwnika nie jest niczym przyjemnym.

- Następnym razem nie będzie tak miło, Polaczku - warknął Marcos, nachylając się do wciąż leżącego Karola.

- Zobaczmy, na razie kręcisz piruety jak mała w cyrku - odgryzł się Karol, rozmasowując stopę.

Brazylijczyk, z zaciętym wyrazem twarzy i zaciśniętymi pięściami, niebezpiecznie zbliżył się do Widmowskiego, ale podbiegli Miro i Torsten, by załagodzić sytuację. Reszta drużyny dyskutowała z sędzią, lecz tym razem obeszło się bez kartki dla Marcosa.

Werder rozpoczął grę rzutem wolnym. Niestety zaraz stracili piłkę, i to przez Karola. Wbrew swojej buńczucznej postawie, gdy zobaczył nabuzowanego Marcosa, nie wytrzymał psychicznie i cofnął nogę, a gracz Bayeru odebrał mu futbolówkę. Reszta potoczyła się szybko. Zagranie przed szesnastką, napastnik wycofał do Marcosa, który zagrał do

wchodzącego Bułgara, Dimitriego. Ten zaś zadanie miał już proste: wyszedł sam na sam z bramkarzem, wyczekał i płaskim strzałem po ziemi posłał piłkę do siatki. Na tablicy świetlnej ponownie był remis, 1:1.

- *Scheisse!* - Karol dobrze wiedział, że przeciwnicy wyprowadzili akcję po jego stracie. Pulsowanie w zdeptanej stopie boleśnie o tym przypominało. Kiedy gracze w czarno-czerwonych strojach skończyli celebrację bramki, uśmiechnięty Marcos przebiegł tuż obok Karola.

- Nie płacz, młody, nie twoja wina, że jesteś pizdą - rzucił tak, aby tylko Widmowski usłyszał przeznaczoną dla niego wiadomość.

Karol zacisnął pięści, aż coś w nich strzyknęło. Do zespołu z Bremy przeszedł z łatką świetnego rozgrywającego, a w końcówce tego niezwykle udanego sezonu miał zamiar pokazać całemu światu, na co go stać.

Odprowadził wzrokiem Marcosa, obiecując sobie, że więcej nie odpuści.

OBECNIE

Szczęknął zamek w drzwiach, zaskrzypiały zawiasy i Karol wtoczył się do mieszkania. Przytrzymał się przez chwilę ściany, biorąc głębszy oddech. Wreszcie w domu. Trzasnął drzwiami i przekręcił w nich klucz. Po chwili wahania zasunął jeszcze dolną zasuwę, tak na wszelki wypadek. Obolały począpał do salonu i dopiero poczuł, jak schodzi z niego adrenalina. Wszystkie kończyny trzęsły się w niekontrolowanych drgawkach. Organizm robił remanent organów, sprawdzał, czy wszystko funkcjonuje. Najgorzej miała się prawa noga, która wciąż płonęła żywym ogniem.

Dochodziła pierwsza. Magda uparła się, że nie ma opcji, aby jechał gdziekolwiek sam, i udała się z nim do najbliższego szpitala. Na SOR-ze na Solcu zdezynfekowali ranę na szyi i założyli dwa niezbędne szwy. Szpakowaty zbyt mocno przycisnął kosę do skóry. Nos z kolei Karol miał mocno spuchnięty, ale nie połamany. Nogę także obejrzeli, lecz nic się jej nie stało. Fachowa robota – oprychów, nie lekarzy. Kiedy już go wypuścili, zmartwiona Magda odprowadziła go do taksówki, a potem pojechała do siebie.

Odpalił konsolę. Koniecznie musiał wyłączyć z siebie dzisiejszą noc, a Yush z pewnością wysłucha jego historii. Chociaż korciło, nie sięgnął po piwo lub drinka, żołądek i bez kolejnych płynów podchodził mu do gardła.

[Vidmo1981]: Stary, nie uwierzysz co za akcja dzisiaj.

Wysłał wiadomość i przypomniał sobie o źródle swoich problemów. Obserwator. *Wie o mojej przeszłości w Polonii, co oczywiście nie jest żadną tajemnicą, ale wykorzystał to w odpowiednim momencie. Kim jest?*

Przypomniała mu się dziwna maska, którą Obserwator miał wytatuowaną na łydce. Swoją drogą, czuł się na tyle pewnie, aby nie zakryć charakterystycznego znaku. Karol zawsze był kiepski z historii czy ze sztuki, postanowił jednak odnaleźć pierwowzór tatuazu. Sięgnął po laptop i po chwili już wpisywał do przeglądarki pierwsze lepsze hasło, jakie przyszło mu do głowy: „maski azteckie”. Przyjrzał się wynikom, ale stwierdził, że zdecydowanie nie jest to ten typ, którego poszukuje. Przesiedział prawie pół godziny, szukając różnych wariantów: maski meksykańskie, maski teatralne, maski antyczne, maski greckie, maski grobowe. Żadna z pozycji nie pasowała, a przynajmniej nie znalazł takiej na pierwszych czterech stronach grafiki Google’a.

Karol spasował. Emocje i wypity alkohol dostatecznie go zużyły, a brak odpowiedzi od Yusha i nieskuteczne poszukiwania ostatecznie skierowały do bezpiecznej przystani – łóżka.

Gdy odpływał w senny rejs, jego myśli utonęły w rozpuszczonych kasztanowych włosach, falujących tuż nad wzburzoną powierzchnią kolorowego drinka, w którym odbijały się zatroskane oczy.

- Że co!? Nie no, tego tak nie możemy zostawić, Karol, jadę do ciebie, nigdzie mi, kurwa, nie wychodź, jasne?

Maciej Grzybicki się rozłączył, a Karol westchnął przeciągle i przekręcił się na drugi, mniej obolały, bok. Nie sądził, że jego były agent aż tak przejmie się pobiciem. Yush nadal nie odpisywał, lecz on zazwyczaj odsypiał zarwane noce. Rodzicom

nie miał zamiaru zawracać głowy, zwłaszcza po ostatnim. Matkę jedynie utwierdziłoby to w jej przekonaniach. Znalazł zatem innego powiernika.

Nieskładne myśli i wspomnienia wczorajszego wieczoru odbijały się w umyśle Karola jak gumowa piłka od ściany. Każde uderzenie tworzyło echo, rezonując albo na zewnątrz, albo do czaszki. Tak, głowa zdecydowanie go bolała.

Kiedy w końcu się zebrał i wstał z łóżka, czuł się tak, jakby właśnie wrócił z tygodniowego obozu sportowego – boleśnie paliło go wszystko, włącznie z urażoną godnością. Dowłókł się do nieśmiertelnej kanapy w salonie. Siadając, obrzucił wzrokiem swoją ścianę chwały. Czasami zastanawiał się, dlaczego jeszcze w ogóle trzyma pamiątki z poprzedniego, piłkarskiego życia. Dla zaspokojenia własnego ego? Być może. Żeby imponować ludziom? I tak nikt go nie odwiedzał. Po chwili doszedł do wniosku, że nie pościągał ich z dwóch powodów: po pierwsze był to fizyczny dowód na to, że udało mu się odnieść sukces. I to dość spektakularny. Druga sprawa to Gabriel. Trzymał tę koszulkę i zdjęcia niejako z poczucia winy. Żeby nie zapomnieć, że jemu się udało, a Gabrielowi nie. A przecież jego też wypatrzyli skauci na obozie. Mieli być jak Tsubasa i Misaki – utworzyć niepokonany duet. Klub Białych Zębów.

Domofon zaryczał przeraźliwie, dołączając do łupania w czaszce. Z grymasem na twarzy Karol otworzył drzwi do klatki. Kilka chwil później w progu mieszkania stał zgrzany Maciej. W pierwszej chwili Karol nie poznał agenta. Zawsze ogolony, odświeżony i elegancko ubrany, nieważne, czy wychodził spotkać się z prezesami klubów, by rozmawiać o letnich transferach, czy po bułki do Żabki. Dziś wyglądał tak, jakby wyrwał się z samych bram piekła: z zarostem, zapuchniętymi oczami, jeszcze wilgotnymi włosami, ubrany w szare dresy Nike. Bez specjalnego zaproszenia wpadł do mieszkania i uściskał Karola.

- Jak się czujesz? Co ja pytam, cała mordą rozwalona! Kto to był, co? Już my ich dorwiemy, mam znajomości na komendzie, Karol, to nie może się tak skończyć!

- No już, Maciek, daj spokój. - Wywinął się z uścisku. - Nie ma tragedii. Legioniści to i tak najmniejszy problem.

- Legioniści? Serio? Myślałem, że mało kto pamięta o twojej karierze w Polonii. - Zdziwił się Grzyb. - Masz coś do picia? Zaraz uschnę.

Nie czekając na odpowiedź, wyminął Karola i wszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i wyciągnął karton soku pomarańczowego. Odkręcił i powąchał, po czym skrzywił się jak kot, który poczuł zapocone stopy właściciela. Czym prędzej odstawił karton na miejsce i po chwili wahania zdecydował się na kranówkę.

- Od razu lepiej - westchnął zadowolony.

- Ktoś ich na mnie napuścił - powiedział Karol.

- Co ty gadasz?

- Spotkałem się wczoraj z taką jedną...

Maciej zmrużył zadziornie oczy.

- No, proszę, proszę. Wracasz na rynek? Fajna chociaż? Opowiadaj, Karol, mi możesz wszystko wyświergotać, przecież wiesz.

- Spieprzaj - zachnął się. - Magda, z AEGamez. A spotkanie było w sprawach... służbowych.

- AEG? Służbowo? To przyjęli cię w końcu czy jak? Bo już sam, kurwa, nie wiem.

- Chodzi o Gabriela.

Po tym, jak Maciej zmarszczył brwi, Karol szybko streścił wczorajsze spotkanie w Klapsie. Grzyb, jak to miał w zwyczaju, w ciszy wysłuchał wszystkiego, co Karol miał do powiedzenia, lecz tym razem zaskoczył go swoją reakcją.

- To faktycznie dziwne.

Karol poczuł ulgę, jakby zrzucił z siebie spory ciężar.

- Widzisz? A nie wierzyłeś mi.

- Przepraszam, Karol, ale wiesz... - Spojrzał na niego znacząco. - Potrafisz popłynąć. Znamy się jak łyse konie, nie będę nic słodził. Nie zawsze jesteś rzetelnym źródłem informacji. Powiedz mi lepiej, jak to wszystko doprowadziło do tego, że skończyłeś z niemal poderżniętym gardłem.

- Wszystko przez Obserwatora. Próbowałem go dorwać.

- Co? - Maciej był zdeorientowany. - Kogo takiego?

- Nie mam pojęcia. Widziałem tylko tatuaż na nodze, jakaś maska...

- Jaki Obserwator? Do kółka astrologicznego się zapisałeś? - Grzyb zmrużył oczy.

- Nie wspominałem ci?

- No najwyraźniej nie.

- Ostatnio, jak wracałem od ciebie, to śledził mnie w metrze. Uciekł, jak tylko złapałem z nim kontakt wzrokowy, a wczoraj czaił się na mnie na Pawilonach.

Maciej wyraźnie się zaniepokoił.

- Jak wyglądał?

- A bo ja wiem? - Karol wzruszył ramionami. - Poza tatuażem niewiele było widać. Czarna bluza, czapka, na pewno facet. Takiej normalnej postury. Nic szczególnego.

- Młody, stary?

- Młody, tak mi się wydaje.

Grzyb oparł się o blat kuchenny. Knykcie aż zbieleły mu od jego ściskania. Wbił wzrok w podłogę, zagryzł wargi i intensywnie myślał.

- Dowiemy się, co to za jeden. Może jakiś fan.

- Nie żartuj - prychnął Karol. - Moi fani zaczynają mieć pewnie pierwsze objawy demencji, częstomocz i marskość

wątroby. Czyli wszystkie symptomy przekroczenia czterdziestki.

Grzyb parsknął pod nosem.

- Lubię cię, Karol, naprawdę. Jesteś nie do podrobienia.

- Nie smaruj mi tu, tylko znajdź lepiej nowy klub, od piętnastu lat czekam, dupa z ciebie, a nie agent.

Teraz zaśmiewali obaj. Atmosfera chociaż na chwilę się rozluźniła. Grzyb jeszcze kwadrans spędził u Karola, pogadali o głupotach i powspominali boiskowe chwile sławy Widmowskiego.

Kiedy Maciej stał już w drzwiach, nagle go olśniło.

- Słuchaj, może tej twojej Magdzie przyda się pomoc z technicznymi sprawkami? Masz nadal numer do Jacka?

Karol stężał. Przypomniał sobie, jak facet pochylał się nad nim z papierosem w ustach i współczuciem w oczach. „Mocno dostałeś?” Dobry humor wyparował jak za dotknięciem różdżki.

- Może. Ale to cwana dziewczyna, poradzi sobie.

- Jak tam chcesz - odparł Maciej. - A ja postaram się namierzyć tego gnojka.

- Dzięki, trzymaj się.

- Do zobaczenia.

Uściskali się, Maciej wyszedł, a Karol zamknął za nim drzwi. Nie miał zamiaru odzywać się do Tygla. Nie przyparto go jeszcze do muru, więc najchętniej zapomniałby o tym człowieku. Z jakiegoś powodu żywił do niego większą urazę niż do Obserwatora, który napuścił na niego pijanych mężczyzn.

Włączył PlayStation. Nie wiedział, co ma ze sobą począć. Yush nadal nie zalogował się na swoje konto. Karol pomyślał, że może ma jakąś wizytę u lekarza związaną ze złamaną nogą. Uruchamiając *Pitch Legends*, postanowił, że dziś odpuści wychodzenie z domu. Poza wycieczką do sklepu. Kończyło mu się piwo, a jedzenia też w sumie nie miał.

DWADZIEŚCIE SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Zagończyk na obozy co roku jeździł do Krukłanek, miejscowości niedaleko Giżycka. Tamtejszy ośrodek kolonijny miał wszystko, czego potrzeba do udanego pobytu. Pełnowymiarowe boisko, oddzielone od jeziora Żabinka wąskim pasem sosen, kajaki na wynajem, mnóstwo szlaków turystycznych, które mogły służyć jako trasy biegowe, oraz prawie dwieście miejsc noclegowych w drewnianych domkach, kort tenisowy i mniejsze boisko treningowe. Innymi słowy – było co z dziećmi robić.

Biało-niebieski pojazd zatrzymał się na piaskowym parkingu ośrodka około szesnastej. Banda zmęczonych dzieciaków wylała się z pojazdu, celebrując ten moment dzikim wrzaskiem. Za nimi wyszedł Grzyb, a na samym końcu – pan Stefan, ojciec jednego z obrońców, Artura Kowskiego. Ze sporym brzuszkiem i zamiłowaniem do piwa nie był może reprezentatywną częścią klubu, ale dobrze pełnił obowiązki opiekuna i drugiego trenera.

– Z życiem, chłopaki, z życiem! Wyciągać te bagaże! – zaordynował donośnym głosem Maciej. Poprawił ortalion i krótkie szorty. Białe, długie skarpetki wychodzące z przybrudzonych adidasów sięgały mu niemal połowy łydki. – A teraz w dwuszeregu zbiórka! Wy, Szkodniki, jeden z trzecim, to nie trójkąt miłosny, po dwóch.

Ostatnie słowa skierował do Kuby i Czarka, walczących o miejsce przed Bartkiem. Ostatecznie to Kuba wygrał potyczkę o

pozycję i dumnie stanął w szeregu przed przyjacielem. Czarek fuknął, usuwając się na bok. Został bez pary.

- Dobra, mamy dla was pięć czwórek i jedną piątkę. Macie...
- zerknął na szary zegarek Casio - trzy minuty. Jeśli nie dobierzecie się do pokoiów, ja będę przydzielał.

Karol z Gabrielem szybko dopadli do Tomka i Huberta, z którymi już od tygodnia dogadywali się w tej sprawie. Tomek Bieguń, wysoki i kluchowaty rudzielec, był bramkarzem. Wszyscy wiedzieli, że jest najwyższy i najwolniejszy, więc na innej pozycji by się nie sprawdził. Sam wielce nad tym ubolewał, ale na boisku zamieniał się w prawdziwego Cerbera. Z kolei Hubert Ulikowski, zawsze uśmiechnięty brunet z wielkim, włochatym pieprzykiem na policzku, najczęściej zajmował lewą stronę ławki. Pełnił funkcję trzynastego gracza - kiedy trener zmieniał zawodników, w ciemno mogli obstawiać, że Hubert wejdzie jako drugi. Maciej rozrzucił go wszędzie po boisku: lewe skrzydło, prawe skrzydło, atak, pomoc.

- Wszyscy już?

Grzyb rozejrzał się po nowo powstałych grupkach. Dzieciaki utworzyły pięć czwórek, na uboczu zaś stały wściekle Szkodniki, które łypały spode łba na Adama Budkę, chuderlawego rezerwowego bramkarza z krzywo przyciętą słomianą grzywką, i Marka Walickiego, który w Zagończyku bił jednocześnie dwa rekordy - na najgrubszego i najniższego z zawodników. Obaj mieli mocno skwaszone i przestraszone miny, bo nie wykazali się odpowiednią inicjatywą i przez to zostaną skazani na dwa tygodnie ze Szkodnikami w jednym domku. Karol bardzo im współczuł. *Biedne chłopaki. Przecież oni ich tam zatłuką.*

Grzyb poprosił, aby podchodzili gęsiego po odbiór kluczy do domków. Gdy pojawił się przy nim Bartek, spojrzał na niego twardo.

- Ma się obejść bez żadnych awantur, rozumiesz mnie, Czekać?

- Się wie, trenerze, będzie spokojnie - zapewnił Bartek, uśmiechając się do swoich kumpli.

- Nie żartuję, Czekać - zagrział Maciej. - Jedna krzywa akcja i wylatujecie z obozu. Nie będę się z wami użerał.

Bartkowi zrzędała mina, więc wydał tylko usta. Jako że nie miał już nic do dodania, wrócił do kółka wzajemnej adoracji. Bez słowa machnął ręką na Adama i Marka. Cała piątka w napięciu ruszyła do jednego z drewnianych domków ze spadzistym dachem.

- A wy jak uważacie? - spytał Hubert, gdy rozłożył się na łóżku.

- Nic nie będzie kombinować?

- Kto? - Tomek wyglądał na zdezorientowanego. Czasami myślał tak wolno, jak biegał.

- No Bartek, oczywiście. Pamiętacie, co odwalił rok temu?

- Tak - przytaknął Karol podczas wypakowywania ubrań z torby. - A szkoda Roberta, dobrze bronił.

- Jaki Robert? - spytał Gabriel.

- Robercik. Ten, co na Polnej mieszka. Wysoki jak brzoza, głupi jak koza - wyjaśnił Hubert.

- Ciebie jeszcze u nas wtedy nie było - zauważył Karol.

- I co z nim się stało?

- Dostali wtedy czwórkę, tak jak my. No i przydzielili im Robercika, bo biedak nie zdążył się zorientować, a tu bum, zostaje tylko domek ze Szkodnikami...

- Ja to bym się wolał od razu utopić w jeziorze - wtrącił cicho Tomek.

- Wytrzymał tylko trzy dni - kontynuował Karol. - Rękę mu do wody wsadzili w nocy, to się zsikał. Drugiego dnia zamknęli go na cztery godziny w domku, jak mieliśmy wolny czas. Dopiero jak na kolację zsiłszy, to Grzyb się zorientował.

- Co za dupki - mruknął Gabriel, patrząc za okno.

- A trzeciego dnia to w ogóle przegli pałę - powiedział Hubert.- Któryś z nich widział jakiś program, gdzie były szpieg opowiadał o różnych torturach. Postanowili jedną sprawdzić, czy naprawdę taka straszna jest.

- Oczywiście na Roberciku.

- Wzięli ręcznik. Jak spał, to Czarek i Kuba, hyc, łapią go za ręce i nogi, a Bartek kładzie mu ręcznik na twarzy i wodą zaczyna polewać. Chłopak nie mógł złapać oddechu, ponoć prawie się utopił.

- O siet! Utopił? Od ręcznika na twarzy?

- Tak, podobno to najstraszniejsze uczucie, jakie może być. No i Robercik jakoś w końcu się im wyrwał, przy okazji kopnięciem złamał nos Kubie. Uciekł do Grzyba, cały obóz pobudził. Ale słuchaj... - Karol spojrział na przyjaciela. - Nigdy nie widziałem takiego strachu w czyichś oczach. Wyglądał tak, jakby wyrwał się śmierci.

Zapadła cisza, przerywana stukotem drzwi od szafek oraz rozsuwaniem i zasuwaniem zamków w torbach.

- Ale to są śmiecie - burknął w końcu Gabriel. - I co się z nimi stało?

- Robercik resztę nocy przesiedział u Grzyba, a z samego rana wrócił do domu - wyjaśnił Hubert.

- Trener też miał przypał - dodał Tomek. - Nie dość, że matka Robercika prawie go rozszarpała, że dzieciaków pilnować nie umie, że traumę syn mieć będzie, to jeszcze oberwało mu się za złamany nos Kuby.

- A Bartek z bandą chodzili dwa tygodnie uchachani, chociaż codziennie pilowali dodatkowe pięć kilometrów dookoła jeziora. Pan Stefan ich na rowerze pilnował - wyjaśnił Hubert.

- Tylko Kuba chodził markotny, bo się uśmiechać przez ten nos nie mógł - spuentował zjadliwie Karol.

- Ktoś powinien dać im nauczkę - warknął Gabriel. Z torby wyciągnął stertę kolorowych gazetek „Bravo Sport”.

- O, Gabe, będę mógł poczytać? - spytał Tomek, a oczy mu się aż zaświeciły.

- Ty też nie masz z nimi lekko - zauważył Hubert.

- Może. Ale przynajmniej jestem z wami w domku.

- To małe gnojki są, my nie damy ci nic zrobić, Gabriel - zapewnił Karol.

- Dokładnie, nie damy.

Gabriel się uśmiechnął, w jego dwukolorowych oczach zatańczyła iskierka radości. Przybił piątkę z każdym z chłopaków i poszedł pod prysznic. Tomek pożyczył sobie jedną z gazetek i zaczął ją wertować. Hubert wyciągnął zafoliowaną kanapkę: czuć było od niej bananem; Karola skreśliło na sam zapach. Zerknął na zegar ścienny. Do zbiórki mieli jeszcze pół godziny, wyciągnął więc Game Boya, żeby zająć się czymś w tym czasie.

OBECNIE

Pomimo, że Karol zbliżał się już do czterdziestki, jego zamiłowanie do elektronicznej rozrywki nie ostygło. Wręcz przeciwnie – coraz lepsze możliwości finansowe i ciągły rozwój technologii sprawiały, że był zawsze na bieżąco z nowinkami. Matka, kiedy już się pojawiała na Bielanach u syna, rozpoczynała swoją tyradę od narzekania na Bogu ducha winny „czarny prostokąt ze skosami”, jak nazywała PlayStation Karola. Że to złą energią emanuje, że czas zabiera, że wzrok psuje.

Na pytanie, czy telewizja nie robi dokładnie tego samego, zmieniała temat i obierała sobie za punkt honoru doprowadzenie mieszkania do stanu używalności.

To wszystko przeleciało Karolowi przez głowę, gdy odczytał w niedzielę esemes od matki, której minął pierwszy etap złości za zarzucany klomb. zaproponowała, że może wpadnie po południu, odwiedzi go, pomoże trochę. Znał te scenariusze tak dobrze, jak wyświechtany egzemplarz „Focusa”, który leżał na półce w toalecie.

[Karol]: Przepraszam mamó, ale nie ma mnie w domu. Może w przyszłym tygodniu, okej?

[Mama]: ok.....

Westchnął. Powielony wielokropek miał wzbudzić w nim poczucie winy. I po części wzbudzał. Doskonale wiedział, że nie ma nikogo poza rodzicami, a oni - nikogo poza nim. Bardzo często wkurzał się na matkę i jej nadopiekuńczość oraz na ojca, który sprawiał wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. Karol nigdy nie sprawował się jak idealne dziecko, a gdyby nie piłka nożna, po zniknięciu Maślińskich najprawdopodobniej skończyłby pod Nastką - jak Mieszko i reszta zgrai. Wzdrygnął się na samą myśl.

Koło południa, po rozegraniu kilku meczów w sieci (*Gdzie, do cholery, jest Yush? Dwa dni go nie ma!*), odkleił się od konsoli, aby rozciągnąć zeszywniałe mięśnie. Stwierdził, że zgłodniał, ale jak na złość w lodówce zastał tylko światło, ponadto przypadała akurat niedziela bez handlu, do tego w majówkę. O wycieczce do sklepu nie było mowy. Ostatecznie wszedł w Internet i wybrał na chybił trafił coś z oferty wynosowej pobliskiej chińskiej knajpy.

Lustro w przedpokoju przypomniało mu o jego opłakanym stanie - spuchnięty nos ze szramą na środku, fioletowe plamy sińców na policzkach, gardło zaklejone sporym plastrem. Do tego miał na sobie sprane, krótkie spodenki, więc na prawej nodze doskonale dostrzegał grubą bliznę, dużo jaśniejszą od reszty skóry. Ciągnęła się spod kolana niemal aż do kostki.

- Wyglądam jak potwór Frankensteina - burknął krytycznie pod nosem.

Wrócił na kanapę, akurat by odczytać nowy esemes od Felicji:

[Felicja]: Dzień dobry! Tak chciałam zapytać, pamięta pan o jutrze? Będzie pan? Przy okazji zapłacimy czynsz od razu.

[Karol]: Tak, najprawdopodobniej wpadnę, będę się odzywał.

[Felicja]: Oooo, to superrr! A, w ogóle, jakiś list był w skrzynce do pana, to jutro przekaże. Do zoba!

Często się to zdarzało. Pomimo wielokrotnego upraszania mnóstwo firm cały czas przysyłało rachunki, oferty i inne mniej lub bardziej ważne rzeczy na stary adres Karola. Przynajmniej informacja o czynszu o czymś mu przypomniała. Pieniądze. Musiał coś w końcu zarobić. Wszedł na pocztę, by sprawdzić, czy Grzyb wysłał mu jakąś propozycję współpracy. Pusto. A szkoda, ponieważ przy dorywczych pracach od Macieja nie wybrzydzał. Czasami występował jako ekspert w telewizji, raz czy dwa poproszono go o napisanie felietonu do magazynu sportowego. Przy tym zleceniu posiłkował się umiejętnościami wynajętego studenta, bo sam nie miał do tego smykałki.

Zerknął na konsolę i z ulgą stwierdził, że Yush w końcu odpisał.

[Yush_Byegne]: O co chodzi z tą bijatyką, co?

Karol w kilku wiadomościach opowiedział mu o pierwszym spotkaniu z Obserwatorem w metrze, podejzeniach co do Łukasza i o tym, jak doszło do tego, że poturbowali go legionieści. Aby wypaść mniej żałośnie, pominął fakt, że jednego z nich znał.

[Yush_Byegne]: Oo, na grubo, stary, pokręcona historia. A ta Magda, dobra laska, co? Podoba ci się?

[Vidmo1981]: Sympatyczna, trzeba przyznać, do pogadania, śmieszna, gra w gry. Dobra kandydatka.

[Yush_Byegne]: Hehehe. To kto wie, może to wasze wspólne śledztwo zaowocuje jakimś bzykankiem?

[Vidmo1981]: Prymityw :D. Wbijaj na arenę, gramy.

Karol do tej pory starał się nie myśleć w ten sposób o Magdzie. W Klapsie wyglądała ślicznie, no i rzeczywiście, rozmowa kleiła się im tak, jakby byli wieloletnimi znajomymi. I te spojrzenia, które mu rzucała. Na samo wspomnienie Karolowi zrobiło się gorąco i coś zakłuło go w podbrzuszu. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był z kobietą. Gdy jego kariera nabierała rozpędu, nie dbał o stałe związki. Dziewczyny pojawiały się i znikwały. Po kontuzji wszystko się zmieniło. Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy na dobre zniknął z boisk. Do trzydziestki jeszcze jakoś to leciało. Potem przestał dobrze wyglądać, pił coraz więcej. Kobiety zaczęły omijać go szerokim łukiem, a ostatnimi czasy, jeśli jego potrzeby brały górę, korzystał z płatnych usług. Było to upokarzające i po fakcie czuł się jeszcze gorzej niż przed, ale stracił animusz, nie potrafili wejść do baru i zagadać.

Tak przynajmniej sądził do piątku. Chociaż pojawił się tam w zupełnie innej sprawie. *Może to był ten klucz do sukcesu? Że nie szedłem tam z myślą, że to randka?* - zamyślił się, wymieniając podania z Yusem.

Musiał jednak przerwać rozważania, bo w wyjątkowo głupi sposób stracił piłkę, przeciwnicy wyprowadzili kontrę i zdobyli bramkę. W przerwie Yuse go dobrze ochrzani za tę akcję. Pochylił się, złapał mocniej pada, skoncentrował się i jeszcze przed końcem pierwszej połowy strzelili dwa gole.

Z zadowoleniem oparł się o kanapę, czekając, aż Yuse i kapitan przeciwnej drużyny wprowadzą korekty w składach.

W mieszkaniu zabrzmiał dzwonek domofonu. Karol w pierwszej chwili się spał, ale przypomniał sobie, że przecież zamawiał chińszczyznę. Idealnie się złożyło, przerwa w grze jeszcze trwała. W pośpiechu odebrał styropianowe opakowanie owinięte w folię i wręczył dostawcy odliczoną kwotę, za co ten pożegnał go chłodnym spojrzeniem.

Postawił jedzenie na blacie kuchennym i mimochodem zerknął w kierunku lodówki, marszcząc brwi.

Zawartość zamrażarki szalenie go do siebie przyciągała.

Kiedy stracił możliwość gry w piłkę, postanowił spróbować nielegalnych używek, za których spożycie groziłaby mu natychmiastowa dyskwalifikacja. Albo i więzienie. Szybko się przekonał, że nie sam z siebie był takim odpowiedzialnym człowiekiem, zawsze punktualnym, schludnym i grzecznym. Takim czyniły go klub i zasady, do których musiał się stosować. Wpadł więc w niemal dwuletni cud. Próbował wszystkiego, co nawinęło się pod rękę. Jakimś cudem nie siadło mu wtedy serce ani nie zawiesił się gdzieś pomiędzy jamą a snem. Kiedy środki na imprezy drastycznie się skurczyły, stracił przyjaciół, za to odzyskał jakiś rozsądek; wrócił do Polski, gdzie musiał odnaleźć się w nowym-starym otoczeniu.

I tak oto została jedynie zamrażarka. Karol czasami wyobrażał sobie, że w środku zamiast oszronionych ścianek jest ciemna, śluzowata breja. Wydostaje się na zewnątrz, oblepia wszystkie ściany, zrywa obrazy i koszulkę reprezentacji. Pożera telewizor i konsolę, mlaskając przy tym obrzydliwie. Zbija szyby i zasysa do swojego wnętrza widok obdrapanego bloku z naprzeciwnka, absorbuje całe światło. A na końcu zżera Karola, który nerwowo przebiera palcami, jeszcze próbuje się oprzeć, ale ostatecznie i tak wie, że jest na przegranej pozycji. Tylko ten jeden raz, ostatni, czemu nie.

[Yush_Byegne]: Ejejej, jesteś tam? Dawaj, akceptuj i gramy, kurde!

[Vidmo1981]: Już, już, dawaj.

Karol usiadł na kanapie z przygotowanym na szybko drinkiem i złapał pada. Ciemna breja schowała się z powrotem

do zamrażarki. Przynajmniej na razie. Dobrze wie, że tego wieczoru znowu wygrała.

TYMCZASEM

Korony drzew srebrzyły się od księżycowego światła. Rozklekotany volkswagen golf sunął ulicą Główną, by opuścić Zabynijcz; minął Stadionową i wjechał do Czarnego Lasu. Żółte światło z okrągłych reflektorów tonęło w podziurawionej jezdni. Koła podskoczyły na wtopionych w jezdnię szynach – jedynych, jakie się uchowały ze starego torowiska. Po kilku minutach drzewa się rozstąpiły. Główna prowadziła po lekkim wzniesieniu, a usiane po obu jej stronach stawy rybne, odbijające w sobie granatowe niebo, dawały złudzenie jazdy tuż nad powierzchnią wody.

- Szlag - zaklął pasażer, grzebiąc pod fotelem. - Spadła mi zapalarka. Posprzątałbyś tu. Butelki, śmieci, nawet gaśnica, no masakra.

Kierowca nie zwracał uwagi na utyskiwanie towarzysza. Podrapał się po łysinie. Mrużył oczy i wbijał wzrok w kiepsko oświetloną ulicę. Pasażer westchnął, potrząsnął puszką. Pusta. Uchylił okno korbką, szyba zaskrzypiała. Wyrzucił puszkę na pobocze, a do środka wpadło świeże, leśne powietrze. Odpalił papierosa, wyciągnął paczkę w stronę kierowcy, a ten po chwili wahania się poczęstował. Zapalniczka błysnęła dwa razy, kłęby dymu rozniosły się po samochodzie.

- Czemu akurat dzisiaj, Mieszko? - odważył się spytać kierowca. - Powoli kończą mi się wymówki dla żony.

Mieszko parsknął śmiechem i sięgnął do kieszeni po wódkę smakową, skrytą w przedniej kieszonce flanelowej koszuli.

- Teraz się tym martwisz, Jasło? - warknął, gdy uraczył się sporym łykiem. - Dobrze wiesz, dlaczego jesteś skazany na mnie, co nie?

Cezary Jasło rozumiał. Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Skręcaj tu - nakazał.

Czarek wykonał polecenie. Golf zjechał w zarośniętą ścieżkę po drugiej stronie lasu i stawów rybnych. Zwolnił do dwudziestki; po ostatnich deszczach trawy wyjątkowo urosły. Sięgały niemal lusterek bocznych i zasłaniały całą widoczność.

- No więc? - Czarek nie odrywał wzroku od wąskiej ścieżki, aby przypadkiem nie wpaść na wystający z ziemi korzeń. - Czemu akurat dzisiaj? Nie minęły jeszcze dwa tygodnie.

Mieszko beknął; w samochodzie rozszedł się zapach przetrawionego alkoholu.

- Słyszałem plotki.

Czarka zmroziło. *Kurwa, ktoś się dowiedział, pójdzie siedzieć, a ja razem z nim... Kurwa, kurwa.* Zmusił się do zachowania spokoju i spytał:

- Jakie?

- Ratajowa się żaliła Wdowie Bańce, że jej wnuki pobrudziły nowe spodnie, że szwendają się gnojki po lesie same w nocy. I że ponoć widziały ducha.

Oderwał wzrok od kierownicy z nadzieją, że wyczyta coś z twarzy pasażera. Mieszko miał nieodgadnione spojrzenie. Czarek pomyślał, że dopóki nie przekroczy pewnej granicy w piciu, widać w nim chłopaka sprzed trzydziestu lat, który chodził razem z nim, Kubą i Bartkiem do jednej szkoły, do starszego rocznika.

- Myślisz, że uciekł? - spytał w końcu.

- Jeśli tak, to jest to, kurwa, twoja wina - warknął i wypił do końca wódkę. Butelka poszybowała przez okno. - Zamknąłeś wszystko, tak jak kazałem?

- Tak mi się wydaje. - Jasło przełknął ślinę.

Nie był pewien, czy zamknął leśniczówkę. Przyjechali, jak w co drugi piątek, w nocy. Mieszko był tak napruty, że aż nieprzytomny. Czarek sam musiał nosić wszystkie skrzynie z pasztetami i mielonką, chlebem, zgrzewkami wody. Już wiele razy zastanawiał się, skąd ten pijaczyna ma na to pieniądze, lecz biorąc pod uwagę jego wybuchowy temperament, wolał nie pytać. Nic nie wyglądało tutaj na legalne interesy.

- Uważaj! - zawołał Mieszko, kiedy najechali na spory korzeń. Zawieszenie golfa aż zapiszczało. - Co z tobą?

- Nic, nic. - Czarek nachylił się nad kierownicą i przypominał sobie dalej.

Zaniósł wtedy skrzynie pod drzwi leśniczówki, otworzył kłódkę, odłożył ją wraz z kluczykiem na framugę. Wniósł wszystko do środka i wyszedł szybko, prawie potknął się o własne nogi. Mieszko spał w samochodzie. Więc tak, możliwe, że nie zamknął drzwi.

Podjechali pod górkę, zrobili nawrotkę u jej stóp i Czarek zatrzymał golfa. Zgasił silnik i wyłączył światła.

- Jest - westchnął Mieszko z wyraźną ulgą.

Maślane światło lepilo się do zabrudzonych okien. Dachówka z azbestu pokryła się grubą warstwą mchu, a dzięki ceglanej podmurówce leśniczówka wyglądała masywniej. W nocy śmiało można by ją pomylić z chatką wiedźmy.

- Bo wiesz, gdyby zniknął - zaczął groźnie Mieszko, kiedy zabrali już skrzynie i nieśli je w kierunku leśniczówki - musiałbym cię zabić.

Zaniósł się piskliwym śmiechem tak, jakby opowiedział najlepszy kawał, lecz Czarek miał nieprzyjemne wrażenie, że

Pełko nie żartuje. Przełknął nerwowo ślinę i gdybanie odłożył na później.

Teraz musiał wejść do środka i znów patrzeć na to, co zrobili z Bartosza Czekaja.

19

OBECNIE

Wielką zaletą braku rozbudowanych relacji międzyludzkich było to, że nie dało się przed nikim zbłąźnić. Karol miał co do tego pewność jeszcze kilkanaście minut temu. Teraz w jego ociężalej głowie krążyły zupełnie inne myśli, ponieważ kiedy przeczytał po raz enty, co wczoraj nawypisywał do Magdy, dopadł go straszliwy moralniak, najgorszy z możliwych kaców.

[Magda]: Hej, marynarzu, jak rejs? Bo widzę, że wczoraj nieźle popłynąłeś :D No, ale dziękuję za komplementy, tylko musisz trochę popracować nad ich estetyką. Jeszcze się wyrobisz. Dziś poniedziałek, wracam do robo, postaram się coś wyśledzić. Pozdro ;)

Gorąco, które zalało Karola, wyjątkowo nie za wiele miało wspólnego z wypitym alkoholem.

- Co za wstyd - westchnął przeciągle i wyłączył telefon.

Żywił nadzieję, że codzienna rutyna zagłuszy to okropne uczucie wstydu, które ścisnęło jego żołądek. Po porannej toalecie sprawdził ponownie maila; żadnych ofert od Macieja, za to przyszedł rachunek za telefon i Internet. Opłacił wszystko, bo wieczorem miał otrzymać czynsz. Zabrał się

nawet za porządki, i to pomimo potwornego bólu w nodze, który mógł zwiastować nadchodzącą zmianę pogody.

I rzeczywiście, burza miała dopiero nadejść.

Na placu Wilsona pojawił się kwadrans przed wyznaczoną godziną. Wystarczająco dużo czasu, aby nabyć wódkę w Żabce, a do mieszkania dotrzeć z akceptowalnym pięciominutowym spóźnieniem. O tej godzinie w okolicy można było spotkać elegancko ubrane pary śpieszące się do pobliskiego teatru, młodzież biegnącą z dzikim krzykiem do parku, rodziny z dziećmi odpoczywające w ogródkach restauracji. Po wyjściu ze sklepu Karol zostawił plac za sobą i ruszył na domówkę. Po chwili stał już pod klatką.

- Proszę, proszę, panie Karolu! - zaszczebiotała w domofonie Felicja. Klik. Dzyń windy. Szczęk zamka. Uśmiech Felicji. I nagle znalazł się w zupełnie obcym wymiarze.

Poniedziałkowe imprezy, kurwa, chyba nigdy nie wiedziałem, jak dobrze je robić - pomyślał, obserwując co najmniej trzydziestoosobowy tłum, przelewający się z pokoju do salonu, z salonu do kuchni, z kuchni do ubikacji. Połowa dziewczyn ubrała się - tak przynajmniej sądziły - w rockowym stylu, czyli w dżinsowe szorty i koszulki Nirvany, Metalliki, Rolling Stonesów. Druga połowa wystroiła się w kuse sukienki, umalowała najdroższymi kosmetykami i zrobiła idealne fryzury. Wśród płci męskiej przeważali skejci „nowej szkoły”, z dłuższymi włosami, w luźnych koszulkach i za ciasnych spodniach. Prawdopodobnie przy pierwszym kontakcie z deską boleśnie zweryfikowałyby ich ziemia. W mniejszej liczbie przewijały się drobne cwaniaczki w streetwearowych ciuchach oraz kilku długowłosych, ubranych na czarno metalowców, którzy wyglądali na autentycznie zagubionych.

Wszyscy tak niesamowicie unikalni, jak połowa społeczności Instagrama.

- Proszę, przyniosłem coś w gościnę.

Felicja spojrzała zaskoczona na butelkę wódki.

- Panie Karolu! Nie trzeba było, to w końcu pana mieszkanie.

- Już bez tego pana, Karol wystarczy.

- Ależ pan... to znaczy, to bardzo miłe. Zaniesiesz może ją do kuchni? A ja przedstawię cię współlokatorkom.

I nie czekając na potwierdzenie, wbiegła do salonu. Karol wzruszył ramionami i skierował się do kuchni. Schował butelkę do zamrażarki, a następnie otworzył lodówkę, całą w magnesach, i zlustrował jej zawartość: na jednej półce kilka styropianowych opakowań po jakimś żarciu, na drugiej - starannie poukładane pudełeczka z przygotowanym jedzeniem. Dwie pozostałe półki i szuflady zawałone piwem. Karol od razu wyciągnął pierwsze z brzegu, pszeniczne. Butelka otworzyła się z sykiem. Do kuchni wpadła parka rozchichotanych pseudorockowych dziewczyn, ale kiedy zobaczyły Karola, zmieszały się, spojrzały na siebie i wycofały się do salonu. Chwilę później wróciła Felicja ze swoimi współlokatorkami.

- Jesteśmy - zaszczebiotała. - To jest Ola, a to Kasia, a to, dziewczyny, jest Karol, właściciel mieszkania.

- Miło mi. - Ola uścisnęła mu dłoń. Poprawiła platynową grzywkę, spojrzała niemal z góry na Karola. Wysoka, o smukłych ramionach i prostej postawie, emanowała pewnością siebie. Wyglądała na studentkę AWF-u lub fanatyczkę siłowni, więc pudełka z lodówki prawdopodobnie należały do niej. Wszyscy sportowcy dbają chociaż o pozory diety.

- Cześć. - Kasia przyglądała się Karolowi z uchylonymi ustami, jakby czekała na to spotkanie od dłuższego czasu. Spodobały mu się jej azjatyckie rysy twarzy i czarne jak smoła włosy, długie aż do pasa.

- Miło mi was poznać - odparł Karol, kiedy formalnościom stało się zadość.

- Znasz najważniejsze osoby, resztę ogarniesz w międzyczasie - powiedziała Felicja. Zerknęła na trzymany przez niego alkohol. - Jesteś już uzbrojony, jak widzę, chodźmy do salonu, chłopaki kręcą blanty.

Weszli do salonu, utrzymanego w minimalistycznej konwencji, tak jak Karol sobie niegdyś wymarzył. Białoszare ściany, czarna kanapa, kilka dyskretnych regałów, stół z czterema krzesłami. Naprzeciwko kanapy płaski telewizor. Jedyne kolorowe elementy wystroju stanowił obraz powieszony przez Felicję - feeria barw niewiele mająca wspólnego z realnymi kształtami. Karol nie miał pewności, do jakiego nurtu się to łąpie.

Takie zagęszczenie ludzi na metr kwadratowy nieco go paraliżowało, nie pamiętał, kiedy ostatni raz uczestniczył w podobnej imprezie. Pozostali goście poruszali się w tłumie jak ryby w wodzie - studenci we krwi mają życie na małej przestrzeni. Pełne kampusy, sale zajęciowe, zapchane i zadymione puby, pokoje wynajmowane we trójkę. I nie wyglądało na to, aby komukolwiek to przeszkadzało. Wszyscy potrzebują mieć kogoś obok, aby pogadać, pośmiać się, napić piwa. Imprezy takie jak ta były niczym odsiew: do sita wrzucało się przypadkową ludzką masę, a w okolicach porannych już dało się stwierdzić, kto znalazł nowych kompanów, kto jest na marginesie społeczeństwa, kto nie powinien pić aż tak dużo, a kto jest zbyt pruderyjny.

Karol rozsiadł się na kanapie, ludzie przewijali się dookoła jak nakręcone zabawki.

- Siema, ziomal!

Z rozważań wyrwał Karola jeden z cwaniaczków. Ścięty na jeża, z wodnistymi oczami, ubrany w granatowe polo z wyszytym krokodylkiem.

- Siema - przywitał się Karol, biorąc łyk piwa.

- Kto ty, ojciec Felicji?

Prawie zachłysłnął się pianą.

- Nie, cholera - zaprzeczył. - Jestem właścicielem mieszkania.

- O, no co ty gadasz! Też tu mieszkasz?

Pokręcił głową.

- Felicja mnie zaprosiła. A ty co za jeden?

- Ja, proszę cię bardzo, jestem Szczypior.

- Szczypior - zaśmiał się, ale szybko przestał, aby nie urazić rozmówcy. - Karol.

- Graba. Impreza na razie sztywniutka, rozrusza się pewnie jak chłopaki z UW przylecą.

- A to nie wszyscy? - Rozejrzał się niepewnie po mieszkaniu. Impreza wyglądała już na dobrze rozkręconą.

- No co ty! - Szczypior przewrócił oczami. - Jeszcze kilka mordek wpadnie.

- Skoro tak twierdzisz. - Starał się nie przejmować, ale kiedy widział taki tłum deptający jego panele, coś skręcało go od środka. Postanowił zalać to alkoholem.

Szczypior wstał i wmieszał się w towarzystwo.

- Zaraz wracam, ej, ej! Poczekajcie!

Z jednej z sypialni poleciała muzyka; miękki bas rozlewał się po mieszkaniu, ujarzmiając trochę rozbieganych ludzi. Na kanapie obok Karola wylądowały zniecka trzy osoby: młoda, krótko ostrzyżona dziewczyna w koszulce Nirvany, chłopak z gęstymi rudymi włosami i rzadką brodą oraz Szczypior, który w ręce trzymał zmrożoną butelkę wódki i kieliszki.

- Karol! Napijesz się z nami? Hej, ziomki, to jest Karol.

- Weronika. - Dziewczyna posłała mu krótki uśmiech, machnęła ręką i skupiła się na polewanym alkoholu.

- Arek jestem. - Rudy uściśnął dłoń Karolowi. Miał ciężki, głęboki głos, niepasujący do kruchej i wątlej postury.

Szcypior rozdał każdemu po pełnym kieliszku i wzniosł swój, rozlewając trochę alkoholu na stolik z Ikei.

- No to za sesję! - wydarł się. - Żeby łatwo było ściągać.

Wypili i zabrał się od razu za polewanie drugiej kolejki.

- Co ci się stało? - Weronika wskazała na poharataną twarz Karola.

- Pojawiłem się w złym miejscu o złym czasie.

- Znam to - wtrącił się Arek. - Przez te kudły, wielu mówi, że jestem ciągle w złym miejscu.

- Jakbyś znał Warszawę, tobyś nie chodził, gdzie nie trzeba - dodał Szcypior, rozdając kieliszki. - Bo Arek to jest z Lublina. Na studia przyjechał i wiesz, gdzie wynajął mieszkanie? - Spojrzał na rudzielca. - No, powiedz gdzie.

- Na Pradze Północ - odparł cicho, lecz i tak zabrzmiało to jak grzmot.

Szcypior się zaśmiał, a Karol uśmiechnął się wraz z nim. Faktycznie, chociaż Warszawa szła z duchem czasu, akurat ta dzielnica wciąż była dość hermetycznie zamknięta i lokalni strażnicy podwórek potrafili zająć się nieproszonymi gośćmi.

- No, to niefortunnie wybrałeś dzielnicę. Ale nie Szmulki?

Szmulowizna miała zdecydowanie najgorszą opinią.

- Nie, chyba nie. Bliżej Wybrzeża Szczecińskiego.

- To lepiej - przyznał Karol, podnosząc kieliszek. - To za to, abyśmy zawsze byli we właściwym miejscu.

Wypili. Wódka zaczynała rozgrzewać. Karol rozejrzał się dookoła; ludzie stali na balkonie i palili papierosy, kilka osób zaanektowało stół i krzesła, ktoś majstrował przy telewizorze, głośne śmiechy i rozmowy sugerowały, że w kuchni jest więcej osób, niż jest ona w stanie pomieścić. Z pokoju obok leciała już inna muzyka - kawałek z lekkim bitem, przeplatanka rapu z elektroniką, a gość na woku co chwilę się zaciął i mamrotał tak, że trudno było poznać, w jakim języku śpiewa.

- Skąd znacie Felicję? - spytał Karol.

- Ja akurat jestem od Olki - wyjaśniła Weronika. - Studiujemy razem na dziennikarstwie, a Felkę poznałam już tutaj.

- Będziesz sprzedawać historyjki do „Faktu”? - zaśmiał się Szczypior.

- Czemu nie. - Wzruszyła ramionami i spojrzała na paznokcie. - Plotki sprzedają się najlepiej.

- Ja to poznałem Felicję na Woodstocku - powiedział Arek.

- Na Woodstocku? Serio? - Karol zaczął odruchowo szukać dziewczyny wzrokiem. Nie wyglądała na taką, co by jeździła na imprezy tego typu.

- Serio, serio! - Szczypior roześmiał się tak głośno, że aż nim zarzuciło. - Też tam byłem, powiedziałaś?

- Nie - przyznał.

- Widzisz, bo ludzie myślą stereotypami. - Szczypior wyszczerzył się i gestem ponaglił, aby podali mu kieliszki. - A na Woodzie jesteśmy od tego wolni. Liczą się tylko muzyka, dobra zabawa i mordki dookoła.

- Brzmi utopijnie.

- Hipisi do tego dążyli - ciągnął Szczypior. - Ich oryginalny amerykański festiwal stał się taką utopią. Cały ruch antywojenny, wszystkie ich protesty, eksperymenty z LSD i seksem - podał kieliszki - to było szukanie siebie w świecie, którego nie akceptowali. W zasadzie cała kontrkultura lat sześćdziesiątych dążyła do tego jednego momentu: do Woodstocku w sześćdziesiątym dziewiątym. Po tym wydarzeniu, a zjechało się na nie w chuj ludzi z całych Stanów, zaczęli się pomalutku rozpadać. Osiągnęli swoje katharsis.

- Skąd to wszystko wiesz? - Arek zmrużył oczy.

- Lubię czytać. - Szczypior wzruszył ramionami.

- Ludzie, ludzie! - Głos Felicji przeciął powietrze. - Kto chce zajarać?

- Pijemy, obowiązki wzywają! - Szczypior wychylił kieliszek i ruszył za dziewczyną. Arek i Weronika poszli w jego ślady.

Karol odpuścił. Zielsko działało na niego zbyt depresyjnie. Wstał z kanapy, do której zdążył się już niemal przykleić, i przeszedł do kuchni zapolować na piwo. Już w przedpokoju unosił się duszący aromat marihuany.

Obok lodówki stało dwóch łebków, ubranych podobnie do Szczypiora, oraz jeden z kolegów Arka; blondyn w koszulce Toola, z rękoma pokrytymi czarnymi, klasycznymi wrzutkami. Jeden z łebków, pryszczaty z oczami jak pięć złotych, darł się do blondyna:

- Nie pierdol! To gitary są tak kurewsko drogie?

- Wiadomo, to zależy od modelu, od drewna, ale potrafią kosztować po kilkanaście tysięcy.

- Kurwa, Rafiki, mogliśmy skroić...

Rozmowa się urwała, kiedy zobaczyli Karola.

- Nie przerywajcie sobie, ja po piwo. - Na potwierdzenie swoich słów wyciągnął butelkę z lodówki. Otworzył kapsel kluczem. - Zdrówko.

Stuknęli się szkłem: łebki też piwami, a blondyn - szklaneczką z whisky.

- To na czym to stanęliśmy... - zaczął łebek, ale w słowo wszedł mu blondyn, który przyglądał się Karolowi.

- Skądś pana znam - zagaił.

- Tak?

- Widziałem pana gdzieś, w jakiejś gazecie.

- Kto to, celebryta? - spytał Rafiki.

- Coś ze sportem? - Wytatuowany strzelał dalej.

- Bingo - przytaknął Karol. - Ale nic nie ułatwię, od razu mówię.

- Ty, czekaj, ja już wiem! - Na twarzy Rafkiego pojawiło się zrozumienie, które w jego stanie balansowało gdzieś na granicy ekstazy. - Pan jest Widmowski! Ten piłkarz. Mój ojciec pana uwielbiał, do dziś chodzi i narzeka, że gdyby nie tamto niemieckie bydło, to mielibyśmy w Polsce piłkarza na miarę Ronaldinho. Albo i lepszego.

- Bez przesady - odparł obojętnie Karol, chociaż czuł się mile polectany. - Ale na pewno jeszcze chwilę bym pograł.

- No właśnie, były piłkarz, Widmo. - Teraz i u blondyna pojawił się uśmiech, ale kryła się pod nim złośliwość. - Ja z kolei czytałem, że był pan polskim Maradoną.

Karol się spiął. Wróciła do niego łąka, którą kiedyś przypiął mu redaktor Kidys. Spojrzał na blondyna - z krzywym uśmiechem, drwiącymi oczami i okrągłymi policzkami wyglądał jak żaba gotowa do skoku. Kutas. Już go nie lubił.

- Chuj z Maradoną, on przy naszym Widmowskim to leszcz! - wtrącił się przyszczaty, choć nie za bardzo wiedział, o czym właściwie rozmawiają.

- Ale porównania do Maradony były po zakończeniu kariery. Grube imprezy, narkotyki, prostytutki. A ostatnio to ktoś wrzucił nagranie do sieci, jak awanturuje się pan w jakimś biurze, mam rację?

Widmowski poczerwieniał. Sam był sobie winien burdy w AEGamez, ale nie sądził, że tak szybko dostanie rykoszetem. Posłał chłopakowi groźne spojrzenie.

- Masz, ale coś do mnie, o chuj ci chodzi?

- Absolutnie o nic. - Blondyn udał skruczę, lecz złośliwy uśmieszek nie zniknął z jego twarzy. - Po prostu zastanawiam się, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy pańska legenda.

Karol odepchnął się od blatu i stanął tuż obok wytatuowanego. Był od niego dobrą głowę wyższy, a ten jakby nagle się skurczył, lecz nie odwrócił wzroku. Czuł się nadal

pewnie. Bo co złego może się stać na imprezie u koleżanki? Ale to Karol był u siebie.

- Zastanów się czasami, co mówisz - wycedził. - Bo twoja legenda nie zdąży się zacząć.

Pchnął go w pierś. Nie za mocno, ale chłopak i tak przeleciał przez pół kuchni i wpadł na przeciwległą ścianę. Karol uśmiechnął się z nieskrywaną satysfakcją. Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, złapał piwo i wrócił do salonu, który był teraz zajęty przez ujarany, rozchichotany tłum. Dym nie ulotnił się jeszcze przez okna, delikatnie unosił się pod sufitem. Karol poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię.

- Hej! - To Felicja, upalona jak bąk, z błogim uśmiechem na twarzy. - Bo później zapomnę. Kasa za czynsz, a tutaj ten list, o którym ci wspominałam.

- Dzięki.

Pieniądze wyciągnął i schował od razu do portfela. Przyjrzał się drugiej kopercie. Nadawcy nie było. Złożył ją na pół i włożył do kieszeni.

Impreza toczyła się swoim tempem. Ktoś włączył filmiki na YouTube, które wszystkich rozbawiały. Karol okupował fotel w rogu salonu i robił przebieżki na zmianę do lodówki i toalety. Do studenckich rozmów włączał się sporadycznie.

Rozległ się dzwonek. Ola, która leżała wyciągnięta na szarym pufie w kącie pokoju, przyklejona do smartfona, zerwała się z piskiem. Otworzyła domofonem drzwi na podwórko, potem do klatki i czekała w progu mieszkania.

- Cześć, misiu!

Witała się z kimś bardzo namiętnie, niemal wieszała się na chłopaku, który był jej wzrostu, a może odrobinę niższy.

- O, przybieżeli do Betlejem! - Szczypior wyłonił się z łazienki i trzasnął drzwiami. Nie wyglądał, jakby palił; ruchy miał zbyt elektryczne, starał się być w nich oszczędny, ale

wyraźnie rozpieęła go energia. Podszedł do chłopaka Oli. W półmroku korytarza Karol jeszcze nie był w stanie go zobaczyć. Szczypior wyszeptał coś do nowo przybyłego, zbili piątkę i weszli do salonu. Pociągnął go od razu w stronę Widmowskiego.

- Karol, to jest moja mordzia, a także gach Olki, Ernest, poznajcie się.

Ernest wyglądał na bardzo bladego. Może to przez kontrast z jego czarną koszulką, ale i tak wyróżniał się z tłumu. Do tego oczy miał otwarte szerzej niż Szczypior. Ucisnął niepewnie dłoń Karola, a na ustach zatańczył wymuszony uśmiech, jednak nie taki jak u blondyna w kuchni; ten Ernesta podszyty był lękiem.

Dziwny typ.

- Ernećcik jest dziennikarzem, wiesz? - ciągnął niezrażony Szczypior i zabrał wódkę nowym okupantom kanapy pomimo ich protestów. Zaciągnął towarzyszy do stołu w rogu salonu. Karol dostrzegł kątem oka, że naburmuszona Olka z założonymi rękoma obserwuje ich z drugiej strony pomieszczenia. Chyba liczyła na to, że Ernest zajmie się nią, a nie popijawą z kumplami.

- Niewdzięczna robota - rzucił obojętnie Karol, byle tylko coś powiedzieć. Czekał już na odpowiedni moment, aby się stąd wyrwać. Dochodziło wpaół do jedenastej.

- I to jak - przyznał Szczypior. - Ale Ernećcik się nie poddaje, prawda? To jaki masz teraz temat, co mordzia?

Zaczął nalewać wódkę, dając czas koledze na odpowiedź.

- No, to znaczy, no wiesz, nic ciekawego, takie różne... - Słowa zdecydowanie nie słuchały się Ernesta. Spłoszony wzrok sugerował, że wolałby być gdzie indziej, ale Szczypior w ogóle tego nie dostrzegał.

- Nie bądź taki skromny, Ernećcik. - Wbił wzrok w Karola. - To naprawdę dobry felietonista. Do „Newsweeka” pisał. Do

„Wyborczej” wysyłał. Publikowali go w „Playboyu” i „Przekroju”. Naprawdę niezłe jak na studenta trzeciego roku.

- Faktycznie, niezłe portfolio.

- Chluśniem, chluśniem, panowie, bo i tak nie zaśniemy.

Wypili więc.

- Przepraszam was, ja muszę, ten, do Oli, czekała na mnie - wydukał Ernest, niezgrabnie wstając od stołu. Karol skwitował to skinieniem głowy, a Szczypior tym razem też odpuścił.

Ze zgrzytem dosunął zatem krzesło na swoje miejsce, odwrócił się na pięcie i ruszył do obrażonej Oli.

- Ten Erneścik to przy okazji wielki fan Avengersów, zobacz, jaki tatuaż sobie jebnął, fanatyk jeden...

Karol spojrzał mimochodem i zamarł. Na łydce Ernest miał wytatuowaną złoto-czerwoną maskę. Iron Man - ikona Marvela, a nie żadne maski greckie, azteckie czy antyczne. Jak mógł na to nie wpaść? Ciśnienie skoczyło mu momentalnie. Zerwał się z krzesła i ruszył do Ernesta.

Dlatego był taki spięty. Poznał mnie. Zresztą, jak mógłby nie poznać? Dobrze musi znać moją twarz.

- Ola, może pójdziemy do mnie, co ty... - Ernest przerwał rozmowę z dziewczyną, kiedy zbliżył się Karol. Poblądł jeszcze bardziej. Już wiedział.

- Nie widzisz, że rozmawiamy? - burknęła zapłakana Ola.

- Dokończycie to później - warknął i chwycił Ernesta mocno za ramię. Chłopak aż zasyczał. Olka została sama, zaskoczona, z ustami uformowanymi w „o”.

Wyciągnął go na balkon, gdzie paliły rozchichotane dziewczyny, te same, które uciekły z kuchni na jego widok.

- Wypierdalać - huknął wściekle Karol, a one bez słowa wróciły do salonu. Zamknął drzwi i stanął przed nimi tak, aby nie dać Ernestowi nawet szansy ucieczki.

- Widzisz to? - Wskazał na swoją twarz. - To wszystko jest twoją robotą.

- Ja, ja nie wiem... nie wiem, o co chodzi, naprawdę... - Ernest wił się jak węgorz, bezskutecznie szukając drogi ucieczki.

- Nie wciskaj mi kitu. - Podszedł do chłopaka tak blisko, że ten musiał oprzeć się o barierkę. - Nie spodziewałeś się mnie spotkać, prawda? Kim jesteś?

- Dz-dziennikarzem.

- To już wiem. I to dość chujowym, jeśli nie odkryłeś, że twoja laska mieszka w moim mieszkaniu. Czemu mnie śledziłeś?

Chwytał go za koszulkę. Ernest stęknął.

- Maczałeś palce w fałszowaniu strony? O co chodzi z Gabrielem?

W oczach Ernesta niemal pojawiły się świecące znaki zapytania

- Z Gab-Gabrielem? Ja nie wiem, nie wiem nic o nim, ja tylko miałem napisać artykuł, d-do jednego brukowca, miałem coś znaleźć...

- Na mnie znaleźć? - Karol czuł, że jeszcze moment i stanie się coś niedobrego. Irytował go ten chłopak, irytowało go, że zachowuje się jak skarcone dziecko. Brzydził się nim.

- Jakieś brudy, jakieś afery, tak jak wtedy, imprezy, narkotyki w Niemczech... - Ernest w końcu się odblokował i słowa leciały z jego ust jak woda z kranu. - Śledziłem pana, ale nic nie znalazłem, dopiero dostałem cynk o Pawilonach, tam zawsze się coś dzieje, pomyślałem, że tam na pewno...

- Od kogo? - Karol zamarł. *Czyżby Magda?*

- Jest taki gość, ale nie powinienem mówić, nie powinienem...

- Powinieneś, to się zastanowić - splunął za barierkę - czy można przeżyć upadek z czwartego piętra! Są na to szanse, owszem, ale czy warto ryzykować?

Ernest skulił się w sobie.

- To agent piłkarski, czasem za kasę daje dziennikarzom cynki o swoich klientach. Gdzie będą albo z kim. Reszty dochodzimy sami...

Karola zmroziło, a potem poczuł, jakby coś w nim pękało.

- Jak się nazywa? - Zdziwił go spokój, z jakim zadał to pytanie.

Odpowiedź znał, zanim jeszcze padła.

OBECNIE

W poniedziałek po dwudziestej trzeciej Warszawa przypominała miasto duchów. Puste ulice, po których przemykało niewiele samochodów, sporo taksówek, pojedyncze nocne linie autobusów. Pomimo dość ciepłego dnia teraz zawiewało chłodem; wdzierał się nielicznym przechodniom pod ubrania, choć zaplatali ramiona, by zatrzymać odrobinę ciepła.

Maciej Grzybicki wiedział, że już do niego jedzie. Wiedział też, że jest wściekły. Wszyscy na imprezie słyszeli, jak Karol przez telefon groził mu śmiercią. Jak mówił, że dla niego już jest martwy.

Zatrzymali się na światłach. *Ten dziennikarzyna dostanie swój temat* - pomyślał wściekle. Mimowolnie wracał do wydarzeń z sprzed kilkunastu minut. Ernest z podbitym okiem siedział pod ścianą, trzymał się za szczękę. Ola płakała, nie wiedziała, co się dzieje. Z Felicji natychmiast wyparowały wszystkie wypalone blanty, kazała mu się wynosić, bo wezwie policję. Szczypior nadal siedział przy stole, obserwując Karola zafascynowanym wzrokiem. Arek i Weronika gdzieś zaginęli, wytatuowany blondyn uśmiechał się kpiąco, Rafki i przyszczaty osaczyli Karola i odprowadzili go do drzwi.

Wszystko to odtwarzał w myślach jak kasetę wideo. Przyspieszał, cofał, zatrzymywał, wracał, znów odpalał. Dyskretnie napił się wódki, którą trzymał za pazuchą.

Taksówkarz posłał mu spojrzenie mówiące: „Ja pana nie wyrzucę, ale chcę, żeby pan wiedział, że ja wiem. I żeby pan się z tym źle poczuł”.

Karol nie czuł się „źle”. Czuł się paskudnie po akcji na Żoliborzu. Czuł się jeszcze gorzej na myśl o Macieju. Do tej pory sądził, że za moment odbije się od dna. Tylko że na dnię oblały go nieprzyjemne, krępujące ruchy wodorosty.

- Trzydzieści siedem złotych, proszę pana.

Karol nawet się nie zorientował, kiedy dotarli na Służew. Zapłacił kartą, burknął coś w odpowiedzi i wylał się na chodnik przy ulicy Puławskiej. *Skurwiel* - pomyślał za odjeżdżającą taksówką. *Wysadził mnie po drugiej stronie ulicy*. Z przystanku autobusowego cofnął się do przejścia dla pieszych i nie zaczekawszy na zielone, przeszedł pod McDonalda. Spojrzał na wysoki blok, gdzie w większości mieszkań pogaszono już światło.

Jeszcze łyk. Butelkę rzucił do betonowego kosza, lecz nie trafił - odbiła się z hukiem od brzegu i spadła na zarośnięty trawnik. Palilo go w gardle, ale nie wiedział, czy to wódka, czy gorycz. Z każdym kolejnym krokiem czuł, że coraz mocniej go wygina na boki. *Wieje halny* - przypomniało mu się powiedzenie i parsknął śmiechem. Przechodząca obok babuleńka z yorkiem spojrzała na niego z odrazą. Rzucił w jej kierunku niewybredne przekleństwo.

Więcej grzechów nie pamiętał.

Domofon piknął, sygnalizując, że na dole ktoś wprowadził kod. Maciej zaklął pod nosem. „Jednak dojechał” - tak brzmiała wiadomość, którą na wszelki wypadek wysłał do starego znajomego z mokotowskiej komendy. Odblokował drzwi frontowe, wrócił do salonu i nalał whisky do kryształowej szklanki; więcej niż zwykle, a połowę wypił, jeszcze zanim Karol wszedł do mieszkania.

- Maciek, kurwa... Jak mogłeś?

Westchnął. Karol był w strasznym stanie. Chwiał się, instynktownie unikając przenoszenia ciężaru na prawą nogę. Podpierał się o ścianę, dłonie miał brudne. Pewnie się przewrócił po drodze. Próbował utrzymać kontakt wzrokowy z Maciejem, ale wciąż przecierał zaszklone oczy. Nawet stąd czuć było smród alkoholu.

- Co jest? Usiądźmy, pogadajmy. - Grzyb podszedł do niego ostrożnie, zagryzając usta. Z bliska Karol wyglądał jeszcze gorzej; do odniesionych wcześniej obrażeń dołączyła rozcięta warga.

- Ty dobrze wiesz... - Dyszał, jakby skończył właśnie bieg przełajowy. Każde słowo wypowiadał powoli, ale wyraźnie. - Jesteś kapusiem. Wiesz, co z takimi się dzieje?

- Jakim kapusiem, do cholery, Karol?

- Nie rób ze mnie idioty.

Odepchnął się od ściany i na chwilę złapał pion. Zrobił kilka kroków, a potem oparł się o marmurową wyspę w aneksie kuchennym. Złapał butelkę wody i napił się prosto z niej. Maciej nie protestował.

- Dobrze wiesz, sprzedajesz swoich klientów. Kiepsko ci, prawda? - zaśmiał się Karol, wskazując ruchem dłoni luksusowy apartament. - Pieniądz goni pieniądz, tak? Zawsze ci było mało, byleby prowizja się zgadzała.

- Jesteś pijany, może pogadamy jutro? - Zerknął na zegarek. - To nie ma teraz sensu.

- Oczywiście, że nie ma, bo wielki pan agent tak mówi. - Niczym krzemień pocierany o krzemień, twarda nuta zazgrzytała gdzieś w gardle Karola, zwracając uwagę Macieja. - Wiesz co, kurwa, nie ma sensu? Twoja lojalność! Byłeś moim trenerem, potem agentem, sądziłem, że jesteś przyjacielem.

- Bo jestem, Karol, o czym ty gadasz?

- Szują jesteś, i to ostatnią. - Pokręcił głową. - Pismakom mnie sprzedałeś?! To dostali materiału dzisiaj, oj tak, poczytasz sobie. „Nietrzeźwy były piłkarz, a obecnie alkoholik, robi demolkę na poniedziałkowej imprezie w mieszkaniu, które wynajmuje studentkom”. Będiesz dumny, może nawet jakiegoś komentarza udzielisz, co?

- Kończmy, Karol, zamówię ci taksówkę - oznajmił Maciej, próbując wyciągnąć telefon z kieszeni.

To był błąd.

Pierwszy cios przyszedł z zaskoczenia, kiedy siłował się z wąską kieszenią dzinsów. Nie poczuł uderzenia w skroń, które przy okazji rozcięło mu łuk brwiowy. Ciało otrzymało impuls dopiero przy upadku na chłodną posadzkę. Próbował się odczołgać, tak żeby wstać w bezpiecznej odległości, ale nie udało się. Krzyknął z bólu, kiedy Karol spadł mu całym ciężarem ciała na kolana.

Nie wiedział, jak długo trwała szamotanina. Przed pierwszymi uderzeniami jeszcze się bronił, ale Widmowski był jak maszyna napędzana gniewem i alkoholem - walił bez ładu i składu, raz w głowę, raz w tors, pod żebra. Grzybowi brakowało sił, a Karolowi - wręcz przeciwnie.

Maciejowi przeszło przez myśl, że w stosunku do niego popełnił błąd. Nie pierwszy, ale być może ostatni.

DRUGA POŁOWA

KLUB BIAŁYCH ZĘBÓW

MOKOTÓW

Pomimo że koszula lepiała się nieznośnie do pleców, kiedy wysiadał na Dolnej, nic nie mogło zepsuć mu humoru. Trzymał przewieszoną przez ramię marynarkę, w drugiej ręce – aktówkę i pogwizdywał wesoło. Skręcił zaraz w Gierymskiego.

Dostał sygnał. W końcu będą mogli wyjechać. I bardzo dobrze. Od dawna miał zamiar rzucić robotę. A ona, ach, ona ze swoimi boskimi nóżkami i sporą działką na sprzedaż spadła mu jak z nieba.

Cud, nie kobieta – pomyślał, przypominając sobie ich ostatnią noc. I nie tylko. W pracy też potrafili się zabawić. Rok temu, kiedy pojawiła się na rozmowie kwalifikacyjnej, wiedział, że to wyjątkowa osoba. Tajemnicza. Pociągająca. Seksowna. Pieknie inteligentna i do tego cholernie zdolna.

Wklepał kod w domofonie. Pokonywał po dwa stopnie naraz, a po chwili już stał przed drzwiami mieszkania. Wyciągnął klucze z kieszeni i wtedy dostrzegł, że coś jest nie tak.

Drzwi były uchylone.

Przełknął ślinę, analizując, czy mogła wrócić przed nim. Nie. Na pewno nie.

Próbując zapanować nad drżącymi dłońmi, ostrożnie wszedł do środka.

- Halo? - rzucił w przestrzeń, co zabrzmiało wyjątkowo słabo. - Kto tu jest?

Cisza. Przemknął przez korytarz, a gdy wszedł do salonu, omal nie krzyknął.

Na kanapie siedział mężczyzna o imponujących gabarytach. Siwy, z pobrużdżoną twarzą, ubrany w czarny golf. Pozostawał nienaturalnie suchy, pomimo że na zewnątrz panował potworny skwar. Szare oczy spokojnie wlepiły się w nowo przybyłego.

- W końcu - wymamrotał. - Pakuj się i jedziemy.

- Dokąd? - Serce podeszło mu do gardła, a nogi miał jak z galarety.

Nieznajomy westchnął przeciągle.

- Czas na małą wycieczkę. Nie trzęś się tak. - Podniósł dłoń w uspokajającym geście. - To ona mnie przysłała.

Odetchnął. A więc wszystko idzie zgodnie z planem.

- To już dziś? - spytał, maskując ekscytację.

Drab wzruszył ramionami.

- Na to wychodzi. Ja tam nie znam szczegółów. Mam cię przetransportować na lotnisko.

Pokiwał głową, rzucił garnitur na krzesło i poszedł do sypialni spakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Wyjeżdżam - radował się, wrzucając do walizki czystą bieliznę. W końcu. Jeszcze dziś mnie tu nie będzie.

Zniknę raz na zawsze.

1

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Przez pierwsze dni w Kruklankach chłopcy przyzwyczajali się do obozowych zasad. Początkowo narzekali na długie przebieżki dookoła jeziora, małe boisko, niesmaczne jedzenie. A z drugiej strony wykorzystywali każdą możliwość, by popływać w jeziorze, pograć w siatkonogę na boisku do siatkówki czy też w spokojne państwa-miasta.

Trzeciego wieczora odbyło się ognisko, na którym nowi członkowie zespołu mieli przejść tak zwany chrzest: serię prób dla debiutujących obozowiczów. Gabriel od rana wypytywał wszystkich o szczegóły.

- Będziesz musiał pić jakieś świństwo. - Tomek udał, że wymiotuje.

- Rozbierzesz się do naga i na przemian będą lać cię zimną wodą i bić pokrzywami - straszyl Hubert, przeskakując z nogi na nogę.

- Karol, ty mi powiedz: co to będzie? - poprosił w końcu przyjaciela, kiedy siedzieli sami na drewnianej werandzie swojego domku. Ten uśmiechnął się cwaniacko.

- Pijawki będziesz zjadał.

- No chyba żartujesz!

- Jasne, że tak - zarechotał. Rozejrzał się konspiracyjnie dookoła.

- Ale powiem ci jedno, i to powaga: patrz pod nogi.

- Dlaczego? No weź, kurde! - Gabriel domagał się odpowiedzi już niemal z rozpaczą.

- Nie mogę, takie zasady. - Karol udał, że zakłada kłódkę na usta i wyrzuca wyimaginowany kluczyk za siebie. - Ja przeżyłem, to i tobie się uda.

- Nie chcę się wygłupić - szepnął Gabriel. Bał się upokorzenia, zwłaszcza na oczach Szkodników. To by była największa satysfakcja dla ich trójki: pośmiać się z czyjejś krzywdy, a najlepiej dołożyć do tego swoją cegiełkę.

- Twoja mama jest z zagranicy? - Karol zaskoczył Gabriela tym pytaniem. Dłubał coś w szyszce, którą znalazł obok siebie.

- Nie. Z Polski.

- Serio?

- Co cię tak dziwi?

- No bo wiesz... - Karol zaciął się, nie chcąc urazić przyjaciela. - Macie nietypową urodę.

Bał się wybuchu, bo Gabriel był przewrażliwiony na punkcie swojego wyglądu, który przysparzał mu tyle problemów, zwłaszcza ze Szkodnikami. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Mama opowiadała, że jej rodzice pochodzą z Albacete, z Hiszpanii - wyjaśnił. - Ona sama urodziła się już w Warszawie, ponieważ musieli uciekać z kraju...

- Dlaczego?

- W tamtych czasach rządził generał Franco, a on nie lubił takich ludzi jak moi dziadkowie. - Wzruszył ramionami. - Ludzi mądrych. Tak mi tłumaczyła to mama.

- Nigdy nie słyszałem o tym, żeby ludzie musieli uciekać z Hiszpanii - przyznał Karol. - A dziadkowie gdzie mieszkają?

- Dziadek Ignacio zmarł rok po moich narodzinach. Nie poznałem go, ale z mamą jeździliśmy na jego grób. A babcię Maribel pamiętam jak przez mgłę. Po śmierci dziadka wróciła

do Hiszpanii, polski klimat nigdy jej nie odpowiadał. Wpadała czasami na święta, ale ostatnio już nie przyjeżdża.

- No, ale to masz fajnie, możesz pojechać do babci na wakacje. Jak tam jest?

- Gdzie?

- No, w Alabete.

- Albacete - poprawił Gabriel i zaraz dodał: - Nigdy tam nie byłem.

- No co ty? - Zdziwił się Karol. - Dlaczego?

- Mama powiedziała, że kiedyś pojedziemy, ale nie teraz.

- To przez tatę?

Gabriel uniósł brwi w zapytaniu.

- No, nie pozwala wam jechać? Bo wygląda na trochę groźnego.

- Tylko tak wygląda, naprawdę o nas dba - zapewnił Gabriel, może trochę za szybko. - Na razie musimy zostać w Zabynijczu, ale kiedyś wyjedziemy do Hiszpanii, tak obiecała mama. Tata miał problemy w pracy i nie mamy możliwości zrobić tego teraz.

- Jasne - odparł Karol.

Gdzieś za ich plecami rozległy się krzyki. Gabriel z Karolem spojrzeli na siebie. Wstali z werandy, aby obejść domek i znaleźć źródło tych straszliwych odgłosów, co wcale nie okazało się proste. A to dlatego, że niedaleko kończył się teren ośrodka i fragment lasu w tym miejscu był dość zaniedbany, porośnięty wysokimi chaszczami, a w podstępnej ściółce na nieuważnych piechurów czekały wystające korzenie.

- Widzisz kogoś? - zapytał Karol.

- Nie - odparł Gabriel i krzyknął zaraz głośniejszym głosem: - Hej, kto się tam szwenda?

- Tutaj! Pomóżcie, chłopaki!

Odpowiedź przysła z lewej. Przedarli się przez smagające ich gibkie gałęzie i omal nie przewrócili się o leżącego z nogami do góry w jakimś zagłębieniu Marka Walickiego, grubaska, który mieszkał w domku ze Szkodnikami.

- Marek, co jest, kurczę? - zaśmiał się Karol na widok kolegi, który bujał się z boku na bok jak przewrócony żółw.

- Szedłem... do toalety... i się wywaliłem.

Karol i Gabriel złapali go za ręce i po chwili Marek siedział już nad krawędzią zagłębienia.

- Ale kicha by była, jakbyście mnie nie znaleźli - wysapał Marek.

- Po jakie лихо w ogóle do łazienki szedłeś tędy? - spytał Gabriel. - Przecież to po drugiej stronie ośrodka.

- Nie puszczają mnie tam - burknął Marek, próbując otrzepać sobie plecy.

- Kto? Szkodniki?

- Powiedzieli, że nasmarują mnie miodem i rzuca niedźwiedziom na pożarcie.

Karol wydał usta i zmarszczył brwi.

- Na Mazurach to co najwyżej oblażyłyby cię pszczoły. O ile zdążyłyby przed czerwonymi mrówkami.

- No dzięki! - rzucił Marek. - Pocieszyłeś mnie.

- Już, już, żartuję. To znaczy nie z mrówkami. - Karol zadumał się. - Ale należałoby jakoś przemówić tym łajzom do rozumu.

- Może trzeba pogadać z Grzybem? - zaproponował Gabriel.

- Żeby naprawdę rzucili mnie niedźwiedziom? Bo to się stanie szybciej niż wywalenie ich z obozu. - Marek podniósł się ciężko i otrzepując spodnie, prawie znowu się wywalił. Nagle uniósł wzrok i spojrzał na Gabriela z przejęciem.

- Słuchaj, Gabe. Szkodniki, to znaczy Bartek... - Zrobił się cały czerwony. - Oni... oni...

- Wyduś to z siebie - ponaglił Karol.

- Oni ciągle gadają o twojej mamie.

- O mojej? Czemu? - Gabriel poczuł, jak nieprzyjemne ciarki biegną mu wzdłuż karku.

Marek odwrócił głowę.

- Mówią, czego to by jej nie zrobili, gdyby ją dorwali.

- Chcą ją pobić?

Marek poczerwieniał jeszcze bardziej. Kiedy Karol zrozumiał, o co chodzi, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Nie, co by to oni jej... no wiesz, jakby była naga i tak dalej... - Nie mógł, lub nie chciał, dobrać odpowiednich słów, więc uformował z palca wskazującego i kciuka kółeczko, a palec drugiej ręki wsadził do środka. - To nie jest fajne, to co oni mówią. Pomyślałem, że... powinieneś wiedzieć.

- Tak, dzięki - odparł cicho Gabriel. Cały zbladł.

Marek nie miał już nic więcej do dodania. Podziękował raz jeszcze chłopakom za pomoc i ruszył w swoją stronę. Karol i Gabriel zostali sami pośrodku chaszczki.

- Wszystko w porządku? - Karol przerwał ciszę.

- A jak myślisz? - usłyszał w odpowiedzi warknięcie. - Co ja im takiego zrobiłem, że chcą mi zniszczyć życie?

- To wioskowe głupki, nie warto się nimi przejmować - próbował pocieszyć Karol.

- Tobie łatwo tak mówić, ciebie się nie czepiają.

- Też się czepiają, czasami.

- Od kiedy kumplujesz się ze mną - wtrącił Gabriel, i taka była prawda.

- Chodź, trzeba się ogarnąć przed treningiem.

- Idź sam - powiedział. - Ja jeszcze chwilę tu zostanę.

Karol otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie się rozmyślił. Odwrócił się na pięcie i wrócił do drewnianego domku.

Gabriel stał między gałęziami krzewów i drzew, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze kilka chwil temu niczym zwierzę w potrzasku leżał Marek.

Zachodzące słońce odbijało się w tafli jeziora. Jaskrawe pomarańczowe światło muskało czubki odległych drzew, tworząc złudzenie pożaru szalejącego na drugim brzegu. Siedząc we wskazanym wcześniej miejscu na wzgórzu, nad brzegiem jeziora, tak to sobie wyobrażał Gabriel. Wiedział też, że nawet gdyby ogień przedostał się na drugą stronę, jego by nie spalił - od spotkania z Markiem gotował się w nim dokładnie ten sam płomień, mogący strawić każdego na swojej drodze.

Na dole, na plaży, strzelało ognisko, rozpalone przez Grzyba i pana Stefana, dookoła niego zebrał się już cały zespół Zagończyka. Trwały ostatnie przygotowania. Czekali na Nowego, który dziś oficjalnie wstąpi do ich kręgu. Gabriel nie łudził się, że to wiele zmieni w jego relacji ze Szkodnikami. Po tym, co dzisiaj usłyszał, w ogóle nie miał ochoty uczestniczyć w życiu zespołu. Chciałby jedynie zakopać się pod kołdrą, a rano obudzić się u siebie w łóżku.

- Gotowy?

Za jego plecami wyrósł Maciej Grzybicki. Ubrał się w lniane szorty, luźną niebieską koszulę z krótkimi rękawami, a twarz miał wysmarowaną błotem jak Indianie w westernach. Gabriel skinął głową.

Zeszli ze wzgórza na udeptaną ścieżkę; młody piłkarz jako pierwszy, a trener tuż za nim. Słońce schowało się już za drzewami, na plaży panował półmrok. Gabriel czuł, że zaczyna się stresować, ale pielęgnowana od rana złość nie dała za wygraną. Pewnym krokiem zszedł ze ścieżki w stronę kręgu. Zbyt pewnie. Poczuł, że nadepnął na coś kłującego. Spojrzał w dół, gdzie pod gałązkami iglaków leżała niebieska koszulka

Zagończyka. Cały zespół, wymalowany na indiańskiej modłę, zawył niczym wataha wilków, które wypatrzyły ofiarę.

- Zdeptałeś herb. - Trener zmaterializował się tuż obok. - Oblałeś test. Dobro klubu powinno być zawsze na pierwszym miejscu. Wszyscy jesteście drużyną, a ten herb właśnie to symbolizuje: wspólnotę, zespół.

- Aj! - krzyknęli wszyscy po piracku na potwierdzenie słów.

„Patrz pod nogi” - przypomniało się Gabrielowi, kiedy złowił wzrok Karola. Za późno.

- Przejdiesz więc serię prób - kontynuował Grzyb, chodząc dookoła ogniska. Wyglądał jak szaman odprawiający w transie indiańskie rytuały. - Każda z nich przypomni ci o tym, że wszyscy gramy do jednej bramki.

- Aj!

- Zaczynamy. - Klasnął, a wtedy dzieciaki po przeciwległej stronie ogniska się rozstąpiły. Za ich plecami leniwie szumiało jezioro, zupełnie niewzruszone rytuałami odbywającymi się na brzegu. Grzyb delikatnie przepchnął Gabriela do przodu. Ustawił go na jednym z końców długiego dywanu z szyszek, ułożonego wzdłuż linii wody. Po obu stronach Gabriela znaleźli się Karol i Bartek, którzy trzymali długie pędy pokrzyw.

- Musisz odkupić łaskę herbu - przemówił Grzyb teatralnym głosem. - Nie patrzyłeś pod nogi, czeka cię więc bieg po rozpalonych węglach. Abyś zawsze pamiętał o tej chwili nieuwagi. Zdejmuj buty.

- Aj!

Chwilę mocował się ze sznurówkami. Kątem oka dostrzegł, że tuż obok niego stoi Karol.

- Kiedy mam zacząć? - spytał szeptem, gdy skończył zdejmować obuwie.

- Zorientujesz się.

I wtedy, jak na zawołanie, wyskoczyli Tomek i Kuba – obaj z wiadrami pełnymi lodowatej wody. Chlusnęli nią zaskoczonego Gabriela; przez moment nie mógł złapać oddechu, tak go zmroziło. W ustach miał jedynie mulisty smak jeziora.

- Aj!

Gabriel ruszył przed siebie. Porównanie tej próby do biegu po rozpalonych węglach było niepokojąco trafne. Szyszki wrzynały się w stopy, dotkliwie kłuły i, być może, raniły, a smagnięcia pokrzywą po łydkach, stopach i udach paliły żywym ogniem. Każdy kolejny krok był męką. Gabriel chciał pokonać trasę najszybciej, jak to możliwe, lecz miał wrażenie, że stoi w miejscu. Karol z Bartkiem nie próżnowali, pokrzywy w ich rękach tańczyły jak płomienie na wietrze. Ból stawał się nie do zniesienia, Gabrielowi łzy napłynęły do oczu, ale zacisnął zęby, zazgrzytał nimi i przyśpieszył. Byle szybciej, byle się skończyło.

I za moment, kiedy już wydawało się, że szyszki nigdy nie znikną, poczuł pod nogami ciepły, suchy piasek. Odetchnął z ulgą, by zaraz wrzasnąć, kiedy kolejne wiadra wody wylały się mu na kark.

- Drużyno! - krzyknął Grzyb. - Tradycja jest tradycją! Gabriel przeszedł chrzest Zagończyka, znowu może nosić herb!

- Aj, aj, aj!

Wszyscy w radosnym okrzyku podbiegli do Gabriela. Chwycili go za ręce i nogi, podnieśli i zaczęli podrzucać wysoko w powietrze. Zapomniał wtedy o piekących łydkach i obolałych stopach, cieszył się nieznaną dotąd lekkością. Na ten jeden moment wyrzucił z głowy wszystkie niesnaski, mając nadzieję na nowy początek.

2

OBECNIE

Czuł, że śmierdzi, lecz nawet smród nie pomógł mu określić, ile już siedzi zamknięty w celi. Karol podrapał się po policzku; zarost sugerował, że nie dłużej niż dobę. Usiadł na niewygodnym, za wąskim łóżku i się rozejrzał - szare ściany, muszla klozetowa, okratowane okno. Bywał w przyjemniejszych miejscach.

Zamknął oczy, by po raz enty odtworzyć historię, która doprowadziła go do aresztu. Ostatnim wyraźnym wspomnieniem była staruszka z yorkiem przed klatką Grzyba. Reszta to breja dźwięków, obrazów i emocji rozmazanych na osi czasu. Poczucie, że mógł wyrządzić nieodwracalną krzywdę. Mignęła mu przed oczami zakrwawiona twarz Macieja. Zemsta. Zaciśnięte pięści, pokryte czerwonymi plamami. Krzyki, ktoś do niego mierzy z pistoletu. Chłód kajdanek zaciskanych na przegubach. Chyba wtedy się zrzygał. Policja wyciągnęła go z mieszkania. Nie było łatwo, bo stał się całkowicie bezwładny, nie potrafił ustać na nogach. W końcu wsadzili go do radiowozu i wywieźli, tylko nie wiedział dokąd. Nikt się nie pokwapił, aby go poinformować.

Zgrzytnął zamek w żółtych, wyblakłych drzwiach. Otworzyły się na oścież, a w progu stanęli dwaj umundurowani policjanci.

- Widmowski, wychodzisz, zbieraj się.

Nie czekając na dalsze zachęty, wstał tak szybko, jak tylko mógł, i ruszył do drzwi. Policjanci eskortowali go w kierunku schodów. Weszli na wyższe piętro i wtedy jeden z nich gestem wskazał Karolowi uchylone drzwi do pokoju. Niechętnie przystał na to zaproszenie i wszedł do małego, zagraconego gabinetu. Obrotowe krzesło okręciło się, przykuwając spojrzenie Karola. Za biurkiem siedział ostrzyżony na jeża mężczyzna koło czterdziestki, ubrany w bordową koszulę. Bystre oczy przyglądały się nowo przybyłemu, jedną dłońią ciągle głaskał ciemną brodę. Na szyi miał zawieszoną policyjną blachę. Pokazał Karolowi gestem, aby zajął miejsce na niewygodnym, szkolnym krześle. Policjant sięgnął po jedną z teczek i zaczął ją niespiesznie przeglądać, gryząc trzymaną w dłoni długopis.

- Wie pan, czemu pana zatrzymaliśmy? - spytał w końcu, nie odrywając wzroku od kartki.

- Tak mi się wydaje, panie... - Złowił wzrokiem tabliczkę stojącą gdzieś w rogu biurka. Komisarz Adam Bukowski. - Komisarzu.

- Tak się panu wydaje - powtórzył. Oderwał się od lektury i splótł dłonie na biurku. Jasnoniebieskie oczy zdawały się prześwieślać Karola. - Dopuścił się pan napaści, pobicia, uszkodzenia mienia, spowodował uszczerbek na zdrowiu. Mówić dalej czy odświeżyłem pamięć?

Karol spojrział na swoje pościerane knykie. Uznawszy to za odpowiedź samą w sobie, Bukowski kontynuował:

- Jeszcze paręnaście lat temu dwóch pijaczków mogło się radośnie łać po gębach i dopóki obaj twierdzili, że to przyjacielska sprzeczka, że „nic się nie dzieje, panie władzo!”, to policjant mógł tylko pokiwać głową i wrócić na komisariat. - Zawiesił głos, ale nie przestawał lustrować Karola. - Teraz postępowanie w takich sprawach wszczyna się z urzędu, niezależnie od tego, czy poszkodowany wniesie oskarżenie.

Lecz tym razem to ja mam związane ręce. – Strzyknął głośno palcami. – Zrobiło się głośno, zrobiło się brzydko, no ale Grzybicki musi bardzo pana lubić, bo najpierw sam nas ściągnął, a potem wykonał telefon tu i tam. I ja teraz pana wypuszczę. Z wielką niechęcią, przyznam.

Westchnienie ulgi rozeszło się po małym pokoiku. Komisarz się skrzywił.

– Powie mi pan, jak do tego doszło?

– Za dużo wypilem – wychrypiął ze zwieszoną głową Karol. – Pokłóciliśmy się i...

– Powie mi pan, jak to możliwe – przerwał mu Bukowski – że z piłkarza, z którym utożsamiał się każdy dzieciak, z osoby, którą wszyscy oglądaliśmy i której kibicowaliśmy, stał się pan takim śmieciem? Kiedy do tego doszło?

To było niczym kubeł zimnej wody. Karol zakrztusił się własną śliną. Nie wiedział, co może powiedzieć na swoją obronę.

Bukowski przez chwilę czekał, może faktycznie liczył na wytłumaczenie, a może chciał jedynie dopiec Karolowi.

Cisza zawisła w powietrzu. Komisarz westchnął przeciągle i niemal smutno. Podpisał jakiś papier, poinstruował Karola, gdzie odbierze rzeczy osobiste, i wskazał drzwi.

– Panie Widmowski – zatrzymał go w progu. – Obym więcej pana nie spotkał.

3

OBECNIE

Zrezygnował z taksówki. Na przystanku tramwajowym przy Malczewskiego wsiadł w tramwaj linii numer 4. Pasażerowie patrzyli na niego z odrazą i marszczyli nosy, przesiadali się jak najdalej. Pewnie wzięli go za żuła. Sprawdził portfel i odetchnął. Pieniądze z czynszu nie zginęły. Chociaż tyle dobrego. Telefon się rozładował, więc Karol nie miał szans odczytać esemesów i zobaczyć, czy ktoś do niego wydzwaniał podczas przymusowego urlopu od życia.

Tramwaj ruszył. Widmowski oparł czoło o szybę i obserwował za oknem przemykającą Puławską. Do domu dotrze za około czterdzieści minut, wliczając w to przesiadkę w centrum na metro.

- Potrzebuje pan pracy? - Z odmętów myśli wyrwał Karola barczysty mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w koszulkę w paski. - Przyjmujemy każdego chętnego. Proszę, ulotka dla pana.

Już miał powiedzieć, co uważa na temat takich zaczepek, lecz zaraz przypomniał sobie, skąd właśnie ruszył i jak wygląda, więc ugryzł się w język, uśmiechnął i przyjął ulotkę. Mężczyzna odwzajemnił uśmiech i poszedł dalej wzdłuż pojazdu.

Karol wcisnął świstek do wewnętrznej kieszeni kurtki. Natrafił wtedy palcami na papier o sztywnych krawędziach. Koperta od Felicji. Wyciągnął ją. Postanowił też, że musi przeprosić Felicję za burdel, jaki zrobił na imprezie. Kolejna rzecz do naprostowania w życiu. Westchnął i odpieczętował list.

Już po rozerwaniu brzegu koperty poczuł niepokój. Dosłownie, ponieważ ze środka wydostał się delikatny ziemisty zapach, który natychmiast przeniósł Karola dwadzieścia siedem lat wstecz, na obóz w Kruklankach. Wysypało się trochę ziemi. Przełknął machinalnie ślinę. Pod palcami wyczuł śliski materiał, na jakim wydawane są kolorowe czasopisma. Wyciągnął zawartość.

W dłoni trzymał wielokrotnie składaną okładkę magazynu „Bravo Sport”. W miejscach zgięć tusz wytarł się do bieli. Na środku, pod tytułem, Dennis Bergkamp w trykocie Holandii celebrował zdobycie bramki. Drżącymi dłońmi odwrócił okładkę, dobrze wiedząc, co zobaczy po drugiej stronie. Literami powycinanymi z innych czasopism wyklejono starannie duży napis:

„KLUB BIAŁYCH ZĘBÓW”.

Z koperty wysunęła się mała karteczka. Karol chwycił ją, zanim spadła na podłogę. Wydrukowano na niej krótkie zdanie:

„Sprawiedliwości stanie się zadość”.

Dotarł do mieszkania, podłączył telefon do ładowarki i od razu poszedł się wykąpać. Chciał zmyć z siebie ostatnią noc, tak jakby w czymkolwiek miało to pomóc. Po rozwiązaniu zagadki Obserwatora był gotów wszystko to rzucić, wyparowała z niego chęć poznania prawdy o przyjacielu. Lecz teraz miał absolutną pewność, że pojawienie się Gabriela nie było głupim żartem. Ktoś dobrze wiedział o ich małym klubie, a załączona notka, pomimo skąpej treści, mówiła wszystko.

Ktoś wiedział, czego się dopuścili.

Jakim cudem ktoś to znalazł? – myślał Karol, kiedy wyszedł spod prysznic. Przecież to oryginał, nasz herb klubowy. Nasze marzenie. Wyklejaliśmy to na werandzie domku w Kruklankach. Dlaczego ktoś komunikowałby się w ten sposób?

Usiadł do stołu i nabożnie ujął w ręce okładkę czasopisma wydanego w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Przyglądał się Bergkampowi, który w następnym roku na mistrzostwach świata był jedną z wielkich gwiazd.

Włączył telefon. Sądził, że ostatnie dni są istną paranoją, jeżdżącym cyrkiem. Jednak kiedy odczytał esemesy, które wysłano mu, kiedy przebywał w areszcie, oczy niemal wyszły mu z orbit. Szybko zadzwonił pod numer, z którego otrzymał wiadomości. Osoba po drugiej stronie odebrała po trzech sygnałach.

- Dzień dobry, panie Zbigniewie, tutaj Karol. Tak, przepraszam, byłem poza zasięgiem. Widziałem wiadomości, znalazł pan akt notarialny. Jest pan pewien co do nazwiska? Tak, bardzo panu dziękuję, miłego dnia życzę.

Rozłączył się i wybrał numer do Magdy. Odebrała dopiero, kiedy zadzwonił po raz drugi.

- Magda, to ważne.

- Ciebie też miło słyszeć. Rejs się udał, długo płynąłeś? Bo nic nie odpisywałeś.

- Długa historia - uciął Karol. - Dowiedziałem się czegoś, masz czas? Możemy się spotkać?

- W zasadzie to jestem w pracy, ale myślę, że mogę się wyrwać na godzinę. Skoro to aż tak ważne...

- Dobra, to... Karma, plac Zbawiciela?

- A może coś w centrum?

- Odpada - zaprotestował twardo Karol.

Usłyszał westchnienie po drugiej stronie.

- Będę musiała się przesiadać, ale niech będzie. Za ile?
- Czterdzieści minut.
- To do zoba.

Magda zakończyła połączenie. Karol obawiał się, że wszystko do tej pory było jedynie rozgrzewką. Prawdziwe kłopoty dopiero nadejdą.

Tradycją jest, że kiedy wychodzi słońce, plac Zbawiciela oblegają tłumy. Zupełnie jakby wrzucić lizak do mrowiska. Karol zamówił w Karmie kawę i zajął jeden ze stolików pod zielonym drzewem z koroną przyciętą na kształt sześcianu. Wyprzedził tym samym dwie licealistki, które ewidentnie miały ochotę na tę miejscówkę. Karol uśmiechnął się pod nosem na widok ich nienawistnych spojrzeń.

- Co cię tak śmieszy?

Magda pojawiła się nagle obok stolika.

- Głupoty.

Siadła na plecionym krześle i odetchnęła.

- Korki o tych godzinach to jakiś żart, nawet tramwaje stoją. Nie mówiąc już o tym, ile bydła w nich się mieści. - Rzuciła przelotne spojrzenie na twarz Karola. - Piękniś z ciebie, nie ma to tamto. Gdzie nakładają taki make-up?

- Salon urody pod Pawilonami, na skwerku, panowie bardzo mili i delikatni.

Magda zaśmiała się.

- A tak na poważnie. Wszystko w porządku? Co ci mówili w szpitalu? Nieźle mnie wystraszyłeś, gdy znalazłam cię leżącego jak bezwładna marionetka.

- Wszystko okej, to tylko parę siniaków. Po prawdzie liczyłem na to, że chociaż przestawią mi nos, bo zobacz, o - obrócił się profilem do Magdy - i bez tego jest krzywy.

Parsknęła śmiechem i odwróciła wzrok, żeby znaleźć kelnerkę.

- Musisz zamówić przy kasie - poinformował Karol.
- Serio? Nikt do mnie nie podejdzie? - zdziwiła się Magda.
- A czego chciałaś w kawiarni? Srebrnych tac i białych ręczników?

- Bez sensu. - Z kwaśną miną podniosła się z krzesła. - Zaraz wracam.

Karol odprowadził ją wzrokiem. Krótkie, dzinsowe szorty odkrywały smukłe nogi, a biała, luźna koszulka miała spore wycięcie na plecach. Włosy splotła w ciasny warkocz, który podskakiwał w rytm kroków. Zniknęła we wnętrzu lokalu, by po niecałych pięciu minutach wrócić z filiżanką kawy i słoną tartą z kozim serem.

- Dobe - skomplementowała wypiek z ustami pełnymi kruchego ciasta. Skinęła głową na Karola. - Mów. Co to za spawa?

- To Łukasz, mam dowody.

Magda prawie zakrztusiła się tartą.

- Skąd wiesz? Mnie się jeszcze nic nie udało znaleźć.

Karol nachylił się przez stół i ściszył głos.

- Działkę, na której mieszkał Gabriel, ktoś podzielił na pół i sprzedał - zaczął tłumaczyć. - Jedną część kupił taki pan Zbigniew, rozmawiałem z nim. Okazało się, że na umowie sprzedaży widnieje nazwisko Łukasz Desroches.

- Co ty gadasz?!

- Zastanawia mnie, w jaki sposób został posiadaczem tej działki. I jaki to ma związek ze mną i z Gabrielem. - Przerwał na chwilę i wbił wzrok w stół. - Jest jeszcze jedna rzecz.

Sięgnął do kolorowej teczki, którą przyniósł ze sobą, i delikatnie wyciągnął z niej okładkę czasopisma. Podał ją Magdzie, a ta spojrzała podejrzliwie na uradowanego Bergkampa.

- Odwróć ją - zachęcił.

- Klub Białych Zębów? Sekta dentystyczna?

Karol pokręcił głową.

- Ostatnim właścicielem tej okładki był Gabriel. Nie widziałem jej od wieków. I nagle dziewczyna, której wynajmuję mieszkanie, znajduje ją w skrzynce pocztowej.

- Wynajmujesz komuś mieszkanie? - W oczach Magdy coś błysnęło; jakiś ognik, którego nie zdołała wystarczająco szybko ukryć. Zazdrość?

- Tak, ale to nie ma znaczenia. - Machnął ręką i zmienił szybko temat. - Przemyślałem wszystko i widzę tylko jedną opcję: Gabriel żyje. Inaczej nikt by tego ze mną nie powiązał. Nie ma na to szansy.

- Byliście jedynymi członkami klubu? - Magda uniosła brwi.

- Zgadza się.

Odchyliła się na krześle i upiła łyk kawy. Zmarszczyła nos w zamyśleniu. Karolowi przemknęło przez myśl, że wygląda uroczo.

- Muszę się dowiedzieć, jakie powiązanie z tym wszystkim ma Desroches - kontynuował. - Zwłaszcza teraz. Po pobycie na dołku byłem gotowy to porzucić...

- Czekaj, czekaj, co? - Magda wybałuszyła oczy. - Na dołku?

- Długa historia, a ty masz tylko godzinę.

- Nie zwalaj na mnie - zaprotestowała, nachylając się nad chybottliwym stolikiem. - Jesteś mi dłużny przynajmniej długą historię.

- Dobra, dobra, dojdę i do tego - zaśmiał się. - A więc Łukasz. Koniecznie muszę się dowiedzieć, jak wszedł w posiadanie działki po rodzicach Gabriela. Szczerze, to nie śledziłem zbytnio życia publicznego w Zabynjczu. W ogóle mnie ta wieś przestała obchodzić. Gdyby nie rodzice, mógłbym ją spalić do cna.

- Lokalny patriota, to się ceni - rzuciła z kpiącym uśmiechem.

- I po jaką cholere miałby wprowadzać Gabriela do gry? A może... - Oczy Karola rozbłysły. - Może Desroches pomaga Gabrielowi? Może on się ukrywa i w ten sposób wysyła znaki?

- Oj, coś zbyt kombinujesz. - Magda się skrzywiła. - Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?

- Zniknięcie Maślińskich było podyktowane... pewnymi wydarzeniami. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że nie chce być na widoku. Może wolał spieniężyć działkę, wziąć kasę i ukrywać się dalej?

- Zaczynasz mnie intrygować. - Nachyliła się w stronę Karola. - I jaką rolę w tym wszystkim ma Klub Białych Zębów?

- Zbyt dużą.

4

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Gabriel szybko się przekonał, że przejście obozowego chrztu niewiele zmieniło w jego relacjach ze Szkodnikami. Robili się bezczelniejsi, podcinali go na boisku, nawet jeśli piłka była daleko od niego. Obrzucali boleśnie szyszkami, podtapiali w jeziorze przy okazji kąpieli. Wpychali w pokrzywy podczas biegów na leśnych ścieżkach. Bartek, Czarek i Kuba w ogóle nie przejmowali się trenerem. Minął tydzień, oni wciąż dokazywali, a Grzyb nadal nie zadzwonił po żadnego z rodziców.

- Panowie, proszę o uwagę - poprosił trener.

Całą drużyną siedzieli na stołówce w ośrodku i jedli śniadanie. Niechętnie oderwali się od talerzy i spojrzeli w stronę Grzyba.

- A Stefan się nie krępuje, zobacz! Żre dalej - szepnął Karol Gabrielowi do ucha.

I faktycznie. Drugi trener bezwstydnie pochłaniał głośno swoją porcję jajecznicy. Grzybicki rzucił mu krótkie, potępiające spojrzenie, lecz tamten się zupełnie nie przejął. Dla Stefana nie istniał rytuał ważniejszy niż pierwsze śniadanie.

- Będziemy mieć dzisiaj nietypowy trening - kontynuował Grzyb. - W Mrągowie przebywają akurat wasi rówieśnicy, Młoda Polonia. Rozmawiałem z ich trenerem, umówiliśmy się

na mały sparing. Chcecie się rozruszać i pokazać, na co was stać?

- Aj!

- Tak też myślałem, no bo ile można się ciągnąć jak ślimaki za Stefanem na rowerze?

Gromki śmiech rozszedł się po stołówce, a Stefan spojrział spode łba na Grzyba. Kawalek szynki przykleił się mu do brody.

- Więc nie przedłużając, kończymy śniadanie, pół godziny i spotykamy się na parkingu.

We wszystkich wstąpił nowy duch. Mecze, co oczywiste, zawsze wywoływały większą ekscytację niż suche treningi lub nawet gierki treningowe. Ponadto Zagończyk, który grał w niższej klasie rozgrywkowej juniorów, rzadko miał okazję pokazać się na tle tak renomowanych przeciwników jak Młoda Polonia. Kiedy chłopcy nie walczyli o punkty, chcieli po prostu dobrze się bawić, co nieraz owocowało lepszą grą niż pod presją tabeli.

- Zobacz - mruknął Gabriel, gdy opuszczali stołówkę.

Grzyb zatrzymał przy swoim stole Szkodników. Tłumaczył im coś, a tamci wyglądali tak, jakby mieli się zaraz popłakać.

- Ciekawe, o co chodzi - zainteresował się Karol.

- Mam nadzieję, że o nic dobrego.

O umówionej godzinie do autobusu pakował się cały zespół. A przynajmniej tak się wydawało na początku. Kiedy ruszyli, Gabriel rozejrzał się podejrzliwie po siedzeniach. Iskierka rozbłysła w jego oczach.

- Karol! - Nie mógł opanować ekscytacji. - Nie jada! Nie ma Szkodników.

- Co ty... - Karol zrobił szybki rekonesans i zaraz się uśmiechnął. - Ukarał ich, ominie ich sparing.

Przybili piątkę i reszta drogi minęła im przy lipcowym numerze „Bravo Sport”, z Bergkampem na okładce.

Do Mrągowa dotarli po około godzinie. Tutejszy ośrodek sportowy prezentował się imponująco; na dobrą sprawę wyglądał jak cztero-, pięciogwiazdkowy hotel. Pełnowymiarowe boisko z czterema ogromnymi lampami i trybuną większą od tej na stadionie Zagończyka robiło wrażenie. Karol i Gabriel wiedzieli, że to będzie jedynie mecz towarzyski, ale kiedy szli długim korytarzem od strony murawy, czuli się tak, jakby szykowali się na finał Ligi Mistrzów.

- Chłopaki, chodźcie tu na chwilę - zatrzymał ich Grzyb, zanim przekroczyli próg szatni. Poczekał, aż reszta wejdzie do środka, i zamknął drzwi. Zaplótł ramiona i spojrzał na nich poważnie.

- Jest sprawa, panowie. - Zrobił pauzę. - Gramy dziś z Młodą Polonią i chcę powiedzieć, że dla was dwóch jest to duża, naprawdę duża szansa. Szukają nowych chłopaków do zespołu. I ja sam im zagwarantowałem, że w Zagończyku nie ma lepszych niż Widmowski, numer dwadzieścia dwa, i Maśliński z szesnastką. Rozumiecie?

Gabriel poczuł, jak rumieńce występują mu na policzki. Obaj z zapalem pokiwali głowami, a Grzyb mrugnął porozumiewawczo.

- Bawcie się grą, czyli tak jak zawsze. A teraz jazda, nie mamy czasu!

W szatni szybko przebrali się w żółto-niebieskie stroje i ze zniecierpliwieniem oczekiwali sygnału do wyjścia. Szmer był jak w ulu. Ucichli w momencie, kiedy wszedł Grzyb z drewnianą podkładką i przypiętymi do niej kartkami. Rozejrzał się po dwudziestu dwóch graczach.

- Dobra, panowie, nie ma dziś z nami kilku chłopaków, którzy odbywają karę, więc będą pewne zmiany. Jak lecimy, od dołu, od góry?

- Od góry!

- Nawet lepiej, będziecie bardziej zaskoczeni. - Grzyb odchrząknął i zerknął na podkładkę. - Wychodzimy standardowo, cztery-cztery-dwa. I skoro od góry, to od góry. W ataku standardowo Gabriel Maśliński oraz z braku pana Czekaja Mateusz Filipek.

Filip, jak wszyscy skracali, uśmiechnął się szeroko, a siedzący obok Hubert poklepał go po plecach.

- Druga linia. Tu będzie tylko jedna zmiana, ale najpierw od podstawy. Lewe skrzydło: Adam Duško, środek: Konrad Synek i Karol Widmowski. A na prawą stronę zamiast nieobecnego Czarka Jasły wchodzi Hubert Ulikowski.

Adam oraz Konrad doskoczyli w radości do Huberta, z którym chodzili razem do klasy.

- Nie może być! - krzyknął Karol. - Hubertowi przedłużyli łańcuch z ławki?

- Cisza, cisza! - nakazał Grzyb. - I przechodzimy do ostatniej formacji. Na bramce standardowo Tomek Bieguń. Lewa obrona: Michał Szymski, prawa obrona: Artur Kowski, a w środku Kamil Witt wraz z... Markiem Walickim! Który zastąpi Jakuba Frankowskiego...

Reszta słów utonęła w eksplozji radości. Wszyscy rzucili się na Marka, który siedział z niedowierzaniem wymalowanym na twarzy. Jeszcze nigdy nie wyszedł w pierwszym składzie, zwłaszcza w tak niecodziennym meczu. Ostatnie rady dawał mu Witt, najdłużej urzędujący w ich zespole gracz. To on nosił opaskę kapitańską.

- Zagończyk! - krzyknął Karol, wznosząc dłonie nad głową.

- Aj! - odkrzyknęła reszta, klaszcząc.

- Zagończyk!

- Aj!

- Zago, Zago, Zagończyk!

- Aj, aj, aj!

Po okrzyku i wspólnym zagrzewaniu do walki banda żółtoniebieskich koszulek wylała się na korytarz prowadzący wprost na murawę, gdzie rozgrzewał się już zespół Młodej Polonii w czarno-biało-czerwonych strojach.

- Pamiętajcie! - krzychał Grzyb, kiedy zajmowali miejsca na boisku. - To ma być zabawa!

Już po pierwszym gwizdku dotarło do nich, że zabawnie może wcale nie być. Karol przez pierwszy kwadrans nie wiedział, co się dzieje. Jakość rozgrywania ich przeciwników stała na dużo wyższym poziomie. Nie potrafili odebrać im piłki, tamci grali wszystko na jeden kontakt, przesuwali ataki do przodu powoli, acz skutecznie. Kilkukrotnie ich podania zatrzymały się u Synka i Witta, którzy próbowali szybko wyprowadzać piłkę na skrzydła lub przez środek, ale zaraz ktoś futbolówkę albo im odbierał, albo przejmował niedokładne podania. Po dwudziestu minutach jeden z pomocników Młodej Polonii zagrał piłkę idealne między dwiema formacjami Zagończyka wprost do napastnika wychodzącego zza pleców Marka. Czerwony z wysiłku obrońca nie miał absolutnie żadnych szans, by się odwrócić, a tym bardziej dogonić przeciwnika. Bieguń, pomimo starań, musiał skapitulować, a poloniści gratulowali sobie zdobycia bramki.

- Panowie, więcej werwy, do cholery! - krzychał z ławki Grzyb. - Nie dawajcie tyle przestrzeni, podchodźcie bliżej, agresywniej!

- Słyszeliście - zawtórował mu Witt, poprawiając opaskę. - Z życiem! Bo dojadą nas do jaja!

Gabriel i Filipek rozpoczęli grę ze środka pola. Piłkę podali do Karola, który ruszył z nią do przodu. Ominął jednego z graczy balanssem ciała, założył dziurę drugiemu i niemal na pamięć zagrał do przodu, tam gdzie powinien znaleźć się Gabriel. Niestety, rosły obrońca wybił piłkę głową na aut. Karol

zaklął w myślach i rzucił się biegiem po piłkę. Zagończyk podchodził wyżej. Faktycznie zacieśnili pole gry przeciwnikom, więc Polonii rozgrywało się teraz trudniej, ale i tak kilka podań zatrzymywali dopiero Szymski z Kowskim lub Witt. Synek wracał do obrony, aby wspierać chłopaków, bo Marek, pomimo szczerych chęci, nie nadążał.

Najbliżej strzelenia drugiej bramki warszawscy piłkarze byli tuż przed gwizdkiem kończącym pierwszą połowę, jednakże akcja zakończyła się skuteczną interwencją Biegunia.

Gabriel nie potrafił ich już zliczyć. Dostrzegł, że bramkarz poszukuje kogoś do szybkiego ataku, więc podniósł krótko rękę. Wystarczyło. Bieguń podrzucił piłkę i mocnym kopnięciem posłał ją daleko do przodu. Gabriel obserwował jej lot i dobrze wiedział, że obrońca będzie znów chciał wykorzystać swój wzrost, aby wybić piłkę. Zamiast walczyć w powietrzu, Gabriel zapałł się o przeciwnika, aby w odpowiednim momencie odskoczyć i obić go. Tamten na moment zgłupiał i ta sekunda wystarczyła, aby wybił się zbyt późno. Piłka przeleciała tuż nad jego głową, a Gabriel, który wówczas był już dwa metry za jego plecami, przyjął miękko na jeden kontakt, a gdy znalazł się na skraju pola karnego, oddał strzał po krótkim słupku obok wychodzącego bramkarza.

Wstrzymywał oddech, patrząc, jak piłka zmierza w kierunku bramki. Zadźwięczało aluminium słupka. Zabrakło centymetrów. Wchodzący po drugiej stronie pola karnego Filipek rozłożył bezradnie ręce. Bramkarz szybko się odwrócił i złapał wracającą piłkę. Nie czekał, tylko wybił ją daleko do przodu. Przeleciała nad Markiem i napastnik Młodej Polonii potężnym uderzeniem skierował ją pod poprzeczkę. Bez szans do obrony.

Sędzia zagwizdał po raz ostatni w tej połowie. Gabriel poczuł, jak ktoś klepie go po ramieniu. Odwrócił się, by zobaczyć paskudnie uśmiechniętą twarz bramkarza.

- Dzięki za pomysł, knypku.

- Odwal się - warknął Gabriel, strząsając jego rękę, i ruszył w kierunku szatni.

Musieli coś wymyślić, jeśli nie chcieli przegrać z kretesem. Karol miał tak samo zafrasowaną minę, kiedy próbował rozgryźć przeciwnika. Przegrywali dwa do jaja. Druga połowa nie zapowiadała się dobrze dla Zagończyka.

5

OBECNIE

Nie mógł się na niczym skupić. Zamrażarka buczała, domagając się uwagi, a Karol za wszelką cenę starał się do niej nie sięgnąć. Po wizycie na komendzie rozsądek kazał trzymać się od alkoholu jak najdalej, tylko sęk w tym, że nałogi nie bywają rozsądne. Nie pomagała także gonitwa myśli ani to, że czekał niecierpliwie na wiadomość od Magdy. Obiecała najpóźniej jutro dać mu jakieś konkrety z AEGamez.

Próbował zająć myśli grą, ale nawet na wirtualnym boisku nie potrafił się dziś skupić.

[Yush_Byegne]: Stary, gdzie ty tak zniknąłeś? Już myślałem, że panna tak ci w głowie zawróciła, że aż sprzedałeś plejaka :p.

[Vidmo1981]: Na dołku wylądowałem.

[Yush_Byegne]: Oua, zabiłeś z miłości?

[Vidmo1981]: Jakbyś kiedyś został profesjonalnym e-sportowcem i na agenta zgłosiłby się Maciej Grzybicki, to omijaj go szerokim łukiem.

[Yush_Byegne]: A kto to, jakiś ziomek? Też ją podrywa? :>

[Vidmo1981]: Znajomy.

[Vidmo1981]: A spieprzaj, nie chce mi się tego słuchać.

Denerwowało go, że Yush ciągle wypytuje o Magdę i rzuca niewybredne komentarze. W końcu zirytowany wyłączył konsolę w środku rozgrywki i gapił się w zgaszony ekran.

Sprawiedliwości stanie się zadość – przypomniał sobie notkę załączoną do listu. *Szkoda, że nie przychodzi wtedy, kiedy naprawdę powinna. I trzeba brać sprawy we własne ręce.*

Rozkładał na czynniki pierwsze okoliczności pojawienia się listu. Dlaczego teraz? Kto to zrobił? Czego chce? Lecz nie potrafił wysnuć żadnych wniosków. Miał za mało wskazówek, które mogłyby go zaprowadzić do sprawcy. W nozdrzach znów zatańczył ziemisty zapach z nutką mazurskiej wilgoci i sosnowej żywicy. Spojrzał przez ramię na ścianę chwały. Na prawo, tuż nad koszulką reprezentacji, wisiało wyblakłe zdjęcie zrobione w Kruklankach podczas jedyne go obozu, na którym był Gabriel. Ich jedyne wspólne zdjęcie – szczerzą na nim zęby i stoją w środkowym szeregu, między Tomkiem Bieguniem i Hubertem Ulikowskim. To tam powstał Klub Białych Zębów.

Odwrócił się, rzucił ukradkiem spojrzenie na lodówkę. Mruczała cicho jak kot, który właśnie się obudził. Oferowała ukojenie; wystarczy tylko, żeby podszedł i pogłaskał uchwyt. Otworzył, poczęstował się.

Zamiast do kuchni udał się jednak do sypialni. Złapał torbę i spakował kilka rzeczy. Wysłał esemes.

[Karol]: Przyjeżdżam dziś.

Odpowiedź przyszła momentalnie.

[Mama]: ok!

Tak jak myślał. Tylko czekała. Nigdy nie potrafiła się na niego długo gniewać, chociaż swoim zachowaniem wielokrotnie doprowadzał ją do szaleństwa. Zwłaszcza od czasu zakończenia kariery.

Rzucił ostatnie spojrzenie na mieszkanie. Nagle zrobiło się w nim duszno, tak jakby ktoś napuścił dymu z ogniska, a płomienie lizały szklaną ramę z koszulką Polski. Breja z zamrażarki nieśmiało wyciągała macki i szukała towarzysza do zabaw.

Wyszedł. Swoje demony pozostawił w zamknięciu.

Po drodze zatrzymał się w Leroy Merlin, tuż za Mysiadłem. Wybrał jakąś zgrabną tuję, którą mama będzie mogła posadzić w ogrodzie. Takie zadośćuczynienie za ten zarzygany klomb.

Odstał swoje w korkach, ale w końcu zaparkował na podwórku rodziców.

- Karol, nie musiałeś, naprawdę - przywitała go Julia, kiedy już wyciągnął tuję z bagażnika.

- Może nie musiałem, ale chciałem. Cześć.

Przywitali się, Julia pocałowała syna w policzek. Poprosiła, aby tuję postawił gdzieś pod płotem, później się nią zajmie.

- Tata w domu? - spytał.

- Będzie niedługo, jeszcze na rybach siedzi.

- Samochodem pojechał?

Julia spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

- Ojca nie znasz? Rowerem pojechał, oczywiście. Od trzydziestu lat wmawia mi, że dla zdrowia na nim jeździ. Ale powiem ci w tajemnicy - szepnęła - ryby nie powinny śmierdzieć wodą.

Karol zaśmiewał się w głos.

- Na stawach łowi, tak? Podjadę po niego, rower wpakujemy do bagażnika.

- Tam gdzie zawsze, na Brzozowym. I lepiej wpakuj do bagażnika wieprza meża mego. Przygotuję jakiś obiad w międzyczasie.

Wsiadł z powrotem do samochodu i wykręcił na podjeździe.

Jak Julia słusznie zauważyła, łowienie stanowiło jedynie pretekst do napicia się z daleka od jej gadaniny. Z rybami ojciec rzadko wracał. Gdy Karol był młodszy, tłumaczył mu, że je wypuszcza, a one następnego dnia znów się łapią i tak w kółko. Taka zabawa. Prawie sport.

Zaczął się Czarny Las, a Karol musiał lawirować na dziurawej jezdni. Po paru chwilach wjechał na wał między stawami. W blasku zachodzącego słońca woda błyszczała ognistą, pomarańczową barwą, oślepiając kierowców. Raz nawet rozklekotany maluch zjechał z wału i wpadł prosto do jednego ze stawów. Kierowca twierdził, że to przez słońce. Policja, że przez dwa promile we krwi. Nie doszli do porozumienia.

Zaparkował po prawej stronie ulicy, tuż przy linii drzew. Wysiadł z samochodu i nacisnął kłódkę na pilocie. Fiat zaśpiewał krótko.

Powietrze pachniało błotem, rybami i dżdżownicami. Spacerem ruszył po jednym z koryt wyjeżdżonych przez samochody. Pośrodku rosła wysoka trawa, która w okolicy stawów wilgoci miała zawsze pod dostatkiem. Buty mu przemokły i oblepiły się ziemią jeszcze zanim dotarł na miejsce.

Na Brzozowym tak naprawdę nie rosła nawet jedna brzoza. Zamiast tego była tu rozłożysta, stara wierzba o grubym pniu i długich, sięgających stawu gałązkach. Wyglądała jak duże dziecko, które przykucnęło na brzegu, aby pobawić się wodą. Nazwali to miejsce Brzozowym, bo ojciec Karola miał mizerną wiedzę na temat drzew. Wiele lat temu, gdy może faktycznie trochę więcej łowił, niż pił, wybrał się na ryby, a Karol z Julią mieli do niego dojechać na rowerach.

- Znajdziesz bez problemu, brzoza rośnie na brzegu. - Tak wytłumaczył żonie, gdzie będzie. Zrobiła mu wtedy niezłą awanturę, bo zjeździli z Karolem wszystkie stawy, szukając przepierzonych brzoź. Ale i tak nazwa się przyjęła.

Tadeusz siedział na składanym krzeselku turystycznym i na zmianę moczył to wędkę w wodzie, to usta piwem z puszkii. Stary składak opierał się o pień.

- Cześć, tato! - zawołał Karol podchodząc do wędkarza.

Tadeusz wzdrygnął się, omal nie wypuszczając puszkii. Obejrzał się i zaraz na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Co cię tu przywiało, synek?

- Ponoć tyle ryb już masz, że trzeba ci pomóc do domu je dowieźć.

Usiadł na trawie obok ojca i zerknął do żółtego wiaderka. W środku pływały dwie niemrawe płotki i jedna żwawa uklejkka.

- Czyli dziś kolacja na modłę mamy?

- Na to wychodzi. - Tadeusz wypił piwo do końca i odrzucił puszkę na stosik.

Zapadła cisza, podczas której obaj wpatrywali się w dryfujący, jaskrawozielony spławik z czerwoną końcówką.

- Bardzo jest zła za ostatnio? - spytał Karol.

- Nie tam. Już zapomniała.

- To dobrze.

Spławik lekko drgnął. Ojciec wolnym ruchem sięgnął do wędki, nie chcąc spłoszyć ofiary.

- Jak w pracy? Dużo musisz doglądać?

- Nie - przyznał Tadeusz. - Ta firma już sama się kręci. Mam dobrego majstra i księgową, Tad-Bud świetnie sobie radzi beze mnie, a my z matką tylko odcinamy kupony. Pojawię się czasem na placu, pokiwam głową, poklepię kilka ramion i do domu, a potem na ryby.

Nachylił się do syna i mrugnął.

- A u ciebie? Znalazłeś jakieś zajęcie?

- Nic na stałe - przyznał Karol. Spławik znów drgnął, tym razem mocniej, ale zaraz się uspokoił. - Na razie musi wystarczyć mi kasa z wynajmu.

- Nie chciałeś może dzieciaków trenować? Wiesz, tak jak Jasło. Nie mówię, że w Zagończyku, ale gdzieś na pewno chętnie by przyjęli Widmowskiego.

Nazwisko dumnie zadźwięczało w ustach ojca.

- To nie takie proste. Muszę mieć uprawnienia, a potem długa droga...

- Ach, no tak, bo przecież jesteś taki zajęty, taki zapracowany, co nie, synek? - zakpił Tadeusz.

Karol zamilkł i nic nie odpowiedział; trochę przez wstyd, trochę dlatego, że nie miał dobrej odpowiedzi. Ojciec nie pytał, wzrokiem wodził po stawie. Spławik zadrgał po raz kolejny, mocno, cały zanurzył się pod powierzchnię. Tadeusz złapał za wędkę i zakręcił kołowrotkiem. Przez moment siłował się z rybą, wędka wyginała się w kierunku tafla wody. Poczzerwieniał i wyglądał na zaskoczzonego. Karol złapał się na tym, że mu kibicuje, ściskając nerwowo dłonie. Po chwili wędka gwałtownie się naprostowała, a ojciec zwinął zerwaną żyłkę. Uważnie przestudiował miejsce zerwania, sprawdzał, czy zawinił źle uwiązany haczyk, aż w końcu pokiwał głową i złożył wędkę. Wstał z krzeselka, rozprostował kości, a potem wypuścił śnięte ryby z powrotem do stawu. Chwycił rower i nie oglądając się za siebie, poszedł w kierunku fiata.

Karol szedł za ojcem i obserwował jego szerokie, lekko przygarbione plecy. Naszła go głupia myśl, że przecież jeszcze nie tak dawno ten nosił go na barana i nigdy nie wyglądał na tak zmęczonego.

- Nawet kiedy stoisz na straconej pozycji, zawsze warto walczyć do końca - wygłosił, kiedy spakowali rower do bagażnika. - Nigdy nie wiesz, co się wydarzy. A jeśli nie

próbujesz, od razu jesteś przegrany. Ale ty dobrze to wiesz, w końcu jesteś sportowcem.

- Byłem, tato.

Tadeuszowi na ułamek sekundy zmienił się wyraz twarzy. Zamgliło ją, pomarszczyło, lecz zaraz wszystko wróciło do normy.

- Myliłem się więc, cały czas ci kibicując - westchnął, kiedy usiadł na fotelu pasażera.

Karol zagryzł wargę i zajął miejsce za kierownicą. Wrzucił wsteczny i wyjechał na Główną.

Na prośbę ojca zatrzymali się pod Nastką. W środowy wieczór na sklepowych ławeczkach było wyjątkowo pusto. Ze stałych bywalców jedynie Zegarmistrz popijał samotnie tanie wino ze szklanej butelki. Na ławce po drugiej stronie drzwi siedział wyrosnięty dzieciak w sportowym stroju Liverpoolu, odbijając smutno piłkę od asfaltu.

Karol i Tadeusz weszli do środka. Za ladą stała Ratajowa, a obok niej kręcił się chłopak o patykowatych rękach, w czarnej koszulce z napisem „Skyrim” wiszącej na wystających ramionach.

- Dzień dobry, pani Teresko - przywitał się Tadeusz. Ratajowa podniosła wzrok i uśmiechnęła się promiennie.

- Panie Tadku, witamy.

- Dzień dobry. - Przywitanie Karola umknęło gdzieś bokiem. Ratajowa rozmawiała już z jego ojcem.

Wszedł między półki i stwierdził, że czuje się, jakby znów miał naście lat. W Zabynijczu nic się nie zmienia. Dorośli zawsze będą dorosłymi, a dzieci dziećmi. Nieważne, że ma się czterdziestkę na karku. Dlatego autorytety, na przykład policyjne, kiepsko działają w takich społecznościach. Karol nie wyobrażał sobie, aby taka na przykład Ratajowa mogła

poważnie potraktować dwudziestopięcioletniego młokosa w za dużym mundurze, gdyby przyszedł prowadzić u niej śledztwo.

Wpadł nagle na kogoś. Spojrzał w dół i zobaczył chudego chłopaka.

- Przepraszam - bąknął ten i wrócił do układania ciastek na półkach.

- Nic się nie stało - odparł Karol. - Dobra gra.

- Co? - Dzieciak wyglądał na skołowanego, myślami pewnie siedział już przed swoim komputerem.

- Skyrim. - Wskazał na koszulkę. - Dobry erpeg, przegrałem w niego chyba z milion godzin. Mam nadzieję, że nie zabiłeś Paarthurnaxa?

- Pan w to grał? - zdziwił się.

- A co, że niby za stary jestem? - zaśmiał się Karol. - Dorabiasz sobie przed wakacjami?

- Nie - odparł smutno chłopak. - Mam karę.

- Karę? - Spojrzał na Ratajową, która dalej gadała z Tadeuszem, jednocześnie pakując zamówienie. - To twoja babcia?

Chłopak kiwnął głową.

- Kiepska sprawa, dużo jeszcze ci zostało tej niewolniczej harówki?

Znów potwierdził, wbijając wzrok w podłogę.

- Co żeś nabroił?

Chłopak spojrział ze strachem w kierunku lady.

- Razem z bratem i jego kumplami poszliśmy na Trakt - wyznał szeptem, tak jakby bał się, że za samo wymówienie nazwy wymiar kary się powiększy. - Wróciliśmy cali ubłoceni i babcia się wściekła.

- Na Trakt? A po co tam poszliście?

- Zobaczyć ducha.

Włosy na karku Karola stanęły dęba.

- Ducha? Czyjego niby?
- Tego chłopaka, co go postrzelili.
- Karol, dawaj, idziemy - zawołał Tadeusz.
- Patryk, układasz te Delicje?! - wydarła się Ratajowa.
- I co? - ciągnął Karol.
- Tam, tam... - Oczy Patryka zaszyły mgłą, pojawił się przed nimi obraz, o którym wołałyby zapomnieć. - Ktoś jest.
- Patryk, wołaj Waldka, jak skończysz, jeszcze lodówki trzeba wyszorować!
- Czekam przy samochodzie - rzucił Tadeusz i wyszedł. Karol nachylił się do dzieciaka.
- O czym ty mówisz? Widziałeś kogoś?
- Chłopiec widocznie zadrżał. Wspomnienia wróciły. Znow nie będzie mógł spać w nocy.
- Tak. - Skinął szybko głową i zaraz zniknął między półkami.
- Karol wyszedł ze sklepu bez słowa. Na zewnątrz obejrzał się przez ramię na szumiące drzewa Czarne Lasu. Zmierzchało, ostatnie promienie słońca przebijały się nieśmiało przez igły i liście.
- Mamy w domu latarkę? - spytał ojca, siadając za kierownicą.

Na kolację Julia przygotowała warzywa na parze, ryż jaśminowy, a z myślą o Karolu i Tadeuszu - potrawkę z kurczaka. Wszyscy udali się jeść na taras. Z zachodu przyszły pierwsze chłodne powiewy powietrza zwiastujące nadchodzącą noc, lecz i tak przyjemnie było usiąść na zewnątrz.

- Napijemy się, synek? - spytał Tadeusz, kiedy zajmowali miejsca.

- Tadeusz, przecież on jest... - zaczęła oponować Julia, ale nie zdążyła skończyć zdania.

- Dziękuję, tato - odmówił. - Po ostatnich przygodach wystarczy mi na razie alkoholu. Lepiej polej mamie tego wegańskiego wina.

Tadeusz pokiwał głową i wrócił do potrawki, a Julia przyjrzała się uważnie synowi, jakby dopiero teraz zobaczyła jego pokiereszowaną twarz.

- Co ci się stało?

- Małe nieporozumienie - bagatelizował. - Trafiłem w złe miejsce.

- Byłeś na policji?

Karol parsknął, aż kawałek brokułu poleciał na stół. Sprzątnął go serwetką.

- Tak, byłem.

- I co?

- I nic, zamknęli mnie na dobę.

- Co ty opowiadasz, Karol, Boże!

- Żartuję mamó, daj spokój. Nie złapią ich, to jakieś gnojki były.

- I ty się dałeś gnojkom? - wtrącił Tadeusz, nie odrywając oczu od talerza.

W jego tonie było coś, co sprawiło, że Karola zakłuło w sercu. Przełknął tę gorzką pigułkę.

- Siła złego na jednego.

- Chyba że tak. - Tadeusz nadal nie wyglądał na przekonanego, ale już nic nie mówił.

- A co tam u Maćka, nadal się widujecie? - spytała Julia.

- Raczej rzadko, to pan agent jest, nie ma czasu zbytnio.

- Pozdrów go przy okazji, dobrze?

- Jasne.

Po kolacji pomógł Julii przynieść naczynia i wstawić je do zmywarki. Kiedy wychodził z kuchni, złapał go ojciec i wręczył mu sporą latarkę.

- Trzymaj. Mało poręczna, ale diabelnie mocno świeci. Będzie dobra?

- Tak, dzięki.

Tadeusz poklepał Karola po ramieniu i skierował się schodami na piętro. Drewniane stopnie skrzypiały przy każdym kroku, na górze zastukała czterokrotnie posadzka, a potem trzasnęły drzwi. Pomimo że Karol od dawna tu nie mieszkał, dalej mógłby bez problemu rozróżnić po samym dźwięku kroków, kto idzie.

Powiedział matce, że wychodzi na spacer. Wyraziła obawy, czy aby nie do Nastki, ale uspokoił ją.

- Tej nocy twoje klomby mogą spać spokojnie.

Wszedł do Głównej. Ćmy, objijające się o latarniane klosze, były jedynym elementem ożywiającym zabynijczański krajobraz. Po kilku minutach marszu doszedł do ulicy Dzikiego Boru i skręcił, a wtedy jezdnią w kierunku stawów przejechał czarny SUV z przyciemnionymi szybami. Jechał wolno, pewnie kierowca rozglądał się za odpowiednim numerem.

Musiał zrobić małą przerwę przy płocie Wdowy Bańki. Piszczel odezwała się, by zaprotestować przeciwko takim wycieczkom. Domagała się długiego odpoczynku, ale Karol uciął wszelkie dyskusje i wszedł na pas nieużytku.

Nie było mnie tutaj od tamtego dnia - pomyślał, obserwując korony drzew. *A Czarny Las nie zmienił się nic a nic.*

Włączył latarkę. Snop jasnego światła przeciął powietrze, rozświetlając trawy i przebiegając po pniach oddalonych drzew. Karol pokiwał głową w uznaniu, sprzęt faktycznie niczego sobie. Wszedł na wąską ścieżkę.

Wygląda na to, że rzadko ktokolwiek z niej korzysta. Sam pewnie wybrałbym dłuższą drogę, ale bezpieczniejszą.

Gałęzie zniżyły się, dotykały ramion, witały dawno zapomnianego znajomego. W ściółce słychać było cykanie

świerszczy i kumkanie żab. Gdzieś w oddali rozgadał się puszczyk. Napłynęły wspomnienia. Ile razy przechodził tędy z matką na grzyby. Z ojcem na Zimne Doły, żeby rozpalić ognisko i smażyć nad nim chleb i kiełbaski. Z Gabrielem, kiedy obmyślali działania Klubu Białych Zębów. W tej ciszy i ciemnościach mózg pracował na wyższych obrotach. Karol miał wrażenie, że wszystkie te wizje są teraz na wyciągnięcie ręki. Gdyby je złapał, cofnąłby się w czasie. Mogliby wszystko pozmieniać i nie dopuścić do...

Kiedy nagle poczuł pod stopami stare torowisko, a latarka oświetliła nasyp, porośnięty mchem i trawą, pomyślał, że może faktycznie przeniósł się w czasie.

Zima. Piętnastostopniowy mróz. Śnieg po kolana, a on z Gabrielem przedzierają się przez zasy. Gabriel na plecach niesie długi pakunek, jest skupiony i zdeterminowany. Karol próbuje z nim rozmawiać, wypytywać, ale przyjaciel go zbywa...

Trzask suchego drzewa wyrwał Karola z objęć wspomnień. Omiótł światłem las. Złapał się na tym, że trzyma w dłoni kamień. Nawet nie wiedział, kiedy go chwycił.

- Kto tu jest? - zawołał. Odpowiedziała cisza. Zdawało się, że nawet cykady i żaby zamilkły w oczekiwaniu na ciąg dalszy przedstawienia. - Wyłaź!

Kolejny trzask. Za plecami. Karol odwrócił się z sercem w przełyku i poświecił wzdłuż torowiska. Dostrzegł jedynie pokryte futrem coś. W mroku przypominało ni to zwierzę, ni człowieka. Popędziło w ciemność, by zanurkować zaraz w krzakach i zniknąć z pola widzenia. Przełknął ślinę i poczuł, że oblał go zimny pot. Rozsądek podpowiadał, że musiała to być spłoszona sarna, lecz nie dałby sobie za to ręki uciąć. Rzucił ostatnie spojrzenie na nasyp. Splunął na ziemię.

- Przekłęte miejsce.

Co rusz spoglądając za plecy, udał się na skraj lasu, z którego przybył na Trakt.

6

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

- Panowie, nie ma tragedii! - Grzyb próbował zmotywować spoconych i zziębniętych piłkarzy Zagończyka. - Dwie bramki są do odrobienia...

- Jeśli chociaż na chwilę odzyskamy piłkę - burknął Bieguń.

- Ej, jakbyś szybciej się na linii ruszał, to może byśmy nie stracili dwóch - przygryźł mu Synek.

- Zagrywałbyś lepiej na skrzydła, a nie tylko do tyłu, pajacu!
- wtrącił się Duśko.

- Panowie...

- A Ulik to tylko wiatr robi na prawym, podłączyłbyś się do gry...

- Tak? A ty może zająłbyś się strzelaniem, a nie tylko...

- Zamknij gębę, zamknij, bo nie wytrzymam...

Puściły nerwy, wszyscy zaczęli się kłócić, zrzucać winę, byle nie na siebie, a Grzyb, teraz już purpurowy, próbował ich uciszyć.

- Czy tak wygląda zabawa? - huknął w pewnym momencie Karol. Trafił na taki moment, że jego głos poniósł się po szatni i przykuł uwagę. - Czy tak wygląda zabawa, pytam!

- Dostanie lania nigdy nie jest zabawne - bąknął Marek. Siedział ze spuszczoną głową i wpatrywał się w swoje korki.

Pewnie nie tak wyobrażał sobie swój debiut w pierwszym składzie.

- Owszem, nie jest - przyznał Karol. - Więc zacznijmy się po prostu dobrze bawić. Bez spiny, na luzie. To sparing, do cholery!

Grzyb obserwował przemowę z założonymi rękoma.

- Możemy dostać jeszcze i dziesięć bramek, są lepsi, to fakt. Ale przegramy dopiero wtedy, kiedy będziemy wracać do Krukłanek obrażeni na siebie jak dziewczyny z ósmej ce. Jesteśmy jak te siksy?

- Nie! - krzyknął zgodnie zespół.

- No właśnie, więc wróćmy na boisko i bawmy się. Tak żeby po powrocie Szkodniki, zobaczyły nasze miny i żałowały wszystkiego, co zrobiły, żeby nie pojechać.

- Aj!

Nowy duch wstąpił w drużynę. Grzyb zaklaskał krótko, Gabriel tuż po nim, a po chwili cały zespół wznosił aplauz. Karol stał speszony, chyba sam się nie spodziewał po sobie takiej przemowy.

- A teraz, wracamy i koniec z obrażaniem. Jesteśmy Zagończyk Zabynijcz! - Grzyb machał energicznie rękoma, tak jakby próbował podtrzymać żar ogniska.

- Aj, aj, aj!

Drugą połowę zaczęli piłkarze Zagończyka, którzy za punkt honoru wzięli sobie spokojne, systematyczne budowanie okazji. Postanowili nie grać długich piłek do przodu, ponieważ rośli obrońcy Młodej Polonii mieli przewagę w wygrywaniu powietrznych pojedynków. Futbolówka krążyła więc leniwie w środku pola, a Karol i spółka szukali odpowiedniego momentu, by zaatakować.

Gabriel, nie mogąc przebić się przez ścianę czarnych koszulek, zszedł bliżej środka. Zauważył to Karol, który

szybkim podaniem uruchomił przyjaciela. Gabriel wiedział, że Karol ruszy do przodu po zagranie, więc odegrał na jeden kontakt. Obrócił się przez ramię i za chwilę znów miał futbolówkę przy nodze. Uśmiechnął się; wszystko jak w zegarku.

Na pełnej prędkości wyminął defensywnego pomocnika Polonii i został przed nim tylko obrońca. Nie wchodząc w drybling, Gabriel zewnętrzną częścią stopy zagrał piłkę do wychodzącego Filipka. Podanie dotarło co do centymetrów i za chwilę to Zagończyk cieszył się zdobytą bramką.

- Bardzo ładna klepka, panowie, bardzo ładnie, oby tak dalej! - darł się z ławki Grzyb.

Po krótkiej celebracji Karol zabrał piłkę z siatki i ustawił ją na środku boiska. Tą akcją dali sygnał ostrzegawczy Młodej Polonii: „My też potrafimy grać”.

Kolejne minuty były jak przeciąganie liny. Polonia rozgrywała skrupulatnie, Zagończyk wychodził agresywnie, a potem na odwrót.. Gabriel i spółka chcieli pójść za ciosem, a poloniści, wciąż mając przewagę, starali się ułożyć grę pod siebie, co udało im się w okolicach sześćdziesiątej minuty. Dwa podania, płaski strzał i Bieguń musiał skapitulować po raz trzeci. Marek znów był spóźniony.

- Nic się nie stało, lecimy, jeszcze pół godziny! - Witt motywowował swoich kolegów.

Nikt inny już się nie odezwał. Wszyscy mieli zacięte miny, a najbardziej Walicki, który czuł, że to zdecydowanie nie jest jego mecz.

Ponownie rozpoczęli napastnicy Zagończyka. Lewy korytarz zrobił się luźniejszy, pokazał się tam Adam Duśko. Skrzydłowy na pierwszych metrach zawsze potrzebował przestrzeni, by się rozpędzić, i jeśli tylko taka okazja się nadarzyła, wszelkie wyścigi kończył zwycięsko. Przekonali się o tym zawodnicy Polonii, którzy nie byli w stanie dogonić Duśki po tym, jak

zostawili go bez krycia. Dobiegł pod linię końcową boiska, rozejrzał się i dośrodkował do Karola, który przymierzył po długim słupek. Piłka dostała rotacji i wpadła pod poprzeczkę. Przewaga Młodej Polonii ponownie stopniała do jednej bramki.

- Tak! - Gabriel padł na kolana i uniósł ręce w geście radości. W końcu grali tak, jak powinni.

Spojrzał w stronę ławek rezerwowych. Trener Młodej Polonii, barczysty, wysoki mężczyzna o siwych włosach, bez emocji patrzył na wydarzenia na boisku. Grzyb, który wariował przy linii, wyglądał przy nim jak rozentuzjasmowany szczeniak. Na ten widok Gabriel zaśmiał się sam do siebie, a potem wrócił na swoją połowę, by uściskać Karola i resztę drużyny.

Młoda Polonia zaczęła grę. Zagończyk ustawił się wysoko, walczył o każdą piłkę, nie dawali zaskoczonym przeciwnikom wyjść dalej niż kawałek za linię środkową. Taka sytuacja utrzymywała się do osiemdziesiątej minuty. Widmowski i Synek opadli z sił, odpuścili krycie, a jeden z pomocników Polonii posłał dobre podanie do napastnika, czającego się tuż obok czerwonego z wysiłku Marka.

- Uważaj, plecy! - krzyknął Hubert.

Walicki nie widział dobrze pozycji przeciwnika, więc z całych sił skupił się na torze lotu piłki i ku radości wszystkich zabynijczańskich graczy przejął ją tuż przed nosem napastnika, który poślizgnął się, wywrócił i zaklął paskudnie.

- Dobrze, Marek, świetnie! Dalej, dalej, panowie! Do przodu! - krzyczał Grzyb, energicznie klaszcząc.

Zestresowany Marek podniósł głowę i szybko dostrzegł machającego do niego Gabriela. Ustawił sobie piłkę i z całej siły kopnął ją przed siebie, a potem z ulgą odetchnął, że wyszedł z tej sytuacji bez szwanku.

Futbolówka poleciała wysoko w powietrze, prosto do Gabriela. Rosłego obrońcę, który cały mecz go pilnował,

zaskoczyła wyprowadzona kontra, znów się zagapił i odpuścił krycie, zostawiając Gabrielowi zbyt wiele przestrzeni.

Endorfiny uderzyły Gabrielowi do głowy. Wykonał efektowną sztuczkę, oszukał obrońcę i na pełnej prędkości wbiegł w pole karne. Już składał się do strzału, lecz w lewej nodze poczuł nagle ostry ból, który powalił go na murawę.

Rozległ się gwizdek sędziego. Obrońca, chcąc naprawić swój błąd, próbował wślizgiem odebrać piłkę, ale zamiast tego trafił prosto w nogi Gabriela.

Do chłopaka w czarno-czerwonym stroju zaraz podbiegli wściekli Synek i Witt, a sędzia musiał uspokajać zawodników Zagończyka. Do leżącego przyjaciela podszedł z piłką pod pachą Karol i pomógł mu wstać z murawy.

- Trzymaj, to była twoja akcja. - Podał mu piłkę.

- No, nie do końca. - Gabriel rozmasowywał obolałą łydkę. - Marek! Dawaj, dawaj tutaj.

Walicki, zaskoczony, że usłyszał swoje imię, truchtem dotarł pod pole karne. Przy jego zmęczeniu zajęło to dobrą chwilę. Gabriel wcisnął mu piłkę do rąk.

- To twój karny.

- Co? - Miał taką minę, jakby trzymał w dłoniach gorący węgiel. - Ja, nie, a jak nie trafię...?

- To nic się nie stanie - odparł stanowczo Gabriel. - To ma być zabawa, tak?

Marek przełknął ślinę i ruszył w kierunku „wapna”. Trzęsły mu się nogi. Sędzia wyprosił wszystkich z pola karnego, by za chwilę dać sygnał do gry. Walicki podbiegł koślawo do piłki, kopnął z „czuba”, stawiając na siłę, nie precyzję, ale to wystarczyło - futbolówka minęła bezradnego bramkarza i zatańczyła w siatce.

Cały zespół Zagończyka, łącznie z trenerem i rezerwowymi, wybiegł do Marka, aby wyściskać go i wspólnie dać upust

radości. Wszyscy czuli się, jakby zdobywali właśnie Puchar Polski.

Sędzia skończył notować na karteczce „M. Walicki, 20, 87min, 3:3” i zagwizdał, by ponaglić Zagończyka do powrotu na swoją połowę.

W autobusie aż kipiało od emocji.

- Ale ta twoja bramka, Karol...

- Daj spokój, Gabe! Jak okiwałeś tego ogra, to dopiero było...

- A jak Duśko śmigał na skrzydle...

- I gdyby nie ta obrona Marka, kurde bele...

Gabriel rozłożył się na fotelu i czytał „Bravo Sport”. Czuł spore zmęczenie, ale takie z kategorii przyjemnych, jakie czuje się po dobrze wykonanej robocie.

- Myślisz, że wypatrzyli nas ci skauci? - spytał Karol. - Bo ja żadnego nie widziałem.

- Ja też nie. - Gabriel odłożył gazetkę. - Oni wszyscy noszą takie śmieszne stroje i czapki. Jak harcerze.

- Ci od piłki nożnej też?

- Jasne, że nie, zgrywam się.

Obaj się zaśmiali.

- Uważasz, że dobrze zagraliśmy? Tylko nie ściemniaj. - Karol przybrał poważną minę.

- Wydaje mi się, że tak. - Gabriel spojrział zamyślony za okno. - Nie wygraliśmy, ale ty strzeliłeś ładnego gola, masz pewnie większą szansę na to, że cię wypatrzą.

- Szanse mamy obaj takie same, bramki to nie wszystko. - Wskazał kciukiem na rozradowanego od ucha do ucha Marka. - To się liczy. *Fair play*. Duch zespołu i koleżeństwo, a nie indywidualne popisy.

- Zamknij się, brzmisz jak pseudopsychologowie z rubryki motywacyjnej - zachnął się Gabriel i wrócił do czytania, ale

Karol widział, że uśmiecha się pod nosem.

Słońce chowało się za horyzontem, kiedy autobus Zagończyka wtoczył się na podjazd. Wciąż żywo dyskutując o meczu, chłopcy wyszli z pojazdu. Nawet z Marka nie wyparował jeszcze dobry humor, pomimo że wracał do Szkodników. Czuł, że ma za sobą cały zespół – co w takim wypadku znaczy trzech idiotów?

Trener przypomniał o kolacji za godzinę, a potem wszyscy się rozeszli. Gdy Karol i jego koledzy weszli do swojego domku, zdębieli.

Wszystkie pościele z łóżek ciśnięto na jeden stos na podłodze, materace pościągano, a ubrania porzrucane po posadzce wyglądały jak wylewające się z brzucha wnętrzności. Nad łóżkiem Gabriela wisiała karteczka z krzywym napisem: „SYN KURWY”.

- To Szkodniki... - wyszeptał Hubert. Podszedł do swoich rzeczy, żeby je pozbierać.

- Co za gnoje. - Karol zrobił się cały czerwony.

- Zemścili się za to, że nie pojechali - dodał Tomek, próbując doprowadzić do porządku swój materac.

- Jak się tutaj dostali? Przecież zamknęliśmy drzwi, a klucze mamy przy sobie.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Hubert bezradnie rozłożył ręce

- Może przez okno?

Gabriel wpatrywał się tępo w karteczkę. Półka, na której wcześniej leżały jego magazyny, była pusta. Karol podszedł do niego, bojąc się, że przyjaciel się rozkleił. Lecz kiedy stanął obok, okazało się, że ten zgrzyta zębami ze złością, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widział. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał nadzwyczaj spokojnie.

- Karol, tak dłużej być nie może.

- Co masz zamiar zrobić?

- Mamy - poprawił go. - Musimy im dać nauczkę. Inaczej to się nigdy nie skończy.

Karol pokiwał głową. Zabrał się za układanie materaca i pościeli z powrotem na swoim łóżku. Gabriel jeszcze przez dłuższą chwilę stał nieruchomo jak posąg, wlepiając wzrok w obraźliwą karteczkę i planując zemstę.

Dwa dni później, w połowie drugiego tygodnia obozu, wraz z pierwszymi promieniami słońca ktoś zaczął się dobijać do drzwi ich domku. Karol, zaspany i z nogami obolałymi po wczorajszym treningu, wstał z łóżka i poczłapał otworzyć. Na werandzie stał Adam Duśko - blady jak śmierć, bosy i wciąż w piżamie. Bez słowa wszedł do środka i usiadł na podłodze.

- Duśko? Co się stało? - spytał Karol, zdziwiony zachowaniem kolegi.

Adam bujał się tylko w przód i tył, kręcąc głową, a do oczu napływały mu łzy.

- Co mu jest? - usłyszał senny głos Gabriela.

- Nie wiem - przyznał. - Duśko. Adam? Stary, hej?

Tyczkowaty chłopak nadal siedział bez słowa. Smarkał tylko głośno. Za chwilę wszyscy w domku byli już na nogach.

- Nic nie powiedział? - dopytywał Hubert.

- To z pewnością Szkodniki - zapewniał Tomek.

- Idę po Grzyba, opiekujcie się nim - oznajmił w końcu Karol.

Szybko się przebrał i wybiegł z domku. Słońce wisiało nad boiskami treningowymi, złociste promienie pływały w gęstej, porannej mgle. Karol aż zachłysnął się rzeškością powietrza.

- Ej, ty!

- Na „ty”, to tramwaj staje! - odwarknął, ale zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Na werandzie jednego z domków siedzieli

w kąpielówkach Bartek, Czarek i Kuba. Musieli właśnie wrócić znad jeziora, bo z włosów kapała im woda.

- Nie widziałeś naszej dziewczyny? - krzyknął Kuba, a reszta głośno zarechotała.

Poczuł, jak czerwienią mu się uszy. Zacisnął pięści i chociaż go nosiło, wolnym krokiem podszedł do Szkodników.

- Bartek, przejebaliście sobie, idę właśnie do Grzyba - burknął cicho, lecz na widok ich blednących min musiał powstrzymać się od uśmiechu. - Po Robercyku niczego się nie nauczyliście, wy tępi kretyni?

- Ej, kurwa, nie pozwalaj sobie... - Czarek chciał zabrznieć groźnie, lecz wyszedł mu niekontrolowany pisk. Bartek machnął na niego ręką.

- Zamknij się, Jasło, to wszystko było twoim pomysłem - syknął i zwrócił się do Karola: - I co? Dusia powiedział wam, co się stało?

- Idę, a wy się lepiej zaczynajcie pakować. - Karol odwrócił się na pięcie.

- Co, czyli nic nie powiedział? - Donośny głos Bartka ciągnął się we mgle. - Dobrze go wytrenowaliśmy, prawda?

- Tak, powiedz mu, że na niego czekamy - dodał Kuba, imitując w powietrzu ordynarny gest, i cała trójka znów zanosła się śmiechem.

Adam Duśko jeszcze tego samego dnia wrócił do domu. Przyjechała po niego podenerwowana matka, lecz nawet jej nie udało się wyciągnąć z niego choćby strzępów traumatycznych zdarzeń. Wszyscy wiedzieli, że to sprawka Szkodników, lecz Duśko twardo się upierał, że ma po prostu dość. Rezygnuje. Koniec z piłką. Chce do domu.

Gdy Karol i Gabriel wzrokiem odprowadzali wyjeżdżającego z ośrodka poloneza, nie potrzebowali słów.

Oko za oko, ząb za ząb. Ktoś powinien nauczyć Szkodników tej prostej zasady.

OBECNIE

Z samego rana Karol wstał, wykapał się i z kubkiem parującej kawy rozsiadł się na tarasie. Chłód poranka szczypał w skórę, orzeźwiał. Tuje, które rosły w równym rzędzie przy ogrodzeniu, kiwały się lekko. Trawa domagała się pierwszego skoszenia. Zastanawiał się, czy ojciec ma jeszcze na to siły. Później zapyta go, czy nie potrzebuje pomocy.

Zerknął na telefon. Wyświetlacz informował go, że jest czwartek, godzina ósma czterdzieści cztery i że ma dwie nowe wiadomości. Nie odblokował jeszcze urządzenia; chciał się nacieszyć prostotą natury dookoła rodzinnego domu. A tam, w eśemesach, mogło być coś, co zakłóciłoby ten stan. W ciągu ostatnich dziesięciu dni i tak wystarczająco się namieszało. Reszta może poczekać.

- Nie śpisz już?

Odwrócił się. Na taras wyszła Julia, ubrana w jaskrawy sportowy strój, czapkę z logo Nike i okulary przeciwsłoneczne.

- Nie wiedziałem, że biegasz.

- Synu, mam ponad sześćdziesiąt lat, myślisz, że ta forma zrobiła się sama?

- Myślałem, że to dobre geny, które mam po tobie. - Złapał się za piwny brzuch.

- To mi raczej wygląda na ojcowski wkład. - Uśmiechnęła się. - O której wyjeżdżasz? Nie wiem, czy się pożegnać.
- Dokończę kawę i będę się powoli zbierał. Tata śpi?
- W życiu - zachnęła się. - Już na rybach siedzi od szóstej.
- Wariat.
- Żebyś wiedział. To trzymaj się, pozamykaj dom i uważaj na drodze.

Pożegnali się i kilka minut później Karol wsiadł do auta.

Będąc już na obwodnicy, stwierdził, że zahaczy o bank na rynku, aby w końcu wpłacić na konto pieniądze za czynsz. Na skrzyżowaniu, ku niezadowoleniu jadących za nim, wrzucił kierunkowskaz i po dłuższej chwili skręcił w Chyliczkowską. Zajechał od strony parku, bo przy Sądzie Rejonowym nie było miejsca. Zaparkował i opuścił samochód.

Na środku rynku działała już fontanna, która w sezonie przyciągnie tłumy ludzi - roznegliżowane, apetyczne jak zjełczały ser matki wyłożą się ze swoimi wątpliwymi walorami na kocach, ojcowie mało dyskretnie będą popijać ciepłe piwo z puszek, a półnagie dzieciaki zostaną puszczane samopas po rozgrzanych płytach. Wszystkiemu zaś przyglądać się będą zde gustowani pracownicy i goście restauracji mieszczących się w pobliżu. Teraz, na szczęście, było jeszcze zbyt zimno na ten ekshibicjonizm, więc Karol przeciął pusty rynek i wszedł do kamieniczki, gdzie pod jaskrawym, czerwonym szyldem reklamował się jego bank. Szybko skorzystał z wpłatomatu i ruszył z powrotem na parking. Zamyślony, zrobił krok, aby ustąpić idącemu zwawo mężczyźnie, kiedy ten niespodziewanie chwycił go za ramię.

- Karol? To ty?

Zaskoczony, podniósł wzrok, by spojrzeć na wyższego o głowę, dobrze zbudowanego policjanta z równym zarostem.

- Tak, a pan to...?

- No weź, nie gadaj, nie poznajesz? - Policjant wyszczerzył zęby. - Marek! Marek Walicki.

Karol przywołał z pamięci obraz Marka, odjął z niego kilkanaście kilogramów, rozciągnął go w pionie i stwierdził, że tak, to może być ta sama osoba. Uśmiechnął się szeroko.

- W ogóle cię nie poznałem, serio! Dobrze wyglądasz.

- Dzięki. W liceum grubo wzięłem się za siebie, i tak mi już zostało. Siłka, bieganie, wspinaczka, rower, no i sztywna dieta.

- A urosłeś tak od czego?

- Dar natury - roześmiał się.

Pomimo munduru i niesamowitej metamorfozy wciąż pozostało w nim mnóstwo młodzieńczej energii. Zupełnie jakby przysadzistego Marka krępowała własna fizyczność, którą zrzucił tak, jak owady zrzucają swoje poczwarki.

- A co tutaj robisz? - spytał, parodiując służbowy ton. - Jakaś sprawa na komendzie? Kłopoty, obywatelu?

- Nie, nic, a nic! - Karol podniósł dłonie w obronnym geście.

- Chyba że mogę zgłosić skargę na zbyt wysokie podatki, jest na to szansa?

- Żadnych. - Marek uśmiechnął się szeroko, by po chwili dodać: - Słuchaj, kopę lat cię nie widziałem. Mam akurat małą przerwę na komendzie, właśnie idę na obiad. Może dołączysz? - Wskazał na kawiarnię tuż pod Piaseczyńskim Domem Kultury.

Karol podrapał się po potylicy.

- W zasadzie to mogę się na chwilę wyrwać - przyznał.

- Serwują dobre naleśniki na słono, słowo.

Usiedli pod parasolami w ogródku, a chwilę później podeszła pulchna kelnerka ubrana w białe t-shirt i różową zapaskę. Marek bez zbędnych konsultacji zamówił po dwa naleśniki z serem i kurczakiem. Karol poprosił jeszcze mocną kawę. Kelnerka spisała zamówienie i wróciła do budynku.

- Mów - zachęcił Walicki. - Co tam u ciebie słyhać? Dalej w futbolu siedzisz?

- Nie do końca. Czasami poudaję eksperta w przedmeczowym studiu, nabazgram pseudoartykuł, a jak pogram, to na konsoli.

Marek parsknął pod nosem.

- Ja z chłopakami z komendy czasami wyjdę na boisko przy liceum, ale to rzadko. Zazwyczaj po pracy nie ma na to siły. Najgorsze są nocki.

Przerwali na chwilę, bo wróciła kelnerka i postawiła spodek z filiżanką przed Karolem. Kawa pachniała zachęcająco, z przyjemnością zaciągnął się jej aromatem.

- Dalej mieszkasz w Zabynijczu?

- Co ty. Rodzice pomarli kilka lat temu i nie byłem w stanie wysiedzieć w pustym domu. Nie sprzedałem go, ale rodzice mieli sporo ziemi. Opchnąłem ją jakiemuś biznesmenowi. Nie wiem, po co mu tyle gruntu, ale dzięki tej transakcji kupiłem mieszkancko na „ptasim” i coś tam jeszcze zostało.

- „Ptasie” to osiedle za kościołem, obok starej mleczarni?

Marek kiwnął głową.

- Przy mleczarni robią teraz pieprzony remont dróg, to jest tragedia. Nawet swój własny fanpage na Facebooku mu zrobili. Ty wiesz, co tam publikują? „Znowu robią”, „Tak, dzisiaj znowu robią”, „Pada, ale dzielnie robią”. I tak dalej, i tak dalej. Użyteczność społeczna na poziomie stronek „Która godzina w Warszawie?”, albo „To samo zdjęcie Bogusława Lindy codziennie”.

Karol zaśmiał się głośno, a kelnerka, która wyrosła jak spod ziemi, postawiła przed nimi talerze z ich zamówieniem. Podziękowali i zabrali się do jedzenia.

- Co cię sprowadza w okolice? - spytał Walicki, krojąc naleśnika.

- Byłem u rodziców i właśnie wracam do Warszawy. Nic się nie zmienia na tej naszej wsi. Ratajowa wiecznie u steru w Nastce, Stefan grzeje ławeczkę, a ryby w stawach pływają.

- To prawda - przyznał Marek z pełnymi ustami. - Tereska jest nie do zajechania. Przeżyje nas wszystkich.

- Masz jakiś kontakt z resztą naszej ekipy z Zagończyka? - spytał po chwili Karol. - Czarka spotkałem na stadionie, mówił, że Bartek wyjechał. Stefan pod sklepem o reszcie mi opowiadał co nieco. A Duško? Co u niego?

Marek zamarł, a potem powoli opuścił rękę z widelcem. Momentalnie poblądł i spojrzał na kolegę tak, jakby ten właśnie próbował opowiedzieć bardzo kiepski i niesmaczny żart.

- Coś nie tak? - zapytał ostrożnie Karol.

- To ty nic nie wiesz?

- Chyba nie, a powinienem? - Zawstydził się, że nie wie o czymś istotnym.

Walicki odłożył sztućce i westchnął gorzko.

- Adam Duško nie żyje - wydusił w końcu, nie patrząc na Karola. - W dwa tysiące ósmym popełnił samobójstwo. Tu był pogrzeb.

Wskazał na ceglany kościół świętej Anny po drugiej stronie ulicy, a wstrząśnięty Karol spojrzał na budynek częściowo skryty za zielonymi koronami drzew. Mimochodem wyobraził sobie orszak pogrzebowy, niosący drewnianą trumnę z Adamem w środku. Poczuł, jak ramiona pokrywają mu się gęsią skórką.

- Powiesił się na klamce. Smutna historia, ale gdy teraz o tym myślę, to wszystko na to wskazywało. Miał problemy ze sobą.

- Że nic o tym nie słyszałem... - Wciąż nie mógł oderwać spojrzenia od kościoła.

- Szczerze? - Marek uśmiechnął się gorzko. - Nie żeby ci dopiec, bo nie o to mi chodzi, ale wcale mnie to nie dziwi.

Widmowski podniósł pytająco brwi.

- To przypadkiem nie jest okres, przez który później nazywali cię polskim Maradoną? Zapijanie traumy po kontuzji, degrengolada, dziwki i koks?

Ściągnął usta, powstrzymując się od zaprzeczeń. Byłyby one zupełnie nie na miejscu.

- Chyba masz rację - przytaknął. - Też czytałeś ten artykuł?

- A kto nie czytał? Cała Polska tym żyła, chłopie. Ratajowa zamówiła dodatkowy nakład do Nastki, a wiesz, że u nas lepiej schodzi wódka niż słowo pisane.

- Ale, że Adam... Ciężko w to uwierzyć.

- Adam, Gabriel - wyliczył Marek. - A wszystko to przez pieprzonych Szkodników.

- A co do śmierci Adama mają Szkodniki? - Karol zmarszczył brwi. - Przed chwilą mówiłeś, że to było w dwa tysiące ósmym.

- Jestem pewien, że wszystko zaczęło się w Kruklankach. - Zerknął na zegarek. - Wiesz, powoli muszę się zbierać. I tak się zasiedziałem...

- Poczekaj. - Karol zareagował ostrzej, niż planował. - Co tam się stało?

Walicki podniósł wzrok i na ułamek sekundy Karol dostrzegł w nim tego pulchnego dzieciaka, który wpadł do jamy w lesie, kiedy próbował dostać się do toalety. Wzrok osoby, która wróciła do najgorszego okresu swojego życia. Wzrok, który dobrze znał - widział taki sam codziennie w lustrze.

- Wiesz, czemu Adam nigdy nikomu nie podał powodu wyjazdu z obozu? - ściszył głos. - Ponieważ było to tak upokarzające, że sama myśl o tych przeżyciach musiała niszczyć go od środka. Gdyby powiedział o tym na głos, cóż, dodałby ciężaru tej sytuacji. Rozumiem to teraz, po latach pracy w policji i obserwacji ludzkich tragedii.

Zamilkł, wlepiając wzrok w splecione dłonie. Karol, cały napięty, czekał na to, co powie Marek, który przecież też dzielił wtedy domek ze Szkodnikami. Który był świadkiem wszystkich okropności i gryzł się tym, że nic wtedy nie zrobił.

- To Czarek na to wpadł - wydusił w końcu. - Wiesz, że on zawsze był najniżej w hierarchii. Pewnego dnia próbowali wymyślić najobrzydliwszą zabawę, zgrywę, cokolwiek przyjdzie do głowy. I jego pomysł przebił wszystko. - Spojrzał wprost na Karola i wziął oddech. - Najpierw cała trójka opowiadała świństwa o matce Gabriela, strasznie byli na nią napaleni. A potem, gdy już się odpowiednio nakręcili, to wszyscy trzej po kolei spuszczaali się na sparaliżowanego ze strachu Adama. - Potarł twarz. - Boże, przecież to wszystko mogło spotkać mnie. Cały czas myślę, że to ja mogłem powiesić się na kłamce.

Karol wciągnął ze świstem powietrze, a krew odpłynęła mu z twarzy. Dosłownie go zatkało.

- Nie wiem co... To wszystko jest...

- Chore - wszedł mu w słowo Marek. Położył na stole banknot pięćdziesięciozłotowy. - Dlatego jestem tu, gdzie jestem. Żeby takich Adamów Duško było jak najmniej. A ludzie pokroju Szkodników siedzieli tam, gdzie ich miejsce. Głupie, co?

- Nie, Marek, wcale. Myślę, że to cholernie dobra motywacja.

- I chociaż nie powinienem mówić takich rzeczy, zwłaszcza jako stróż prawa i porządku, to z perspektywy czasu śmierć Frankowskiego mnie cieszy. Jeden z gnojków dostał to, na co zasłużył. Dwóch w kolejce. Pif-paf. - Walicki złożył palce na kształt pistoletu. - I jeśli zrobił to Ryszard Maśliński, tak jak wszędzie trąbiono, to wcale mnie to nie dziwi. Chociaż osobiście obstawiałbym jednak matkę Adama.

Wstał od stołu i się uśmiechnął. Demony przeszłości, które pielęgnował w sobie, schowały się, a wrócił postawny, dobry

glina.

- Dobrze było cię zobaczyć, Karol. Dbaj o siebie.

Nie czekając na odpowiedź, odszedł w kierunku komendy. Karol obserwował policjanta do momentu, aż ten minął kwiaciarnię i zniknął za zakrętem. Wciąż mentalnie przeżuwał sporą porcję informacji, jaką zaserwował mu Walicki. Z jednym tylko nie mógł się zgodzić - śmierć czternastolatka, choćby i najgorszego ze Szkodników, nie była adekwatną karą.

Poprosił o rachunek, wsunął banknot Marka do płatnika i wstał z miejsca.

Do samochodu wrócił przytłoczony ciężarem wspomnień. Nawiedził go w nich wysoki mężczyzna o stalowym wzroku i splątanych węzłach mięśni ukrytych pod skórą, który stał na werandzie i wypatrywał Gabriela. Doskonale pamięta artykuły w gazetach, nawołujące do wydania mordercy Jakuba Frankowskiego, kiepsko chowane przez rodziców Karola. Z wypiekami na twarzy czytał każdy strzęp informacji: dla policji wszystko było jasne - na miejscu zbrodni znaleziono strzelbę myśliwską należącą do Maślińskiego. Ujawniono jego powiązania ze słudbickimi przemytnikami samochodów, a fakt, że kilka godzin po śmierci czternastolatka przepadł jak kamień w wodę wraz z żoną i synem, był niczym spowiedź. Wyrok już zapadł. Cała Polska szykowała się do linczu, policja musiała działać szybciej od rozwścieczonej tłuszczy.

Karola naszała smutna refleksja - widma przeszłości zdefiniowały terażniejszość Ryszarda. Dobrze wiedział, że ten człowiek był niewinny.

Pomyślał też i o Ewie Maślińskiej. W jaki sposób przecięły się drogi przemytnika samochodów i hiszpańskiej piękności? Gabriela nigdy o to nie spytał, a po dziewięćdziesiątym czwartym nie miał już ku temu okazji.

Rozdzwonił się telefon. Karol wyciągnął urządzenie z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz - Magda. Odebrał.

- Cześć, co tam?

- Siema, ale jazda! W końcu udało mi się pogrzebać. Ja pierdole, miałeś rację, coś tu nie grało od początku.

Karol mimowolnie się spiął.

- To znaczy? Coś odkryłaś?

- Tak, ale to nie rozmowa na telefon. Będę koło osiemnastej w domu, wpadniesz?

Znów to ciepło w podbrzuszu. Przełknął ślinę.

- Tak, tylko musisz podać mi adres.

- Dobra, dobra, wyślę zaraz. To do zoba!

Rozłączyła się. Po kilku sekundach otrzymał od niej esemes. Uruchamiając silnik, spojrział na wiadomość. A więc dziś wieczorem wybierał się na Mokotów.

Widmo Ryszarda rozmyło się, a zamiast niego pojawiła się Magda w swoim kucyku, w okularach, z ładnymi oczami i za dużym nosem. Dzisiaj nie chciał żyć przeszłością, tylko skosztować teraźniejszości. Jeśli czegokolwiek w życiu się nauczył, to tego, że nigdy nie zna się dnia ani godziny.

TYMCZASEM

Mrok załagał się w każdym zakamarku lasu. Brudne od tłuszczu i kurzu okna tylko potęgowały ciemność. Jedynie słabe, żółtawe światło z lampki o aluminiowej obudowie chroniło wnętrze zagraconej leśniczówki od utonięcia w czerni.

Wyglądał przez okno, trzymając się kurczowo za przedramiona, wciąż zmieniając pozycję, drapiąc się po wychudzonych, zarośniętych policzkach. Zawył rozdzierająco, zwierzęco, a potem znów wlepił wzrok w szybę. Rękawem próbował przetrzeć brud, lecz tylko bardziej rozmazał tłustą maź. Polizał upačkany materiał – i słone, i słodkie, i gorzkie.

Ciemność przecięły reflektory nadjeżdżającego pojazdu. Bartek Czekał spojrział na niego mętnie, ale nie potrafił rozpoznać samochodu.

- Kim jesteś? - mruknął. - Młody Pełko? A może Duch? Jak myślisz, Kubusiu?

Obrócił się przez ramię, spodziewając się zobaczyć siedzącego przy stole czternastolatek, ubranego w zimową kurtkę i czapkę z pomponem. Patrzyłby na niego z tą swoją dziurą w głowie, a krew sączyłaby się na podłogę. Krzesło jednak było dziś puste. Wzruszył ramionami i wrócił do obserwacji. Samochód zatrzymał się u stóp pagórka, na którym wybudowano leśniczówkę. Nikt jeszcze z niego nie wysiadł.

Bartek wrócił pamięcią do zeszłej zimy, kiedy to po raz ostatni opuścił swój dom w Zabynijczu. Siedział wtedy półprzytomny na zniszczonej kanapie, pijąc ciepłą wódkę; nawet nie pofatygował się, aby polać ją do kieliszka, tylko przechylał co rusz butelkę, a piekący płyn spływał przelykiem. To była noc, kiedy Kuba obserwował go z bujanego fotela. To była też noc, kiedy w odwiedziny wpadł Mieszko Pełko wraz z Duchem.

- Bartek, dawaj, zbieraj się. Dowiedzieli się. - Młody Pełko był podenerwowany, a Duch, prawdziwy olbrzym, chłop na schwał, stał skryty w cieniu i bez słowa obserwował tę scenkę.

- Co on pieprzy, Kubusiu? - wybełkotał do okaleczonego przyjaciela, bujającego się w fotelu, na co ten wzruszył ramionami.

Mieszko wyglądał na zmieszanego, obejrzał się na olbrzyma, a ten pośpieszył go gestem.

- Pamiętasz, że mój ojciec obiecał cię chronić, pamiętasz, prawda? - pytał, a Bartek kiwnął głową. - Dowiedzieli się, że składałeś fałszywe zeznania, Czekaj. Przyjdą po ciebie, ale na twoje szczęście ja z Duchem jesteśmy pierwsi.

- Duch? - Zmęczone spojrzenie zawiesił na olbrzymie. - A weź zrób coś, kurwa, jakąś sztuczkę.

- Bartek, ja pierdole... On nie kontaktuje. - Ostatnie słowa Mieszko skierował do Ducha.

- Tym lepiej - odparł zdawkowo mężczyzna. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i odpalił. - Czekaj, tak? Chcesz jednego?

Bartek skinął głową i Duch wychynął z cienia. Gdyby po tej nocy Czekaj miał zidentyfikować mężczyznę, nie byłby w stanie, ponieważ tamten nie miał w sobie nic, co zapadałoby w pamięć - może poza gabarytami. Prawdziwy duch.

Pstryknęła zapalniczka. Bartek zaciągnął się dymem.

- Sprawa jest taka. - Duch usiadł obok Bartka. Kanapa zaprotestowała głośno. - Mieszko i ja chcemy ci pomóc. Pamiętasz, kogo dwadzieścia sześć lat temu oskarżyłeś o morderstwo swojego przyjaciela?

- Ryszarda Maślińskiego. - Bartek pochylił głowę i wbił wzrok w podłogę, jednocześnie porządnie zaciągając się dymem.

- Tak jest, zgadza się - przytaknął dobrotliwie Duch, zupełnie jak nauczyciel, gdy uczeń podał dobrą odpowiedź. - A teraz mi powiedz, kogo faktycznie wtedy widziałeś? Tak dla ścisłości.

- Nie wiem. Kogoś... Nikogo... Nie Ryszarda.

- No więc właśnie. - Duch uśmiechnął się szeroko. - Dlatego tu jesteśmy, ja i Mieszko...

- Tylko kim ty, do kurwy nędzy, właściwie jesteś? - Bartka ogarnął nagły przestрах.

Nie znał tego nijakiego mężczyzny. Pamiętał, że poczuł wściekłość, że Mieszko przyprowadza mu obcego, opowiada o obietnicy, jaką przed laty złożył jego ojciec. Chciał wstać i uderzyć Mieszka, złamać mu nos, szczękę, wybić zęby, zrobić z twarzy miazgę. Duch powstrzymał go niedbałym ruchem, nie dając mu ruszyć się z kanapy.

- Spokojnie, Czekaj. - Oczy błysnęły groźnie, ostrzegawczo. - Jestem przyjacielem Mieszka, razem ci pomożemy. Prawda, Pełko?

- Prawda. - Mieszko nie patrzył w ich kierunku.

- Tak więc chcemy ci pomóc. Wawrzyn by tego chciał.

Na imię swojego nieżyjącego ojca Mieszko się skrzywił, ale nic nie powiedział.

- Ktoś się dowiedział o twoich kłamstwach. I jest to ktoś o wiele gorszy od policji.

Bartek zmusił się, aby podnieść wzrok i spojrzeć w szare oczy Ducha.

- Kto taki?

Pamiętał doskonale ten paskudny uśmiech.

- Rodzina Ryszarda.

Bartek się wzdrygnął, gdy usłyszał głucho uderzenie kłódki zdejmowanej z drzwi, a potem zgrzyt zawiasów. Do leśniczówki wszedł Duch, wielki i anonimowy jak zawsze. Rozejrzał się powoli po zagraconym pomieszczeniu i wstrzymał oddech, próbując chociaż przez chwilę nie oddychać gryzącym, kwaśnym powietrzem. Gdy dostrzegł Bartka, uśmiechnął się i ruszył w jego stronę. Buty lepiły się do podłogi, przy każdym kroku słychać było nieprzyjemne młaśnięcie.

- Czekaj, jak się trzymasz? - przywitał go, wyciągając w jego kierunku paczkę czerwonych marlboro.

- Duchu. - Drżącymi rękoma odpalił papierosa. - Nadal jestem w niebezpieczeństwie?

- Cały czas - przyznał ze smutkiem postawny mężczyzna. Dłońmi w rękawiczkach strzepnął z rękawów czarnego golfa pajęczyny. - Ale już niedługo. Dziś pomożesz mi przy jednej sprawie, to będzie krok ku twojej wolności.

- Słyszałeś, Kubusiu? - wyszeptał i obejrzał się na wciąż puste krzesło. - Jeszcze trochę.

Duch zignorował jego majaki i podszedł do stołu. Z kieszeni spodni wyciągnął sreberko. Rozwinął je i na stół wysypały się mlecznobiałe kryształki.

- Ale zanim ruszymy, musisz się najpierw przygotować.

Bartek niepewnym krokiem podszedł do stołu, przy którym Duch zaczął kruszyć kryształki brudnym nożem. Ostrze oblepione było zaschniętym pasztetem, ale olbrzymowi to nie przeszkadzało.

- Co to jest? - spytał, obserwując, jak mężczyzna formuje równe linie.

- Ogień w proszku - odparł z uśmiechem. - Częstuj się.

Nie wiadomo skąd w jego dłoni znalazła się metalowa rurka. Bartek chwycił ją i posłusznie wciągnął narkotyk. Wszystko nabrało ostrości. Kiedyś, gdy jeszcze miał pieniądze, wciągał fetę, ale to było dużo lepsze i dużo mocniejsze.

- O szlag, ale klepie.

Widząc, jak elektryczne impulsy przepływają co rusz przez ciało Bartka, Duch sprężystym krokiem wyszedł na zewnątrz. Wciągnął ostre, chłodne powietrze i wszedł do przybudówki. Po chwili wrócił z kanistrem paliwa i kilkoma pustymi butelkami po piwie. Bartek trzymał się kurczowo stołu, ciężko oddychając.

- Idziemy - zakomenderował, a Czeka, osuwający się z narkotycznym stanem, podniósł zdziwiony wzrok. Duch ponaglił go gestem. - Robota czeka - wyjaśnił i pomachał trzymanym w dłoni kanistrem. Paliwo zachlupotało, objając się o jego ścianki.

Chwasty trzeba wypalać - pomyślał nagle Bartek i zaczął się śmiać na cały głos.

OBECNIE

Aleksander Gierymski, prekursor polskiego impresjonizmu, byłby dumny, gdyby widział, że mieszkańcy blokowiska na Sielcach kontynuują dzieło na ulicy jego imienia. Wszędzie na ścianach bloków i śmietników królowały biało-zielono-czerwone graffiti. „Elki” w kółeczku, CWKS LEGIA, FANATYCY 1916.

Karol z dystansem przyglądał się niskim, czteropiętrowym budynkom, dzieciom bawiącym się na podwórkach i młodzieży chowającej się z e-papierosami przy trzepakach. Dotarł do bloku znajdującego się tuż przy skrzyżowaniu z ulicą Braci Pillatich i zadzwonił pod wskazany numer. Po chwili odblokował się zamek w drzwiach. Klatka bloku nie należała do najnowszych, a do tego śmierdziało na niej moczem. Wszedł na drugie piętro. Magda czekała już w progu mieszkania.

- Trafiłeś bez problemu? - spytała.

- Jak widać. Ładna okolica.

Machnęła ręką.

- Polowałam na coś na Powiślu, ale ceny są tragiczne. Wchodź, wchodź, nie będziemy stać w progu.

Wnętrze trzypokojowego mieszkania utrzymane było w schludnym, minimalistycznym klimacie. *Zupełnie jak gabinety w AEGamez* - pomyślał Karol. Z kwiatów doniczkowych znał jedynie monsterę - roślinę o dużych, ciężkich liściach w

kształcie pociętego serca. Na półkach dostrzegł sporo książek, głównie o programowaniu, ale także kilka pozycji z beletrystyki. Tutaj królowali Herbert, Tyrmand, Twardoch i King.

- Napijesz się czegoś? - spytała Magda, wchodząc do kuchni. Włosy związała w kok na czubku głowy.

- Piwo może być - odparł.

Wyciągnęła butelkę o kolorowej, psychodelicznej etykiecie z dziwnymi nazwami, których Karol nie kojarzył. Po chwili namysłu dla siebie wzięła identyczną. Przeszli do salonu i usiedli na kanapie. Liście monstery łaskotały Karola po ramieniu.

- Co tam odkryłaś? - Napił się i skrzywił od goryczy piwa. Aż cierpło mu w ustach.

- Nawet nie spytasz, jak minął mi dzień, co u mnie słyhać, od razu tylko pretensje i że za słona zupa - mruknęła Magda, krzywiąc się przy tym komicznie. Roześmiała się, kiedy Karola na chwilę zatkało. - Żebyś siebie widział! Wybacz, rzadko kiedy mam możliwość poudawać nieudany związek, który w ryzach trzyma jedynie dziecko z ADHD.

- Ja miałem tylko same nieudane - wypalił, zanim ugryzł się w język.

- E, niemożliwe. - Machnęła ręką. - Na pewno miałeś jakieś swoje miłości.

- Wszystkie kochały moje pieniądze - silił się na uśmiech. - A teraz ich już nie ma.

- Kobiet?

- Pieniądzy.

Magda uniosła wysoko brwi, aż wyszły ponad oprawki okularów.

- To co tu jeszcze robisz?

Oboje parsknęli śmiechem, Karolowi ułało się nosem trochę piwa.

- Dobra, a teraz na poważnie, niestety. - Sięgnęła do skórzanego, zielonego plecaczka. - Pogrzebałam trochę, łatwo nie było, ale dotarłam do paru spraw. - Na blacie położyła beżową teczkę z naklejką z napisem: „Umowa nr 37/05/2020”. - To tutaj - postukała w nalepkę paznokciem - to umowa, którą podpisywałeś z Łukaszem. Pamiętasz, prawda?

Kiwnął głową.

- Otwórz ją.

Sięgnął do teczki. Jej lekkość od razu wydała się mu podejrzana. Rozwiązał kokardkę i zajrzał do środka. Nic. Pusto. Spojrzał pytająco na Magdę.

- Czytałeś w ogóle to, co ci wtedy dał?

- Nie.

- Dostałeś kopię?

- Nie...

Debil! - skarcił się w myślach za tę oczywistość.

- To musiał ci wcisnąć jakąś lewiznę dla zachowania pozorów. Bo raczej nie ma co się martwić, że właśnie bierze na ciebie jakiś milionowy kredyt - zażartowała.

- Tak mi się wydaje. - Karol próbował robić dobrą minę do złej gry, ale nieprzyjemny dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Udało mi się tę teczkę wydobyć przymilaniem się do takiej starej raszpli z księgowości. Wisisz mi kasę za pączki, ale pamięci zapchanej imionami jej kotów, które miała chyba od dnia narodzin, już nikt mi nie zwróci. - Westchnęła teatralnie i przechyliła butelkę, by uraczyć się sporym łykiem piwa.

- Ale to niestety nie wszystko. - Sięgnęła znów do plecaka, by wyciągnąć z niego kopertę. Obracała ją w palcach. - Dowiedziałam się, że Łukasz wczoraj złożył wypowiedzenie.

- Co? - Karol poczuł, jak cały się mimowolnie napina.

- Tak. I to w trybie natychmiastowym. Gadałam z tą księgową. Nikt z zarządu nie spodziewał się takiej decyzji. Wszyscy byli zadowoleni ze współpracy, ba, nawet mieli w planach go awansować. A on dał papier i z dnia na dzień opuścił biuro. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale ma wyłączony telefon.

Magda podsunęła mu kopertę pod nos, nie puściła jej jednak. Patrzyła Karolowi intensywnie w oczy.

- Poszłam przeszukać jego gabinet, ale zabrał wszystko. Prawie wszystko. Nie znalazłam niczego poza tym. Leżało w szufladzie z innymi szpargałami, ale na widoku. Przypadek? Szczerze wątpię.

Zabrała dłoń. Karol sięgnął po kopertę. Nie była zaklejona. Wyciągnął z niej płytę z krzywo nabazgranym napisem: „TotalFoot, demo, Widmo”. Odłożył ją na stół. Znalazł jeszcze wizytówkę utrzymaną w czarno-białej tonacji. Po lewej stronie widniała wektorowa grafika zęba trzonowego z wpisanym w środku „KBZ”, a pod spodem: „USŁUGI DENTYSTYCZNE”. Karolowi serce zabiło mocniej, kiedy odczytał nazwisko - dr G. de la Garza.

- Sprawdziłam numery telefonu. - Magda uprzedziła jego pytanie. - Nie istnieją. Zresztą tak sądziłam, mają jakiś dziwny format. Oba po osiem cyfr, bez sensu. Wydało mi się to wszystko zbyt podejrzanym. Bo KBZ to ewidentnie...

- Klub Białych Zębów - mruknął Karol ze wzrokiem wbitym w kartonik.

- Tak. Nic więcej tu nie ma. Żadnego adresu. A nazwisko ci coś mówi?

Wolno pokiwał głową.

- To panińskie nazwisko matki Gabriela. - Zamachał wizytówką. - Mogę to zatrzymać?

- Jasne. - Przesunęła płytę w jego kierunku. - To też zabierz.

- Myślisz, że to demówka, którą mi odpaliliście podczas rozmowy?

- Tak myślę, nie sprawdzałam. Tylko słuchaj, nie robiłabym sobie wielkich nadziei.

Skinął głową i wpakował wszystko z powrotem do koperty.

- I co teraz? - spytał, musząc upuścić z siebie trochę pary.

- Jaka jest szansa, że twój przyjaciel z dzieciństwa przebranżowił się na stomatologa?

- Raczej nikła. Nienawidził chodzić do dentysty.

- Nikt tego nie lubi, to kiepski argument - zauważyła. Skinęła głową na lodówkę. - Chcesz jeszcze piwa?

Karol zorientował się, że faktycznie wszystko już wypił. Kiwnął głową.

- To musi być jakaś wskazówka - oznajmił, kiedy Magda otworzyła przed nim butelkę. - Tylko że nie wiem, od kogo. Od Łukasza? Od Gabriela? Od obu? Działają razem, a może Łukasz mi grozi?

- Czym miałby ci grozić? - Magda zawinęła nogi pod pośladki i obróciła się w stronę Widmowskiego. Uważnie się mu przyglądała.

Karol wziął głęboki oddech. Nie był gotów wyjawić swoich sekretów. Może nigdy nie będzie.

- Cholera wie - odparł wymijająco. - A jeśli naprawdę myśli, że mam kasę? Dowiedział się o klubie i próbuje coś na tym ugrać? Może znalazł tę okładkę w ich domu, bo Gabriel nie zabrał jej i leżała tam przez te wszystkie lata.

- Może. Ale zbyt dużo tutaj gdybania.

Zdziwił się, gdy Magda chwyciła go za rękę. Miała delikatną i ciepłą dłoń.

- To pewnie dla ciebie trudne. - Bardziej to stwierdziła, niż spytała. - Ja bym się już pogubiła.

- W zasadzie to wszystko zaczyna mnie przerastać - odparł, uśmiechając się lekko. - Ktoś ze mną pogrywa, ale nie odkrył jeszcze wszystkich kart, więc nie wiem, do czego to zmierza.

- Ostatnio mówiłeś, że Gabriel żyje, a Łukasz jest jego pośrednikiem. - Próbowała uporządkować fakty. - Może warto pójść tym tropem? Może to jest jednak wskazówka od niego? Na przykład ta wizytówka jest jak, hm, tajemne zaproszenie. Tylko ty możesz ją odczytać.

- Chciałbym, aby tak było - przyznał. - Tylko że jest mnóstwo łatwiejszych sposobów na skontaktowanie z przyjacielem z dzieciństwa.

- Musimy dowiedzieć się, o co z nią chodzi. - Wstała od blatu i poszła po laptop. - Śpieszy ci się gdzieś?

- Nie bardzo - odparł zgodnie z prawdą.

- To może wujek Google nam coś podpowie? - zaproponowała. - Znajdźmy coś o tym gabinecie, może to będzie kolejny trop.

Karol chętnie przystał na jej inicjatywę.

Kolejne godziny w mieszkaniu na Mokotowie minęły bardzo szybko. Niestety poszukiwania informacji o gabinecie KBZ nie okazały się owocne. Znaleźli jedynie usługi budowlane, prawnicze i kilka odniesień do niemieckich stron. Nic, co mogliby uznać za pozytywne.

Po piwach w ruch szybko poszły drinki, które przygotowywała Magda. Atmosfera, także przez brak satysfakcjonujących wyników, rozluźniła się. Karol poznał kilka nowych zespołów muzycznych, podyskutowali o wyższości studiów informatycznych nad humanistycznymi, aż w końcu dorwali się do PlayStation i odpalili *Total Football*. Okazało się, że Magda nie oszukiwała; grała tak, jakby urodziła się z padem w dłoni.

Spojrzał na zegarek - było już po dwudziestej trzeciej. Obraz się mu rozmywał, musiał zmrużyć oko, głos miał lekki i łamiący

się. Uznał, że to pora, aby zbierać się do domu.

- Słuchaj, będę uciekać...

Nie dokończył, bo Magda akurat chwyciła go za dłoń. Delikatnie, miękko. Odwrócił głowę w jej stronę i wtedy go pocałowała, mocno, bez oporów. Smakowała sokiem ananasowym i wódką. Chwycił ją za biodra i posadził na sobie. Nie protestowała, tylko zaczęła ocierać się o jego krocze. Poczł, że momentalnie urósł i stwardniał. Magda całowała go teraz z nową intensywnością, jej biodra delikatnie poruszały się w przód i tył. Szybko, łączywie, tak jakby ten moment miał ulecieć. Zdjął z niej bluzkę, zaczął całować dekolt. Jęknęła cicho, nastawiając się do pieszczot. Wstała z niego i gdy nadal się całowali, rozpięła mu spodnie. Podniósł się lekko, aby pomóc w ich ściągnięciu. Poczł ciepłą dłoń zaciskającą się na penisie. Gdzieś w jego spodniach zadzwonił telefon, ale zignorował to zupełnie. W tym momencie liczyła się tylko ona. Ściągnął z niej szorty i wilgotną bieliznę. Położyła się na kanapie i rozchyliła uda, zapraszając Karola do środka. Mebel zaskrzypiał, gdy w nią wszedł.

Z kanapy trafili do sypialni, gdzie w ogromnym łóżku mogli sobie pozwolić na więcej, a potem leżeli w nim cali spoceni.

Karola ogarnęło błogie zmęczenie, takie, jakiego nie czuł od dawien dawna. Korzystanie z prostytutek zawsze wiązało się z poczuciem wstydu, było zwykłym zaspokajaniem pierwotnej potrzeby, którą równie dobrze mógł załatwić sam przed ekranem komputera.

Z Magdą doświadczył czegoś zupełnie innego, czegoś jednocześnie ostrego i delikatnego, gwałtownego lecz bez pośpiechu. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz tak się kochał. Nie pamiętał.

Magda wstała, narzuciła szlafrok, puściła oczko Karolowi i powiedziała, że idzie zapalić. On, trzeźwiejszy niż na początku, bo wypocił sporo płynów, powoli godził się z tym, że to koniec

ich wspólnej nocy. Wstał i poszedł do salonu po spodnie, gdzie wcześniej telefon dzwonił jeszcze kilka razy. Wyciągnął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz. Nieodebrane połączenia od matki przeplatały się z połączeniami od Grzyba. Przełknął ślinę i oddzwonił do Julii. Nie odbierała. Czując w gardle rosnącą gulę niepokoju, przełamał się i zadzwonił do byłego agenta. Odebrał niemal od razu.

- Karol, kurwa, czemu, do chuja, nie odbierasz telefonu?

- Uspokój się, co się stało...?

- Gdziekolwiek teraz, kurwa, jesteś, zbieraj dupę w troki i zapierdalaj na Pragę!

- Ale o co chodzi? - Niepokój wykiełkował. Chłód na plecach nie miał nic wspólnego z otwartymi drzwiami na balkon, na którym paliła Magda, przyglądając się jego rozmowie.

- Spalili wam dom - wyznał Grzyb grobowym tonem. - Twój ojciec był w szpitalu w Piasecznie, w ciężkim stanie, udzielili mu pierwszej pomocy i przewożą go do Wojskowego na Szaserów...

- Jak to spalili? Kto? - wydusił Karol, a potem zadał ważniejsze pytanie. - A matka? Co z nią?

- Zdążyła uciec, ale Tadek miał mniej szczęścia. Bierz, kurwa, takse, samochód, cokolwiek i jedź tutaj, bo Julia zaraz oszaleje...

- Jadę - rzucił szybko Karol i się rozłączył się. Odkrył, że cały się trzęsie. Magda podeszła do niego.

- Co się stało?

Pokręcił tylko głową, w amoku próbując znaleźć swoje rzeczy. Ojciec. Szpital. W ciężkim stanie. Tylko to mu teraz krążyło po głowie. I to, że kiedy ostatnio wyjeżdżał, nie pożegnał się z nim.

- Odezwe się - powiedział krótko i ruszył do wyjścia.

Magda w ciszy obserwowała, jak wybiega z mieszkania.

10

OBECNIE

- Jedź, jedź, kurwa, szybciej!

- Ale proszę pana, tutaj są ograniczenia...

- Pierdole te ograniczenia! Kurwa, mogłem wziąć taksówkę, oni się, kurwa, nie przejmują!

Karol siedział na tylnej kanapie skody octavii i myślał, że zaraz rozpadnie się na atomy - tyle emocji rozsadzało go od środka. W okolicy nie było żadnych taksówek, więc zamówił Ubera, czego teraz bardzo żałował. Młody chłopak, Mariusz, jak przedstawiła go aplikacja, musiał w ogóle nie znać miasta i okolic. Do tego próbował stosować narzucone prawnie ograniczenia prędkości, co ostatecznie skutkowało tym, że po kwadransie jazdy nie byli nawet w połowie drogi z Mokotowa na Grochów.

- Posłuchaj mnie raz, a dobrze. - Karol wychylił się i chwycił kierowcę mocno za ramię. - Ktoś być może właśnie umiera, więc jeśli przez ciebie i twoje pierdolone poczucie prawa i obowiązku nie dotrę na miejsce na czas, to obiecuję, że znajdę cię i zajebię. Mariusz, tak?

Chłopak zerknął w lusterko, wzrok miał rozdygotany z przerażenia. Karol w tej chwili zupełnie nie dbał o to, czy przesadza, czy też nie. Musiał dotrzeć do ojca. Odetchnął na moment, kiedy poczuł, jak chłopak dociska gaz i przyśpiesza.

Gonitwa myśli zataczała setne okrążenie po zwojach mózgowych. Spróbował dodzwonić się do matki, lecz nadal nie odbierała. Zamiast tego wybrał numer do Grzyba.

- Gdzie jesteś? - usłyszał na powitanie.

- Zaraz skręcam na Szaserów.

- Błagam cię, bądź już tutaj. - Grzyb musiał wstać, ściszył głos. - Matka cię potrzebuje, jest w rozsypce. A z Tadkiem... Karol, nie będę kłamał, jest ciężko, poparzenia drugiego i trzeciego stopnia...

Poczuł, jak na głowę osuwa mu się wpierw cały ciężar wszechświata, a zaraz po nim -ciężka, gruba kurtyna, która pozwoli odrealnić mu część słów i obrazów. Organizm szykował go na najgorsze, aby mógł działać dalej, jeszcze przez chwilę.

- Zadzwonię, jak będę pod szpitalem. - Zakończył połączenie.

Dojechali kilka minut później. Uber zatrzymał się na podjeździe przed Wojskowym Instytutem Medycznym. Karol bez słowa wypadł z samochodu. Wszedł do izby przyjęć, przepchnął się między dzieciakami w sportowych strojach. Dwóch trzymało jednego z napuchniętą kostką.

- Tadeusz Widmowski, gdzie jest? - spytał otyłą pielęgniarkę siedzącą w recepcji. Miała zaspany, nieobecny wzrok.

- Proszę pana, najpierw...

- Gdzie leży Tadeusz Widmowski? Przywieźli go z poparzeniami, poważny stan.

W głowie kobiety jakby zaskoczyły trybiki, ale zanim wykonała telefon, aby pokierować Karola, poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał pokiereszowaną twarz Macieja. Zauważył, że agent chodzi o kulach.

- Chodź - powiedział tylko.

Więc poszedł, a bezbarwny głos Grzybickiego sprawił, że coś z niego uleciało i unosiło się teraz kilkanaście centymetrów

ponad schodami upstrzonymi białymi plamkami. Ścisnęło go w gardle, bał się o cokolwiek spytać. Miał czterdziestkę na karku, a czuł się jak bezbronne dziecko. Przeraziło go wszystko: od szpitalnego, sterylonego zapachu, którego nienawidził, po cichego Grzyba, a jego milczenie nigdy, ale to nigdy nie wróżyło niczego dobrego. Ostatni raz zachowywał się podobnie, kiedy musiał przekazać mu diagnozę lekarzy po pechowym meczu w Leverkusen.

Weszli na zielony korytarz, linoleum pod stopami zakrzypiało. „Ostry dyżur” – głosił napis na ścianie. A pod jedną z nich siedziała Julia. Grube łyzy kapały gęsto na podłogę, ciało podrygiwało w niekontrolowanych spazmach. Pole widzenia Karola zawężyło się tylko do niej; matka wydała mu się nagle mała, krucha, w jednej chwili postarzała się o dwadzieścia lat. W niczym nie przypominała tej pełnej życia kobiety, z którą żegnał się na tarasie domu w Zabyniczu.

Domu, który spłonął.

– Mamo? Mamusiu? Gdzie jest tata, co z nim? Co się stało, do cholery?!

Podniosła wzrok, a Karol spojrzał na jej opuchniętą od łez twarz. Opadł obok niej na kolana, a wtedy wpiła się w niego dłońmi, zacisnęła mocno palce na koszulce, tak jakby miał być jej kołem ratunkowym. Przycisnął ją mocno do siebie, tylko że on też tonął i z sekundy na sekundę opadał coraz niżej.

– Karol, Karolku – wyszłochała, próbując powstrzymać spazmy. – Tata, Tadzio, on...

Ledwo mówiła, ale dla Widmowskiego każde słowo brzmiało jak dzwonek.

– Co z nim, mamo? Co mówią lekarze? Muszę go zobaczyć!

– Karolku, on, o Boże, zasnął na kanapie, przed telewizorem, tak jak to mój Tadek...

Nagle stwierdził, że woli nic nie wiedzieć. Że chce się obudzić z tego jebanego koszmaru zwanego życiem, cofnąć się

o trzy dekady, znów być dzieckiem nieświadomym tego całego gówna dookoła.

- A tam zaczął się pożar, on... ogień spadł prosto na niego, ktoś rozbił szybę. Byłam bliżej drzwi, chciałam go ratować, ale biegał po salonie, był cały w płomieniach, Jezus Maria, Karol, ja nie mogłam nic zrobić! Uciekłam na zewnątrz, wołałam o pomoc...

- Czy tata... żyje? Uratowali go, prawda? Zdążyli? - To było najtrudniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek miało przejść mu przez gardło.

Julia spojrzała na syna niewidzącym wzrokiem. Kiedy on się tak postarzał? Tak przestał o siebie dbać? Przecież jeszcze niedawno Tadek nosił go na plecach, uczył go jeździć na rowerze, wędkować. Zagryzła wargę i zebrawszy w sobie resztki sił, wychrypiała:

- Karolku, twój tata nie żyje. Umarł, parę chwil temu. Lekarz wyszedł i powiedział, że jego serce nie wytrzymało. Karol, tak mi przykro, Jezu, tak mi przykro...

To był jej limit. Rozpląkała się na nowo i nie powiedziała już ani słowa. Przyłgnęła do Karola, a ten objął ją mocno, najmocniej jak tylko mógł. Spojrzał na Grzyba, który stał, wspierając się kulami, nie wiedząc, co począć. Kiwnął mu głową, a Maciej zrozumiał. Zrobił swoje i może iść.

Słuchając szlochu matki, w głowie Karola niczym zła pozytywka w kółko kręciły się ostatnie słowa, które usłyszał od ojca wtedy, nad Brzozowym, w świetle zachodzącego słońca.

„Myliłem się więc, cały czas ci kibicując”.

CZTERNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Do końca pierwszej połowy nie wydarzyło się nic godnego odnotowania. I Werder, i Bayer starały się utrzymać kontrolę nad piłką, aby dotrzeć do przerwy. Kiedy sędzia zagwizdał, zeszli do szatni w nie najlepszych humorach. Karola dopadł Torsten i po ojcowsku objął go ramieniem. Schodzili do tunelu w akompaniamencie krzyków z tysięcy gardeł.

- Karol, nie wchodź w takie głupie sprzeczki z Marcosem.

- Co? - zdziwił się młody pomocnik. - Mam dać sobą pomiatać temu pajacowi?

- Nie o to chodzi. - Torsten pokręcił głową. - Znam go dobrze. To buc, zawsze gra twardo, więc czasem trzeba odpuścić. Mamy dużo ważnych meczów przed sobą, nie chcemy żadnych kontuzji, jasne?

- Ale...

- Jesteś od niego dużo szybszy - włączył się Miro, który szedł tuż za ich plecami. - Oblecisz go na raz, to chłopak się pogubi i tyle z tego będzie.

- Dokładnie tak, nie wchodź w drybling, nie próbuj ośmieszać. To tylko go nakręci - przytaknął Torsten, klepiąc Karola po plecach. - Zgoda?

- Tak - burknął niechętnie.

Reszta przerwy minęła szybko. Trener pogratulował im strzelonej bramki, ale stanowczo skarcił za utratę. Poprosił o więcej zaangażowania w obronie, intensywność w ataku i precyzję w rozgrywaniu. Kwadrans zleciał na rozmasowaniu mięśni i nawadnianiu się.

Kiedy ustawiali się z powrotem na pozycjach, Karol zobaczył, jak Marcos rozmawia z innym graczem, zaśmiewając się przy tym. Poczł wzbierającą falę gniewu. Zaciśnął pięści, wyrównał oddech i zmrużył oczy.

Nie odpuszczę.

Zaczęli gospodarze. Bayer szybko ruszył do ataku, ale Werder nie miał zamiaru niczego im ułatwić. Skończyło się to na tym, że Karol pomógł Torstenowi, podwoił krycie i wyłuskał piłkę spod nóg Marcosa.

Mam cię - pomyślał nie bez satysfakcji i przyśpieszył, omijając drugiego z pomocników. Posłał dobre podanie na skrzydło, ale dośrodkowanie na napastnika wylądowało poza linią bramkową. Karol klasnął w dłonie niezadowolony i zaraz wrócił na swoją pozycję, czekając na atak przeciwnika.

Pomału zbliżała się sześćdziesiąta minuta meczu. Jedna i druga strona atakowały, lecz kończyło się to strzałami niecelnymi lub bronionymi przez bramkarzy. Karol trzymał się porad kolegów i nie wchodził w dryblingi, za to wykorzystywał swoje przyśpieszenie. Marcos zaś w drugiej połowie był zdecydowanie słabszą wersją siebie. Musiał dostrzec to też trener Bayeru, bo powoli szykował zmianę. Brazylijczyk też to widział - cały czas zerkał na ławkę rezerwowych, zamiast skupić się na grze.

Z trybun niosły się radosne przyśpiewki i aktywny doping. Kibice Werderu Brema, który dawno nie spisywał się tak dobrze, mieli dużo więcej powodów do radości: solidna pozycja w lidze i wymarzona sytuacja w Lidze Mistrzów rozpałały nadzieję na ekscytujący finisz sezonu.

Taka atmosfera panowała do sześćdziesiątej ósmej minuty, kiedy okrzyk grozy przeszedł przez cały stadion. Mimo że do murawy było dobrych kilkanaście metrów, matki instynktownie zasłaniały oczy młodszym dzieciom. Mężczyźni łapali się za głowy, wszędzie dało się słyszeć dobitne „scheisse”.

A przecież to miała być prosta akcja. Werder wystartował z kontrą. Karol otrzymał piłkę, efektownie ograł gracza Bayeru, by ruszyć sprintem w kierunku bramki. Jeden z obrońców został pod bramką Werderu, gdzie jeszcze chwilę temu próbował walczyć po dośrodkowaniu z rzutu różnego i teraz jego pozycję z zaciętą miną dublował Marcos.

Karol zdążył zwizualizować sobie całą akcję; wiedział, że ma komfortową pozycję i bez problemu ośmieszy brazylijskiego pomocnika – ten jeden, ostatni raz. A potem zostanie już tylko on i bramkarz. Kolejna bramka do kolekcji, kolejne punkty dla zespołu.

Lecz nagle znalazł się na ziemi, choć nawet nie pamiętał, kiedy upadł. Na trybunach rozległ się przerażająco krótki okrzyk. Karol otrząsnął się i zaczął szukać piłki. Była tuż przed nim. Próbował wstać i wtedy poczuł przejmujący ból, biegnący od nogi, przez kręgosłup, aż do mózgu. Ból, który odebrał mu świadomość.

Leżał na plecach, medycy przypinali go do pomarańczowej deski ortopedycznej. Karol chciał zaprotestować, zaraz będzie mógł wrócić na boisko. Zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Zobaczył Torstena, który stał za plecami lekarzy blady jak ściana, z ustami ściągniętymi w wąską nitkę. Miro zakrywał twarz, jakby mu się zbierało na wymioty. Karol podniósł głowę i wtedy to zobaczył.

Prawa noga (*Nie moja, nie, to nie może być moja noga!*) była nienaturalnie wygięta. Zupełnie jakby na chwilę stał się zabawką i jakieś dziecko przetestowało granice jego możliwości. Któryś z medyków rozciął mu getry, więc dobrze

widział łydkę, z której wystawała upiorna, zakrwawiona kość, oblepiona czerwonym mięsem. Zrobili mu zacisk tuż nad kolanem, lecz krew i tak sączyła się z otwartego złamania.

Pojawiło się uczucie oderwania, odrealnienia. Chciał się zaśmiać, uszczypnąć i obudzić. *To się nie dzieje, jestem w hotelu, to wszystko mi się śni, mecz jeszcze się nie zaczął.* Zamrugał kilka razy, poruszał palcami u rąk, u nóg. Na sygnał odpowiedziała tylko lewa stopa. Spojrzał jeszcze raz. Kość nadal wystawała z ciała jak chwast, którego nikt nie chciał w tym miejscu sadzić. Intruz. Ciało obce.

Wtedy właśnie Karol zaczął wyć, płakać, oczami wychodzącymi z orbit co rusz spoglądał na piszczel. Wyrывał się z deski, próbując uciec od nogi, która przed chwilą była jeszcze jego, a teraz stała się zupełnie obcym bytem. Ten obraz wraz z powtórką brutalnego wślizgu Marcosa, zirytowanego swoją słabą formą w tym meczu, obiegił cały świat. Bez przerwy pokazywano i szeroko komentowano bestialskie zachowanie gracza Bayeru. Nie chciał trafić w piłkę, jego celem był Karol. Po bezlitosnym frontalnym ataku rozpedzonych dziewięćdziesięciu kilogramów Marcosa na nogę Widmowskiego diagnoza mogła być tylko jedna: piszczel i kość strzałkowa złamały się jak sucha gałąź.

Dla Marcosa oznaczało to bezprecedensowe zawieszenie do końca sezonu. Dla Karola coś zdecydowanie gorszego.

OBECNIE

Karol się ocknął i rozejrzał dookoła. Przysnął na kanapie w salonie swojego mieszkania. Wstał, a noga pulsowała mu intensywniej niż zwykle, co mogło zwiastować zmianę pogody. Pokuśtykał do sypialni, z sercem walącym o mostek cicho uchylił drzwi; na jego łóżku spała zwinięta w kłębek Julia, wyczerpana nocnym płaczem.

Karolowi aż zakręciło się w głowie; wszystko wróciło w jednej chwili. Stalowe szczypcy zacisnęły się wewnątrz klatki piersiowej, ale nie mógł zmienić tego, że jego tata nie żyje. Obudził się po prostu z koszmaru i wrócił do jeszcze gorszej rzeczywistości.

Przeszedł do salonu i spojrział na zdjęcia nad kanapą. Dawno nie śnił mu się mecz z Leverkusen. Tuż po kontuzji do tej sytuacji wracał w snach codziennie po kilka razy. Sezon wcześniej w Liverpoolu podobnej kontuzji doznał Djibril Cissé. Niemieccy medycy, idący za doświadczeniem angielskich kolegów, za nastawianie kości Karola zabrali się tuż po zejściu z murawy. Tego kamery już nie widziały. Było to gorsze niż sam moment złamania. Czterech mężczyzn go trzymało, a dwóch brutalnie ciągnęło za stopę, aby wprowadzić kości na swoje miejsce. Wyklinał ich w amoku, dopóki organizm łaskawie nie odciął mu świadomości. Techniczni Leverkusen uciekali od tego widoku, ktoś na pewno wymiotował.

Z czasem stał się wdzięczny medykom. Gdyby nie ich szybka reakcja, bardzo możliwe, że straciłby nogę.

Wyszedł na balkon. Słońce, dryfujące tuż nad miastem, posyłało pierwsze poranne promienie. Do mieszkania na Bielanych wrócili niecałą godzinę temu. Julia histeryzowała, nie chciała opuścić szpitala, lekarze zaproponowali jej coś na uspokojenie, na nerwy. Zgodziła się; będzie spać twardo jeszcze przez kilka godzin.

Karol widział ojca. Wpuścili go na salę, aby mógł się z nim pożegnać. Leżał przykryty białym prześcieradłem, na którym odcisnęły się krwawe ślady. Jeden z lekarzy odsłonił płachtę.

Tego widoku miał już nigdy nie zapomnieć. Na głowie nie zostały się żadne włosy, lewa strona twarzy była wypalona, miejscami aż do kości. Ogień strawił powiekę i oko, pusty oczodół patrzył na Karola. Lekarz cichym i delikatnym głosem wytłumaczył, że źródło ognia musiało eksplodować tuż przy jego głowie. Że to te obrażenia spowodowały zgon. Szok i ból, którego serce ojca ostatecznie nie wytrzymało. Karol spytał, czy go bolało. Lekarz skrzywił się, nie wiedział, jakie dobrać słowa. Tyle wystarczyło za odpowiedź.

Łzy pociekły Karolowi po policzkach, oparł głowę o chłodną poręcz. Wciąż myślał o ostatnich słowach ojca. Ostatnich, które niosły więcej emocji niż sucha informacja o latarce. Rozczarował go, a to bolało bardziej niż połamana noga.

Myśli znów wróciły do szpitala w Leverkusen. Karol czekał na transport do placówki w Berlinie, gdy przyszedł Maciej Grzybicki, taki blady, że aż zlewał się z sufitem. Tylko on jeden z najbliższych mu osób był wtedy w Niemczech. Wyjątkowo nawet obserwował mecz z trybun. Zazwyczaj jeździł po kraju i dbał o swoich klientów, których miał już w tamtym czasie kilku.

- Jak się trzymasz? - spytał i stanął pod oknem, krzyżując ramiona na piersi. Tak jakby bał się, że czymś mógłby się zarazić.

- Do dupy - odparł Karol rozdygotanym głosem. Musiał dawkować słowa inaczej rozpląkałby się na oczach przyjaciela.

Maciej również wyglądał, jakby miał się rozkleić.

- Rozmawiałem z lekarzem...

- Dzwoniłeś do rodziców? - wszedł mu w słowo Karol.

- Zadzwoń - obiecał. - Ale teraz martw się o siebie. Lekarz powiedział, że każdy przypadek jest indywidualny, lecz jest spora szansa, że wrócisz w przyszłym sezonie. mistrzostwa świata na pewno przepadną...

- Nie wrócę - przerwał mu. - Wiem, że nie wrócę.

- Co ty gadasz, Karol. Musisz wrócić, jesteś najlepszy. A lekarze robią, co się da.

- Nie, to niemożliwe - powiedział bezsilnie, wbijając wzrok w ścianę. - Widziałeś, co się stało z nogą?

- Cały świat widział - przyznał smutno Maciej. - Nie trać ducha, medycyna czyni cuda.

- Po czymś, kurwa, takim?! Połamał mi nogę, kurwa, wpeł! To nie jest, kurwa, tego warte! - ryknął Karol, czując, jak żal i gorycz zbierają się gdzieś na granicy uwolnienia. Poczul irracjonalną potrzebę wyzycia się, obwinienia kogoś za tę kontuzję. Padło na Grzyba.

Maciej nic na to nie powiedział, tylko w ciszy patrzył na swojego wychowanka, którego doprowadził od Zagończyka aż do tej szpitalnej sali.

- Pójdę już. Zadzwoń do twoich rodziców, powiem, że wszystko będzie w porządku. Przekażę, że jedziesz do Berlina, postaram się zorganizować jakiś transport, jeśli będą chcieli do ciebie dotrzeć.

- Nic nie będzie w porządku.

- Zostawię mój numer lekarzom, będą się do mnie odzywać.

Wyszedł, zostawiając uchylone drzwi.

Karol wrócił do salonu. Grzyb miał wtedy rację. Gdyby poddał się odpowiednim zabiegom i rehabilitacji, być może wróciłby nawet w połowie przyszłego sezonu. Ale Karol utracił swoją wewnętrzną siłę i tak długo się zapierał, powtarzał jak mantrę, że nie wróci na boisko, iż faktycznie tak się stało. Nie sama kontuzja, nie sam faul Marcosa wykluczyły go ze świata futbolu. Zrobił to sam. Więc ostatnie słowa ojca kłuły jeszcze mocniej, niczym rozpalony szpikulec wbijający się w serce.

- Tadek? - Zaspiany głos matki dobiegł go z sypialni. -
Tadziu?

Wytarł ostatnie łzy wierzchem dłoni. Chociaż raz w życiu musi być silny. Nie potrafił być dla siebie, to spróbuje dla matki.

13

OBECNIE

Dom nie nadawał się obecnie do użytku. Karol z duszą na ramieniu pojechał tam następnego dnia po śmierci Tadeusza. Julia nie chciała patrzeć nawet na okolicę Polnej i została u Adrianny Bańko.

Dookoła kręcili się policyjni technicy, kluczowe miejsca odseparowano specjalną taśmą. Jeden z policjantów wylegitymował Karola, upomniał go, aby nie wchodził tam, gdzie mu nie pozwolą, a następnie nieoficjalnie wyjaśnił, co wiedzą: straż pożarna zdołała ustalić, że było to podpalenie. Dwa koktajle Mołotowa trafiły odpowiednio do salonu i łazienki na piętrze. Parter ucierpiał najbardziej; kanapę, na której zasnął Tadeusz, ogień strawił do cna. Piętro nie wyglądało tak strasznie tylko dlatego, że płomienie nie wyszły poza łazienkę. Osmolone kafelki na ścianach, stopiona kotara, spalone dywaniki, zniszczona kłapa od muszli – to były największe zniszczenia.

- I swoją drogą – dodał policjant na koniec. - Świetnie pan grał w piłkę. Dzieciak byłem, ale dobrze pamiętam. Wszyscy na podwórku chcieli być Widmowskim.

Karol, nie mając siły na kurtuazje, bez słowa odwrócił się na pięcie. W powietrzu wciąż unosił się duszący smród benzyny, spalenizny i czegoś, czego wolał nie identyfikować. Nie mógł

się zmusić do tego, aby dłużej oglądać zniszczony dom. Jeszcze przyjdzie czas na porządku.

Parę dni później, elegancko ubrani, Karol z Julią wracali z domu pogrzebowego. Dopinali ostatnie formalności przed pogrzebem, który miał się odbyć następnego dnia. Gęste chmury w kolorze asfaltu wisiały nisko nad Piasecznem, zakrywając nawet szczyt szesnastopiętrowego apartamentowca na Młynarskiej. Korek na ulicy Chyliczkowskiej tradycyjnie dawał o sobie znać zniecierpliwionym kierowcom.

Spojrzał na matkę. Od czasu wyjścia z Hadesu nie odezwała się ani słowem, na wszelkie pytania odpowiadała kiwnięciem głowy lub wzruszeniem ramion.

- Będę cały czas w pobliżu, dobrze? - Ścisnął jej dłoń. - Zajmę się remontem...

- Sprzedam ten dom - wtrąciła głosem spokojnym i rzeczowym. Patrzyła za okno i obserwowała piaseczyńskie trybuny, na których siedziała grupka nastolatków. Paru zapaleńców ćwiczyło biegi na torfowej bieżni, a obok spacerowali ludzie z psami.

- Mamo, zastanowimy się nad tym, nie wiem, czy to jest najlepszy moment na takie decyzje.

- A będzie lepszy? - Odwróciła się do syna. Oczy jej się szklily, ale pozostawały przytomne. - Powiedz mi: kiedy będzie lepszy moment? Po pogrzebie? A może na pierwszą rocznicę śmierci? Słucham, Karol, kiedy to będzie?

- Gdzie chcesz się przeprowadzić? - odbił piłeczkę. - Może najpierw warto mieć jakąś alternatywę.

- Po prostu wiem, że tam nie wytrzymam. Sama, codziennie przeżywając na nowo ten obraz kiedy on... cały w płomieniach...

Zamilkła. Powietrze, które na chwilę postawiło Julię do pionu, znowu z niej uszło, a plecy się pochyliły. Zapłakała, Karol mocniej zacisnął dłoń. Odpowiedziała uściskiem.

- Coś znajdziemy, mamó, pomogę ci - zapewniał cicho, czując, jak na palce spadają ciepłe krople łez.

Rozdzwoniła się komórka. Spojrzał na ekran i przygryzł wargę - Magda. Jutro, w piątek, minie równy tydzień od ich spotkania. Od śmierci ojca. Odrzucił połączenie, uznając, że znajdzie jeszcze czas, aby jej to wszystko wytłumaczyć.

Przygotowania do pogrzebu przebiegły szybko, lecz towarzyszący im smutek przytłaczał jak najcięższe jarzmo. Pomimo że pracownicy domu pogrzebowego i ksiądz pomagali im, jak mogli, to psychicznie Karol i Julia byli wykończeni, aż w końcu nadszedł dzień bez odwrotu. Pogrzeb, który przypieczętuje wszystko na wieczność.

Tadeusz Widmowski został pochowany na Cmentarzu Komunalnym Południowym, w Antoninowie. Na ostatnim pożegnaniu pojawiła się skromna grupka osób z Zabynijcza. Wśród żałobników dostrzegł Ratajową z wnukami, Macieją Grzybickiego i Adrianę Bańko, która przyjechała razem z nim. Za nimi, ze smętnie zwieszonymi głowami, stali członkowie ekipy budowlanej z Tad-Budu, w tym Mieszko, co Karola wpięrow zdziwiło, a potem wzburzyło, bo przypomniał sobie jego pogróżki spod Nastki. Gdzieś w tłumie górowała wysoka postać Marka Walickiego, dziś ubranego po cywilnemu.

Uroczystość pogrzebowa nie przeciągała się, modlitwy angażowały, a przemowa księdza - który był znajomym Tadeusza z czasów wojska - chociaż krótka, to poruszająca i szczerą. Jedyne słońce nie zwracało uwagi na rozpacz żałobników i bezwstydnie zsyłało na nich ciepłe, wiosenne promienie. Karol stał nieruchomo, a krople potu i łez zbierały się mu na czubku nosa i skapywały na ziemię. W głowie miał pustkę. Mocno trzymał matkę pod ramię i zdawało się mu, że to jedyne most łączący go z rzeczywistością. Gdyby nie ona, kto wie, może rzuciłby się na trumnę, właśnie spuszczaną przez grabarzy. Żal ścisnął jego serce, gdy jako pierwsi podeszli na

skraj grobu, z którego bił chłód, nieprzyzwoicie orzeźwiający. Sypnęli symboliczną garść ziemi. Grudki piasku i kamyczki zadudniły o drewniane wieko.

- Nie mówię żegnaj, tato - szepnął. - Widzimy się na rybach.
Wdech, wydech.

Wycofali się i skryli w wąskim cieniu cisu, rosnącego kawałek dalej. Julia pochlipywała, a Karol mocno trzymał dłonie na jej ramionach. Reszta żałobników po kolei podchodziła do grobu. Obrócił się, gdy poczuł nieprzyjemne swędzenie na karku. Przeprosił na chwilę matkę i wyjrzał zza cisu.

W następnej alejce dostrzegł Mieszka, który mało dyskretnie wychylał setkę, a obok niego stał Czarek Jasło w za dużym garniturze. Karol nie widział go wcześniej.

Wdech, wydech.

Mężczyźni musieli wyczuć, że ktoś im się przygląda. Mieszko, zmieszany na tyle, na ile może być zmieszany alkoholik, schował za pazuchę flaszkę i niezgrabnie skinął głową. Czarek podążył za wzrokiem towarzysza i ujrawszy Karola, machnął ręką na powitanie. Ten tylko ściągnął wargi w wąską linię i wrócił do Julii. Przypomniały mu się nagle słowa Marka: „To Czarek wpadł na ten pomysł” i pomyślał o takim samym zimnym grobie, w którym leży Adam Duško.

Wdech, wydech. Spokój.

Stypa odbyła się w ostatnim domu na ulicy Dzikiego Boru, u Adrianny Bańko. Chcieli wynająć restaurację, ale Adrianna stanowczo zaprotestowała. Gorąco namawiała Julię, aby zrobili ją u niej. Karol wiedział, że Wdowa Bańka i jego matka miały bliskie kontakty, ale nie sądził, że są tak dobrymi przyjaciółkami. Ze smutkiem złapał się na tym, że nie wie, czy Tadeusz miał takiego przyjaciela. Że tak naprawdę przez ostatnią dekadę wyjątkowo mało interesował się życiem rodziców. Najwyraźniejsze wspomnienia miał z dzieciństwa:

mecze jeden na jeden rozgrywane z tatą na podwórku, nerwy przy odrabianiu matematyki, wycieczki rowerowe po szlakach turystycznych, przeciekający namiot na kempingu w Łebie, radość ojca na trybunach po pierwszej bramce w Zagończyku, duma mamy, gdy kończył podstawówkę. Późniejsze okresy zacierały się, nie było tak wyraźnych emocji. Radość. Strach. Wdzięczność...

- Smutek.

Wszyscy siedzący przy długim stole, przykrytym ozdobnym obrusem, zwrócili uwagę na stojącego u jego szczytu Karola, który trzymał kieliszek wódki w jednej dłoni, a drugą opierał na ramieniu Julii.

- To pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o dzisiejszym pogrzebie. Pożegnaliśmy mojego tatę, Tadeusza. Wiecie, jaki był. Gawędziarz, który nie potrafił wysiedzieć w jednym miejscu, chyba że dało mu się stołek i wędkę. Ale i tak na obiad ryb nie było.

Śmiech przetoczył się nad stołem.

- Każdy z was zapamięta go na swój sposób. Jako stałego gościa w sklepie, upierdliwego rodzica, który nieustannie próbuje wcisnąć syna do pierwszego składu. Jako uczciwego szefa i dobrego człowieka. My z kolei - zacisnął mocniej dłoń na ramieniu matki, a ta odpowiedziała uściskiem - jako cały nasz świat. Wypijmy więc i wspominajmy Tadeusza Widmowskiego, ojca i męża. Za pamięć o nim.

- Za Tadeusza! - Chóralna odpowiedź przyszła zza stołu, wszyscy wypili toast.

Widmowski obserwował krwisty zachód słońca tuż nad linią drzew Czarnego Lasu. Uciekł od zgiełku stypy, gdzie majstrowie z Mieszkiem na czele rozmawiali już coraz głośniejsze, Czarek chwalił starszego wnuka Ratajowej, Waldka, który wraz z bratem grali na telefonach, a ta z kolei wyklócała się z

Adrianną i Markiem o jakieś błahostki z przeszłości. Julia siedziała obok, przytakując i się uśmiechając, lecz tak naprawdę schowana za działaniem silnych leków uspokajających. Wszystko to widział za ogromnymi drzwiami tarasowymi, które właśnie zamykał za sobą Maciej Grzybicki. Nadal kuśtykał, ale nie potrzebował już kuli.

- Jak się trzymasz? - spytał Karola, podchodząc bliżej.

Ten spojrzał na niego, upiwszy napoju ze szklanki. W zapadającym półmroku dostrzegał jedynie kontury jego twarzy, ale napatrzył się na nią dostatecznie na pogrzebie - posiniaczona, opuchnięta, jedno oko wciąż przekrwione, a na nosie założony opatrunek. Karol swoich już się pozbył, po jego spotkaniu na Pawilonach została jedynie blada i cienka linia na szyi.

Nie żałował byłego agenta ani trochę.

- Bywało lepiej - odparł zdawkowo.

Grzyb przykuśtykał bliżej i oparł się o balustradę. Skupił się na ostatnich promieniach słońca.

- Słuchaj... - zaczął, ale Karol mu przerwał:

- Dziękuję.

- Za co? - Zamrugnął zaskoczony.

- Tyle ci jestem winien. Za to, że byłeś przy mojej matce.

Wtedy.

Wlepił wzrok w kolorową grządkę naprzeciwko tarasu.

- Zawsze tak było, co nie? Kiedy nie mogli się dodzwonić do ciebie, odzywali się do mnie. Jak wtedy, po meczu z Serbią. Myśleli, że poszedłeś opijać sukces, a tak naprawdę zgubiłeś telefon po drodze.

Karol skinął głową na znak, że pamięta.

- A jak się trzyma Julia? To straszny cios dla niej, dla was...

- Nie najlepiej - przyznał. - Dziś od rana jest na hydroksyzynie. Lekarz jej przepisał, bo nie była w stanie

funkcjonować. Mam nadzieję, że teraz, już po pogrzebie, uda się nam jako tako przejść do porządku dziennego.

- Będziecie remontować dom?

- Na pewno. Jeszcze nie ustaliliśmy, co dalej. Mama nie chce tam wracać. Na razie zostanie u Adrianny, żeby miała przestrzeń i żeby ktoś mógł się nią zająć.

- Jasne - powiedział Grzyb. - Rozsądnie. A ty co robisz po stypie? Potrzebujesz podwózki do Warszawy? - Uniósł brwi i wskazał na szklaneczkę Karola.

- Sok jabłkowy. - Zakołysał nią w odpowiedzi. - Pogrzeb ojca chciałbym zapamiętać. Tyle mogę zrobić.

Maciej wciągnął ze świstem powietrze.

- No to będę uciekać. Rano mam spotkanie z nowym klientem. Utalentowany chłopak, pomocnik. Zupełnie jak ty. - Uśmiechnął się krótko, co na jego pokiereszowanej twarzy wyglądało jak grymas bólu. - Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Jest jedna rzecz - odparł szybko Karol, sięgając po portfel schowany w kieszeni marynarki, i wyciągnął z niego biały kartonik. Wręczył go Maciejowi.

Grzyb przyjrzał się pod światło otrzymanej wizytówce.

- De la Garza? Twój nowy dentysta? Ja już sobie jedyński po ostatnim wstawiłem...

- Gabriel de la Garza. Takie było panieńskie nazwisko jego matki - wtrącił. Widząc zdezorientowaną minę agenta, zaczął tłumaczyć: - Magda, ta dziewczyna z AEG, pamiętasz? Wspominałem o niej.

- Tak.

- Jej szef, ten, który mnie tam ściągnął na nagranie, zwolnił się. A to znalazła u niego w biurku. Czy te numery cokolwiek ci mówią?

Grzyb zbliżył wizytówkę do oczu, studiując ją uważnie. Po chwili tylko westchnął ciężko i oddał ją Karolowi.

- Niestety, nic a nic. Może Jacek coś by z tego wyciągnął?

- Nie - uciał twardo. - Dam sobie radę.

- Jak dla mnie, to ktoś robi sobie z ciebie żarty, a ty jak koń z klapkami na oczach idziesz w tym kierunku.

- Odprowadzę cię do bramy - odpowiedział chłodno Karol.

- Daj mi chwilę. - Maciej, kulejąc, wrócił do salonu.

Karol patrzył, jak Grzybicki żegna się z Julią i resztą żałobników. Potem potowarzyszył mu do samochodu - srebrnego mercedesa-amg c 63, który przy reszcie pojazdów prezentował się jak kuzyn z odległej galaktyki. Pożegnali się krótko. Przez chwilę obserwował czerwone światła pojazdu, nim zniknęły za zakrętem, i został sam na uliczce.

Tak mu się przynajmniej zdawało.

Słońce schowało się już całkowicie za Czarnym Lasem. Obejrzał się przez ramię, kiedy usłyszał podпиты głos.

- Czego tak tam wyglądasz?

W cieniu przy bramie stali Mieszko i Czarek, palili papierosy. Karol zmarszczył brwi, zdziwiony, że znów widzi ich razem. Nigdy nie słyszał, aby ta dwójka była ze sobą szczególnie blisko. Wręcz przeciwnie - starszy od nich Mieszko często dokuczał Szkodnikom. Wprawdzie tylko on mógł sobie na to pozwolić.

Przynajmniej do czasu.

- Duchów - odparł, niewiele myśląc

- Duchów? - Mieszko nagle zrobił się agresywny. - Jakiego... Jakich duchów? Co ty pieprzysz?

- Mieszko, kurwa, daj spokój, co się unosisz... - Czarek próbował uspokajać towarzysza, lecz nie wychodziło mu to.

- No bo on mi ducha wygląda, kurwa - tłumaczył mętnie Mieszko, a Karol nic z tego nie rozumiał.

Czarek, w tym swoim za dużym garniturze, z takim towarzyszem i w tym miejscu, wyglądał na zupełnie

zagubionego. Jakby miał się rozpaść. Karolowi nawet zrobiłoby się go szkoda, gdyby nie opowieść Marka. Podszedł bliżej.

- Co ty tu właściwie robisz, Jasło? - spytał ostro.

Emocje, nad którymi skutecznie panował przez ostatni tydzień, teraz nagle zagotowały się w nim, urosły. Czuł, że jeśli czegoś nie zrobi, nie da im upustu, to wybuchnie.

- Jak to, Karol? Chciałem... Pogrzeb przecież... Kondolencje złożyć.

- Na pogrzebie Adama Duśki też kondolencje składałeś, co? - warknął. - Jego matce w oczy spojrzalesz i mówiłeś, że tak ci szkoda, że jej synowi się spuszczałeś na twarz wraz z kolegami?

Czarek momentalnie pobladł.

- Co on pierdoli? - Mieszko zmarszczył czoło, ale Jasło tylko pokręcił głową.

- A ty - zwrócił się do Pełki - jak śmiesz, zapijaczony śmieciu, się tu pokazywać?

I wtedy przypomniało się mu ich ostatnie spotkanie pod Nastką.

- A może to ty zabiłeś ojca? - Karola nagle olśniło. - Przecież mi groziłeś, przed sklepem. Zamkną cię, kurwo pijacka, zobaczysz. Już ja się o to postaram.

- Karol, co ty! - Mieszko jakby wytrzeźwiał. - Kurwa, co jak co, ale w życiu bym Tadka... No weź!

- Weźcie, to wy, zasrańce. - Powiódł palcem od jednego do drugiego. - Wypierdalać stąd. Skończyła się zabawa moim kosztem. Nie mogę na was patrzeć.

- Karol, pozwól... - Czarek próbował coś powiedzieć, ale Widmowski od razu mu przerwał.

- Ani słowa od ciebie, Szkodniku - wycedził, a na dźwięk starego przezwiska Jasło poczerwieniał nawet na łysinie. - Wypierdalać.

Mieszko pociągnął kompana za rękaw marynarki i odeszli w tym samym kierunku, w którym przed paroma minutami odjechał Grzyb. Czarek rzucił jeszcze nieodgadnione spojrzenie Karolowi - ni to gniewne, ni to smutne. Nie był w stanie go odczytać i nawet nie próbował.

Zerknął na Czarny Las, na Trakt. Miejsce, które kryło więcej tajemnic, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Miał nieodparte wrażenie, że rozwiązanie wszystkich spraw kryje się właśnie tam.

Upiory wychodzą po zmroku - pomyślał, a potem poprawił mankiety, odetchnął głęboko i wrócił na stypę.

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Obóz w Kruklankach dobiegał końca. Po wyjeździe Adama Duśki atmosfera stężała, ale Szkodniki uspokoiły się - wiedziały, że teraz są pod stałą obserwacją Grzyba, który chodził wściekły. Cały zespół musiał pokutować za ich domniemaną winę.

- Nic na nas nie mają - uspokajał przyjaciół Bartek.

Stali na wzgórzu gęsto porośniętym sosnami. Z tego miejsca doskonale widzieli jezioro i plażę, na której odbyło się ognisko dla nowych członków zespołu. Czekał przecesał dłonią po krótkich włosach, zaciągnął się pogniecionym papierosem i podał go Kubie.

- Mógłbyś tak nie ślinić filtra.

- Pieprz się.

- A jeśli Duśko wszystko wygada... no nie wiem... policji? - drażył temat Czarek. Stał z założonymi rękoma i dygotał pomimo gorącego wieczora. Słońce chyliło się ku horyzontowi.

- Ale cykor jesteś - westchnął Kuba. - Sam to wymyśliłeś, podobało ci się.

- Zamknij się. - Czarek się zaczerwienił.

- Właśnie, ale podjarany byłeś, szkoda, że taki mały.

- Wy wcale nie jesteście lepsi. - Omiótł ich wzrokiem. - Cwele.

- Jak nas nazwałeś, co? Słuchaj, Jasełko, ty, kurde, nie przeginaj, dobra?

- Ej, ej! - zawołał Kuba, wyrzucając niedopałek. - Wy też to widzicie?

Wzburzeni Bartek i Czarek obejrżeli się we wskazanym kierunku. Na krańcu zalesionego wzgórza stała zamaskowana postać, owinięta w biały materiał łopoczący na wzmagającym się wietrze. Biel zdawała się świecić własnym blaskiem, a przynajmniej taki efekt dawał kontrast z mrokiem, który szybko zalewał mazurski las.

- Czego chcesz, pajacu? - Bartek dźwignął się na nogi i pokazał środkowy palec.

Postać odziana w biel nie odpowiedziała i nadal stała nieruchomo.

- Nie no, nie wytrzymam - westchnął i strzelił palcami.

Ruszył pewnym krokiem. Sucha ściółka szeleściła pod jego adidasami. Tajemniczy przybysz zrobił krok w tył i momentalnie zniknął.

- Widzieliście?! - zawołał Kuba.

- Co to za magia? - pisał Czarek.

- Dzida, panowie, szybciej!

Ruszyli pędem i dopadli do miejsca, w którym jeszcze przed momentem stała postać w bieli. Tam wzgórze kończyło się nagłym uskokiem. Stroma, piaszczysta skarpa groziła nieprzyjemnym upadkiem nieostrożnym piechurom.

- O kurde, blisko było - jęknął Czarek.

- Gdzie ten wesołek?! - rzucił Bartek.

- Tam! Biegnie w głąb, widzicie?

Widzieli. Poły białego materiału płynęły przez ciemność, jakby niesione gwałtownymi podmuchami wiatru.

- Lecimy, lecimy, musimy dorwać kutasiarza.

Ostrożnie zeszli po skarpie i pobiegli w kierunku uciekiniera. Robiło się coraz ciemniej, las był tu zdecydowanie gęstszy, a jeżyny chwytały Szkodników za łydki i czepiały się spodenek. Ale biegli dalej.

Wtem biel zniknęła. Dotarli na polankę z potężnym dębem, który zaanektował sobie teren pośród sosen.

- Ej, chłopaki... - Kuba rozejrzył się niepewnie dookoła. - A jeśli to był duch? Co, jeśli goniliśmy ducha?

- Chyba nie wierzysz w takie bzdety - dogryzł Bartek, ale i z niego wyparowała pewność siebie.

- Jest tam - szepnął Czarek.

Biel poruszała się leniwie w gęstwinie lasu, niemal lewitując nad ziemią. Czekał pokazał reszcie, aby byli cicho, i zaczął się skradać w kierunku ich domniemanej zjawy. Chłopaki posłusznie ruszyły za nim.

Jeszcze kilka metrów - powtarzał w myślach Bartek, skupiając uwagę na falującym materiale. Postać stała w miejscu, zapewne myślała, że zgubiła swoich prześladowców. *Zaraz cię dorwę i zobaczymy, komu będzie do śmiechu, jeszcze tylko chwila i...*

Skoczył na nią z triumfalnym: „Mam cię, kurwa!”, które przerodziło się w krzyk zaskoczenia. Pod materiałem nie było niczego. Czekał przeleciał przez prześcieradło i wpadł prosto do głębokiego, piaszczystego dołu, boleśnie się przy tym objając.

Nieludzkie wycie zmieszane z falą bluzg odbiło się echem po lesie. Czarek i Kuba momentalnie zjawili się nad piaszczystą jamą, głęboką na dobre cztery metry, a może nawet i głębszą.

Biała pościel leżała nieruchomo na ziemi, ubrudzona piaskiem i błotem.

- Kurde, Bartek, żyjesz?!

- Aua, moja ręka, ooo, chyba ją połamałem...

- Kubuś, wymyśl coś, musimy go wyciągnąć...
- Ja mam myśleć?! A może ty byś coś zrobił?
- Bo niby to ja chciałem lecieć w las za duchami!
- O kurwa, boli, boli...

Gdy tak debatowali nad kolejnym krokiem, nagle obaj poczuli uderzenie w plecy, chwilową lekkość, a potem z głuchym jękiem upadli na piasek. Kubie nic się nie stało, wstał szybko i się otrzepał. Zerknął na Czarka, ale ten leżał nieprzytomny. Bartek jęczał dalej, prawa ręka wisiała mu bezwładnie, nawet nie zauważył, że jego przyjaciele dołączyli do niedoli. Frankowski spojrział w górę i poczuł, jak serce podjeżdża mu do gardła.

Jama była zdecydowanie wyższa, węższa i straszniejsza, niż się wydawało. Dotknął ściany: zimny piasek usypał się natychmiast pod naciskiem palców. O wspinaczce nie było mowy.

Usłyszał chrzęst łamanej gałęzi wysoko nad ich głowami.

- Kto tam jest?! - krzyknął, ale bardziej po to, żeby dodać sobie odwagi.

Jednak cała jej resztką zgasła jak świeca na wietrze, gdy nad krawędzią jamy nachyliła się nie jedna, lecz dwie postacie odziane w biel. Z tej perspektywy widział, że to nie duchy, tylko ludzie owinięci w prześcieradła. Na twarzach mieli maski zrobione najprawdopodobniej z papieru.

Widząc głęboką, przejmującą czerń w otworach wyciętych na oczy, Kuba zaczął żałować, że nie spotkali duchów.

- Czego chcecie? - spytał zbyt cienkim głosem.

Postacie milczały dobrą chwilę, aż w końcu jedna z nich przemówiła głosem pełnym teatralnego patosu:

- Oko za oko.
- Ząb za ząb - dodała druga.
- Teraz poczekamy, aż zdechniecie w tej jamie...

- A potem wyrwiemy zęby z waszych gołych czaszek...
- Aby nikt nigdy was nie zidentyfikował...
- Nieznane trupy...
- Wisiorki z trzonowców...
- To właśnie trofea Klubu Białych Zębów.
- Poczekajcie, błagam, nie chcemy, proszę... - Kubę ogarnęła panika, łzy popłynęły gęsto. - Błagam! Nie, nie odchodźcie, prooszę!!

Jęki Frankowskiego długo jeszcze dźwięczały im w uszach. Dla Karola i Gabriela były niczym symfonia. Adrenalina wciąż kipiała w ich żyłach. Nie dbając o to, czy ktokolwiek ich nakryje, wskoczyli do jeziora. Pływali dobry kwadrans w ciemnej wodzie, odbijającej granatowe, gwieździste niebo. Była bardzo przyjemna, nawet w nocy dało się czuć ciepło nagromadzone w ciągu wakacyjnych miesięcy.

Kiedy emocje opadły, wyszli na brzeg, wytarli się prześcieradłami i usiedli na ziemi. Karol wyteżył słuch, lecz nic nie usłyszał.

- Klub Białych Zębów? - spytał w końcu Gabriela, który z pogodną miną obserwował taflę jeziora. - Skąd ten pomysł?

- Tak mi wpadło do głowy. - Wzruszył ramionami. - Ale musisz przyznać, że to chwytliwa nazwa.

- Zdecydowanie. I taka... niejednoznaczna. Za dnia jesteśmy piłkarzami, gwiazdami światowego formatu o idealnej klawiaturze - wyszczerzył się do przyjaciela - a w nocy spuszcza my łomot bandytom. Jak w jakimś komiksie.

Gabriel skrzyżował nogi po turecku i spojrzał na Karola. Jego dwukolorowe oczy jarzyły się w ciemnościach.

- Już to zrobiliśmy - powiedział podekscytowany. - Spuściliśmy łomot. Szkodniki siedzą w jamie w środku lasu i pewnie srają pod siebie ze strachu.

- Czyli Klub Białych Zębów już działa?

- Dokładnie tak. - Gabriel pokiwał głową. Splunął na dłoń i dodał: - Teraz obiecajmy sobie, że dopełnimy pierwszego punktu i zostaniemy najlepszymi piłkarzami na świecie.

Karol pokiwał głową, plwocina wylądowała na jego dłoni.

- Mamy przed sobą świetlaną przyszłość.

Uścisnęli dłonie, tym samym pieczętując nadchodzący ciąg wydarzeń.

DOGRYWKA

CZARNY LAS

PIASECZNO

Tłusta mucha, czarna jak kropla smoły, dziarsko roznosiła syf po szpitalnym suficie. Jej leniwe bzyczenie brzmiało niemal zawadiacko, tak jakby dobrze wiedziała, że nic jej nie grozi. Bezkarne i obrzydliwa.

Wodził za nią wzrokiem bez sił, by podnieść głowę albo ruszyć rękoma. I tak od kiedy się obudził. Ta apatia i brak energii go przerażały, nawet bardziej niż sama śmierć. Zakasłał, wątłym i wychudzonym ciałem wstrząsnęło. Ból w płucach był nie do zniesienia.

Rak powoli odbierał należne, wyżerając ciało kawałek po kawałku.

Z każdym dniem coraz mniej czuł się sobą.

Mucha przefrunęła na nowe miejsce. Teraz wygrzewała się na jarzeniówce. Zmrużył powieki, ale nie odwrócił spojrzenia.

Też byłem jak ta mucha. Zadowolony z tego, co mam, tłusty i nażarty. Miałem szacunek i posłuch, nikogo się nie obawiałem.

- Tato?

Nie usłyszał skrzypiących drzwi. Z trudem obrócił głowę i spojrzał na swojego syna. I bez tego wiedział, co ujrzy: zniszczoną alkoholem cerę, włosy ścięte na jeża. Do tego mętne spojrzenie i wczorajszy zarost. Za kilka dni miał obchodzić dwudzieste trzecie urodziny.

Pewnie znów się upije do nieprzytomności.

- Tato? - Nachylił się nad nim. Oddech mu cuchnął.

- Jestem - odparł z trudem.

Najchętniej odwróciłby wzrok. Kochał syna, ale nie udało mu się wyprowadzić go na prostą, choć bardzo się starał. Ile razy odbierał go z komisariatu, i to zanim skończył osiemnaście lat?

- Jak się czujesz?

Zaśmiał się, co w jego wykonaniu zabrzmiało jak coś pomiędzy kaszlem a charczeniem.

Rak go niszczył. Sumienie zżerało. Był wrakiem człowieka.

Sprawa Jakuba Frankowskiego. Czasami zastanawiał się, czy to przypadkiem nie wtedy załęgło się w nim to paskudztwo. Czy fałszywe zeznania, które wymusił na tym dzieciaku, nie stały się początkiem jego końca.

Oczywiście było to głupie. Rak nie łączy się z sumieniem.

Ale wiedział, że to będzie jego ostatnia myśl na łożu śmierci. Czy nie zniszczył dzieciakowi życia tym wymuszeniem?

Mucha usiadła na metalowym stoliku. Jego syn zamachnął dłonią i trafił owada tak, że aż rozmazał go na blacie. Z zaciekawieniem patrzył na rozbryźnięte wnętrze.

Spojrzał na syna. Westchnął żałośnie i powiedział:

- Obiecuj mi, że jeśli będzie potrzeba, zajmiesz się nim.

- Dlaczego? - Skrzywił się tak, jakby prośba ojca była bardziej obrzydliwa od muszych flaków. - Co ja z tego będę mieć?

Odwrócił wzrok i wbił go sufit.

- Ojcu chyba nie odmówisz?

1

OBECNIE

Sznur samochodów powoli sunął zakorkowaną o tej porze Puławską. Czerwona fala świateł nie pozwalała na rozpędzenie się.

Karol ściszył reklamy pomiędzy audycjami w radiu. Głowa pękała mu na pół, kiedy myślał o obowiązkach, które czekały go w najbliższych miesiącach. Remont domu miał być najłatwiejszym z nich, ponieważ pracownicy Tad-Budu zobowiązali się do bezpłatnej pomocy przy naprawianiu zniszczeń. Ale należało też zająć się samą firmą – co dalej z jej istnieniem? Do tego Marek Walicki dyskretnie wspomniał Karolowi, że na pewno będą przesłuchania na komendzie w sprawie podpalenia. Ktokolwiek to zrobił, będzie ścigany za umyślne lub też nie – tego jeszcze nie wiadomo – spowodowanie śmierci.

Światła zmieniły się na zielone. Zagapił się i dopiero krótki klakson samochodu stojącego za nim przywołał go do rzeczywistości. Wrzucił jedynkę i ruszył.

Do tego dochodziło zdrowie psychiczne Julii. Przystał na to, aby pomieszkała tymczasowo u Adrianny, lecz mimo wszystko czuł się jak paskudny egoista, który zamiast wziąć wszystko na swoje barki, zostawia matkę z bądź co bądź obcą kobietą.

Na kolejnych światłach, sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon. Wszedł w wiadomości, a potem wybrał historię rozmów z Magdą. Chwilę się zastanawiał, obracając telefon w dłoni, aż w końcu napisał:

[Karol]: Cześć. Wszystko u ciebie w porządku?
Możemy się spotkać i pogadać?

Wysłał esemes i schował telefon. Ledwo światło zmieniło się na zielone, usłyszał za sobą profilaktyczny klakson. Podniósł dłoń i pokazał nadgorliwemu kierowcy środkowy palec. Dopiero potem, z pełną satysfakcją, powoli przetoczył się na drugą stronę zakorkowanego skrzyżowania.

Niecałą godzinę później otwierał drzwi do mieszkania. Rozejrzał się po wnętrzu; nie było najczystiej, ale postanowił odpuścić gruntowne sprzątanie. Wszedł do sypialni, schował do szafy torbę i garnitur. Otworzył okno, aby przewietrzyć pomieszczenie, a potem opadł bez sił na łóżko. Kątem oka zobaczył znajome zdjęcie, leżące na szafce nocnej. Chwycił wyblakły prostokąt, zrobiony jeszcze aparatem analogowym – na tle białej ściany upamiętniono całą rodzinę Widmowskich. Rodzice, uśmiechnięci od ucha do ucha, stali bardziej z tyłu, trzymając dłonie na jego ramionach, a on dumnie pozował w czarno-czerwonym stroju.

Uśmiechnął się i odwrócił zdjęcie. „Karol oficjalnie w Polsce, 3 grudnia 1993”. Julia zawsze podpisywała wszystkie fotografie, przynajmniej dopóki nie wyparły ich obrazy cyfrowe.

Dobrze pamiętał ten wieczór. Zdjęcie w ich kuchni zrobił Grzyb, którego rodzice zaprosili na kolację właśnie z okazji udanych testów ich syna. Do picia była oranżada, a na deser karpotka – ulubione ciasto Karola. Julia przygotowując ten przysmak, zawsze klęła jak szewc.

Ostatnie normalne tygodnie przed końcem świata – pomyślał, wbijając intensywnie wzrok w młodszego siebie,

zastygłego w jednej pozie już na zawsze. *Chciałbym wrócić do tego momentu, zatrzymać go. Byłem szczęśliwy, z rodzicami i karpatką na stole. To mógłby być mój Dzień Świstaka.*

Łóżko skrzypnęło, kiedy wstał. Wszedł do salonu, a fotografię włożył za ramkę grupowego zdjęcia Zagończyka. Odniósł wrażenie, że Gabriel spojrział z wyrzutem na dwunastoletniego Karola w barwach Polonii.

Jeszcze chwilę przyglądał się zdjęciu, a potem usiadł na kanapie i odpalił PlayStation. Klikał bez celu po kafelkach w głównym menu, niepewny, czy w ogóle ma chęć grać. Zamrażarka zamruczała, oferując swoje towarzystwo, ale ją zignorował. Obawa, że sprofanuje pamięć o ojcu, była silniejsza niż potrzeba wypicia. Chciałby teraz wziąć dłuto i wyrycić na hipokampie, ostro i wyraźnie, wszystkie wspomnienia z nim związane. Bał się, że któregoś dnia się obudzi i o Tadeuszu zapomni. Tak jakby nigdy nie istniał.

Absurd.

Zawiesił wzrok na kaflu gry piłkarskiej. Naszła go myśl, że wszystko to by się nie wydarzyło, gdyby nie ta cholerna oferta pracy od AEGamez, którą przesłał mu Grzyb.

Gorąco uderzyło go w policzki. AEGamez. Od śmierci ojca ani razu nie pomyślał o płycie z demo *Total Football 2020*, którą dostał od Magdy. Zerwał się z kanapy i po chwili przekopywania się przez sterty śmieci i papierów znalazł ją na półce nad telewizorem. Musiał rzucić ją tam po powrocie ze szpitala.

Drżącymi rękoma wsunął ją do napędu i usiadł na kanapie. Ikonka płyty pojawiła się w interfejsie wraz z logo gry, a instalacja odbyła się zadziwiająco szybko. Z duszą na ramieniu wybrał program i gdy zdawało się, że wszystko pójdzie gładko, wyskoczyło powiadomienie:

„Błąd połączenia z serwerem. Spróbuj ponownie”.

Karol zmarszczył brwi, zerknął na router, ale ten informował go, że nie ma problemów z siecią. Kliknął jeszcze raz X na padzie, odpalając demo.

„Błąd połączenia z serwerem. Spróbuj ponownie”.

Westchnął zawiedziony, decydując, że spróbuje później. Wyciągnął płytę i wszedł w skrzynkę odbiorczą. Miał piętnaście nieodczytanych wiadomości od Yusha. Wybrał ostatnią z nich.

[Yush_Byegne]: Ejeje, co z tobą? Nie ma cię i nie ma. Do cholery, niepokojące to już trochę.

[Vidmo1981]: Jestem, żyję, miałem ciężkie chwile. Jak twoja noga? Może meczyk?

Odpowiedź przyszła za chwilę, tak jakby Yush tylko czekał na jakikolwiek sygnał.

[Yush_Byegne]: Ufff, kamień z serca.

[Yush_Byegne]: A coś się stało? Czy nie bardzo chcesz o tym gadać? :x

[Yush_Byegne]: U mnie nudy, noga zrasta się i zrasta. Jeszcze ze dwa tygodnie zanim wrócę do roboty. A meczyk to wiesz, always.

[Vidmo1981]: Mój ojciec zmarł... Załatwialem pogrzeb, głowa zajęta, nic przyjemnego.

[Vidmo1981]: Dajesz radę z tym gipsem? Kiedyś też miałem połamaną nogę, bardzo poważnie, byłem przyspawany do mieszkania. Zaczynałem się czuć pomału jak mebel.

W międzyczasie odpalili grę, wszedł w odpowiednie menu i teraz czekali już tylko na przeciwnika.

[Yush_Byegne]: O nie stary, przykro mi ☹ .
Kondolencje...

[Vidmo1981]: Eh, dzięki. A co do nogi – przynajmniej nie leżysz w szpitalu.

[Yush_Byegne]: To byłaby tragedia. Dobra, jedziemy?

Zakończyło się wczytywanie i za chwilę Vidmo rozpoczęła grę ze środka boiska. Karol poczuł, jak spływa na niego spokój. Może tylko chwilowy, ale nawet i takiego potrzebował, od kiedy wybuchł pożar w życiu Widmowskich.

Automatyzmy wzięły górę, oczyszczając umysł ze zbędnych myśli oraz nieuniknionych rozważań. Teraz najważniejsze były celne podania, skuteczne strzały i udane dryblingi. Vidmo i Yush znowu grali w reprezentacji Polski do spółki z Prawandowskim i Piętkiem, a po drugiej stronie boiska ustawiali się Niemcy – jeden z trudniejszych zespołów. Chociaż wszystko zależy od tego, kto nimi kieruje.

Karol otrzymał piłkę; postanowił sprawdzić jednego z przeciwników o nicku KlosterMann2. Wychylił prawy dżędek pada, jednocześnie naciskając odpowiednie kombinacje na górnych przyciskach. Vidmo zatańczył nad piłką, zabalansował ciałem, sugerując ruch w lewo, żeby uciec w prawo. KlosterMann2 nawet się nie ruszył.

- Może nie będzie, aż tak trudno. - Uśmiechnął się pod nosem.

Zagrał piłkę do wychodzącego Yusha, który wykonał ruch kilka sekund przed ominięciem niemieckiego piłkarza. Wbiegł w pole karne, wyczekał bramkarza i pięknym lobem umieścił piłkę w siatce. Bułka z masłem.

Ta akcja otworzyła worek z bramkami. Zanim zakończyła się pierwsza połowa, Polska prowadziła cztery do zera z Niemcami.

[Yush_Byegne]: I siadło. Pierwsza bramka zostawiła ich w blokach startowych, nie wiedzą co się dzieje, hehe.

[Vidmo1981]: Tak jest, w drugiej musi wpaść przynajmniej drugie tyle. O ile się nie rozłączą zaraz :o.

[Yush_Byegne]: Się okaże. Ty, słuchaj, może wpadłbyś któregoś dnia na browar i Pitch? Ile to już gramy w tej sieci razem?

Karol oparł się o kanapę, próbując to sobie przypomnieć.

[Vidmo1981]: Nooo, ze dwa lata. W zeszłorocznej edycji Pitcha zaczęliśmy grywać. Jesteś z Warszawy?

[Yush_Byegne]: Zgadza się ☺.

[Vidmo1981]: Zastanowimy się, a teraz druga połowa.

Reprezentacja Niemiec ruszyła. Nie wyglądało na to, aby gracze cokolwiek między sobą ustalali w przerwie, bo każdy grał pod siebie. KlosterMann2 na skrzydle próbował nieporadnych rajdów, które zaraz kończyły się na aucie. Jego partner w meczu, którego Karol roboczo nazywał Ten Drugi, chyba zbyt usilnie próbował powtarzać dryblingi Vidma, bo co rusz machał nogami nad piłką, lecz i tutaj kończyło się to na ciągłych stratach.

- Co za pajace - zaśmiał się sam do siebie, kiedy po odbiorze Vidmo przebiegł przez środek boiska, mijając wszystkich jak tyczki, i mierzonym strzałem posłał piłkę w okienko. Pięć do zera.

Przestał skupiać się na grze. Palce robiły swoje, a myśli odpłynęły w innym kierunku. Za oknem się ściemniło, niebo przechodziło z odcieni wieczornej pomarańczy w nocny granat.

Zastanawiając się nad propozycją Yusha, uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak „przyjaciel z boiska” tak naprawdę się nazywa. Przypomniawszy sobie ich pierwszy mecz. To było dwie edycje *Pitch Legends* temu. Grali przeciwko sobie. Polska kontra Polska. Już wtedy wiedział, że musi go pokonać, no bo co za baran wybiera taki sam zespół jak ty? *Moja Polska jest bardziej polska niż twoja Polska!* Do dziś pamięta, że pioruńsko się irtował podczas meczu. Nie był w stanie dojść pod bramkę przeciwnika. Yush kasował wszystkie jego zagrania przez środek. On zaś ucinął jego rajdy bokiem boiska. I tak w kółko. W przerwie nawrzucali sobie przezwiskami od najgorszych. Parsknął śmiechem na samo wspomnienie - on, dorosły mężczyzna, ciśnie się od debili i idiotów z zapewne jakimś pryszczatym chłopaczkiem. Gdy czas minął, obaj zgodnie wrócili na boisko, a mecz toczył się na tych samych zasadach. Zremisowali, ale stwierdzili, że wynik nie jest sprawiedliwy. Rozegrali rewanż, drugi, trzeci i tak zostało. Tylko że teraz grają po tej samej stronie.

Sześć do zera. Karol zamrugął. Nawet nie zauważył kiedy, ale dośrodkował celnie i Prawandowski zapakował piłkę do siatki. Rozpoczął się przerywnik, podczas którego wszyscy pobiegli do chorągiewki w rogu boiska, aby pokazać swą radość prosto do kamery.

W sumie mógłbym się z nim ustawić, czemu nie, do cholery. Może trochę odświeżę umysł, wyjdę do ludzi.

Już miał potwierdzić przełączenie scenki, kiedy jego uwagę przykuły oczy wciąż cieszącego się Prawandowskiego. Były jakieś inne, nie radosne, jak zazwyczaj, tylko złowrogie. A do tego miały tęczęwki w dwóch innych kolorach. Orzech i błękit.

Karol zamrugął, serce zatrzepotało w klatce piersiowej. Nim zdążył przyjrzeć się raz jeszcze, reprezentanci Polski się rozbiegli, a scenka się skończyła.

- Co jest, kurwa? - wymamrotał.

Poczuł, jak drżą mu nogi. Skupił się na ekranie. Towarzyszyła mu niepewność jak podczas oglądania horroru, kiedy zadajesz sobie w kółko pytanie: potwór wyskoczy teraz czy za rogiem? Próbował podbiec do Prawandowskiego, ale nie mógł ustawić się tak, aby dostrzec jego twarz. W efekcie nie przejął piłki, którą kierował do niego Yush. Zaklął i zmienił taktykę. Postanowił znów asystować, aby zobaczyć kolejną scenkę z jego udziałem.

Okazało się, że będzie to niepotrzebne.

Kilka wirtualnych minut upłynęło na nieśpiesznym rozdzielaniu podań. Karol z premedytacją unikał zagrań do dobrze wbiegającego Yusha. Wiedział, że po meczu zbierze solidną dawkę opieprzu. Cały czas czekał, aż ich napastnik znajdzie się w odpowiednim miejscu. W końcu nadarzyła się taka okazja – Vidmo ograł Tego Drugiego i zewnętrzną częścią stopy podał do Prawandowskiego.

Karol krzyknął krótko, nieprzyzwoicie cienko.

Ciało piłkarza bieгло prostopadle do piłki, ale głowa była wykręcona na karku zupełnie jak u opętanej kobiety w *Egzorcystyce*. Zawodnik z upiornym uśmiechem patrzył prosto na Vidma.

Karol upuścił pada, który z głuchym trzaskiem upadł na podłogę. Diaboliczny Prawandowski strzelił bramkę. Zanim zaś rozpoczęła się cieszyńska, głowy w ekwilibrystyczny sposób podwracali wszyscy gracze obecni na boisku. Każda z takim samym szerokim, przerażającym uśmiechem i dwukolorowymi oczami. I wtem, jak na sygnał, ruszyli w kierunku Vidma.

Przerażający pochód opętanych wirtualnych piłkarzy.

Karola ogarnął strach. Zanim poczuł swąd spalenizny, a telewizor zakomunikował, że nie ma podłączenia HDMI, upiorni gracze jak jeden mąż wydarli się w ostatnim okrzyku:

– Sprawiedliwości stanie się zadość! Aj!

2

TYMCZASEM

Barwy nieba na dobre się zmieniły, ustępując wszechobecnej czerni. Pierwsze gwiazdy ozdobiły nieboskłon swoim blaskiem. Czarek kręcił się w pomarańczowym blasku latarni pod Nastką. Samochód zostawił poza kręgiem światła. Co rusz zerkał na wyświetlacz telefonu. W okolicy słychać było tylko stukanie ciem o lampę latarni i odgłosy strzelaniny z pobliskiego domu. Towarzyszył im niebieskawy blask na firance uchylonego okna. Czarek przypomniał sobie, że na jakimś kanale miał lecieć dziś *Terminator 2: Dzień sądu*. Renata mu o tym wspominała, pytała, czy może obejrzą razem. Wykpił się, tłumacząc, że musi pomóc Mieszkowi z materiałami budowlanymi. Tak naprawdę wolałby teraz być w domu, pić drinka i oglądać ten pieprzony film po raz setny.

Ale nie mógł.

O pożarze dowiedział się następnego dnia rano, lecz dopiero na pogrzebie Mieszko zdradził mu szczegóły, o których wolałby zapomnieć. „Była to niezbędna dywersja” –powtarzał. Kiedy Czarek spytał, dlaczego zginął Bogu ducha winny człowiek, tamten pokręcił smutno głową i powiedział: „W Zabynjczu każdy ma kogoś na sumieniu”.

Wiedział, że Pełko jest przez kogoś manipulowany. Nie sądził, aby pijaczek mógł wymyślić coś bardziej zawilego niż kolejne wymówki dla Ratajowej. Do tego nie wyglądało na to,

aby opieka nad Bartkiem przynosiła mu jakiegokolwiek korzyści. Niemniej aż do śmierci Tadeusza Widmowskiego Czarek nie podejrzewał, że wplątał się w tak poważne kłopoty.

Bartek zabił człowieka. My go zabiliśmy. Powtarzał te słowa w myślach jak mantrę. Drżącymi rękoma wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów. Nie wytrzymał, musiał ją kupić po drodze na stacji benzynowej. Żeby tylko Renata nie wyczuła dymu, gdy wróci do domu.

- Czego chciałeś?

Od strony sklepu w krąg światła wszedł Mieszko. Wrócił do swojego menelskiego stylu, niewiele było w nim eleganta z wczorajszej stypy.

- Pogadać - odparł Czarek.

Mieszko również zapalił.

- O czym?

- O czym!?! Sam mi mówiłeś, że Bartek zabił Tadeusza! Podpalił ich dom! Nie pisałem się na taki kibel! Na nic z tego się nie pisałem! Pierdołę ciebie i te wszystkie tajemnice. Kim są ci ludzie, dla których to robisz, co? Obiecali ci złote góry? Wątpię, pewnie mają na ciebie jakiegoś haka, tak jak ty na mnie, ale wiesz co? Mam dość! Albo mi wszystko wyjaśnisz, albo idę na policję! W dupie mam, co powiesz Renacie. Nikt więcej już nie zginie!

Poprawił kołnierzyk koszulki polo, rumieńce wyskoczyły mu na policzkach. Musiał się dowiedzieć. To nie może się tak dalej ciągnąć. Wyrzucił z siebie wszystko, co chciał, dodało mu to trochę odwagi.

Mieszko palił z nieprzeniknioną miną. Czarek wyobraził sobie trybiki przeskakujące pod jego czaszką, obracające myśli. Analizuje, wybierając najlepsze, najbezpieczniejsze odpowiedzi.

- Nie tutaj - powiedział w końcu. Rzucił peta na asfalt i przyduśił go piętą. - Jesteś furą?

- Tak.

Czarek zaprowadził go do volkswagena i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył.

- Dokąd? - spytał krótko.

- Do Bartka. Potrzebujemy go do tej historii.

Zapalił światła, wykręcił i ruszył w kierunku Czarnego Lasu. Przez dwadzieścia kilka minut, jakie zabrała im droga pod leśniczówkę, Mieszko nie odezwał się ani razu. Zaparkowali tam, gdzie zwykle. Z okien chaty nie wydobywał się nawet promień światła. Wszędzie panowała ciemność. Coś spadło na dywanik po stronie pasażera.

- Kurwa - zaklął Mieszko, schylając się i sięgając pod fotel. - Znowu pieprzona zapalniczka.

Czarek nie czekał, aż ją znajdzie, tylko wyszedł na zewnątrz. Powietrze przyjemnie go orzeźwiło, wciągnął je głęboko do płuc. Prawda. W końcu ją pozna. Wyrzuty sumienia, jakie nim targały przy „opiece” nad Bartkiem, były niczym w porównaniu z tym, jak się czuł po przeczytaniu nekrologu Tadeusza. Zerknął przez szybę; Mieszko nadal mocował się z fotelem, szukając zapalniczki.

- Mam jakąś w schowku - krzyknął, ale nie sądził, aby ten go słyszał. Stanął przy ścieżce prowadzącej do leśniczówki i wlepił wzrok w okna.

Lepiej, żeby miał dobre wytłumaczenie na to wszystko - pomyślał, zaplatając ramiona na piersi. Wolę zostać napiętnowany za seks z dziwką niż zapamiętany przez wszystkich w Zabynjczu jako morderca i psychol.

Usłyszał trzask drzwi. Mieszko w końcu wygramolił się z golfu.

- Idziemy do środka? - spytał Carek, obracając się przez ramię.

To było ostatnie, co powiedział. Cios gaśnicą przyszedł nagle, zmiażdżył mu nos na krwawą pulpę i wybił zęby. Czarka zamroczyło, odcięto i nagle znalazł się na ziemi. Twarz pulsowała, dłonie błędziły po omacku, ściskając piach i wilgotną trawę, nogi miał jak sparaliżowane. Mrugał opętańczo, chcąc się obudzić, ocknąć.

Bo tak nie mogła wyglądać rzeczywistość.

Drugi cios był silniejszy, wyprowadzony z góry. Mieszko włożył w niego całą swoją siłę, wykorzystał rozpęd. Rozległ się obrzydliwy chrupot łamanej czaszki i pękających kości policzkowych. Czarek zabulgotał, krwawe bąbelki wystąpiły mu na ustach, z uszu powoli sączyła się krew. Kończyny drżały konwulsyjnie, stopy ryły ziemię.

Gdy jak przez mgłę widział Mieszka zbierającego się do ostatniego ciosu, nawiedził go ostatni świadomy obraz: Renata siedząca w fotelu, owinięta kocem. Zerka raz po raz za okno, ogląda *Dzień sądu*, być może końcową scenę, w której T-800 znika pod powierzchnią lawy, unosząc kciuk w ostatnim, niewerbalnym komunikacie.

Zamknął powieki, ujrawszy zbliżającą się gaśnicę. Łzy wymieszały się z krwią.

Wszystko jest okej...

Mieszko odpalił papierosa, opierając się o maskę golfa. Gaśnica stała przy kole. Wyciągnął telefon, blade światło padło na twarz pokrytą rozmazaną krwią. Starał się nie patrzeć na martwego Czarka.

- Kurwa mać, pierdolony, musiał się wtrącać, kurwa... - bluzgał pod nosem, szukając odpowiedniego kontaktu. W końcu znalazł. „Leon Zawodowiec”. Po drugiej stronie ktoś odebrał po jednym sygnale. - Popierdoliło się - rzucił bez jakiegokolwiek wstępu. - Trzeba posprzątać.

3

OBECNIE

Obrazy przychodziły powoli, zamazane i pulsujące. Karol znów zasnął na kanapie. Obudził go gryzący w nos zapach spalenizny, a wraz z nim powróciły wspomnienia. Upiornie wykręceni piłkarze z maniakałnym wyrazem twarzy znów maszerowali w jego stronę. Otrząsnął się, próbując wyrzucić z głowy spojrzenie ich dwukolorowych oczu.

Na lepiącym się stoliku wysoka szklanka z resztą drinka stała obok pada zniszczonego w złości. Krew napłynęła boleśnie do nogi, kiedy Karol wstał. Odruchowo nastawił czajnik, żeby zaparzyć kawę, ale wcale jej nie potrzebował; w ustach miał wystarczająco sucho. Światłowstręt i ból głowy dobitnie o tym przypominały. Kiedy woda się gotowała, Karol ściągnął na telefon aplikację mobilną PlayStation. Nie pamiętał hasła, więc minęło trochę czasu, zanim się zalogował. Tak jak się domyślał, Yush był wielce niepokieszony nagłym zniknięciem Vidma z boiska, ale nie pisał nic o tym, że wystąpiła u niego podobna awaria.

[Vidmo1981]: Stary, przepraszam, zjechał mi się plejak. I to, szczerze, była najdziwniejsza akcja w moim życiu.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł pod prysznic, aby doprowadzić się do lepszego stanu. Godzinę później siedział za kierownicą fiata. Rzucił krótkie spojrzenie w lusterko. Oczywiście miał przekrwione, ale nie było tragedii. Wyjechał na Kasprowicza. Kiedy stał na czerwonym, wysłał krótki esemes do matki, że jedzie do Zabyniczca.

[Mama]: ok,.

Karol uśmiechnął się sam do siebie. Choćby się waliło i paliło, dobrze wiedzieć, że coś jest na swoim miejscu.

Z listy kontaktów wybrał numer Magdy, odetchnął głęboko. Przejechał kilka skrzyżowań, zanim zdecydował się zadzwonić. Była niedziela, może gdzieś wyszła... Nawet jeśli tak było, to odebrała po pierwszym sygnale.

- Co tam? - powitała go.

- Cześć. - Karol się zmieszał. Od ich wspólnej nocy minęło prawie półtora tygodnia, a on jak dotąd wysłał jej tylko kilka lakonicznych esemesów i odrzucał połączenia, tłumacząc sobie, że nie jest gotowy. - Co słychać?

- A co ma być słychać? - odparła ostro. - W pracy chujnia, a facet, z którym poszłam do łóżka, spieprzył tej samej nocy i olewa mnie od zeszłego piątku!

- Magda. - Czuł, że pocą się mu dłonie. - Przepraszam za wszystko. Tak jak pisałem, był pożar, a mój tata...

- Zginął w nim, tak, wiem - weszła mu w słowo. - Ale nie uważasz, do cholery, że mógłbyś odebrać raz telefon, jak dzwoniłam, i powiedzieć mi to, zamiast pisać pieprzone esemesy?

- Słucham? - Karola zatkało. - Straciłem ojca, rozumiesz? Może i powinienem był, dlatego teraz dzwonię, żeby się wytłumaczyć.

- Przepraszam. - Magda zrozumiała, że się zagalopowała. - Masz rację. Ale nic nie poradzę, że wolałabym móc pogadać z tobą o tym choćby przez telefon.

Westchnął.

- Spotkajmy się, pogadamy w cztery oczy...

- Może kiedy indziej - wtrąciła się znowu. - Mam straszny ruch w AEGamez, nawet w weekend muszę zajmować się bajzłem, jaki Łukasz zostawił po sobie. Słuchaj, muszę kończyć, zgadamy się jeszcze.

- Dobra, okej, to pa... - Nie skończył zdania, a w słuchawce już panowała głucha cisza.

Westchnął raz jeszcze i odłożył telefon. Był zirytowany. Z jednej strony łapał się na tym, że zależało mu na kontakcie z Magdą, z drugiej egoizm, jakim się właśnie popisała, skutecznie zniechęcił go do jej osoby. Musiał poważnie przemyśleć, jak ma wyglądać ich dalsza relacja. Czy jest to gra warta świeczki.

Przez resztę drogi zastanawiał się nad motywami Łukasza Desroches'a. Im więcej nad tym myślał, tym więcej pojawiała się luk. Dlaczego zadał sobie trud sfingowania całego procesu rekrutacji Karola? Skąd się dowiedział o Klubie Białych Zębów i jak działka Maślińskich trafiła w jego ręce?

Pytań miało przybyć po wizycie w Zabynijczu.

Zanim zajechał do Wdowy Bańki sprawdzić, co u mamy, zaparkował pod domem na Polnej. Na podwórku stał zielony van, z którego sączyło się kiepskie disco polo, a dookoła budynku uwijało się kilku robotników. Podszedł do jednego z nich.

- Witam - przywitał się. - Karol, syn Tadeusza.

- Witek jestem - odparł krótko robotnik i poprawił szelki od roboczych spodni, pod którymi nie miał koszulki. Mógł liczyć sobie dwadzieścia pięć lat, jak i trzydzieści pięć. W pewnym

momencie wszyscy w branży zlewali się w swoje własne podobizny, jakby bazowali na trzech schematach wyglądu. Witkowi po paru latach w zawodzie przypadły w udziale mętne spojrzenie, mocna opalenizna i grube pęcherze na dłoniach oraz palce o wiecznie brudnych paznokciach. – Poznaliśmy się na pogrzebie. Bardzo mi przykro, proszę pana.

– Dziękuję – odparł. Popatrzył ponad robotnikiem i spytał: – Jest może Mieszko?

Witek zrobił wielkie oczy.

– To pan nie wie? – Wyciągnął pomietą paczkę marlboro i odpałił. Po chwili wahania zaproponował Karolowi, ale ten pokręcił głową.

– A jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Wie pan, to dłuższa sprawa – wyduślił z siebie Witek wraz z obłokiem dymu. – Dziś rano jakieś dzieciaki znalazły swojego trenera, tego młodzieżowego z Zagończyka, zaciukanego przy stawach rybnych.

Karol poczuł, jakby otrzymał cios prosto w twarz.

– Czarka Jasłę?

– Chyba tak, ja go żem nie znał. – Witek wzruszył ramionami.

– Wiadomo coś więcej?

– Tak go pokieraszowali, że dopiero po dokumentach udało się go rozpoznać.

Karolowi przemknęły przez myśl ostatnie spotkanie z Czarkiem i jego nieobecny wyraz twarzy, gdy szedł w kierunku Głównej.

– A co ma do tego Mieszko? – spytał w końcu.

– Żona trenera zeznała policji, że oni wczoraj mieli się spotkać. Wiem tyle, że będzie miał przerabane, jak go w końcu znajdą, bo wie pan, policjant, co to nas przesłuchiwał minę miał nietęgą. – Splunął i dodał: – Czulem w kościach, że to dziwny

gość jest. Jak była robota, to kombinował tylko, jak się z niej wywinąć i napić się. Może ten trener nie chciał mu na flaszkę pożyczyć?

Karol podziękował robotnikowi i obiecał, że wpadnie jeszcze przyjrzeć się pracom remontowym. Gdy tylko wsiadł za kierownicę fiata, wybrał numer do Macieja.

- Wszystko słyszałem - rzucił od razu Grzyb grobowym tonem. - Rozmawiałem z Markiem. Co się wyprawia na tej przeklętej wsi, powiedz mi, Karol?

- Nie mam pojęcia - przyznał, tępo wpatrując się w deskę rozdzielczą. - Ale zdecydowanie szykuje się coś złego.

- Zło już się stało, teraz trzeba złapać tego skurwysyna, bo cholera wie, do czego jeszcze jest zdolny.

- Wiesz, gdzie znajdę Marka?

- Wyślę ci numer, ale raczej będzie mieć ręce pełne roboty.

- Dzięki. - Rozłączył się.

Chwilę później otrzymał kontakt do Walickiego. Wybrał numer, ale przekierowało go na pocztę głosową. Wciąż przyciskając telefon do policzka, analizował swoje ostatnie spotkanie z Czarkiem i Mieszkiem. Jasło wyglądał na znerwicowanego i zestresowanego. Pełko zaś reagował gorączkowo i agresywnie.

Uderzył otwartą dłońią w kierownicę, zatrąbił krótko, czym zwrócił na siebie uwagę robotników. Coś mu umykało. Mieszko był zawsze wrednym dzieciakiem, a z wiekiem zrobił się tylko gorszy. Jednak problemy z alkoholem i jego roszczeniowa postawa to błahostki w porównaniu z tym, czego się dopuścił teraz. Co się musiało stać, aby został mordercą? A może ktoś go wrobił lub zamordowano obu...?

Albo ktoś ma na niego haka. Zabił na czyjeś zlecenie? Dla pieniędzy? Bardzo możliwe. Wszystko zaczęło się od Kuby...

Potem zaginął Gabriel, nikt z wioski nie wie, gdzie jest Bartek.
Teraz Czarek. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Znikają Szkodniki. Znika Klub Białych Zębów.

Wykręcił i wjechał na ulicę Główną, a wtedy przez głowę przemknęła mu gorzka myśl.

Następny będę ja.

4

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia w końcu przestało sypać, a chmury ustąpiły, odsłaniając błękitne niebo. Słońce bladym światłem przebijało się przez ośnieżone gałęzie. Cały Czarny Las mienił się tak, jakby na powierzchni puchu rozsypano drobne kryształki.

Całkiem z przodu szedł Gabriel. Cichy, pochylony, powłóczył nogami, a patykiem rysował wierzchnią warstwę śniegu. Kilkanaście metrów za nim dokazywał Karol razem z ich współlokatorami z mazurskiego obozu - Tomkiem i Hubertem. Weszli na Trakt, żeby skrócić drogę na Zimne Doły.

- Słyszałem, że macie tam na Polonii jakieś kosmiczne technologie - powiedział Hubert i odgryzł kawałek suszonego mięsa owiniętego w gazetę. - Szy to pawda?

- Podłączają was do jednej maszyny i wiedzą o was wszystko: od wagi, przez kolor włosów, po wiek. Nie muszą nawet pytać - wtrącił Tomek.

Karol się zaśmiał. Nie za głośno, tak aby Gabriel nie usłyszał. Zerknął przed siebie, ale przyjaciel szedł nadal daleko przed nimi, nie oglądając się.

Wspólna kariera układała się na razie nie po ich myśli. A wszystko zaczęło się na początku października, kiedy to na trening Zagończyka przyjechał elegancko ubrany facet. Jasna

marynarka, dzinsy, mokasyny. Wypielęgnowana broda i głowa ogolona na łyso. Porozmawiał wpierw z Grzybem, a potem cały trening przesiedział na trybunie i z założonymi rękoma przyglądał się, jak ćwiczą. Karol nie zwracał na niego zbytnej uwagi, za to Gabriel był rozkojarzony. Piłka odskoczyła mu od nogi raz, drugi i potem nie szło mu już do końca półtoragodzinnych zajęć.

Kiedy przebierali się w szatni, zmęczeni, ale szczęśliwi, do środka wszedł Grzybicki. Spojrzał na Karola, skinął głową i powiedział:

- Jak się przebierzesz, to chodź do biura.

Drzwi się zamknęły i wszyscy patrzyli na Widmowskiego.

- Co przeskrobałeś, he? Przyznaj się - rzucił Bartek, śmiejąc się przy tym sam do siebie.

Karol wzruszył tylko ramionami w odpowiedzi i szybko dokończył przebieranie. Chwycił torbę i powiedział do Gabriela:

- Poczekaj na mnie chwilę, okej?

Tamten skinął głową, lecz nic nie odpowiedział. Minę miał nietęgą.

Opuścił zatęchłe pomieszczenie i wąskim korytarzem przeszedł do biura. Tam za biurkiem siedział już Maciej, a naprzeciwko niego - ten sam brodacze w kremowej marynarce, który przyszedł na trening. Teraz oglądał dyplomy i oprawione koszulki najbardziej zasłużonych zawodników. Nie omieszkał też rzucić okiem na regał z trofeami.

- Chodź Karol, siadaj - poprosił Grzyb wskazując miejsce obok brodatego. - Chciałbym ci kogoś przedstawić...

- Andrzej Opaliński - wtrącił się mężczyzna, wstając z krzesła i energicznie wyciągając dłoń w kierunku Karola. Tamten uścisnął ją niepewnie. - Miło mi poznać.

- Pan Andrzej jest skautem Polonii Warszawa - wyjaśnił Maciej, kiedy zajęli miejsca. - Zamieni z tobą kilka słów.

Opaliński, z pogodnym uśmiechem przyklejonym do twarzy, skinął głową, założył nogę na nogę i całą uwagę skupił na Karolu.

- Wywarłeś na mnie niesamowite wrażenie już podczas sparingu na Mazurach - poinformował. - Pełnię funkcję drugiego trenera zespołu Młodej Polonii. Karol, mogę ci tak mówić, tak? - Nie czekał na potwierdzenie. - Masz talent. Ogromny. Sposób, w jaki prowadzisz piłkę, twoje rozeznanie w środku pola, umiejętność dostrzegania rozwiązań tam, gdzie nikt inny ich nie widzi... Znam wielu siedemnasto-, osiemnastoletnich chłopaków, którzy mogliby ci takiej wizji pozazdrościć. Aż dziw bierze, że nikt jeszcze tego nie dostrzegł! Naprawdę, jeszcze nikt się po niego nie zgłosił?

Ostatnie pytanie skierowane było do Macieja, który zaprzeczył. Andrzej pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Chciałbym jeszcze porozmawiać z twoimi rodzicami, ale wierzę, że są to rozsądni ludzie i będzie to jedynie formalność. Spytałem więc najpierw ciebie. - Nachylił się. - Czy chcesz zostać najlepszym piłkarzem w Polsce? Albo może nawet na świecie?

Karol poczuł, że się czerwieni.

- Jasne! - odparł i zaraz się poprawił: - Tak, to znaczy, oczywiście.

- Dobrze. - Andrzej uśmiechnął się jeszcze szerzej. - W naszym ośrodku zapewnimy ci wszystko, dzięki czemu będziesz mógł dalej rozwijać swoje atuty. Teraz jest już trochę za późno, żebyś dołączył do zespołu, ale zaprosimy cię na kilka treningów. Zaaklimatyzujesz się, poobserwujemy cię z bliska. A jeśli wszyscy będziemy zadowoleni, wtedy od stycznia staniesz się pełnoprawnym graczem Polonii Warszawa.

Karol nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Miał ochotę się uszczyplnąć, sprawdzić, czy nie śni. Wszystko wyglądało zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe.

I po części tak było.

Nagle go oświeciło.

- A Gabriel? - spytał Macieja. - Mówił trener, że jego też obserwowali. - Spojrzał z nadzieją na Opalińskiego. - To był ten chłopak z numerem szesnaście.

- Obserwowaliśmy cały wasz zespół. Faktycznie był jeszcze jeden dzieciak, w ataku grał. To twój przyjaciel? - spytał ze zmarszczonymi brwiami.

- Tak. Gabriel Maśliński. Z nim też będzie pan rozmawiał?

Skaut jakby posmutniał.

- W życiu czasami trzeba ruszyć naprzód, nie oglądając się za siebie. Niestety, obawiam się, że i ty będziesz musiał tak postąpić, jeśli marzysz o grze na najwyższym poziomie. Czas twojego przyjaciela jeszcze nie nastał. Szczerze? Jest zbyt niski jak na napastnika, a żeby przesunąć go do środka pola, musiałbym zrezygnować z ciebie. - Splótł dłonie i spojrzał ponad nimi prosto w oczy Karola. A potem spytał:

- Więc jak będzie?

Nie zawahał się. Sam przed sobą tłumaczył się potem, że to nie jego wina, że wybrali jego, a nie Gabriela. Kiedy patrzył teraz na zgarbioną sylwetkę przyjaciela, wciąż czuł się paskudnie.

Hubert rzucił w niego śnieżką.

- Śpisz czy co?

Karol otrzepał kurtkę i spojrzał na kolegę.

- Tak naprawdę ośrodek jest dość paskudny. Ciemne korytarze, a do tego wszędzie śmierdzi chlorem. I żebyście zobaczyli Saharę...

- A co to? - wszedł mu w słowo Hubert. Zatrzymał się i zebrał śnieg w dłonie.

- Boisko treningowe - wytłumaczył. - Ale masakryczne. Na ostatnim treningu to można było się ślizgać na łyżwach, a nie grać w piłkę.

- Ale dlaczego „Sahara”?

- Podobno cholernie się kurzy latem. A jak popada, to błoto po kostki.

- To już Zagończyk ma lepszą treningówkę. - Tomek wyszczerzył zęby, ale zaraz je schował, bo dostał śnieżką od Huberta. - Ej, gnojku! Zaraz ci pokażę.

- Zagończyk ma pastwisko, na którym unikać musimy krowich placków, tumanie - odparł Hubert, unikając kiepskiego rzutu Tomka.

Słyszając podniesione głosy, Gabriel się odwrócił. Karol dostrzegł jego spojrzenie, zdawało mu się, że pełne wyrzutów. Złapali na moment kontakt wzrokowy, i to starło mu uśmiech z twarzy jak gąbka kredę z tablicy.

Gabriel odwrócił się i wszedł na torowisko.

- Jeszcze przeżywa, co nie? - spytał Hubert, widząc, jak Karol obserwuje Gabriela.

- Na to wychodzi - odparł.

Gdy wyszedł z biura Zagończyka, Gabriela nigdzie nie było, a on ze wstydem odkrył, że odetchnął z ulgą - nie musiał tłumaczyć się przyjacielowi, dlaczego wybrano Widmowskiego, a Maśliński zostaje w Zagończyku. Ostatecznie ten dowiedział się o wszystkim od Grzyba, nie od najlepszego przyjaciela. W tym momencie fundamenty ich relacji niebezpiecznie zdrząły.

- Od przyszłego roku idę do szkoły w Warszawie, nie chciałbym rozstawać się w niezgodzie.

- Będiesz mieszkał w akademiku? - Tomek wyglądał na podekscytowanego taką możliwością.

- W bursie - poprawił kolegę. - Tak się to ponoć nazywa.

- A to nie tam, gdzie są te wszystkie, no wiecie... - Tomek zamachał dłońmi, rysując w powietrzu coś, co miało przypominać kobiece kształty. - Co to za pieniądze się ze wszystkimi...

- Nie - oburzył się Karol. - To burdel!

- A nie bursa, ty, nieuku - wtrącił Hubert. - Już widzę, jak byś poszedł szukać tych swoich uciech. Ale byś je znalazł!

Zanieśli się wszyscy śmiechem, który odbił się echem od nasypu przy starej trasie kolejowej. Gabriel stał pod nim i wpatrywał się w ośnieżony szczyt. Zabynijczański Everest, najwyższy punkt w okolicy.

Karol odłączył się od chłopaków, którzy zaczęli nacierać się śniegiem, i podszedł do przyjaciela. Przystanął obok, wbił wzrok w czubki swoich śniegowców. Wziął głęboki oddech.

- Co tam słychać u ciebie? Taki jakiś cichy, niemrawy jesteś. Tamten wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Chodź, dołącz do nas. - Karol próbował dalej coś z niego wydobyć. - Jest śmiesznie.

- To super - odparł, a w jego głosie wybrzmiała gorycz. - Cieszę się.

- No weź, nie bądź taki...

- Jaki?! - wszedł nagle w słowo Gabriel. - Taki jaki jestem? Sorry, ale to nie ty zostajesz sam ze Szkodnikami! W szkole, w Zagończyku. Ty sobie pojedziesz do wielkiej stolicy i będziesz miał świetny ubaw!

- Gabriel, daj spokój, nie zostajesz sam, przecież są chłopaki...

- I co z tego? - Podniósł wzrok, w oczach błyskały mu iskierki złości. - Co z tego, skoro nikt nigdy się za mną na treningu nie wstawił. Zobacz. - Podwinął rękaw, odsłaniając przedramię, całe w granatowo-zielonych siniakach.

Karol ugryzł się w wargę.

- I tak po każdym treningu - kontynuował beznamiętnie. - Kuba i Czarek trzymają, a Bartek odświeża „pokrzywki”. „Żeby nie zapomniał o swoim miejscu, że nikt mnie tu nie chce”, tak mi mówi. Robią to oczywiście, jak już wszyscy wyjdą,

a najczęściej w drodze do domu. Czasami ucieknę, czasami nie. Ale jak uciekam, to jeszcze kopią po nogach, biją...

Karol zacisnął pięści. Uczucie niesprawiedliwości ciążyło w żołądku jak kamień. Miał ochotę wyciągnąć go z siebie i rozbić nim głowy Szkodnikom.

- To nie fair - skomentował cicho. - Powinieneś być tam ze mną.

- Ale nie jestem. I nie będę. Zostanę sam ze Szkodnikami.

- Może i nie będzie mnie w okolicy, ale nie jesteś sam - zaprzeczył stanowczo. - Jesteś w Klubie Białych Zębów. A Klub Białych Zębów już raz ustawił Szkodników, więc...

- Więc co?

- Zróbmy to jeszcze raz, pokażmy im, gdzie jest ich miejsce.

- Jak sobie to wyobrażasz? - Gabriel po raz pierwszy podczas ich rozmowy wyglądał na zaciekawionego.

- Z pewnością wymyślimy coś wystrzałowego. No bo jak nie my, to kto?

Oczy Maślińskiego rozbłysły łobuzersko, usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu.

- Mam nawet pomysł - rzekł, sięgając po garść śniegu. - Może być ciężki do realizacji, ale...

- Ale? - ponaglił Karol, ciesząc się, że chociaż na chwilę wrócił Gabriel, jakiego znał i z jakim się zaprzyjaźnił. - Znowu wrzucimy ich do dziury w ziemi?

- Coś lepszego, dużo lepszego. - Uformował kulę i rzucił nią w Tomka. Trafił go w tył głowy. - Kto ostatni na Zimnych Dołach, ten bałwan! - krzyknął, po czym rzucił się pędem wzdłuż torów. Reszta wydała okrzyk bojowy i rozpoczął się wyścig.

Stare torowisko opustoszało, a cisza, która nastąpiła, kiedy ucichły głosy nastolatków, zwiastowała tylko burzę.

OBECNIE

Po przyjeździe do Zabynicza Karol zabrał się za uporządkowanie papierów firmy ojca. Julia początkowo trochę mu pomagała, lecz ostatecznie leki ją zmogły i poszła spać. Nie ustalwszy z nią nic konkretnego, zrezygnował z dalszego grzebania w dokumentach. Wsiadł więc w samochód i kierując się czystą ciekawością, zajechał nad stawy rybne – w miejsce morderstwa Czarka Jasły. Nie dowiedział się oczywiście niczego. Ciało dawno przewieziono do kostnicy, a na zarośniętym tatarakiem brzegu, odgrodzonym żółtą taśmą, kręcili się policyjni technicy. Grzecznie przegonili Karola, który zastanawiał się, czy przypadkiem nie są to ci sami policjanci, którzy zabezpieczali teren dookoła jego domu.

Gdy już wracał do samochodu, rozdzwonił się jego telefon. Bez zwłoki odebrał połączenie od Marka Walickiego. Policjant miał zmęczony głos, ale zgodził się na spotkanie. Obiecał pojechać do Zabynicza jeszcze dziś.

Karol liczył, że może od niego dowie się czegoś więcej.

Nim umówił się z Markiem, spytał Adrianny, czy mogą się u niej spotkać. Wdowa bez problemów przystała na prośbę, obiecała, że zajmie się w tym czasie Julią i nie będą im przeszkadzać. Parę godzin później zwalisty policjant usiadł ciężko na krześle w salonie, gdzie jeszcze niedawno odbyła się stypa. Widać było, że jest wykończony tym dniem.

- Kawy?

- Poproszę. Czarną, jak dusza tego skurwiela.

Chwilę zajęło Karolowi, nim rozeznał się w kuchni. Półki pozastawiano wszelkiej maści pudełkami, lecz żadne nie było podpisane. Zajrzał do kilku i ostatecznie znalazł kawę w puszcze imitującej angielską czerwoną budkę telefoniczną.

- Co tam się stało? - spytał Karol, stawiając przed Markiem parujący kubek.

- Pierdolona rzeź - odparł, upiwszy łyk kawy. - Do cholery, nie mogę pozbyć się tego widoku sprzed oczu. Chociaż żywię... żywiłem do Czarka sporo urazy, to jednak, kurwa, nawet on nie zasłużył na coś takiego.

- Jak się trzyma Renata? - Karol przysunął sobie krzesło do stołu i usiadł naprzeciwko policjanta.

Żonę Czarka pamiętał jeszcze ze szkoły. Cicha, grzeczna, wiecznie z nosem w książkach. Z tego, co od lat podpowiadał mu Facebook, miłość do literatury w niej została. W galerii miała więcej zdjęć z opasłymi tomiszczami niż z mężem.

- Kiepsko, nawet bardzo - przyznał. - Jest w totalnej rozsypance. W zasadzie to dopiero co od niej wróciłem.

- Od robotników z Tad-Budu słyszałem plotkę, że ponoć Czarek miał spotkać się tego wieczora z Mieszkiem.

- Renata też tak twierdzi. Powiedziała, że od dłuższego czasu, pół roku, może więcej, ciągle gdzieś się bujał, często z młodym Pełką. Co, jak dla mnie, kompletnie nie ma sensu.

Karol zgadzał się z nim całkowicie, ale chciał usłyszeć wersję policjanta.

- Dlaczego?

Marek spojrzął na Widmowskiego, wysoko unosząc brwi.

- Jeden z nich jest menelem, alkoholikiem i mętem społecznym, wszczynającym burdę co weekend. Wieczny synek tatusia, mimo że Wawrzyna dawno pochowali. Drugi... może nie

był najbliższym członkiem naszego społeczeństwa, ale jak chlał, to w domu. Żony nigdy nie uderzył. Dzieciaki z Zagończyka całkiem go lubiły, oddawał się swojej pracy, dorabiał w magazynach DHL-u w Piasecznie. Miał w zasadzie nienaganną opinię w obu robotach, już sprawdziliśmy. To pierwsze, co mi zgrzyta. Po jaki chuj taki Czarek miałby kręcić się po nocach z Mieszkiem?

- Racja - przyznał Karol, opierając się o stół. - Chociaż w Zabynijczu wszyscy tworzą jedno ciało, jeden kolektyw. Tutaj każdy zna każdego, potrafią się zawiązać najdziwniejsze relacje.

- Tak czy inaczej, Mieszko jest głównym podejrzanym. Nie ma go w domu ani w opuszczonych budynkach w okolicy.

- A jak go zabijał... - *Jak to brzmi? Absurd!* Próbował nie wyobrazić sobie sceny mordu na Czarku. Przełknął ślinę. - Nikt nic nie zauważył, nie usłyszał? Głos niesie się po wodzie, nie jest też to taki martwy rejon, ktoś musiał tamtędy przejeżdżać.

- Gdyby faktycznie zamordowano go przy stawach, to tak - przyznał Marek. - Tylko że to nie jest miejsce morderstwa.

- Jak to?

- Najczęściej, faktycznie, ciało określa miejsce zbrodni. Próbowałaś nosić kiedy bezwładny pięćdziesięciokilowy worek węgla albo ziemiaków? - Marek zauważył, że Karol skinął, więc kontynuował: - To dobrze wiesz, jak ciężka to jest robota. A dodajmy do takiego worka jeszcze kończyny, które swoje też ważą i wcale nie ułatwiają roboty. Lecz w tym wypadku wszystkie ślady wskazują na to, że morderstwo odbyło się gdzie indziej.

Marek zamilkł, aby upić kawy. Spojrzał na zegarek, zmarszczył brwi.

- Przy samym stawie znaleźliśmy ślady opon pasujące do golfa, którego właścicielem był Czarek. Tylko że samochodu

nigdzie nie ma. Mieszko, bo wszystko wskazuje na niego, musiał być na tyle zdeterminowany, żeby mocować się z ciałem i wywieźć je z miejsca morderstwa. Szczęśliwy traf chciał, że miał auto ofiary pod ręką. Musiał się śpieszyć, bo nawet nie próbował dobrze ukryć zwłok.

- Może właśnie o to mu chodziło, aby można było łatwo je znaleźć - powiedział Karol. - Jako przestroagę?

- Przestroagę? - prychnął Marek. - Co się stanie, jak nie pożyczysz menelom pieniędzy? A tak na poważnie, nie chciałbym zgadywać. Motyw Mieszka poznamy, jak już go złapiemy. Słuchaj, będę leciał, dzięki za kawę.

Wstał z krzesła, Karol odprowadził go do drzwi. Kiedy Walicki naciskał klamkę, odwrócił się.

- Jeszcze jedno. - Wlepił wzrok w kolegę. - Wydaje mi się to oczywiste, ale i tak powiem: wszystko, co usłyszałeś, zostaje między nami, jasne?

- Jasne.

Uścisnęli sobie dłonie i Marek zniknął za drzwiami. Chwilę później zaryczał silnik i radiowóz odjechał.

Pół godziny później Karol, gdy pożegnał się z matką, siedział w samochodzie i kierował się z powrotem do Warszawy. Dochodziła dwudziesta pierwsza, w radiu zaczęły się wiadomości.

- Gangsterski cmentarz otrzymał drugie życie? Kolejne tajemnicze ciało odkryto tego popołudnia nad brzegiem Wisły w miejscowości Dębówka, niedaleko Konstancina-Jeziorny. W dwa tysiące czternastym roku odślonięto w tym miejscu prowizoryczne groby, gdzie znaleziono zwłoki zaginionych osób podejrzanych o porachunki z mafią. Policja prosi o pomoc przy identyfikacji...

Zmienił stację, z głośników sączył się teraz delikatny jazz. Miał dość trupów jak na jeden dzień. Skupił się na drodze;

Puławska była dziś wieczorem łaskawa – praktycznie wszędzie świeciło się zielone, gładko przecinał Mysiadło, Pyry i Ursynów.

Zaparkował przed blokiem. Wchodząc do klatki, obrócił się podejrzliwie. Wyszczierzona twarz Jerzego Kidysa obserwowała z podświetlonego billboardu jego blok – niczym Orwellowski Wielki Brat. Puścił krzywe spojrzenie reklamie, a potem zniknął w głębi budynku.

6

TYMCZASEM

Mieszko próbował się wygodnie ułożyć na fotelu pasażera, ale ciało bolało go z każdej strony od wielogodzinnego siedzenia. Do tego cały drżał i się pocił. Ostatni raz alkohol w ustach miał na kilka minut przed morderstwem Czarka. Sceny z tamtej nocy co rusz odtwarzały mu się samoistnie w głowie, nie miał sposobu na zatrzymanie filmu. Był zniewolonym widzem własnego umysłu.

Gdybym miał chociaż pół seteczki - rozpacział. Od razu poczułbym się lepiej.

Ale nie miał. I nie zanosilo się na to, aby szybko coś miało się zmienić. Zmrużył oczy, a film wspomnień odtworzył się po raz kolejny.

Po wykonaniu awaryjnego telefonu niecałą godzinę później pod leśniczówkę Pełki zajechało czarne bmw x5, a ze środka wysiadł Duch. Ubrany w opinającą czarną koszulkę z podwiniętymi rękawami i z guzikami pod szyją, nie śpieszył się. Światła ustawił na postojowe, tak aby oświetlały golfa. Pogwizdywał pod nosem jakąś piosenkę, którą Mieszko kojarzył z dzieciństwa. Uznał, że musi być to utwór Mieczysława Fogga, jego ojciec lubił takie nostalgiczne starocie. Duch z bocznej kieszonki drzwi wyciągnął czarne, lateksowe rękawiczki.

Założył je, pozginał palce na próbę i dopiero wtedy zwrócił się do Pełki.

- To ten? - Wskazał na ciało obok auta.

- A widzisz kogoś innego?

Podniósł wysoko brwi, co przy jego wielkim, haczykowatym nosie nadało mu ptasi wygląd. Podrapał się po głowie, gdzie pomimo ściętych na jeża włosów można było dostrzec odznaczające się zakola. Wzruszył ramionami i poszedł do bagażnika bmw, skąd wyciągnął folię malarską.

- Otwieraj klapę - rzucił przez ramię.

Mieszko dopiero po chwili zrozumiał.

- Do golfa? - zdziwił się. - Przecież miałeś mi pomóc, tak mi powiedziała!

- I właśnie to robię, pomagam - uspokoił go. - Otwieraj.

Mieszko skrzywił się, ale wykonał rozkaz. Otworzył bagażnik samochodu Czarka, a Duch starannie wyłożył wewnątrz folią. Obejrzał skończone dzieło, pocmokał. Wrócił do swojego pojazdu, pogrzebał w schowku, przyniósł srebrną taśmę i dokleił folię przy fotelach. Gdy skończył, podszedł do ciała Jasły i obmacał kieszenie jego dzinsów. Z jednej z nich wyciągnął kluczyki. Przyjrzał się im, a potem schował do własnej kieszeni.

Mieszko przyglądał się wszystkiemu z rosnącą irytacją.

- Pakujemy go - usłyszał w końcu i dostał parę rękawic.

Z lateksem na dłoniach chwycił bezwładne ciało Czarka za nogi, tuż pod kolanami. Duch trzymał zwłoki pod pachami. Kiedy przechodzili przez snop światła bmw, Pełko starał nie patrzeć na swoje dzieło: roztrzaskaną twarz, wystające odłamki kości, galaretowatą breję wypływającą razem z krwią. Chwilę później golf zakołysał się na resorach - Cezary Jasło wylądował w bagażniku swojego wozu.

- Gdzie narzędzie? - spytał Duch.

Mieszko rozchylił usta w namyśle i dopiero po chwili wskazał na gaśnicę, stojącą przy kole. Duch pokiwał głową, tak jakby pochwalał ten wybór. Złapał delikatnie narzędzie zbrodni i ruszył w kierunku leśniczówki.

- Co ty robisz? - zapytał Mieszko głośniejszym głosem, niżby chciał.

- I tak zwęglił już jednego, prawda? - rzucił Duch. - Nikt się nie zdziwi, gdy okaże się, że zabił i kolejnego. To się nazywa dystrakcja.

Wszedł za budynek, skąd dobiegło skrzypnięcie drzwi do przybudówki. Zaraz potem Duch pojawił się przed wejściem do więzienia Bartka.

- Nie wylezie? - Kciukiem wskazał na drzwi.

Mieszko pokręcił głową.

- Zamknięty.

- Dobrze - rzekł, idąc w kierunku Pełki. Rzucił mu kluczyki, które wcześniej znalazł przy ciele Czarka. Głową wskazał na golfa. - Wskakuj i jedź za mną.

- Dokąd?

- Na ryby.

Tyle pamiętał. Reszta zlewała się w niewyraźną sekwencję obrazów podlanych stresem i brakiem wódki, za którą dałby uciąć sobie palec. Albo dwa. Drgnął i rozkleił zażawione powieki - nawet nie zauważył, kiedy przysnął. Odwrócił się od okna, zza którego drażniło go światło latarni. Bmw stało na parkingu wzdłuż ulicy, pomiędzy blokami numer dziewięć i jedenaście, tuż obok złotego pojemnika PCK na odzież. Za plecami mieli sklep monopolowy, na który Mieszko co rusz zerkał, głośno przy tym mlaskając.

Duch jadł ziarna słonecznika i wbijał wzrok we wsteczne lustro. Zegar na tablicy rozdzielczej podpowiadał, że dochodzi dwudziesta druga.

- Na cholere mnie tu trzymasz? - jęknął Mieszko, podnosząc się ciężko.

- Takie polecenie. Zresztą, jesteś głównym podejrzanym o morderstwo Cezarego J., więc to w zasadzie najbezpieczniejsze dla ciebie miejsce.

- Jak to, podejrzanym?! Mówiłeś, że wszystko jest, kurwa, cacy.

- Wszystko jest, kurwa, cacy. - Duch przedrzeźnił pasażera, mieląc kolejną porcję słonecznika. - Ślady są wyczyszczone, wybielacz robi swoje, uwierz mi. Samochód, cóż, i tak nie należał do ciebie. Chwilę im zejdzie, nim zlokalizują go na tym parkingu pod Auchanem, ale nic nie doprowadzi ich do ciebie.

- To dlaczego jestem podejrzanym? - spytał nieprzyzwoicie cienkim głosem.

Kurwa, chociaż ćwiartkę, nawet kolorowej, tylko tyle mi trzeba - pomyślał, patrząc tęsknie w lustro, w którym odbijał się zielony neon OPEN 24H.

- To proste. Zniknąłeś. To samo wiele mówi.

- To po chuj mnie zabierałeś ze sobą? Było zostawić mnie w Zabynijczu.

Duch cmoknął pod nosem.

- Zbyt ryzykowne - rzucił beztrąsko.

Zapadła cisza. Przerwało ją skrzypnięcie skóry, kiedy Duch poruszył się na fotelu.

- Czy to Widmowski? - spytał wpatrując się w lustro.

Mieszko spojrział w swoje i wyteżył wzrok. Oczy łzawiły mu ze zmęczenia, ale rozpoznał kulejącego mężczyznę, który przecinał ulicę Przytyk. I zapadł się od razu w fotelu, aby tamten go nie zauważył.

- Tak.

- Dobrze - odparł, obserwując, jak Karol klika przycisk na pilocie samochodu, aby upewnić się, że go zamknął.

- I co teraz? - spytał Mieszko i prawie zaśmiał się z tego, że szepcze. Nawet jedno słowo nie miało prawa opuścić szczelnego wnętrza bmw.

Duch nie odpowiedział od razu. W milczeniu patrzył w lusterko, dopóki Widmowski nie zniknął w swojej klatce.

- Teraz pozostaje nam obserwować. Całą noc. Cieszysz się, Mieszko? Powiedz, że tak.

W odpowiedzi przyszło jedynie ciężkie westchnienie. Duch roześmiał się i włączył radio. Mieczysław Fogg w rytm depresyjnej melodii wyśpiewywał o ostatniej niedzieli.

OBECNIE

Skoro został bez konsoli, którą mógłby zająć myśli, odpalił Netflix na laptopie i podłączył sprzęt do telewizora. Przygotował sobie kolację, rozsiadł się na kanapie i przeklął w duchu, bo musiał zaraz znów wstać, żeby wybrać film. W pierwszym odruchu próbował zrobić to padem do PlayStation.

Gdy już zdecydował się na *Johna Wicka* - niezobowiązującą rozrywkę z Keanu w roli głównej - telefon leżący na kanapie zawibrował. Na ekranie świeciło się powiadomienie z aplikacji PlayStation. Sięgnął po smartfon i wszedł w wiadomości.

[Yush_Byegne]: Ty to masz jakiegoś pecha ostatnio, nie sądzisz? Teraz to już nie odmówisz piwa i meczu, co? W końcu i tak nie masz konsoli...

[Vidmo1981]: Szczerze? Uważam, że jest to do zrobienia. Przyda mi się takie wyjście.

[Vidmo1981]: Co porabiasz? Pewnie nudzi ci się, gdy nie ma mnie na serwerze.

[Yush_Byegne]: Taa, nie schlebiaj sobie :P. Nadrabiam braki w singleplejerach, dziś na tapetę wskoczyło *Red Dead Redemption 2*.

Karol chwilę zwlekał z odpowiedzią, bo na ekranie rozgrywała się na stacji benzynowej scena pomiędzy Johnem Wickiem a Theonem Greyjoyem. Skończył kanapki i wstał odnieść talerz, przy okazji przygotował sobie gin z tonikiem. Wrócił na kanapę z drinkiem i odpisał:

[Vidmo1981]: Westerny to nie mój klimat, ale słyszałem, że dobre.

[Yush_Byegne]: Jest kozak! Pokażę ci jak wpadniesz, jeśli coś ma cię wkręcić w ten świat, to *RDR2* jest najlepszą jego wizytówką.

Wizytówka. Drink nagle przestał smakować, a film - interesować. Karol odstawił szklanekę i złapał się za głowę. Wszystkie wydarzenia wróciły do niego ze zdwojoną mocą. Śmierć taty, morderstwo Czarka, Klub Białych Zębów. I ta uporczywa myśl, niepokój drążący korytarze w mózgu. *Ty będziesz następny.*

Odszukał wizytówkę i znów jej się przyjrzał, ale nie było w niej nic, co i tym razem zwróciłoby jego uwagę. Kontur zęba, napis „KBZ”, pod nim „dr G. de la Garza” oraz ośmiocyfrowe ciągi - (520)-406-82, oraz (210)-299-17. Obracał ją w palcach tak, jakby próbował w ten sposób przegnać złe myśli, a potem chwycił telefon.

[Vidmo1981]: Lubisz zagadki?

[Yush_Byegne]: Jeśli umiem je rozwiązać, to tak.

[Vidmo1981]: Może byłbyś w stanie pomóc mi z jedną rzeczą. Podasz mi swój numer telefonu? Muszę MMSa podesłać.

Chwilę później otrzymał numer. Zrobił zdjęcie wizytówki i wysłał je do Yusha. Parę minut później dostał wiadomość na

aplikacji:

[Yush_Byegne]: Hmm, no, okej. I gdzie ta zagadka?

[Vidmo1981]: Może nie tyle zagadka sama w sobie, ale nie mam zielonego pojęcia co mogą oznaczać te cyfry. Próbowałem wygooglować, ale nic mi nie wyskakuje...

[Yush_Byegne]: Aaa, to akurat proste.

Karol zamrugał, patrząc na wiadomość.

[Vidmo1981]: Jak to proste?

[Yush_Byegne]: No tak to. To są współrzędne. No dobra, jaka dalsza część zagadki?:).

[Yush_Byegne]: Zanim spytasz, to wszystko dzięki *RDR2*. Akurat dziś robiłem taką poboczną misję gdzie dla archeolożki musiałem znaleźć kości dinozaura. Po wszystkim wysyłałem jej list ze współrzędnymi skamieliny

[Yush_Byegne]: Halo? Juuhu? Jesteś tam?

Karol nie czytał już wiadomości, tylko siedział na podłodze przy laptopie. Nawet nie odłączył go od telewizora. Wprowadził cyfry i teraz z otwartymi ustami wgapiał się w wynik, który wpłynął mu Google.

Województwo mazowieckie, powiat piaseczyński, gmina Piaseczno, Zabynijcz, Czarny Las.

Trakt.

Myśli dudniły pod czaszką, zupełnie odcinając Karola od rzeczywistości. Pomimo gorąca buchającego zza otwartych

okien jedyne, co odczuwał, to chłód. Ostatni raz tak zimno było mu dwadzieścia siedem lat temu.

8

OBECNIE

Tej nocy nie zmrużył oka. Po wielkiej gonitwie myśli zadzwonił w końcu do Grzyba, ale rozłączył się już po pierwszym sygnale. Wciąż nie mógł wybaczyć mu jego nielojalności, ale nie miał nikogo innego, w kim mógłby znaleźć wsparcie. Postanowił poczekać jeszcze z telefonem.

Wyszedł na balkon z drugim kubkiem kawy, aby się trochę orzeźwić po nieprzespanej nocy. Zasnął dopiero nad ranem, a gdy obudził się po jedenastej, czuł się jeszcze gorzej. Oparł przedramiona na barierce. Jego uwagę przykuli robotnicy zakrywający billboard po drugiej stronie ulicy. Uśmiechnął się nie bez satysfakcji, gdy pomyślał, że w końcu nie będzie oglądać gęby redaktora, którego artykuł wciąż go prześladował.

Cieszył się tylko przez chwilę.

Na połowie nowej reklamy, którą zdążyli nakleić, bielutkimi zębami błysnął znowu Jerzy Kidys. Nad jego ulizaną fryzurą krzyczało nieśmiertelne „Polecam!”. Karol prychnął z odrazą. Dobrze wiedział, co będzie po drugiej. Okładka *Total Football 2020*.

- AEGamez - powiedział sam do siebie.

Wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer Magdy. Pierwszych dwóch połączeń nie odebrała, a trzecie, ku jego

zdziwieniu, odrzuciła. Z kubkiem w jednej ręce i z telefonem w drugiej gapił się tępo w przestrzeń. Nagle naszała go prosta myśl, że Magda na pewno jest dziś w biurze.

Nie zastanawiał się długo. Zerwał się z balkonu, jakby barierka zaczęła go parzyć. Zabrał portfel, klucze do mieszkania i wybiegł.

Dochodziła pierwsza, kiedy wysiadł z przepełnionego autobusu na ulicy Popularnej. Z niesmakiem stwierdził, że koszulka lepi się do niego, lecz nic nie mógł na to poradzić. Znajomą drogą udał się do budynku przy Alejach Jerozolimskich 175D. Przed biurowcem zawahał się, ale tylko przez chwilę. Wnętrze powitało go zbawiennym powiewem klimatyzacji oraz podejrzliwym spojrzeniem recepcjonistki.

- Dzień dobry pani.

- W czym mogę pomóc?

Musi mnie pamiętać, cholera - pomyślał, gdy tylko usłyszał ostrą nutę w głosie kobiety.

- Muszę... to znaczy chciałem odwiedzić panią Magdę Migalską, jest dźwiękowczynią...

- Wiem, kim jest - ucięła recepcjonistka, odwracając się do monitora. - I wiem, kim pan jest. Nie ma pan wstępu do biur firmy.

- Rozumiem. - Udał skruchę, wbijając wzrok w stopy. - A czy mogłaby pani chociaż przekazać pani Magdzie, że byłem...

- Raczej nie będzie to możliwe - odparła, krzywiąc się. - Migalska już tutaj nie pracuje.

Karol pomyślał, że się przesłyszał.

- Jak to... nie pracuje?

- Nie mam obowiązku wdawać się w szczegóły.

Czerwona lampka zapaliła się mu w głowie.

- Czy to ma jakiś związek z odejściem Łukasza Desroches'a?

Recepcjonistka podniosła brwi i oderwała się od komputera.

- Oczywiście, że ma - fuknęła. - Razem złożyli wypowiedzenie.

Mruknął coś w odpowiedzi, podziękował i wyszedł na zewnątrz. Niewiele myśląc, zadzwonił do Magdy. Nie spodziewał się wiele, ale, o dziwo, odebrała po trzech sygnałach.

- Co tam?

- Nie odbierałaś wcześniej...

- Tak, mam swoje życie, wiesz? - wtrąciła zirytowana. - Mogę być zajęta. Coś pilnego?

- Pomyślałem sobie, że może... - Na szybko próbował wymyślić pretekst telefonu. Nie mógł spytać wprost. - Może umówilibyśmy się? Chciałem cię przeprosić. Spotkajmy się w Klapsie lub Karmie, pogadamy, opowiem ci, co się wydarzyło po odpaleniu demo...

- Sorry, Karol, ale nie mam czasu, straszny zajob w robocie mamy przed premierą. Wiesz, marketing, ostatnie szlify i te de.

Łżesz. O co tu, kurwa, chodzi?

- Jasne, jasne, rozumiem - odparł, próbując naprędce wymyślić pretekst do dalszej rozmowy, lecz na nic nie wpadł. - To na razie.

Rozłączyła się bez słowa, a on w głowie miał mętlik. *Okłamywała mnie przez cały ten czas?* Zupełnie nie potrafił znaleźć wytłumaczenia dla zachowania Magdy. Cofnął się do przystanku, usiadł na ławce i wlepił wzrok w dłonie. Drżały. Przełknął ślinę, wziął kilka głębszych oddechów, próbując się uspokoić. *Może od początku była w zмовie z Łukaszem, a ja, głupi, dałem się podpuścić* - nowa myśl dołączyła do parady domysłów, a wraz z nią - złość i wstyd. Ich wspólna noc wydała się niczym innym, jak okrutnym żartem. Zaciśnął pięści i w odruchu podyktowanym tępyim instynktem uderzył z całej siły w wiatę. Staruszka w berecie siedząca obok podskoczyła

przestraszona, a kilka osób stojących przy zatoczce spojrzęło z dezaprobatą na wandalę.

- Wizytówki też nie znalazłaś w biurze, prawda? - mruknął sam do siebie. - Sprzedałaś mi bajkę, a ja łyknęłam jak debil. Skoro Łukasz tak szybko spieprzył z firmy, na pewno miał czas na porządki w biurze.

Nadjechał autobus o numerze 127. Karol wszedł do środka. Nie było wolnych miejsc, stanął więc na środkowym kole. Pojazd ruszył, a pasażerami zabujało.

Wszystko przez ten cholerny casting - pomyślał wściekle.

Wcale nie - odezwał się drugi głos. Karol zadrżał. To przez Gabriela i jego zemstę. To całe bagno nie wylało się dziś, wczoraj ani nawet dwa tygodnie temu. Wszystko ruszyło dużo wcześniej...

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Nowy rok powitał Zabynijcz piękną zimową aurą. Zlodowaciała wierzchnia warstwa półmetrowych zasp pięknie skrzyła się w styczniowym słońcu, wiszącym na bezchmurnym niebie.

Zanim zdążyli powracać do szkół i treningów, Karol z Gabrielem wykorzystywali każdą chwilę, aby poszwendać się po okolicy. O sytuacji sprzed kilku dni nikt nie wspominał.

Przedzierali się między zamrożonymi stawami. Musieli mrużyć oczy, ponieważ śnieg odbijał promienie słońca i oślepiał ich. Cali zgrzani porozpinali kurtki, a za sobą ciągnęli sanki Karola. Pojeżdżali z nasypu kolejowego na Trakcie, przespacerowali się po lesie, dotarli na Zimne Doły, a wracając, wyszli obok stawów.

- Ryby też zamarzają w wodzie? - spytał nagle Gabriel, robiąc z dłoni daszek nad oczami.

- Z tego, co mi tata mówił, to nie - odparł Karol. - Czasami nawet chodzi zimą łowić. Wycina przerębel i siedzi tak kilka godzin, dopóki, jak sam mówi, dupa mu nie odmarznie.

- Wariat - zaśmiał się Gabriel. - A cokolwiek chociaż łapie?

Karol uśmiechnął się pod nosem.

- Mama twierdzi, że w takie zimno złapać można tylko wilka.

Zostawili za sobą stawy i weszli w Czarny Las - półkilometrowy pas ośnieżonych drzew przecięty asfaltową

nitką. Z naprzeciwka wyłonił się nagle czarny mercedes, na którego nie zwrócili uwagi, dopóki nie zwolnił i nie zatrzymał się przy nich.

Szyba się uchylała. Ze środka wychynął zadbany, sumiasty wąs. Przytwierdzony był do okrągłej twarzy z bardzo małym i wąskim nosem, nad którym błyszcząły wesoło czarne oczy.

- Dzień dobry, chłopaki! - przywitał się tubalnym głosem Wawrzyn Pełko, poprawiając dłonią filcowy kaszkiet. - Nie za zimno? Może potrzebujecie podwózki?

- Dzień dobry - odpowiedział Karol. - Nie, nie ma takiej potrzeby, panie sołtysie.

- Oczywiście, oczywiście. - Czarne oczka zamrugały szybko. - Swoją drogą, bo ty jesteś młody Widmowski, prawda? Szczerze gratuluję sukcesu sportowego! Wiesz, że Zagończyk to najstarszy klub w Mazowieckiem?

- Nie wiedzieliśmy, proszę pana.

- A no właśnie, to klub o naprawdę bogatej historii, ale coś czuję - pomachał palcem - coś czuję, że ty nam napiszesz ją od nowa, chłopie. Mieszko! Wyjrzyj mi tutaj!

Przymilny ton sołtysa gwałtownie przeszedł w ryk, od którego Gabriel z Karolem aż podskoczyli. Przyciemniana tylna szyba mercedesa opuściła się i w chłopaków wwierciło się ponure spojrzenie, ukryte pod szopą przetłuszczonych włosów. Dobrze znali ten wzrok. Mieszko Pełko, starszy o trzy lata od nich, okoliczny postrach. Tylko że na tylnej kanapie samochodu swojego ojca nie prezentował się tak groźnie. Wręcz przeciwnie - zdawało się, że jest w sporych tarapatach.

- Widzisz, Mieszko? - Wawrzyn zerknął na syna w lusterku. - Ci chłopcy coś osiągną w życiu, zobaczysz! A ty? Jak się nie weźmiesz w garść, będziesz kończył na komisariacie co tydzień!

- Weź się, ojciec - burknął pod nosem Mieszko.

Wawrzyn momentalnie spurpurowiał na twarzy. Wyglądał jak dorodny pomidor.

- Wezmę się, wezmę - parsknął. - Za ciebie, jak tylko dojedziemy do domu.

Mieszko przewrócił teatralnie oczami i zamknął okno. Na pożegnanie pomachał chłopakom środkowym palcem. Wawrzyn westchnął głęboko raz i drugi, a potem zmusił się do uśmiechu.

- No, tak że trzymajcie się z dala od kłopotów, a trenujcie dalej dzielnie. W tym jest przyszłość!

Ostatnie zdanie zaakcentował palcem wzniesionym ku niebu, niczym rasowy polityk. Pożegnał się i odjechał, a mercedes zakołysał się na oblodzonej drodze.

- Ciekawe, co tam przeskrobał, co? - zagadnął Karol.

- Pytanie, czego to on nie przeskrobał - odparł Gabriel, akcentując ostatnie dwa słowa. - Dobrze, że to jego ostatnie pół roku u nas w szkole. Ostatnio zgasił papierosa na ręce trzecioklasistki.

Karol wybałuszył oczy w niedowierzaniu.

- I nie wywalili go?!

Gabriel pomachał w kierunku, w którym odjechał mercedes Pełki.

- Coś mi się wydaje, że z takim ojcem ma zbyt mocne plecy.

Minęli ośnieżoną białą tabliczkę, na której czarne litery układały się w nazwę miejscowości „Zabynijcz”. Po chwili opuścili las i skręcili w lewo, w Stadionową. Gdy mijali stadion Zagończyka, Gabriel przystanął przed tablicą ogłoszeń. Karol, widząc zainteresowanie przyjaciela, cofnął się i spojrzał na wywieszoną kartkę.

DZIEŃ DOKARMIANIA ZWIERZYNY LEŚNEJ

Kolejna edycja zimowego pikniku organizowanego przez nadleśnictwo Chojnów, gminę Piaseczno oraz

miasto Zabynijcz.

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych 13 lutego o godzinie 12:00 na Zimne Doły w Zabynijczu, gdzie odbędzie się ognisko, zabawy edukacyjne dla najmłodszych oraz wiele innych atrakcji!

- Chodziłem na to z rodzicami - przyznał. - Nic ciekawego.

Gabriel, nie zwracając uwagi na Karola, postukał w tablicę dłonią odzianą w granatową rękawiczkę. Głuchy dźwięk zawisł w powietrzu.

- To jest nasza okazja.

- Jaka okazja? - spytał Karol, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Dla Klubu Białych Zębów.

- Chcesz dopaść Szkodników - westchnął.

- Trzeba ich tylko zwabić na Trakt.

- Tak? I co im wtedy zrobimy? Obrzucimy ich śnieżkami?

Gabriel uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały chłodne.

- Chodź do mnie, coś ci pokażę.

- Do ciebie? Ale że do domu? - zawahał się Karol. - Na pewno? Twój tata nie będzie miał nic przeciwko?

- Nie powinno go jeszcze być. Dawaj, jak będziemy zwlekać, to nie zdążymy.

Dotarli na kraniec Stadionowej, gdzie znajdował się wąski skrót na ulicę Wilczą, tuż obok działki Maślińskich. Pod bramą Gabriel poprosił przyjaciela, żeby poczekał chwilę. Sam zaś wszedł na podwórko, rozglądając się dookoła. Z kieszeni kurtki wyciągnął klucze, otworzył zamek i zniknął za drewnianymi drzwiami. Karol zdążył jedynie przestąpić z nogi na nogę, a Gabriel wychylił się z wnętrza i dał znak, aby wchodził.

W malutkim domu Maślińskich unosiła się intensywna woń drewna. Otrzepli buty ze śniegu, minęli po prawej wąską kuchnię z czystymi blatami i oknem na ulicę. Przeszli do salonu. Karol ze zdziwieniem oraz pewną dozą

nieuzasadnionego wstydu stwierdził, że to pomieszczenie jest mniej więcej takiej wielkości jak jego pokój. Przy ścianie naprzeciwko wejścia stała rozłożona wersalka, na której pod czerwoną narzutą leżała pościel. Z okna po lewej stronie rozciągał się widok na Wilczą i podwórko.

Pomieszczeniu ciepła dodawał jedynie obraz wiszący na ścianie. Karol podszedł bliżej, aby się mu przyjrzeć. Przedstawiał kolorowe miasto z piaskowymi budynkami, położonymi nad błękitem oceanu, który rozbijał się o porośnięte krzewami szare skały. Dzięki zamięłowaniu artysty do detali pod lupą można byłoby dostrzec, co niektórzy mieszkańcy obrazu gotują w swoich pięknych domkach, jakie pranie wywiesili nad ulicami, jakiego koloru oczy mają bawiący się na brzegu dziewczynka i pies .

- Mój dziadek namalował ten obraz - wyjaśnił Gabriel, zrzucając przepocony szalik. - Mama go uwielbia, potrafi siedzieć przed nim i oglądać go godzinami.

- Jest naprawdę piękny - przyznał Karol.

Usłyszał skrzypnięcie starych zawiasów. Z niechęcią oderwał się od obrazu tak bardzo kontrastującego z martwą bielą zabynijczańskiej zimy. Zerknął na przyjaciela, który otwierał szafę wykonaną z ciemnego drewna, misternie zdobioną motywami roślinnymi.

Karol podszedł bliżej. Na nocnej szafce obok kanapy zauważył obramowane fotografie. Jedna przedstawiała młodszego Gabriela wraz z rodzicami na tle niskiej kamieniczki, druga - Ryszarda i nieznaną Karolowi kobietę o ciemnych włosach, ubraną w białą bluzkę i trzymającą na rękach dziecko.

- To siostra taty - wyjaśnił Gabriel. - Mieszka w Słubicach.

- Stamtąd przeprowadziliście się do Zabynijcza? - Ze wstydem uświadomił sobie, że po tych paru miesiącach znajomości nie wie praktycznie nic o przeszłości przyjaciela.

- Tak. - Zawiesił wzrok. - Ale nie powinienem ci o tym mówić.

Karol pokiwał głową, nie naciskając, a Gabriel zamilkł i znikł w szafie, by grzebać między wiszącymi ubraniami. Odgarniał na bok koszule, garnitur, letnie sukienki, dżinsową kurtkę, zieloną żołnierską kurtkę, aż w końcu Karol usłyszał kolejne skrzypnięcie dobywające się z głębi mebla. Zaciekawiony podszedł bliżej, wycierając pot, który zrosił mu czoło.

- Mam. - Stłumiony głos dobył się z szafy.

Gabriel wynurzył się z głębin ubrań, spocony na twarzy. W dłoniach trzymał długi i wąski pakunek. Położył go na łóżku, a gdy uchylił kartonowe wieczko, Karola po karku przebiegł dreszcz.

- Prawdziwa? - spytał szeptem, obserwując, jak jego przyjaciel wyciąga z pudła ciężką strzelbę, mogącą z łatwością zabić zająca, bażanta albo poważnie zranić większe zwierzę: sarnę, a może nawet dzika.

- To taty, pamiątka po dziadku. Zobacz, nawet jest podpisana. - Nachylił ją i Karol mógł dostrzec inskrypcję w metalu: „Pułkownikowi, Koledzy”. - Często z mamą się kłóca o nią. Ona wolałaby nie trzymać broni w domu.

- Twój tata poluje?

- Nie, chyba nie. Myślę, że to raczej dla bezpieczeństwa.

- Coś wam grozi? - spytał, a dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Tata chyba nie oddał pieniędzy ludziom z ostatniej pracy. Dlatego szybko wyjechaliśmy i zamieszkaliśmy tutaj, o co zresztą też się kłóca. Mama mu wyrzuca, że kupił działkę za kradzione pieniądze.

Gabriel nagle spojrzał przestraszony na Karola.

- Ale ty nic nie wiesz, dobrze? Nie powinienem ci tego mówić. Jak tata się dowie...

- Nie dowie się - zapewnił szybko. Wskazał na broń. - I po co ci ta strzelba?

- Postraszymy Szkodników. - Gabriel uśmiechnął się, w oczach zatańczyły ogniki. - Wykorzystamy ten festyn. Wszyscy będą na zabawie, łatwiej będzie przenieść broń. Musimy tylko wymyślić, jak ich zaciągnąć na Trakt...

- Chyba... - Karolowi słowa uwięzły w gardle. - Chyba nie chcesz nikogo zabić?

Oczy - jedno orzechowe, drugie błękitne - wwiercały się w niego. Czasami miał wrażenie, że każde z nich prezentuje zupełnie inną osobowość: złąknioną i przestraszoną oraz irracjonalną, szaloną. W ciągu tych kilku sekund rozprawiły między sobą, co tak naprawdę chcą uczynić.

- Nie. - Gabriel uspokoił przyjaciela. - Oczywiście, że nie. Tylko postraszyć, żeby dali mi święty spokój. Zrobimy to razem?

Wyciągnął strzelbę do Karola, a on za nią złapał. W ostatnie wakacje podczas wyjazdu nad morze codziennie namawiał tatę na wycieczkę do budki strzeleckiej, gdzie do wygrania był Game Boy. Po dwóch tygodniach prób, sporej dawce irytacji i złości w końcu mu się udało - trafił we wszystkie cele, a właściciel budki z uśmiechem podał mu nagrodę, wiedząc, że taniej wyszedłby im zakup konsoli w sklepie. Tamta wiatrówka w porównaniu z tą bronią wydawała się tylko zabawką. Strzelba Ryszarda była dużo cięższa i masywniejsza. Chłód emanował z metalu i przenikał głęboko w dłoń. Zapadła decyzja.

- Jesteśmy w Klubie Białych Zębów - odparł. - Zrobimy, co trzeba.

OBECNIE

Dusił się w mieszkaniu. Pootwierał okna na oścież, lecz nic to nie dało. Nie mógł wysiedzieć w miejscu, kuśtykał od kuchni do balkonu. Przystawał, kiedy już zdawało mu się, że jakaś myśl wskoczyła na odpowiednie tory. W dłoni obracał szklanke wypełnioną wódką i tonikiem.

- Desroches i Magda - mamrotał pod nosem. - Desroches i Magda. Siedzieli w tym razem od samego początku. Wiedzieli, że zainteresuje mnie oferta pracy przy grach komputerowych. Zarzucili wędkę, a ja łyknąłem haczyk.

Wyjrzał przez okno. Ludzie beztrąsko spacerowali, korzystając z pięknej majowej pogody. Karola wkurwiały te wszystkie uśmiechnięte gęby. Odwrócił się i wbił wzrok w swoją koszulkę z debiutu w reprezentacji Polski.

- Cała akcja została skrętnie zaplanowana - mruzczał dalej, popijając drinka. - Ale gdzie w tym wszystkim jest sam Gabriel? Żyjesz, co? A może wręcz przeciwnie? Prawie trzydzieści lat mnie to męczy i wiesz co?! Już mnie to gównie obchodzi! Lepiej mi było bez tego całego tajemniczego objawienia, przynajmniej miałem ojca! Klub Białych Zębów nie przyniósł nic, kurwa, dobrego!

Szklanka rozbiła się z hukiem o ścianę, tuż obok zdjęcia z obozu w Kruklankach, zostawiając mokry rozbryzg i pęknięcie.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Gabriel milczał. Nie mógł odpowiedzieć. Karol wziął kilka głębokich oddechów, usiadł na kanapie.

Sprawiedliwość. Musi chodzić o nią.

Niesprawiedliwe było to, że Gabrielowi nie dano szansy pokazania się poza Zagończykiem. Niesprawiedliwe było to, jak traktowały go Szkodniki. Niesprawiedliwie oskarżono Ryszarda o morderstwo. Niesprawiedliwie musieli uciekać z Zabynijcza. Niesprawiedliwe jest to, że zginął Tadeusz. Ale jeśli miałyby wynieść jedną naukę ze swoich doświadczeń, to taką, że życie niekoniecznie daje i zabiera niekoniecznie w równych proporcjach. Być może w tym wszystkim chodzi o wyrównanie pewnych rachunków.

Upił drinka. Cokolwiek od niego chcieli, wszystko sprowadzało się do Traktu. Musiał tam pojechać.

- Początek i koniec, jakże symbolicznie - zaśmiał się gorzko, wpatrując się w martwy ekran. Widział w nim swoje odbicie: zmęczone, podkrążone oczy, niechlujny kilkudniowy zarost, rozciągniętą czarną koszulkę, napęczniały brzuch i nogi z rozleniwionymi mięśniami. Próbował przypomnieć sobie, jak prezentował się czternaście lat temu. Szerokie barki, nienaganna sylwetka, zadbana fryzura, szeroki uśmiech, który nie odklejał się mu od twarzy. Był na najlepszej drodze na piłkarski Olimp. Po tamtych dniach zostały jedynie wspomnienia i zdjęcia nad kanapą.

Odstawił szklankę. Wstał i podszedł do szafki pod telewizorem. Odsunął jedną z szufladek, zaczął rozcierać stare rachunki, reklamy banków wyciągnięte ze skrzynki, aż w końcu wyjął pomięty numer „Playboya” sprzed kilku lat z jakąś rozneglizowaną gwiazdką jednej sesji. W końcu znalazł to, czego szukał - złożony wycinek z gazety. Wrócił na kanapę i rozwinął znalezisko.

POLSKI MARADONA

Czyli boski pierwiastek autodestrukcji

Jerzy Kidys

Mamy rok 1995. Jako prezent na gwiazdkę Diego Armando Maradona otrzymuje Złotą Piłkę za zasługi w futbolu, a Karol Tadeusz Widmowski w wieku trzynastu lat rozpoczyna swój pierwszy sezon w młodzieżowej drużynie przy ulicy Konwiktorskiej. W tym samym czasie, kiedy Maradona odbiera nagrodę, Widmowski rozpakowuje prezenty, wśród których są nowe korki. Od początku swojej kariery obaj mieli jeden cel - zostać najlepszymi piłkarzami w historii piłki nożnej.

Rok 2004, wrzesień. Widmowski, tak jak się wszyscy spodziewali, rozblęsnął na scenie polskiego futbolu blaskiem godnym argentyńskiego wirtuoza, a boski Diego doznaje zawału serca (ci, którzy znają hedonistyczne zapędy piłkarza, z pewnością nie byli zaskoczeni takim obrotem spraw). Plotkarski świat żyje takimi historiami, a jak wiadomo - im wyżej jesteś, tym mocniej boli upadek.

Za pasem mamy mistrzostwa świata w Niemczech, faza eliminacji wchodzi w kluczowy moment. Widmowskiemu kończy się roczne wypożyczenie w Hamburgerze, do którego odszedł na sezon 2003/04, i jest zdecydowany na powrót do Polski - chce grać jak najwięcej, aby Paweł Janas na pewno powołał go do kadry. I wtedy eksploduje bomba transferowa! Mistrz Niemiec, Werder Brema, wykląda dwa miliony euro za dwudziestotrzylatka z Polski. Polonia wiele się zastanawia, agent Widmowskiego także - transfer zostaje przyklepany, jest podpis, są zdjęcia na ścianie i uściski dłoni. Wielu pukało się w głowę: jak to, nie grał w HSV, a będzie grał u *Deutsche Fußballmeister*?

I o dziwo! Tak się dzieje. Widmowski przebojem wchodzi do składu zespołu z Bremy. Sezon 2004/05 to przełom dla młodego Polaka z miejscowości o wdzięcznej nazwie Zabynijcz. Już nikt nie kwestionuje jego decyzji o transferze, ponieważ przemawia na boisku, ale - niestety - także w wywiadach. Gołym okiem widać, że woda sodowa uderzyła temu młodziakowi do głowy. Porównuje się do najlepszych. Buńczucznie, bez krztyny samokrytyki mówi o swojej przyszłości. Pada pytanie: „Gdzie

widzisz siebie po zakończeniu kariery?”. Widmowski odgarnia burzę jasnych włosów, uśmiecha się szeroko i bez namysłu mówi: „Na piłkarskim tronie, z Pele i Maradoną u boku, to oczywiste”. Pierwsze ziarno autodestrukcji zostało zasiane.

So far, so good. Pierwszy sezon w Werderze nasz bohater kończy sukcesem. Zespół zajmuje trzecie miejsce, Liga Mistrzów jest w jego zasięgu. U boku takich graczy jak Miroslav Klose i Torsten Fring Widmowski staje się lepszym piłkarzem – na liczniku ma pięć bramek oraz osiem asyst. Selekcjoner reprezentacji Biało-Czerwonych dostrzega dobrą formę Widmowskiego i dostaje on swoje pierwsze, wyczekiwane powołanie na dwa mecze – z Serbią oraz Izraelem, rozgrywane w sierpniu 2005 roku.

Ten debiut też można uznać za sukces – Karol Widmowski z numerem dwadzieścia dwa wbiega na boisko w sześćdziesiątej drugiej minucie, gdy Polska remisuje z Serbią 2:2. Widmowski, aspirując do swoich szumnych zapowiedzi, zdobywa bramkę na wagę zwycięstwa i daje Polsce trzy punkty. Trybuny skandują jego imię! Gazety się nad nim rozpyłwiają! W meczu z Izraelem, dwa dni później, Widmowski wybiega w pierwszym składzie. Nie wiadomo, czy zadziałała presja mediów. Janas zarzekał się, że decyzja była podyktowana dobrą grą w pierwszym meczu. Polska znów wygrywa 3:2, a gracz Werderu Brema ponownie jest kluczową postacią – świetna gra, dojrzałe zarządzanie środkiem pola oraz asysta przy drugiej bramce sprawiają, że nagle nikt w Polsce nie wyobraża sobie mistrzostw świata bez Widma.

Tragiczny koniec przyjdzie 4 marca 2006 roku. W międzyczasie w Lidze Mistrzów Werder wychodzi z grupy razem z FC Barceloną. Postronnym kibicom może się zdawać, że losowanie dla Niemców nie było łaskawe, ponieważ w 1/8 fazy pucharowej trafiają na Juventus. Bremeńczycy jednakże wierzą w swój zespół i wierzą w Widmowskiego. Na półmetku sezonu ma już sześć goli i jedenaście asyst we wszystkich rozgrywkach. Widmomania na całego! Do tego, jak się okazuje, wiara i nadzieja czynią cuda, ponieważ w pierwszym meczu z Juventusem Werder wygrywa 3:2, a Widmo znowu jest postacią, która wnosi najwięcej do zespołu. Jest ich duchem, jest ich siłą. Jest świetnym piłkarzem.

To punkt kulminacyjny kariery Karola Widmowskiego, moment tuż przed zderzeniem ze ścianą.

Po genialnym meczu z Juventusem wydaje się, że już nic nie może złamać Werderu. Ale nieszczęścia chodzą parami, o czym kibice mieli się przekonać w nadchodzącym tygodniu. Pierwsza z tragedii to oczywiście kontuzja Karola Widmowskiego, od której zaczyna się degrengolada Polaka. Ostry mecz w Leverkusen, podczas którego Widmowski w środku pola ściera się cały czas z Marcosem, Brazylijczykiem z niemieckim paszportem, znanym z wybuchowego temperamentu. I kiedy to jakiś bezczelny gówniarz robi z doświadczonym graczem co tylko dusza zapragnie, pokazując swą boiskową arogancję, Marcos nie wytrzymuje. Bardzo brutalnie i ostro atakuje nogę Polaka i łamię ją jak zapałkę. To koniec. Widmowskiego znoszą na noszach, na jego twarzy malują się szok, niedowierzanie i panika.

Ta kontuzja załamuje Werder, który bez swojego najlepszego gracza trzy dni później rozgrywa rewanż w Lidze Mistrzów. Bremeńczycy nie unoszą ciężaru presji. Ostatecznie to Juventus wygrywa 2:1 i odrabia straty z pierwszego meczu. Zaś cztery dni po porażce z Włochami Werder ponosi najwyższą porażkę w sezonie – przegrywa 0:3 z Herthą Berlin.

Tyle o piłce, skupmy się teraz na dalszych losach Karola Widmowskiego. Widmo, wbrew powszechnej opinii, którą sam rozdmuchiwał, MÓGŁ wrócić do uprawiania zawodowego futbolu. Tak, to nie literówka ani błąd w druku, tylko informacja zdobyta z zaufanego źródła. Ten uroczy blondyn karmił nas smutnymi historyjkami o swojej tragedii, o złamanym życiu, o opuszczonych mistrzostwach świata, na których Polska ostatecznie nic nie ugrała. Po mistrzowsku lawirował między naszymi uczuciami, grał na emocjach, strzelał zawsze w punkt, robiąc z siebie ofiarę. Później, także zwalając to wszystko na karb kontuzji, tłumaczył się ze swoich ekscesów – tysiące euro wydawane na imprezy, narkotyki, alkohol, prostytutki. Wszystko to w akompaniamencie lamentów nad swoją niedolą.

Kiedy zaś kranik z euro się zakręcił – Werder honorowo pomagał swojemu graczowi podczas rekonwalescencji, lecz z ulgą odciął się od Widmowskiego po zakończeniu umowy – Karol wrócił do

Polski. Piłkarz, który został człowiekiem. Pojawiał się w kilku programach niskiego lotu, czasami zaproszono go do studia telewizyjnego jako eksperta. Udzielił łązawego wywiadu do brukowca. Jednak coraz więcej pytań zadawano mu o odwyk (na którym był), o problemy z alkoholem (które ma do tej pory), a on coraz częściej wybuchał agresją niczym naburmuszona gwiazdeczka. Po incydencie na Woronicza, kiedy to dotkliwie pobił jednego z redaktorów TVP (nazwiska nie przytoczę), ostatecznie zakończyły się jego wycieczki do studia.

To wszystko działo się w latach 2006-2012. Teraz zaś, trzy lata później, chcę spytać: Gdzie jesteś, panie Karolu? Gdzie ta pewność siebie i samouwielbienie? Pele patrzyłby z politowaniem. Maradona może zaprosiłby na imprezę. W końcu ten sam sort, tylko że Argentyńczyk, zanim się stoczył, najpierw stworzył piłkarską legendę. Karol Widmowski zaś podążył wydeptanym przez Maradonę śladem autodestrukcji. Może inaczej patrzylibyśmy na naszego rodaka, gdyby zamiast uzalać się nad sobą, wrócił na salę rehabilitacyjną i walczył o powrót do zdrowia. Mistrzostwa w Niemczech nie były ostatnią tego typu imprezą. Dwa lata później odbyło się Euro, potem znowu powtórka MŚ. Być może nikt Widmowskiemu nie powiedział, że to imprezy cykliczne i świat się na nich nie kończy?

Albo tak się zapatrzył w siebie, że nie był w stanie tego dostrzec.

Karol odłożył artykuł. Pamiętał, jak wściekły był, kiedy go opublikowano. Wrzeszczał na lewo i prawo, że pozwie Kidysa, że pozwie gazetę. Wtedy to Grzyb szybko mu wybił wszystko z głowy.

Coś go tknęło. Wrócił do tekstu i zaraz znalazł fragment, który go interesował.

„Z zaufanego źródła dowiedziałem się...”

- Co za skurwieli... - wyszeptał do siebie. Elementy układanki, której nie mógł ułożyć od lat, wskoczyły wreszcie na swoje miejsce. Kiedy artykuł wyszedł, zastanawiał się, jak ten marny dziennikarzyna dotarł do takich informacji. Wówczas nie

sądził, że Maciej Grzybicki mógłby zerować na jego nieszczęściu. Być może wyczuł, że nie podpisze z nim kolejnego kontraktu, że kura przestała znosić złote jaja. Poszedł więc do „Wyborczej” i postanowił znaleźć nowe źródło dochodu. Wyjaśniło się, dlaczego nalegał, aby nie pozywali gazety. Pewnie mieli taki układ.

- Kurwa! Cholerny krwio pijca, pieprzony karierowicz...

Jeśli wcześniej zastanawiał się, czy informować Grzyba o swoim ostatnim odkryciu, teraz nie miał już wątpliwości. Nie chciał już nigdy mieć nic do czynienia z tą gnidą. Usiadł na kanapie i w tym momencie zamigotał ekran leżącego obok smartfona.

[Yush_Byegne]: Elo, to jak. Wpadasz wieczorem?

Karol rozejrzał się po brudnym mieszkaniu, zatrzymał wzrok na zmiętym artykule, spojrział na zepsutą konsolę. Co go tutaj trzymało?

[Vidmo1981]: Tak, przyjdę, a co tam. 20?

[Yush_Byegne]: Elegancko :D. To weź kup jakieś piwo po drodze, ja nie dam rady wyskoczyć do monopola, niestety.

[Yush_Byegne]: Krasickiego 22, trafisz, w tym samym domu jest tajskie SPA.

[Vidmo1981]: Oho, willowy Mokotów? Nie mówiłeś, że jesteś bogaty z domu :p.

[Vidmo1981]: Muszę tylko po drodze zahaczyć o Gierymskiego, ale stamtąd to całkiem blisko.

[Yush_Byegne]: Aa, spieprzaj. Dobra, to czekam o 20, do zoba.

[Vidmo1981]: Do zobaczenia.

Zerknął na wyświetlacz; dochodziła piąta, miał więc sporo czasu. Odetchnął kilka razy na uspokojenie nerwów. Odwiedziny na Gierymskiego wpadły mu do głowy podczas rozmowy z Yusem. Być może ta wizyta rzuci trochę światła na ostatnie sytuacje - nieszczerłość Magdy zakłuła go bardziej, niż chciał to przed sobą przyznać.

Wyszedł przed blok i skręcił w kierunku Kasprowicza. Gdy znalazł się przed spożywczo-monopolowym, wahał się tylko przez chwilę. Wszedł do środka i kupił ciwartkę pomarańczówki. Chwilę później stanął mało dyskretnie pod chropowatą ścianą sklepu. Opróżnił butelkę na trzy łyki. Kojące ciepło rozlało się w żołądku. Wyrzucił szkło z brzękiem do kosza i już miał ruszyć w kierunku metra, kiedy doznał niejasnego *déjà vu*. Rozejrzał się, próbując zrozumieć, skąd się bierze to przecucie. I dlaczego razem z nim ogarnął go niepokój?

Czy chodziło o tych podrostków w czarnych bluzach, z nerkami przewieszonymi przez ramię, rechoczących typowo dla osiedlowych lokalsów - upośledzonym, krótkim i niepotrzebnie głośnym śmiechem?

A może o któryś z samochodów stojących na parkingu skrytym pod drzewami? Ubłocony jeep, czerwona i pordzewiała nubira daewoo, czarne i masywne bmw x5, nowiutki biały golf VII - wszystkie na warszawskich rejestracjach; WI, WX, WE.

Stał tak dobrych parę chwil i szukał tego osobistego *glitcha* w Matrixie, ale cały czas w równaniu była niewiadoma.

Ostatecznie Karol pogodził się z myślą, że nie odkryje źródła anomalii, i ruszył w kierunku metra.

TYMCZASEM

Maciej Grzybicki wyszedł na taras apartamentu. Na szklanym stoliku położył szarą, cienką teczkę i rozejrzał się po okolicy. Dochodziła szósta, a na Puławskiej panowały niepodzielnie korki. Nawet z ostatniego piętra bloku słyszał warkot maszyn i krótkie, urywane sygnały klaksonów. Obrócił się i aż syknął; przykuśtykał na taras bez kuli, a po starciu z Karolem kolano nadal dawało się we znaki. Wychylił się przez barierkę, spoglądając w przepaść Doliny Służewieckiej. W oddali zieleń się Kopa Cwila, do połowy zasłonięta niskimi budynkami, pod blokiem park budził się do życia, a wszystko to przecięte było na pół produkującą smog rzeką pojazdów.

Usiadł na plecionym krześle i z teczki wyciągnął macbooka. Musiał przejrzeć w imieniu swoich klientów proponowane umowy. Zbliżało się okienko transferowe i trzeba było mocno się spiąć. Pobyt w szpitalu – krótki, bo krótki, ale zawsze – oraz cała afera z Gabrielem w tle zaangażowały Macieja bardziej, niż powinny. Otworzył pierwszego maila z warunkami, jakie zaproponował Lech Poznań jednemu z obiecujących juniorów. Przejrzał szybko plik, zmarszczył brwi. I że to niby ma być prowizja dla agenta? Wolne żarty. Skrzywił się, aż zabolęła go twarz, co przypomniało mu znów o Karolu.

Znał go od nastolatka i darzył sympatią większą, niż to zwykle bywa w relacjach agent – piłkarz. Był jego pierwszym

klientem, lecz także kimś więcej - podopiecznym. Przeprowadził go przez Zabynijcz, pomagał stawiać kroki w Polonii, a potem walczył o jego dalszy rozwój za zachodnią granicą. Co tu dużo mówić; tak się zaangażował, że nauczył się nawet niemieckiego, co już wykracza dalece poza kompetencje agenta piłkarskiego.

Mniej więcej rok przed kontuzją Widmowskiego zaczął budować relacje z kilkoma piłkarzami. Miał dwóch młodzików w Monachium i we Frankfurcie, a także reprezentował interesy jednego z polskich „emerytów”, który na tym etapie nie pograł już w niczym ambitnym - odszedł do ligi cypryjskiej - ale za to Maciej pokazał się z nim kilka razy na ścianie „Przeglądu Sportowego”. Dlatego też kiedy przyszła ta feralna minuta w Leverkusen, zdjął go blady strach; w pierwszej chwili o karierę przyjaciela, a w drugiej - o swoją. Wtedy dojrzał jako agent; zero sentymentów, zaangażowanie emocjonalne w granicach rozsądku, w końcu on też musi na tym coś wycisnąć, mieszkanie samo się nie opłaci. Tak też tłumaczył sobie, kiedy w szpitalu w Leverkusen dopadł go dziennikarz „Bilda”. Za dwieście euro wpuścił go ukradkiem na salę. Jedno zdjęcie, bez flesza, dziennikarz poszedł bez słowa, a Grzyb został z pieniędzmi w kieszeni. Podobnie się usprawiedliwiał, kiedy spotkał się w hotelowej restauracji Marriotta razem z Jerzym Kidysem, a ten podał mu czek opiewający na kwotę wielokrotnie wyższą...

Z rozważań wyrwała go piosenka The Beatles, która wydobywała się z kieszeni lnianych spodni.

„Hey Jude, don't make it bad. Take a sad song and make it better...”

- Halo? - Odebrał, choć chętnie posłuchałby jeszcze Paula McCartneya.

- Dzień dobry, z tej strony Marek Walicki. Może pan teraz rozmawiać?

- Jasne, oczywiście, co tam, Marku, słyhać?

- W sprawie dochodzenia dzwonię. W gruncie rzeczy to nie powinienem, ale wtedy na stypie...

- Prosiłem cię, abyś przekazywał, co wiesz, żeby Karolowi nie męczyć głowy. Zgadza się - wszedł mu w słowo Maciej. Odchylił się na krzesło, aż plecionka zaskrzypiała. - I co tam masz?

- Przy rybich stawach odkryliśmy, że...

- Zaraz, zaraz - przerwał zdezorientowany. - Przy stawach? To o którym śledztwie mówimy?

- O obu - odparł Walicki. - Już tłumaczę. Przy miejscu zbrodni, tam gdzie znaleziono zwłoki Czarka, widoczne były ślady opon. Dostałem wyniki badań traseologicznych i zgadzają się nasze przypuszczenia. Ciało musiało zostać przywiezione volkswagenem Jasły. Tylko że...

- No? - ponaglił Maciej.

- Obok znaleźliśmy też inne ślady. Nie ustaliliśmy jeszcze marki, ale najprawdopodobniej był to spory samochód, pewnie SUV. Raczej niewiele jeździ takich pojazdów w okolicy Zabyniczka, a więc tym bardziej zwróciło to uwagę techników, bo identyczne ślady znaleziono pod domem Widmowskich.

- Słucham? - Maciej prawie zachłysnął się własną śliną. - Wtedy gdy...?

- Dokładnie tak - przytaknął. - Tej nocy, kiedy podpalono dom, a Tadeusz zginął. Mamy podejrzenia, że te sprawy mogą się łączyć. Jeszcze nie do końca wiem jak, ale jakby mógł pan przekazać Karolowi, żeby na siebie uważał. Nie wiadomo, z kim mamy do czynienia.

- Jasne, jasne, przekażę, dziękuję ci bardzo za telefon.

Chwilę zajęło mu przetrwanie informacji, a potem zaklął soczyście pod nosem. Szybko wybrał numer do Widmowskiego i

bębniąc palcami o blat stolika, czekał. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Poczta głosowa.

- Kurwa!

Spróbował jeszcze dwa razy. Kiedy Karol nie odebrał, zadzwonił do Marka. Możliwe, że będzie potrzebować jego pomocy.

OBECNIE

Karol z premedytacją zignorował kolejne połączenia od Grzyba i schował telefon do kieszeni. Zajął miejsce na tyłach autobusu linii 522, który czekał na odjazd przy metrze Politechnika. Wlepił wzrok w okno i obserwował ruchliwą ulicę Waryńskiego. Na minutę przed odjazdem do autobusu wpadło jak burza dwóch pasażerów. Najpierw wleciały „kurwy” i „chuje” rzucające na lewo i prawo, potem dopiero białe koszulki, czapki z daszkiem i ogorzałe twarze mężczyzn.

- ...no i mówię ci, kurwa, tak mi tę gałę w kiblu opierdała, że prawie z żółędzią połknęła.

- O stary, najgorzej. To gdzie ty ją poznałeś?

- No w Lustrach, a gdzie? Ostatnio z ziomami po robocie tam się jebaliśmy. Dobry sztos był.

- I ty się dziwisz? Przecież ona wyćpana w kosmos pewnie była...

Karol odetchnął z ulgą, bo usadowili się na menelskiej kanapie - jak nazywał ostatnie trzy miejsca w autobusach. Zerknął na rozkład jazdy - Plac Unii Lubelskiej, Spacerowa i Dolna. Trzy przystanki do wyjścia.

- W ogóle - odezwał się znów jeden z mężczyzn. - Rozkminiliśmy dobry patent na tych, co zrywają wlepy.

Pakujesz pod spód żyłkę, o tak, a gdy taki cwaniak próbuje ją zerwać, to rozpiardala sobie na niej palce.

- Ty, Warga, dobre, dobre. Taka, kurwa, finezja. Sam na to wpadłeś?

- No wiesz, trochę tak, trochę nie...

Karol przestał słuchać Wargi i jego kolegi, chociaż było to trudne, bo ich donośne głosy niosły się na cały autobus. Zwracali na siebie uwagę wszystkich pasażerów, którzy gniewnie się odwracali, gotowi skarcić łobuzów - robiły to zwłaszcza starsze panie. Jednak kiedy ich zobaczyli, wszyscy, bez wyjątku, stwierdzili, że wcale nie mają ochoty naprawiać tego, co spartaczyli do spółki rodzice i oświata.

Autobus ruszył z przystanku spod placu Unii Lubelskiej, minął po lewej nowoczesną galerię. Im bliżej było do Gierymskiego, tym więcej wątpliwości dopadało Karola. Nie wiedział, o co ma spytać Magdę. Dlaczego go oszukała? Dlaczego nie powiedziała, że zwolniła się razem z Łukaszem? A może coś ich łączy? I co z tym wszystkim on, Karol Widmowski, ma wspólnego?

Może to jakaś spółka zajmująca się szantażami i wymuszeniami? - zastanawiał się, obserwując, jak korek, w którym utknął autobus, porusza się w dół ku skrzyżowaniu Gagarina z Belwederską. *Tylko że nie padły żadne liczby, zero żądań. Jak dotąd jedynie podchody prowadzące donikąd.*

Chociaż nie. Teraz wszystko prowadzi mnie na Trakt.

Pisk hamulców, szum otwieranych drzwi, dźwięk kasowanych biletów. Spacerowa.

Ale co złego może mnie na nim spotkać? Zastrzeli mnie ktoś z nasypu? Być może. Tylko że gdyby ktoś chciał mnie zabić, mógłby to zrobić wszędzie. Potrącić mnie samochodem, włamać się do domu. Nie. - Podniósł głowę i zgrzytnął zębami. *Wszystko, co się dzieje, jest osobiste. Klub Białych Zębów, Gabriel, śmierć Czarka, zaginięcie Bartka. O to cię zapytam,*

Magdo. Skąd ta prywatna wycieczka w moim kierunku? I lepiej, żebyś nie miała nic wspólnego ze śmiercią mojego ojca...

Wibracje telefonu przerwały te rozmyślania. Zirytowany wyciągnął go, sądząc, że to Maciej wciąż się dobija, lecz była to wiadomość od Yusha.

[Yush_Byegne]: Siemson, i jak? Podbijasz? Nie wiem czy mam zamawiać pizze tylko dla siebie:p.

[Vidmo1981]: Tak jak gadaliśmy, wpadnę.

[Yush_Byegne]: Oke

[Yush_Byegne]: To do zoba!

Autobus wyrwał się z korka, wjechał na buspas i za chwilę zatrzymał się przy Dolnej. Karol wstał z jękiem, bo noga mu zdrętwiała. Zakolebało nim, więc w drzwiach wpadł przypadkiem na kolegę Wargi. Nim zdążyli zareagować, burknął „sorry” i wyszedł na przystanek, a oni razem z nim. Cofnął się kawałek, minął kwaciarnię i skręcił w lewo obok kiosku, w Gierymskiego. Z głosów wywnioskował, że Wargi i kolega podążają za nim. Nie spodobało mu się, że gdy weszli między bloki, ich głosy zbliżyły się, a na plecach niemal czuł świdrujące spojrzenia. Miał ochotę podrapać się po karku, ale się opanował.

- Co to za typ? Kojarzysz go?

- Nie wiem, nigdy go nie widziałem na ośce...

- Ej, ty! Nie przeprosiłeś mojego kolegi! - Okrzyk Wargi był ewidentnie skierowany do Karola, który zaklął pod nosem.

- Co tam pierdolisz, hę? - warknął ten drugi, zastawiając mu drogę. Miał pewnie jakieś dwadzieścia dwa lata, a zaniedbany wygląd - napuchnięta twarz, przekrwione oczy, strupy na policzkach od zbyt tępej maszynki do golenia - sugerował, że sporą część swojej życiowej edukacji zdobył na blokach. Może

nawet miał jakieś certyfikaty potwierdzające osiągnięcie najwyższego szczebla osiedlowej prawidłowości.

- Nic - odparł Karol, czując, że podnosi się w nim ciśnienie.

- Zajmuję się swoimi sprawami, wam też tak radzę.

Ominął mężczyznę, a tamten zawył dziko, ni to z radości, ni z oburzenia.

- Słyszałeś, Warga? Gość nam coś radzi! Śmiech na sali, jego mać!

- Mój kolega spytał grzecznie, co tam pierdolisz, może zatrzymasz się i z nami pogadasz?

Karol poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię i próbuje obrócić w swoją stronę. Zaczynało być głośno, ludzie idący z naprzeciwka chodnikiem schodzili na drugą stronę ulicy. Wlepiali wzrok w telefony, podgłaśniali muzykę w słuchawkach, wpatrywali się w ogródki pod oknami bloków. Do skoku ciśnienia doszła irytacja.

- Was pierdołę, jednego z drugim - warknął. - Nie macie nic lepszego do roboty?

Ledwo doszedł do krańca bloku, kiedy to Warga i jego kumpel ponownie go zatrzymali, obaj z bojowymi minami.

- Słuchaj, nie będzie mi tu jakiś pedał wyjeżdżać z takimi tekstami - wycharczał Warga.

- Nie na naszym osiedlu, kurwio - dodał drugi i splunął na podkreślenie wagi swoich słów.

Widząc w ich oczach upór, szybko przeanalizował swoje szanse. Był dużo wyższy od obu, ale dwóch na jednego to cały czas dwóch na jednego. Poza tym, jeśli tylko jeden z nich będzie miał motylka, scyzoryk, cokolwiek... Zrobi się nieciekawie.

- Dobra, chyba źle zaczęliśmy - zmienił ton. Obok nich przejechało czarne bmw. - Idę odwiedzić znajomą, tak? Wasze osiedle, okej, szanuję. Nie zabawię tu długo.

- O, jakaś fajna? - zaciekawiał się Warg. Młasnął obleśnie i pomasował się po kroczu. - Też bym się zabawił.

- No, ja też bym pociupciał co nieco...

W Karolu coś pękło. Wykorzystał rozbawienie, jakie zapanowało w ich szeregach, chwycił tego z czerwonymi oczami za koszulkę i klasyczną „bańką”, która nie miała prawa spudłować, zmiażdżył mu nos. Warg krzyknął krótko, zaskoczony obrotem sytuacji. Nie mógł się zdecydować, czy zbierać kumpla, uciekać, czy też rzucić się na Karola.

Nim zrobił cokolwiek, czarne bmw, które przed chwilą ich minęło, z impetem wjechało na chodnik tuż za nimi, potrącając z hukiem metalowy kosz na śmieci. Zza kierownicy wypadł sporych gabarytów mężczyzna w kominiarce, cały ubrany na czarno. Podbiegł do Karola i Wargi. W jednej dłoni trzymał pistolet wymierzony w ich stronę, w drugiej - policyjną odznakę.

- Spokój, kurwa, na glebę, ale już!

Warg założył ręce za głowę i posłusznie padł na chodnik.

- A ty ze mną, raz, raz!

Lufa pistoletu mierzyła teraz prosto w Karola, cały świat ograniczył się do tego widoku. Powoli wstał z klęczek, na które zdążył opaść.

- Do samochodu, ale już! - Zamaskowany drab wykręcił mu boleśnie ramiona, założył ciasno metalowe kajdanki i popchnął w kierunku auta, w którym otworzył się bagażnik. Pomimo całego szoku i niedowierzania Karol zauważył, że pojazd nie ma jakiegokolwiek oznakowania ani nawet rejestracji.

Zamaskowany drab wcisnął go brutalnie do bagażnika, który od tylnej kanapy oddzielony był metalową kratą. Zdezorientowany i coraz bardziej zdenerwowany nagłą sytuacją, podniósł się, aby wyrazić swój sprzeciw. I wtedy dostrzegł, że na fotelu pasażera siedzi Mieszko Pełko i w oczach ma taką samą dezorientację.

- Mieszko? Co do chuja...?

Tyle zdążyło paść z ust Karola, zanim Duch znokautował go celnym uderzeniem kolbą w tył głowy, a potem zatrzęsął klapę bagażnika. Usiadł za kierownicą, nie ściągnąwszy kominiarki, i wyjechał z piskiem opon na ulicę Sobieskiego w kierunku Wilanowa.

TYMCZASEM

- ...*Every monkey like to be in my place instead of me 'cos I'm the king of Bongo, baby I'm the king of Bongo Bong...*

Norbert Terkowski nucił pod nosem kawałek Manu Chao i dopalał skręta w oknie z widokiem na ulicę Krasickiego. Była za kwadrans dziewiąta. Pojedyncze samochody mieszkańców powoli dojeżdżały do posiadłości, chodnikiem spacerował grubas w dresie, a obok niego dreptał śnieżnobiały terier. Odkąd Norbert złamał nogę, do grania w *Pitch Legends* i palenia zielska dodał jeszcze jedną rozrywkę - obserwowanie ludzi. Ten gość spod dziesiątki wychodził na spacer z psem tylko po to, żeby wypalić pięć szlugów z rzędu. Ciekawe, kiedy serce odmówi mu posłuszeństwa.

Zgasił niedopałek o parapet i wyrzucił go między tuje na podwórku. Zamknął okno i stukając gipsem o podłogę, dotarł do ogromnej kanapy umiejscowionej tuż przed sześćdziesięciocalowym telewizorem. Przetarł oczy, sięgnął po telefon. Nic. Nadal zero wiadomości od Vidma.

- Dziwne - powiedział sam do siebie, żeby przerwać ciszę. - Powinien już być.

Wybrał numer telefonu, z którego dostał wiadomość z wizytówką, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Wzruszył więc ramionami, chwycił pada i przeskoczył między kafelkami

w menu konsoli. *RDR2*, *Pitch Legends*, *Far Cry 5*, *Mortal Kombat XI*, nieśmiertelne *GTA V*. Nie miał ochoty odpalić żadnej z tych pozycji, a dodatkowo zaczynał brać go *lemon haze*, którego przed chwilą tak łąpczywie wypalił. Nie znał podejścia swojego wirtualnego kolegi do lekkich używek, więc wolał nie ryzykować i uraczyć się skrętem zawczasu.

- Chuj, dupa i kamieni kupa - podsumował. Już miał sięgnąć po telefon, aby przejrzeć w sieci najnowsze informacje, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Jest i on. Wreszcie - mruknął, wstając z kanapy.

Wpuścił gościa przez furtkę, odczekał chwilę, aż dotrze do drzwi, i przekręcił zamek.

- No siemano, w końcu... A, dzień dobry panu.

- Dzień dobry, ja z pizzą. Pan Norbert?

- Zgadza się.

- Dwie duże pepperoni na podwójnym serze, razem siedemdziesiąt pięć złotych.

- Sekundkę... - Norbert chwilę szamotał się z kieszenią, aż w końcu wyciągnął z niej portfel. - Proszę, reszty nie trzeba.

- Dziękuję bardzo - odparł dostawca, patrząc na stułotowy banknot. - Do widzenia.

- Do widzenia.

Zamknął drzwi, poczekał, aż mężczyzna opuści teren posiadłości, i zaniósł pizzę do salonu. Odetchnął głęboko. Zawsze uważał, że relacje międzyludzkie po jaraniu powinny stać się dyscypliną olimpijską. Otworzył pudełko, a wtedy aromat sera i pepperoni uniósł się w powietrzu.

- No i gdzie jesteś, panie Vidmo? - rzucił pytanie w eter, a że nie doczekał się odpowiedzi, włączył telewizję. Sam się sobie dziwił, dlaczego jeszcze nie namówił starszych, żeby zrezygnowali z telewizji satelitarnej, skoro mają Netflix i HBO GO. Bez sensu, kasa w błoto. Zastanawiał się nad tą kwestią i

przeskakiwał z kanału na kanał, kiedy zatrzymał się na wiadomościach w TVN24. Na żółtym pasku płynęła wiadomość: „Karol Widmowski (39 l.) porwany przez niezidentyfikowanych sprawców”.

- ...do porwania doszło na ulicy Gierymskiego, do tej pory nie udało się ustalić tożsamości sprawcy. Policja poszukuje świadków zdarzenia, a także apeluje o udzielenie każdej informacji, która mogłaby pomóc w ujęciu sprawców. Jeszcze raz prezentujemy państwu fragment nagrania...

Jedna z kamer monitoringu miejskiego częściowo złapała moment porwania i ucieczkę bmw x5.

- Karol Widmowski jest byłym reprezentantem Polski w piłce nożnej, w swojej karierze grał w Polonii Warszawa, HSV oraz Werderze Brema. Karierę zakończył po tragicznym złamaniu nogi...

Norbert oderwał się od pizzy i skupił się na tym, co słyszał w telewizji.

- Ponadto ostatnio w wyniku podpalenia domu rodzinnego zginął ojciec piłkarza, Tadeusz Widmowski. Policja nie wyklucza, że te sprawy mogą się łączyć...

Coś przeskoczyło na zwojach mózgowych Norberta. Skojarzenie, które nagle eskalowało.

- Fuck - rzucił z szeroko otwartymi oczami. Trzęsącymi się dłońmi sięgnął po telefon i wszedł w aplikację PlayStation. Przejrzał ostatnie wiadomości od Vidma.

- „Muszę tylko po drodze zahaczyć o Gierymskiego...” - przeczytał szeptem. Przewinął wcześniejszą korespondencję. - Cholera!

„Mój ojciec zmarł...”, „Kiedys też miałem połamaną nogę, bardzo poważnie, byłem przyspawany do mieszkania”.

- Ja cię kręcę, to byłeś ty? - mruknął, szukając w Internecie informacji o Karolu Widmowskim. - To z tobą grałem? Cholera,

cholera...

Gorączkowo przeszukiwał sieć, chłonąc nowe informacje o internetowym przyjacielu, aż w końcu trafił na artykuł sprzed paru lat. Gdy przeczytał tytuł, zagryzł boleśnie wargi, ponieważ trafił na znajome nazwisko.

„Maciej Grzybicki, agent Karola Widmowskiego, odmawia komentarzy! Kryje swojego podopiecznego?”

OBECNIE

Szum. Fale obijające się o piaszczystą plażę i kołyszące do snu? Uwierzyłyby, gdyby nie pulsujący ból z tyłu głowy oraz jakaś głęboko zakorzeniona świadomość, że nie powinien teraz spać.

Bmw przejechało przez wyrwę tak głęboką, że mocno nim zabujało.

To nie był szum morza, lecz kół jadących po asfalcie. Karol otworzył oczy. Dookoła widział jedynie ciemność. Spróbował się poruszyć. Ból z czaszki od razu rozlał się po całym ciele, najdotkliwiej rezonując w skutych nadgarstkach oraz nodze. Pełna świadomość wróciła wraz z głośnym jękiem. Podniósł się i oparł o klapę bagażnika.

- O, obudził się - odezwał się porywacz. Poprawił lusterko, przy którym wisiała absurdałna kartonowa wisienka. Spojrzał wprost na pojmanego. Nie miał już na głowie kominiarki, w świetle deski rozdzielczej błysnęły oczy, w których czaiła się nieprzyjemna obojętność. Zero emocji, na których można by zagrać.

- Gdzie... Kim jesteś? - wybełkotał z trudem Karol. Język miał suchy jak kołek.

- To absolutnie nie ma znaczenia. Prawda, Mieszko? Nie przywitasz się z kumplem?

Odwrócił głowę tak, by spojrzeć na fotel obok oprycha. A więc *nie pomyliłem się* - pomyślał, widząc pasażera wtulającego się w drzwi. Wychudzoną, przepitą, zarośniętą twarzą Pełki co rusz targały konwulsje.

- Czego... chcesz? - spytał Mieszka.

Pijak spojrział na niego przerażonym wzrokiem.

- Ja? Nic, nic, Karol, kurwa, wiesz, naprawdę ja nic, to wszystko ojciec, ja bym nigdy...

- Dość!

Zbir zdzielił go po twarzy. Nacisnął gwałtownie hamulce i skręcili z asfaltu w boczną ścieżkę prowadzącą do lasu. Przejechali kilkanaście metrów po szutrowej drodze i się zatrzymali. Jedynym oświetlonym punktem była kapliczka z Matką Boską. Oprych odpiął pasy i wskazał palcem na Pełkę.

- Wsiadasz.

- Co?! Ale... jak to, Duch? I co mam zrobić?

- Wsiadasz - powtórzył, w ogóle nie podnosząc głosu, lecz Karolowi włosy zjeżyły się na głowie.

Mieszko zaczął pociągać nosem. Tulił się do drzwi, a jego żałosny wygląd budziłyby litość, gdyby w wozie znajdował się ktoś, kto byłby w stanie teraz ją odczuwać.

- Proszę, ja... Nie chcę... Nie tak jak Czarek...

Duch zaśmiał się krótko.

- Myślisz, że mam cię kropnąć? Chyba kpisz - prychnął z obrzydzeniem. - Nie wozilibym takiego brudasza w moim aucie. Zabiłbym cię od razu, gdybym miał takie polecenie. Niestety, wychodzisz.

- I dokąd? - Mieszko zadygotał na całym ciele. - Co mam zrobić?

- Szczerze? Powieś się na drzewie. W innym przypadku polecam Bieszczady. Albo zachodnią granicę. O ile uda ci się do

niej dotrzeć, zanim cię złapią. Pamiętaj! – Pogroził mu palcem.
– Jesteś ścigany za morderstwo. No, a teraz wypierdalaj.

Rozdygotany i bliski zawału Mieszko otworzył z ociąganiem drzwi. Duch westchnął przeciągle, sięgnął przez fotele i wypchnął go na zewnątrz, jakby był szmacianą lalką.

– I zamknij drzwi za sobą!

Wstał z ziemi, cały w błocie, anemicznym ruchem wykonał polecenie. Duch wrzucił wsteczny. W świetle reflektorów Karol ujrzał jeszcze, jak Mieszko obejmuje się ramionami pod kapliczką. A potem zawrócili i miał go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Wyjechali na asfalt. Karol próbował rozpoznać elementy krajobrazu za oknem, ale ze swojej perspektywy widział tylko pnie drzew.

– Co będzie ze mną? – Pytanie ledwo mu przeszło przez spuchnięte gardło.

Oczy w lusterku odwróciły się od drogi i zatrzymały na pasażerze w okratowanym bagażniku.

– To już nie ode mnie zależy.

Podróż wlokła się niemiłosiernie. Nie był w stanie powiedzieć, jak długo jadą. Duch nie odezwał się już ani słowem, a Karol nie miał ochoty wyciągnąć czegokolwiek więcej od zbira. Spuścił wzrok na gumową wycieraczkę, starając się nie myśleć o kajdankach, które boleśnie wrzynały się mu w nadgarstki. Pozostawało czekać i zaciskać zęby.

W końcu nawierzchnia się zmieniła. Kiedy wjechali na wyboistą drogę, Karol w końcu mógł odwrócić uwagę od drętwiejących ramion i skupił się na lekkim kołysaniu pojazdu. Kontrolował oddech, żeby nie wpaść w panikę, która już pukała do drzwi jego umysłu.

Wyjrzał przez szybę. Zniknęły drzewa, widział tylko bezchmurne niebo, na którym jaśniała połówka księżycy, i

drogę przecinającą odległy las. Wóz gwałtownie skręcił, zjechali na polną ścieżkę. Księżycowe odbłaski zamigotały na powierzchni wody. Karol zagryzł wargę, domyślał się, dokąd dojeżdżają.

Bmw zwalniało na coraz większych wybojach, aż w końcu się zatrzymało. Duch opuścił wóz, otworzył bagażnik. Chwycił porwanego za ramiona, wyciągnął go i brutalnie rzucił na leśną ściółkę.

- Dojechaliśmy, wszelkie uwagi proszę zgłaszać do PKP. - Zaśmiał się ze swojego żartu. Ścisnął Karola za podbródek i obrócił mu głowę w lewo. Ten przez załzawione oczy dostrzegł wzgórze, a na nim starą, drewnianą chatę z żółtym światłem sączącym się przez okna.

- Widzisz to, kolego? Tam czeka dalszy etap rozrywek. Wstawaj!

Pociągnął go za kajdanki. Karol krzyknął i posłusznie dźwignął się na nogi. Czuł, że cały drży. Patrząc na mroczny dom pośrodku lasu, zdał sobie sprawę z kruchości swojego życia. Wszystko miało się skończyć tutaj? W tym miejscu? Tak po prostu?

Lecz gorsza była nadzieja, że wszystko się ułoży. Postraszą go, wypuszczą, może odda im wszystkie pieniądze, sprzeda mieszkanie. Wszystko będzie dobrze.

Może.

Może to taka głupia gra. Może Gabriel powita go na miejscu, może rozkują go, może wszędzie będą balony. Jak na spotkaniu po latach - z przytupem i dreszczykiem emocji, podobnym do tego, który towarzyszył im na Trakcie, gdy widzieli się po raz ostatni.

Duch zapukał do drzwi leśniczówki, a kiedy te otworzyły się ze zgrzytem, żółte światło z gołej żarówki wiszącej nad okrągłym stołem zmusiło Karola do mrużenia oczu. Kiedy już przywykły do jasności, dostrzegł, że jedno z trzech krzeseł przy

stole zajmował związany obdartus w brudnym futrze i mokrych spodniach. Jego broda była niesamowicie brudna i polepiona resztkami jedzenia, a tłuste włosy brzydko się skołtuniły. Z ust ściekała mu strużka śliny, a nieprzytomnym wzrokiem wodził po suficie. Mimo to wydawał się Karolowi dziwnie znajomy...

- W końcu dotarłeś. Jakże się cieszę. Nie widziałam cię od jakiegoś czasu, prawda?

Zamarł. Spojrzał w kąt, gdzie nie padało światło żarówki. Ze skrzyni wstała postać odziana w luźne džinsy i zmechacony golf, na który zarzuciła bundeswerkę. Włosy związane w kucyk podkreślały owal twarzy i zwracały uwagę na przyduży nos.

Magda Migalska podeszła bardzo blisko do Karola.

W jednej chwili poczuł, jak cała nadzieja rozpada się na kawałki.

Zamrugła. Brązowe i niebieskie oko obserwowało go z niekrytą satysfakcją.

- Porozmawiamy?

Wskazała na wolne krzesło. I nie była to prośba.

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Tego dnia obudził się z gorączką. Lamentował i uzalał się nad sobą, ale gdy przyszedł Tadeusz i marszcząc brwi spytał, czy nie będzie lepiej, jeśli odpuści festyn, stanowczo zaprzeczył.

- No to złaż na śniadanie.

Wszystko mieli zaplanowane od początku do końca. Nie mógł zawieść Gabriela. Impreza zaczynała się o trzynastej. Koło jedenastej mieli spotkać się przy ulicy Dzikiego Boru, aby udać się na Trakt i schować strzelbę, która będzie czekać na Szkodników, których Karol zwabi w trakcie festynu. Wtedy to Gabriel wyskoczy zza nasypu i napędzi im takiego stracha, że ten dzień zapamiętają do końca życia. Plan tak prosty, że aż niemożliwe, by się nie powiódł.

Karol z jękiem zwłókł się z łóżka i w piżamie poczłapał do kuchni na parterze. Tadeusz gotował owsiankę, a Julia ziewała nad kubkiem z parującą kawą.

- Która godzina? - spytał Karol.

- Dziewiąta, synek - odparł Tadeusz. - Siadaj, zjesz coś ciepłego. Zaraz ci też herbaty z malinami zrobię.

- Dzięki. - Pociągnął nosem.

Julia spojrzała krzywo na syna.

- Chyba nie chcesz iść taki zasmarkany na ten głupi festyn? Na zewnątrz jest z minus piętnaście.

- Mamo, ja muszę, no.

- Słyszysz - wtrącił Tadeusz. - On musi.

- Ale nie wolałbyś zostać w domu? Będziesz mógł grać na Game Boyu ile dusza zapagnie, pod kołderką, z czymś ciepłym do picia...

Odsunął krzesło i siadł do stołu, a po chwili miał przed sobą miskę aromatycznej owsianki z miodem i suszonymi owocami. Musiał przyznać, że kusilo go, by spędzić dzień właśnie w taki sposób, ale nie mógł się wycofać, nie teraz.

- Nie jest tak źle. - Znów zasmarkał. - Później poleżę.

- No dobrze. - Julia westchnęła. - Ale nie siedź tam długo, bo rozłożysz się nam do końca!

- Nie będę - obiecał.

Kiedy zjedli, Tadeusz poszedł majsterkować do garażu, a Julia zebrała brudne naczynia i wstawiła je do zlewu. Karol wykapał się, poleżał chwilę przed telewizorem i zaczął się szykować do wyjścia, kiedy w pokoju zjawiała się Julia.

- Masz, połknij to - poleciała, wręczając synowi białą pastylkę. Kiedy to zrobił, podała mu szklankę wody, a on wypił wszystko. - Uważaj tam na siebie, dobrze?

- Dobrze, mamo.

- No, to leć i baw się. - Zmusiła się do uśmiechu. - I nie wróć późno.

Dopiero wiele lat później uświadomił sobie, że Julia miała wtedy złe przeczucia. Do głosu doszedł ten niezawodny, matczyzny instykt, który każe zatrzymać swoje pociechy w bezpiecznym domu, a Karol przez lata zadręczał się pytaniem, co by było, gdyby tego dnia faktycznie pozostał w łóżku.

Pogoda postanowiła nie zakłócać festynu z okazji Dnia Dokarmiania Zwierzyny Leśnej. Po słonecznym niebie tylko czasem przepływała chmura. Karol ledwo wydostał się z w

miarę odśnieżonej Polnej, a kilkanaście minut później walczył z zadyszką przy domu państwa Bańków. Wsparł ręce na kolanach i złapał oddech przed dalszą częścią wyprawy. Pozostało przedrzeć się przez pas zasypanego śniegiem pola, z którego wystawały pojedyncze badyle, delikatnie kołyszące się na wietrze.

Przyłożył nad oczy dłoń skrytą w czarnej rękawicze, zmrużył powieki i zbadał linię lasu. Zdało mu się, że w cieniu jednego z drzew dostrzegł ruch. Być może to Gabriel schował się za pnem sosny, bo nie chciał stać na otwartej przestrzeni.

Naciągnął mocniej czapkę, poprawił szalik i wszedł w pas zabynijczańskiej ziemi niczyjej. Gdy patrzył pod nogi, światło tańczące na powierzchni śniegu oślepiało go, lecz zupełnie mu to nie przeszkadzało. Wyobrażał sobie, że jest odkrywcą na obcej planecie. Penetruje właśnie nowe tereny w poszukiwaniu miejsca na dogodną bazę wypadową dla reszty ekipy badawczej. Z każdym krokiem oddala się od Ziemi, nowy świat wciąga go coraz głębiej. Starał się pozostać w tej fantazji ile się da, aby odegnąć rzeczywistość.

- Tutaj! Ej!

Karol podniósł wzrok. Zamrugał energicznie, aby przegonić mroczki sprzed oczu. Wszedł między drzewa, rozejrzał się. Pod jedną z rosnących sosen siedział oparty o pień Gabriel i ścisnął długi pakunek.

Przełknął nerwowo ślinę. Postanowione. W głębi ducha liczył na to, że przyjaciel się rozmyśli.

- Cześć.

- Nikt cię nie śledził? - Gabriel rozejrzał się rozbieganym wzrokiem. Oddychał niespokojnie. - Nikt nie wie, że tu jesteś?

- Nikt, spokojnie - odparł Karol i włożył dłonie w kieszenie kurtki. - A ciebie?

- Wyszedłem już dwie godziny temu. Akurat rodziców nie było, wyjechali na zakupy.

- Co? Dwie godziny tu marzniesz?

- Nie ma tragedii, mam to.

Gabriel wyciągnął spod kurtki metalowy termos i wręczył go przyjacielowi. Karol z powątpiewaniem odkręcił korek i aż go wykrzywiło, gdy powąchał zawartość.

- Cholera! Gabe, co to jest?

- Herbata i trochę wódki dolałem - odparł ściszym głosem.

- Oszalałeś?

- Dobrze rozgrzewa, a nie wlałem dużo, tylko ciut-ciut. Rodzice tak czasem piją. Pomyślałem, że może się nam dziś przydać. Spróbuj.

To wszystko coraz mniej podobało się Karolowi. Kiedy jednak patrzył na minę Gabriela, wiedział, że już nie może zrezygnować. Nalał brązowego płynu do korka i wypił wszystko na raz. Ciepło natychmiast rozlało się po ciele, ale od piekącej w gardle goryczy rozkaszał się okropnie.

- Ouee, ale to jest paskudne.

- Nie da się ukryć - przyznał Gabriel. - Idziemy?

Karol wzruszył ramionami i podał dłoń przyjacielowi, by ten mógł dźwignąć się z ziemi.

Ruszyli na Trakt. W lesie leżało zdecydowanie mniej śniegu, lecz i tak zdążyli się zasapać. Na twarzach pojawiły się rumieńce od wysiłku i alkoholu, szaliki poszły w odstawkę. Karol ze zdziwieniem odkrył, że lekko zakręciło się mu w głowie, ale było to całkiem przyjemne uczucie. Po kilkunastominutowej wędrówce zobaczyli stare torowisko i nasyp, który choć nie mierzył więcej niż piętnaście metrów, to cały pokryty śniegiem stanowił twierdzą niemal nie do zdobycia.

- To jaki mamy plan dalej? - spytał Karol.

- Musimy to schować. - Gabriel potrząsnął pudłem. - Na górze będzie najbezpieczniej, tak myślę.

Zacisnęli zęby i po chwili odpoczynku wspięli się na górkę. Ostrożnie doszli do jej krawędzi, skąd roztaczał się widok na torowisko poniżej. Gabriel rozglądał się w poszukiwaniu odpowiedniej kryjówki. W końcu podszedł do jednej z cienkich sosen, która rosła tuż nad brzegiem. Wsunął pakunek w śnieg i porządnie zasypał. Karol zerwał jedną z iglastych gałęzi i przykrył nią broń. Obejrzeliby krytycznie swoje dzieło.

- Nic się jej nie stanie? - spytał Karol.

- To znaczy?

- No, czy nie przemoknie, nie wiem, nie znam się na strzelbach.

- Ani ja. Ale chyba nie powinno.

- Okej. To ustalmy resztę planu.

Usiedli na brzegu góry, Gabriel wyciągnął termos. Nalał trochę płynu i podał go przyjacielowi, który tym razem tylko lekko zakasłał. Szum w głowie narastał, ale nie na tyle, aby zagłuszyć wątpliwości związane z ich pomysłem.

- Więc tak - zaczął poważnie Gabriel. - Idziemy na festyn. Pokręcimy się tam godzinę, dwie. Czekamy, aż pojawią się Szkodniki...

- A jak nie przyjdą? - wtrącił Karol.

- To byłby ich szczęśliwy dzień. Ale będą. Podśledzałem ostatnio na treningu, jak głądzili o festynie. Zastanawiali się głośno, czy będzie też koryto dla Marka Walickiego, bo sam wygląda jak dorodny knur.

Karol parsknął śmiechem, ale zaraz się zreflektował.

- Dobra, czyli się pojawią. Potem ja ich zagaduję i zwabiam tutaj.

- Wymyśliłeś, jak to zrobić? - Gabriel obgryzał skórki przy paznokciach. - W końcu też nie jesteś ich najlepszym kumplem.

Pójdą za tobą?

- To ich skusi. - Uśmiechnął się, potrząsając kubkiem z alkoholem. - Przecież są takimi buntownikami.

- Spoko, dobry pomysł. - Gabriel drapał się policzku, układając resztę planu w głowie. - Kiedy ich przyprowadzisz, ja z bronią w rękach zejdem na torowisko i...

- ...i nastraszymy ich za wszystkie czasy. Ruszamy?

- Tak, idziemy. - Zakręcił termos. Po chwili wahania schował go obok broni, a potem zeszli z górki.

Dotarli na Zimne Doły. Na sąsiadującym z polaną parkingiem nie zostało chyba ani jedno wolne miejsce. Na imprezę zjechało sporo osób nie tylko z Zabyniczka, ale także z pobliskich miejscowości. Było głośno i hucznie. Paliły się już ogniska i przenośne grille, rozdawano pierwsze kiełbaski w zestawie z kromką chleba. Dzieciaki, młodsze od Karola i Gabriela, biegały dookoła rozstawionych karmników.

Gabriel wyciągał szyję, rozglądając się dookoła.

- Widzisz ich gdzieś?

- Nie. Ale widzę Huberta i Tomka.

Obok drewnianego hektagonu ich współlokatorzy z obozu w Krukłankach zajadali się kiełbaskami.

Karol zaklął pod nosem.

- Co robimy?

- Chowamy się, zanim nas zobaczą, szybko! - odparł bez namysłu Gabriel.

Ukryli się za jedną z wiat, a gdy ich koledzy zniknęli z zasięgu wzroku, przenieśli się kawałek dalej od centrum wydarzeń i z ukrycia wyglądali Szkodników. Z każdą upływającą minutą towarzyszące im zdenerwowanie narastało. Karol, dla rozluźnienia atmosfery, próbował pogadać o ostatnim odcinku *Siedmiu życzeń*, ale rozmowa niezbyt się im kleiła.

Rozległ się aplauz. Wawrzyn Pełko zaczął swoją przemowę, ale do chłopców docierało co drugie słowo. Karol jednym uchem słuchał, jak sołtys przedstawia policjanta o wyłupiastych oczach, inspektora Mieczysława Rajsę oraz chwali się, że z własnych pieniędzy na wiosnę sfinansuje budowę nowej leśniczówki.

Karol poczuł szturchnięcie w żebra. Obejrzał się na z wyrzutem Gabriela, a ten wskazał palcem w kierunku innej z wiat, gdzie pojawiły się znajome postacie.

- Szkodniki - szepnął Gabriel, mrużąc oczy.

- Tak mi się wydaje - odparł Karol. - To jak to robimy?

- Nie wiem. Poczekajmy jeszcze chwilę.

Zbiegowisko się przerzedziło, każdy zajął się sobą, więc zeskoczyli z ławki i wmieszali się między ludzi. Przechodząc obok wiaty, upewnili się, że w środku faktycznie siedzą Bartek, Kuba i Czarek. Grali w karty, głośno się przy tym śmiejąc. Klub Białych Zębów przeszedł na drugą stronę polany, aby mieć na oku swój cel.

- Jesteś pewien, że za tobą pójda? - Gabriel nerwowo zerkał na Szkodników. Na policzkach pojawiły mu się czerwone placki.

- Muszą. Innego wyjścia nie mamy...

- Karol! Tu jesteś! Mogę cię prosić na chwilę? - Wawrzyn Pełko jedną ręką zapraszał go ojcowskim gestem, drugą upychał pierśówkę za pazuchę. Obok niego stał inspektor Rajs.

- Idź, idź. - Gabriel nie oderwał wzroku od Szkodników. - Popilnuję ich.

Karol skinął głową i niechętnie podszedł do sołtysa.

- Patrz, Mietku, oto nasza zabynijczańska nadzieja! Futbolista z krwi i kości, Polonia go wypatrzyła, z naszego Zagończyka wyciągnęli...

- No, no, powinszować. Na jakiej pozycji grasz, synu? - Rajs miał miękki, ciepły głos, który w ogóle nie pasował do jego

wyłupiastych oczu. Miało się wrażenie, że są ciągle napięte od jakiegoś wewnętrznego krzyku.

- Jestem pomocnikiem, proszę pana - odparł Karol.

- A ulubiony piłkarz?

- Myślę, że Maradona, Platini, van Basten...

- Nie, nie - zaśmiał się ochryple Rajs. - Z polskich, synu, w Polsce jesteśmy, a nie za granicą. Cudze chwałą, swego nie znają.

Karol poczuł, że się czerwieni.

- Boniek, Deyna, Terlecki? Mówią ci coś te nazwiska? - ciągnął policjant, a chłopak poczuł się jak na przesłuchaniu.

- Tak, proszę pana...

- To jest właśnie kwiat naszej młodzieży - palnął Pełko. - Nie to co mój Mieszko.

- Już chyba z tuzin razy urwisa wyciągałem z komendy, a on wciąż niepełnoletni przecież - zauważył Rajs.

- Oj tak, nawet nie wiem, jak będę mógł się odwdzięczyć, Mietku...

Karol miał już dość tej rozmowy. Chciał to jakoś przekazać Gabrielowi, ale wtedy zmarł. Jego przyjaciel zniknął. Spojrzał na wiatę, gdzie jeszcze przed chwilą siedziały Szkodniki. Pusta.

- Przepraszam najmocniej, muszę uciekać - wybełkotał i odwrócił się na pięcie. Nie obchodziło go, co sobie o nim pomyślą sołtys i inspektor.

Dlaczego poszedłeś beze mnie, do cholery

Gabriel przyglądał się Karolowi, dopóki w powietrzu nie rozniósł się donośny głos:

- ...Futbolista z krwi i kości...

Niewidzialna ręka ścisnęła mu serce, żołądek podjechał do gardła. Karol zapewniał go, że prosił w nowym klubie, aby i jego ściągnęli, lecz nic to nie dało. Wierzył przyjacielowi, lecz

gdy tylko przypominał sobie o utraconej szansie, robiło się mu przykro.

Przetarł nos wierzchem rękawiczki i spojrział w stronę wiaty. Pusto. Szkodniki zmierzały już w stronę parkingu. Gabrielowi zrobiło się gorąco. Ich cele uciekały. Już miał krzyknąć do Karola, ale ten dalej rozmawiał z sołtysem i policjantem. Alkohol krążący w żyłach i paląca zazdrość przyspieszyły decyzję.

- Pieprzyć go - rzucił pod nosem i ruszył za Szkodnikami jak drapieżnik na polowaniu. Przebiegł przez parking.

To i tak zawsze byli moi wrogowie. Karol tego nie rozumie. To nie jego wyklinają, nie jego biją. To nie jemu plują w twarz i obrażają rodzinę, nie jego szkalują!

Zatrzymał się przy wyjeździe, czuł, jak rośnie w nim wściekłość, jak się gotuje. Wódka dodatkowo obudziła w nim pokłady odwagi, o jakie nawet się wcześniej nie posądzał. Wyrzwał zza drewnianej barierki parkingu. Bartek głośno się śmiał i rzucał śniegiem w Kubę. Czarek biegał dookoła i wydawał indiańskie odgłosy.

Gabriel się zawahał. Jeśli wyjdzie teraz na odsłoniętą, zaśnieżoną trasę, dostrzegą go natychmiast. I może być nieprzyjemnie.

Los jednak mu sprzyjał. Kilkanaście metrów dalej skręcili w wąską, ledwo wydeptaną w puchu ścieżkę, tak jak zrobiłby każdy rozsądny mieszkaniec Zabynijcza bez samochodu - weszli na skrót. Na Trakt.

Gabriel uśmiechnął się pod nosem. Wszystko szło po jego myśli. *I to bez pomocy Karola!* - odpowiedział głosik w jego głowie. *Wszystko zrobię sam. Tak samo jak sam cierpię.*

Kiedy Szkodniki znikły między pniami sosen, Gabriel wyszedł ze swojej kryjówki. Nie musiał być tuż za nimi. I tak dobrze wiedział, dokąd idą. Przyspieszył kroku.

Im dalej w Czarny Las, tym większe emocje mu się udzielały. Oddech przyspieszył, mięśnie w nogach odmawiały posłuszeństwa od szybkiego marszu w głębokich zaspach. Do tego nad lasem zbierały się szare chmury śniegowe, gęste jak wata cukrowa. W każdej chwili mogły zesłać na głowy kolejne tony śniegu. W tym momencie był to jednak najmniejszy problem.

Nadal nie widział nikogo przed sobą, lecz echo niesło się lasem. Poczuł pod stopami stare torowisko, a teren po jego lewej zaczął się delikatnie wznosić. Z naprzeciwka, spod nasypu, dochodziły go krzyki. Szkodniki były dokładnie tam, gdzie miały być.

- Uważaj, kretynie! Miałeś kamień w tej śnieżce - krzyczał Kuba.

- Wiem, bo go tam wsadziłem, nie bądź cipą! - Bartek wyśmiał kolegę.

- Taa, jeszcze trochę i popłaczesz się, do mamusi polecisz, tak jak ta piczka, Gabriel - dodał Czarek.

- Do takiej mamusi to sam bym poleciał - zarechotał Czekał.

Krew uderzyła do głowy Gabrielowi, serce przyspieszyło rytm. *Idioti bezczelni, paskudne debile. Zaraz zobaczymy, kto będzie srał w gacie ze strachu!*

Pochylił się, krew szumiała w uszach. Skradał się między drzewami, omijał bezlistne krzewy. Cały czas wlepiął wzrok w przepychających się Szkodników. Musiał dostać się na nasyp, a tam przy sośnie czeka już na niego strzelba. Gdy tylko ją chwyci, wszystko będzie na swoim miejscu...

Będąc już na krawędzi skarpy, stanął na oblodzonej ziemi i z głuchym jękiem obsunął się w śnieg.

- Co to było? - Bartek obejrzał się za siebie, mrużąc powieki.

- Patrzcie, patrzcie! Kogo nam tu przywiało! - zawołał radośnie Czarek.

- Nasz Gabryś, moi drodzy, ktoś się zgubił w lesie, oj, oj - zawtórował im Kuba.

Widział, jak nadchodzą, widział ich uśmiechy, pełne sadystycznej radości. Wiedział, że znalazł się na przegranej pozycji. Zaczął dygotać ze strachu. Krzyki na nic się nie zdadzą, rozplyną się między drzewami, zanim dotrą do kogokolwiek.

- Co tu porabiasz? Szukasz mamy? A może swojego przyjaciela, Karolka, hm? - Kuba sięgnął po śnieg i zaczął formować kulę.

Bartek pochylił się nad swoją ofiarą.

- Nie ma tu nikogo, więc może w końcu zmyjemy ci z twarzy trochę tego brudu. Łapcie go za nogi! - zaordynował, a potem wymierzył Gabrielowi kopniaka w zębra.

Chłopca aż zamroczyło i zaczął się wić z bólu. Czarek chwycił go za kostki i przeciągnął na torowisko. Gabriel próbował wierzgać, wyrwać się, ale kolejne kopnięcie odwiodło go od dalszych prób. Leżał na plecach, oddychając szybko, dookoła głowy miał warstwę śniegu, która zawężyła mu pole widzenia. Ogarniała go klaustrofobia, która się spotęgowała, kiedy Bartek przygwoździł mu ręce, Czarek - nogi, a Kuba siadł na nim okrakiem i zaczął wcierać boleśnie zimny śnieg w twarz. Krzyczał, serce waliło jak opętane.

- Weź go ucisz - rozkazał Bartek. - Zatkaj mu ten ryj!

Od razu poczuł bolesny uścisk na szczękach. Kuba mu je rozwarł, a potem wcisnął do gardła garść śniegu. Gabrielowi oczy stanęły w ślup. To już nie była głupia zabawa Szkodników, tylko walka o życiodajny oddech. Śnieg topił się i spływał zimnymi strugami do gardła, do płuc.

Nie chciał tak skończyć, nie chciał umrzeć w ten sposób...

Karol pędził przez zasypane nogi. Tracił oddech, uda paliły go żywym ogniem, ale nie zwalniał. Nie chciał, aby Gabrielowi stała się jakaś krzywda. Nie chciał też, aby jego

przyjaciela poniosło. W głowie miał dziesiątki czarnych scenariuszy.

Na Trakt dobiegł w chwili, gdy Szkodniki otoczyły Gabriela i zaczęły go szturchać. Karol bez zbędnego namysłu wbiegł na nasyp i odkopał strzelbę. Gdy drżącymi dłońmi wyciągał ją z pudełka, zdawało mu się, że waży chyba tonę. Nie dbał o to, czy w środku są naboje. Chciał jedynie zwrócić na siebie uwagę i dać przyjacielowi chwilę na ucieczkę.

Stanął za drzewem, naciągnął szalik na twarz i wychylił się z bronią. Nikt nie patrzył w jego kierunku, co dawało mu pewną przewagę. Bartek i Czarek trzymali Gabriela, a Kuba nacierał go śniegiem. Karol nabrał powietrza w płuca, aby zawyc dziko i skupić na sobie ich uwagę, ale wtedy, zupełnie bez powodu, Bartek spojrział na szczyt nasypu. Widmowskiego coś chwyciło za gardło, przestraszył się i zrobił krok w tył. To go zgubiło. Poślizgnął się na pokrowcu strzelby, a palec odruchowo zacisnął się na spuście.

Wystrzał, nagły i głośny, przerwał męki Gabriela.

Poczuł, że kończyny znów ma wolne. Jedynie Kuba cały czas siedział na nim.

Kiedy Gabrielowi wróciła świadomość, wyczołgał się spod Frankowskiego, podniósł się i zwymiotował śniegiem, herbatą i wódką. Gardło bolało, płuca paliły, ale oddychał. Żył.

Obrócił głowę. W miejscu, gdzie jeszcze przed momentem trwała kaźń, nie było nikogo. Tylko Kuba leżał nieruchomo w puszystej bieli, a dookoła jego głowy rozkwitała szkarłatna plama, znacząc warstwę śniegu niczym nieuleczalna choroba.

Ze łzami w oczach, bo zrozumiał, co się stało, podniósł wzrok, na nasyp. Tam w śniegu leżał Karol i trzymał dymiącą jeszcze strzelbę.

OBECNIE

O blaszany dach leśniczówki zaczęły uderzać pierwsze krople deszczu. Brzmiało to tak, jakby niewprawny muzyk próbował odegrać rytmiczny utwór, lecz za każdym razem przypadkiem wprowadzał nowy dźwięk. Za zatłuszczonymi oknami widać było jedynie gęstą, nieprzeniknioną ciemność. Do świtu wciąż było daleko.

Karol opadł na wolne krzesło. I tak nie ustałby dłużej; nogi miał jak z waty. Bezdomny obok niego śmierdział nieznośnie. Karol spojrzał na niego kątem oka. Dostrzegł, że w pozlepianej brodzie poruszył się jakiś insekt, co w połączeniu z intensywnym odorem przyprawiło go o odruch wymiotny.

Kobieta usiadła na krześle naprzeciwko, nonszalancko założyła nogę na nogę i posłała uśmiech więźniom. Karol wciąż nie dowierzał, że porywaczka o oczach Gabriela, z wypiekami na twarzy i dzikością w oczach, a jednocześnie ze stonowaną mową ciała, to Magda Migalska.

Spojrzał ponad jej ramieniem. W półcieniu przy ścianie schował się Duch. W dłoni trzymał pistolet, dając do zrozumienia, że żadna próba ucieczki nie skończy się dobrze. Karol westchnął głęboko i skupił się na kobiecie. Cisza się przeciągała. Zrozumiał, że to Magda czeka na jego ruch.

- Dlaczego tu jestem? - Podjął się gry, której zasad jeszcze nie poznał.

Cmoknęła i pokręciła głową, niezadowolona z pytania.

- Bo chciałam, abyś się tutaj znalazł - odparła beztrąsko.

- Chcesz mi wmówić, że miałaś dokładnie taki plan?

- Nie. - Przekrzywiła figlarnie głowę. - To był tylko jeden ze scenariuszy. Nie sądziłam, że odezwiesz się do mnie pierwszy. Ale twoje maślane spojrzenie w AEGamez potwierdziło, że myślisz kutasem, jak na faceta przystało. To wiele ułatwiło, nie sądzisz?

Postanowił zmienić taktykę.

- O co chodzi z twoimi oczami? Bawisz się w przebieranki? Nie jesteś na to za duża?

Posłała mu przerażająco czarujący uśmiech. Przełknęła ślinę.

- Przebieranki? Już grałam przed tobą. Na pewno przyznasz, że jestem cudowną aktorką. - Wysunęła język i oblizała wargi. Powoli i dokładnie. - Nie, nie. Koniec udawania. Jesteśmy w końcowym akcie tego dramatu. A te oczy to taka rodzinna przypadłość.

- Wody, proszę, wody... - wycharczał zapuszczony mężczyzna.

Magda nagle jakby przypomniała sobie o jego istnieniu.

- Przecież was sobie nie przedstawiłam! - Ucieszyła się, wstając z krzesła. Podeszła do nich od tyłu, poklepała obu po ramionach. - Karolu, to Bartek. Bartku, to Karol.

Otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i spojrzał w twarz bezdomnego. Przyjrzał się odstającym uszom, głęboko osadzonym, szarym oczom. Czy to mógł być Bartek?

Ten z kolei nie miał takich wątpliwości, poznał Karola od razu. Rozbiegane oczy najpierw skupiły się z wysiłkiem na nowej twarzy, a potem dały sygnał reszcie ciała, które poderwało się z krzesła.

- To on! To on! To on! To on...! - krzyczał i wił się konwulsyjnie, dopóki oprych nie chwycił go za sztywne z brudu futro. Uspokoił go mocnym uderzeniem w twarz. Karol z niesmakiem stwierdził, że menel, który kiedyś był Bartkiem, popuścił w spodnie. Kwaśny odór moczu drażnił jego nozdrza.

Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce.

- Bartek nigdy nie wyjechał do pracy - szepnął. - Ile już go tutaj przetrzymujecie? Czarek o tym wiedział?

- O, dobrze, że wspominasz - przyznała Magda. - Cezary Jasło. Musimy wyłożyć wszystkie karty na stół, zanim zobaczysz pełen obraz. Tylko czy najpierw pomożesz mi wyjaśnić pewną nieścisłość?

Spojrzała na Widmowskiego, a ten spłoszył się pod jej ciężkim spojrzeniem. Wyciągnęła telefon i przeczytała notkę biograficzną z Wikipedii:

- „Karol Widmowski, urodzony siódmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku w Warszawie. Środkowy pomocnik, były reprezentant Polski. Zawodową karierę rozpoczął...” - urwała, przewinęła resztę tekstu, zmarszczyła brwi. - No właśnie, wciąż nie widzę. Jest wszystko o klubach, statystykach z boiska, o kontuzji i ekscesach po zakończeniu kariery. O! - rozpromieniła się. - Jest już nawet aktualizacja o pogrzebie twojego ojca. Lecz nigdzie nie ma informacji o tym, że jesteś mordercą.

Zmroziło go. Ostatnie zdanie było niczym siarczysty policzek, wymierzony zupełnie z zaskoczenia. Niemal poczuł ciężkość strzelby i zimowy chłód przejmujący ciało od stóp do głów.

- Słucham?

- Dlaczego. Nie. Ma. Tam. Informacji. O. Morderstwie - powtórzyła wolno. - W końcu to ty zabiłeś Jakuba Frankowskiego, prawda?

Spojrzał prawdzie w oczy: Magda wiedziała o wszystkim, nie było sensu dalej kłamać.

- Nie chciałem go zabić. To był wypadek! Gdyby nie ja, Gabriel by zginął.

- Tego nie wiesz - odparła. Uśmiech zniknął bezpowrotnie. - Ale twój bohaterski czyn rozpoczął lawinę zdarzeń, która spowodowała dużo więcej szkód, niżby ci się zdawało.

Wstała z krzesła. Podeszła do komody. Wyciągnęła coś ze środka, zamknęła ją i wróciła do stołu, na który z trzaskiem rzuciła wypłowiały album.

- Pić, pić, proszę. Duchy, pić...

- Otwórz - rozkazała, zupełnie ignorując lamentey Bartka.

Drżącymi rękoma przysunął bliżej album i przewrócił okładkę. Na wypłowiałej fotografii widział uśmiechniętą kobietę z ciemnymi, kręconymi włosami. Ubrana w białą koszulę, trzymała niemowlę owinięte w kocyk w kwieciste wzory. Pod zdjęciem widniał podpis wykonany okrągłym pismem: „Z Magdaleną, 28 lutego 1985, Słubice”.

- Niech cię nie zmyli jednolity kolor oczu - pośpieszyła z wyjaśnieniami. - Heterochromia iridum może ustabilizować się nawet dopiero w okolicy trzeciego roku życia. U mnie się pojawiła, gdy miałam niecałe pół roku. Dalej, dalej, no już - ponagliła.

Przerzucił stronę i zawiesił wzrok na kolejnej fotografii. Znow ta sama kobieta, ale ubrana w ciemną koszulę z bufiastymi rękawami. Obok stał mężczyzna w garniturze, o mocnej szczęce, ulizanych włosach i żelaznym spojrzeniu. Lekko się uśmiechał, można by powiedzieć, że nieśmiało, i trzymał na rękach niemowlę, już widocznie większe niż na poprzednim zdjęciu.

Mrugał i przyglądał się fotografii, będąc pewnym, że już kiedyś miał okazję ją widzieć. Dopiero spojrzenie na podpis odświeżyło mu pamięć: „Z Ryszardem, maj '85, Słubice”.

Identyczne zdjęcie stało na komodzie w domu Maślińskich.

Magda uśmiechała się w tym momencie tak, że trudno byłoby nie dostrzec podobieństwa do Ryszarda Maślińskiego.

- Ryszarda na pewno kojarzysz. A ta osoba - postukała palcem fotografię - to Elżbieta Korc, z domu Migalska. Jego siostra.

Poczuł się tak, jakby dostał obuchem przez głowę. Kilka razy otwierał usta jak ryba próbująca złapać oddech poza wodą, lecz nie wydobywały się z nich żadne dźwięki. Ostatecznie zaczął dalej wertować album. Pierwsze urodziny Magdy, na których była cała rodzina Maślińskich - zjawiskowa Ewa, Ryszard ze swoim skąpym uśmiechem oraz pięcioletni brzdąc, w którym rozpoznał Gabriela. Ścisnął drobną stópkę solenizantki, którą tuliła do piersi rozpromieniona Elżbieta. Wspólne wakacje nad Bałtykiem („Pierwsza kąpiel Magdy, Jastarnia, 23 lipca 1988”), urlopy w Beskidzie („Magda i Gabriel budują tamę, Rabka-Zdrój, 16 sierpnia 1989”). Magda w za dużej białej koszuli, w czarnej spódnicy, wpatrująca się gdzieś w dal ze szkolnej ławki („Pierwszy dzień szkoły, 2 września 1991, Słubice”). Karol przeglądał w milczeniu kolejne strony. Obserwował obrazy z życia swojej porywaczki, aż dotarł do ostatniego zdjęcia. Gabriel w zielonym, zmechaconym swetrze i jasnoniebieskich džinsach stoi na baczność i trzyma opiekuńczo rękę na ramieniu Magdy. Ona ma włosy związane w dwa kucyki i nerwowo przygryza kciuk. Zerknął na podpis: „Wigilia Bożego Narodzenia, 1992, Słubice”.

- To nasze ostatnie wspólne zdjęcie - odezwała się. - Niecały miesiąc później Ryszardowi wszystko się posypało i musieli uciekać.

- Co się stało? - spytał Karol.

- Nic dobrego - odparła zdawkowo. - Myślisz, że inaczej trzymałby broń w domu? Ot tak, dla zabawy?

Magda wstała od stołu. Sięgnęła po leżącą na komodzie paczkę marlboro i wyciągnęła jednego papierosa. Obracała go w palcach, chodząc po leśniczówce. Ciszę przerywało jedynie rytmiczne stukanie obcasów.

Karol rozejrzał się ukradkiem po pomieszczeniu, aby znaleźć coś, co mogłoby mu pomóc w ucieczce. Puste komody, rozbite lustro, w kącie zniszczony, wyleżany materac z ciemną plamą pośrodku. Wolał się nie zastanawiać, co to może być. Zakurzone plastikowe butelki. Poduszka. Mnóstwo śmieci, papierków, folii, resztek jedzenia. Nic przydatnego.

Spojrzał na Bartka – kątem oka, bo bał się zwrócić jego uwagę. Ten cały czas mamrotał pod nosem, kiwając się lekko w przód i tył. Zamglony wzrok utkwił w jakimś miejscu pod sufitem. I tylko to „pić, pić, pić...”. Jak krople wody drążące skałę.

Szczęknął metal. Karol się wzdrygnął, lecz nie był to odbezpieczony pistolet, a jedynie zapalniczka zippo. W powietrze uniósł się lekki zapach benzyny. Magda wypuściła nosem dym i wróciła na krzesło.

- Gabriel nie za wiele opowiadał o rodzinie, zgadza się?

Karol skinął głową.

- Ryszard potrafił trzymać dyscyplinę, wyniósł to z domu. Miał ojca wojskowego, więc przejął po nim to i owo. Nie chciał jednak podążać taką samą drogą i po odbyciu służby zatrudnił się w rzeźni. Szybko jednak się okazało, że ta praca nie przynosi ani satysfakcji, ani pieniędzy. Próbował więc sił w różnych zawodach. Stolarz, szewc, magazynier, mechanik. Wszystko na nic. Zamiast fortuny rosła jedynie frustracja. Sytuacja zmieniła się jednak, gdy w osiemdziesiątym dziewiątym w progach mojego wujostwa pojawił się Duch. - Wskazała kciukiem na oprycha. - Znajomy Ryśka z wojska. Napili się wódki, powspominali dawne czasy i wtedy to Duch zaproponował mu pracę. Otworzyły się granice, co cwańsi

wyczuli łatwy zarobek. Przemysł kwitł, wpieryw papierosów, potem samochodów. Zaczął się złoty okres u nas w Słubicach. Duch potrzebował ludzi takich jak Ryszard, a on pragnął zapewnić godny byt rodzinie. Prawda?

- Najprawdziwsza - potwierdził Duch.

- Ludzie zrzucali sztangi papierosów z mostu, łamali barierki na granicy, pędząc kradzionymi wozami. Mnóstwo prominentnych mieszkańców pogranicza dwadzieścia-trzydzieści lat temu budowało swoje małe fortuny właśnie na przemyśle. Rysiek przemyślał najwięcej ze wszystkich; od papierosów po nowiutkie mercedesy. Do tego na granicy pomagały mu jego wewnętrzny spokój i renoma ojca. Przez trzy lata odłożył sporą sumkę dla rodziny. - Podniosła palec wskazujący. - Wpadł tylko jeden raz. O jeden raz za dużo.

- Jak to się stało, skoro był tak dobry? - spytał Karol.

- Pieniądze - wtrącił Duch. - Gdy nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze. I przypadek. Chciwy celnik wkopał Ryśka, a na komendzie postanowili zrobić z niego wtykę. Dali mu czas do namysłu, ale to jak postawić kogoś między młotem a kowadłem. Rysiek nie chciał ani sypać, ani pójść siedzieć.

Magda rzuciła niedopałek na ziemię i zgasiła go obcasem. Pokiwała smutno głową i kontynuowała swoją opowieść:

- Po mieście rozeszła się fama, więc musieli natychmiast zniknąć. Jedynym dowodem na to, że Ryszard z rodziną wciąż żyją i są na wolności, był enigmatyczny list, który wysłał do mojej matki. Wszystko opisane ogólnikowo, bez nazwisk i miejsc, ale wiedziałyśmy, że żyją.

- Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? - warknął Karol. Chłód mocno ściśniętych kajdanek rozpałał nieprzyjemnie skórę na nadgarstkach. - Chcesz się usprawiedliwić za porwanie, za Bartka? Może przejdź do sedna.

Oczywiście bał się, co będzie, kiedy Magda stwierdzi, że to koniec ich pogawędki, ale miał serdecznie dość całego zamieszania. Ostatnie tygodnie były istną drogą przez mękę. Czuł się równie przerażony, co wyczerpany.

- Chyba się nigdzie nie śpieszysz? - Udała smutek. - Miałam nadzieję, że zostaniesz przynajmniej na kolację... Mamusia w domu czeka? No bo przecież nie tatuś...

- Pierdol się!

Szczęknął bezpiecznik w pistolecie Ducha. Magda doskoczyła do Karola i wymierzyła mu cios prosto w szczękę. Chrupnęło głucho, nagły ból zaskoczył go, a oczy zaszyły łzami. Nie wiedział, co zdziwiło go bardziej: szybkość kobiety czy jej siła. W pierwszym odruchu chciał wstać i jej oddać, lecz spięte kajdankami ręce oraz pistolet w dłoni Ducha odwiodły go od tej myśli. Bartek nawet nie drgnął, dla niego cała sytuacja była odległa.

- Nigdy więcej tak się nie odzywaj. Bo skończymy rozmawiać szybciej, niżbyś sobie życzył - wycedziła przez zęby.

Zapadła cisza, którą przerywało jedynie łopotanie skrzydełek ćmy, odbijającej się od rozgrzanej żarówki. Magda usiadła z powrotem na krześle i wwiercała oczy w Karola.

- Nie rozumiem jednego - powiedział powoli, testując obitą szczękę. Paliła go żywym ogniem, nadgarstki puchły, głowa pulsowała. - Dlaczego to mnie posadziłaś na tym krześle? Byłem przyjacielem Gabriela, chciałem go uratować przed takimi jak on. - Skinął głową na niekontaktującego Bartka.

Magda założyła ręce na piersi.

- Ale nie wygląda na to, że ci się udało. Gdyby tak było, siedzielibyśmy teraz pewnie w restauracji i otwieralibyśmy szampana.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Gabriel... czy on...? - Reszta pytania nie była w stanie przejść mu przez zaciśnięte gardło.

- Wszystko w swoim czasie. Mamy całutką noc. Gdy skończę, będziesz się czuł wystarczająco winny. Niczego nie przyspieszymy. Mogłam cię w końcu porwać od razu, ot tak, z ulicy albo z klatki w bloku, ale nie. Zbyt się napracowałam. Myślisz, że gdybym nie podesłała oferty pracy w AEGamez, to twój pozał się Boże agent sam by ją znalazł? Wątpię.

- To twoja sprawa?

- Oczywiście, że tak - przyznała z dumą. - Wszystko sumiennie planowałam od wielu, wielu lat.

- A Łukasz? - Przypomniał sobie o mężczyźnie. - On też w tym siedzi, prawda? Wiem, że to on pośredniczył w sprzedaży działki Maślińskich.

Na wspomnienie o pracowniku AEGamez Duch parsknął pod nosem, a Magda uśmiechnęła się krzywo.

- Łukasz, Łukasz. - Machnęła dłońmi. - Myślał, że żadna mu się nie oprze, dopóki nie trafił na mnie. Wtedy to on wpadł w sidła, oj, wpadł głęboko. Wiesz, że potrafię oczarować. - Mrugnęła do Karola. - Nie był w naszych planach od początku, ale potem pomyślałam, że można wykorzystać takiego błyskotliwego młodego człowieka. Kochany nawet pozwolił mi zamieszkać ze sobą na Mokotowie. Byłeś u nas, ładne mieszkanko, co nie? Oczywiście nie łączyło nas nic poważnego. - Uśmiechnęła się szyderczo. - Łukasz... Był tylko narzędziem. Potrzebowałam go, aby bezpiecznie spieniężyć ziemię, nakarmiłam go bajeczkami o wyjeździe z kraju. Chodził z głową w chmurach. Łatwo namówiłam go na rozmowę z pewnym piłkarzem, mimo że wcale nie miał zamiaru go zatrudnić.

- Zabiłaś go? - spytał cicho.

Magda rozłożyła ręce, a Duch poruszył się pod ścianą. Pistolet błysnął złowrogo. Karol próbował przełknąć ślinę, lecz momentalnie zaschło mu w gardle. Niewypowiedziane słowa

łaskotały przełyk niczym źdźbło trawy. Wiedział już, że ma do czynienia z bezwzględnyimi ludźmi.

- A Mieszko? - wydusił w końcu. - On też był narzędziem?

- Jasne! - odparła entuzjastycznie. - Bartosz bezgranicznie mu ufał. Wykorzystaliśmy to, aby sprowadzić go właśnie tutaj, prawda, kochany?

Czekaj podniósł głowę. Usta poruszały się bezgłośnie, a oczy świeciły pustką. Cieleśna skorupa bez właściciela.

- Ile już się nim opiekujemy, Duchu?

- Rok z kawałkiem - odparł.

- No właśnie - mruknęła sama do siebie. - Ponad rok. Tyle to już trwa. Wszystko specjalnie dla ciebie, Karolku. Czyż nie czujesz się zaszczycony?

Nie czuł się ani trochę. Zaczynał panikować, słowa Magdy ledwo do niego docierały. Wiedział, dokąd to wszystko zmierza. Nie uważał tego za sprawiedliwe. Nie wierzył już w mityczną Temidę i jej obiektywizm. Każdy miał swoją, a ta Migalskiej mówiła, że Karol musi umrzeć. Nie wątpił, że tak właśnie jest.

Niespodziewanie nawiedziła go refleksja, wspomnienie ostatniej rozmowy z ojcem. Odpowiednik życia przelatującego przed oczami, skondensowany do jednego zdania.

„Myliłem się więc, cały czas ci kibicując”.

Skoro i tak miał umrzeć, to czemu nie spróbować uciec. Odwlec nieuniknione. Gdyby tylko mógł zadzwonić do Macieja...

Myśl, myśl.

Graj na czas.

- Zastanawia mnie jedno - rzekł w końcu. - Dlaczego Ryszard zamiast pójść na policję i wszystko wyjaśnić, znowu uciekł?

- Chyba kpisz - odezwał się niespodziewanie Duch. Wyszedł z cienia. Światło żarówki oświetliło mu twarz, podkreśliło i bez

tego widoczne bruzdy oraz blizny. Patrzył na Widmowskiego z pogardą. - Nie masz pojęcia o zagrożeniu, jakie nad nim wisiało. - Pokręcił powoli głową. - Wiesz, co góra robi z kapusiami? Obcina języki, jeśli za dużo gadasz. Łamię nogi, jeśli próbowałeś uciec. Porywają rodziny, szantażują, gwałcą, mordują. Wyłupiają oczy, miażdżą palce i podtapiają.

- Policja mogłaby ich przecież ochronić - zaprotestował niepewnie Karol.

Magda cmoknęła, a Duch się roześmiał.

- Nie żartuj nawet - rzucił. - Na początku lat dziewięćdziesiątych członkowie mafii to byli królowie życia. Trzęśliśmy tym krajem. Później się wszystko posypało. Masa poszedł na koronnego, zamordowano Kielbasę i Wariata. Podział grupy warszawskiej na Pruszków i Wołomin. Prokuratura robiła wszystko, by nas dopaść. Zaczynali już na granicy, dobrze wiedzieli, że wszystko kierowane jest przez te dwa centralne ugrupowania. Stara gwardia może i poszła siedzieć, ale na ich miejsce wchodziły młode wilki. Trybiki musiały dalej działać, to naturalne. - Założył ręce na piersi, czarny materiał napiął się na potężnych bicepsach. - A psiarnia? Większość mieliśmy w kieszeni. Ryszard był na tyle inteligentnym człowiekiem, by wiedzieć, że nie ma szans wyjść na tym dobrze. Ucieczka była jedyną opcją. Jedyną szansą.

Magda wzięła głęboki oddech, tak jakby szykowała się do skoku z wysokiego klifu. Osobliwe oczy zwróciły się w kierunku Bartka. W tym spojrzeniu kryło się nieopisane obrzydzenie.

- A co wydarzyło się później, pewnie pamiętasz - podjęła temat. - Znalaziono strzelbę, ustalono, do kogo należała, bo futerał miał inicjały Ryszarda. Wszystko potoczyło się szybko. Motyw też się znalazł, przecież wszyscy wiedzieli, że Czekań, Frankowski i Jasło paskudnie traktowali Gabriela. - Nazwiska te wymówiła z nieopisanym obrzydzeniem. - Praworządny komendant Mieczysław Rajs potrzebował jednak

niepodważalnych dowodów. A w małych miasteczkach nic nie ginie, prawda? Wawrzyn Pełko miał u niego dług za to, że komendant wyciągał dziesiątki razy z kłopotów młodego Mieszka. Przyszedł więc i czas na jego spłatę. Miał znaleźć świadka, który by zeznał, że to Ryszard pociągnął za spust. Padło na Bartka, świeć Panie nad jego duszą, bo tylko Ty wiesz, co dziś go jeszcze czeka.

Bartek zakołysał się na krześle i spojrzał wprost na Magdę. Jego oczy odzyskały blask, zagościła w nich świadomość, a wraz z nią – gniew. Nie trwało to jednak długo. Po chwili spierzchnięte usta znów wydusiły z siebie tylko jedno ciche słowo:

- Pić.

Zaśmiała się perliście, jakby opowiedział przedni kawał. Karol pokręcił głową, miał wrażenie, że się dusi. Słodkawy odór niemytego ciała, kwaśny zapach moczu, wszechobecna stęchlizna – wszystko to wciskało się mu do nozdrzy, chwyciło go za gardło, ale i podsunęło pewien pomysł.

- Muszę wyjść – powiedział słabo.

- Słucham? – spytała, a Duch parsknął krótko.

- Chcę się odlać. Mam się złać jak on?

Wskazał na Bartka, który nagle się uaktywnił – podrygiwał nogą, ścisnął i rozkurczał dłonie, poruszał bezgłośnie szczęką, a oczy tańczyły mu w oczodołach.

Magda westchnęła. Zapewne i ona nie wytrzymałaby więcej smrodu, bo machnęła na oprycha.

- Popilnuj go. – A potem zwróciła się do Karola: – I nic nie kombinuj.

Skinął gorliwie głową. W kolanach chrupnęło, a noga zaprotestowała, kiedy dźwignął się z krzesła. Duch otworzył drzwi. Świeże powietrze, wciąż pachnące deszczem, wdarło się do leśniczówki. Na zewnątrz przemytnik rozpiął Karolowi

kajdanki i przejechał mu lufą po kręgosłupie. Zrobił to niemal pieszczotliwie.

- Bez numerów, jasne?

- Jasne.

Obeszli domek. Delikatne światło sączące się z brudnych okien rzucało blask na rozklekotaną przybudówkę z uchylonymi drzwiczkami.

- Lej tutaj - rozkazał.

Karol podszedł do ściany i rozpiął rozporek. Za plecami usłyszał cyknięcie zapalniczki, a potem znajomy dźwięk zaciągania się papierosem. Obejrzał się przez ramię; Duch palił, spoglądając w okna.

Mocz płynął po deskach, kiedy wzrok Karola zatrzymał się tuż za drzwiami przybudówki. Skupił się na czerwonym obiekcie i w słabym świetle rozpoznał kształt. Gaśnica samochodowa. Nadzieja w jednej chwili rozpałała mu serce.

Przełknął nerwowo ślinę. Decyzję musiał podjąć natychmiast. Ryzykuje albo zupełnie zdaje się na ich łaskę. Nie miał pojęcia, co się stanie, kiedy skończą się gangsterskie przypowieści...

Zapiął rozporek. Kiedy odwracał się do Ducha, zaczął swój teatrzyk. Poślizgnął się i z sykiem - bo chora noga faktycznie go zabolala - upadł na ziemię mokrą od deszczu i moczu.

- Kurwa... - wycharczał przez zęby.

Duch spojrzał na niego. Wypuścił nosem porcję dymu.

- Uważaj, nie załatw się sam, bo byłoby szkoda.

Udając, że próbuje się podnieść, przesunął się kilkanaście centymetrów do przodu. *Mam cię* - pomyślał, gdy poczuł chłód metalu pod palcami.

- Mam spierdoloną nogę po tej kontuzji, ni cholery nie wstanę.

- Ja pierdolę... - burknął pod nosem oprych.

Wyrzucił niedopałek, który zgasł z sykiem na mokrej trawie, i podszedł do więźnia. Schylił się z nieskrywaną niechęcią i wyciągnął dłoń. Jakież było jego zdziwienie, gdy Karol chwycił ją pewnie i pociągnął go ku sobie. Zaskoczony poślizgnął się, a wtedy oberwał z gaśnicy. Porządnie.

Rozległo się głucho łupnięcie. Duch nie wydał żadnego dźwięku. Ze zdziwionym wyrazem twarzy padł na ziemię. Półotwarte oczy nieprzytomnie patrzyły na leżące tuż przed nimi narzędzie zbrodni. Strużka krwi spłynęła z czoła na trawę.

Karol skamieniał. Nie oddychał, nie ruszał się, tylko patrzył na szkarłatny strumień. Dopiero stłumiony głos Magdy, wydobywający się z leśniczówki, wyrwał go z tego zawieszenia.

- Duch? Co jest, kurwa? Długo jeszcze?

Podczołgał się do przemytnika, starając się nie zastanawiać, czy ten żyje, czy też nie. W pierwszym odruchu człowieka żyjącego w dwudziestym pierwszym wieku chciał znaleźć komórkę, aby zadzwonić. Gdziekolwiek. Na policję. Do Grzyba.

Zamiast tego znalazł klucz do wolności.

Serce zatrzepotało mu w piersi, gdy wyciągnął kluczyk do bmw. Bez namysłu poderwał się z miejsca i ślizgając się po mokrej trawie, zaczął zbiegać do samochodu, który stał kilkanaście metrów dalej. Jego lśniąca karoseria oferowała bezpieczeństwo i wybawienie.

Jeszcze tylko kawałek.

I wtedy rozległ się strzał.

Karol krzyknął krótko i zwałił się na ziemię. Pierwsza myśl była taka, że potknął się o wystający korzeń bądź kamień. Próbował się podnieść, lecz wtedy promieniujący ból rozszedł się po całym ciele, paraliżując i posyłając go znów w błoto. Oszołomiony spojrzał na nogi, które odmówiły posłuszeństwa. Nogawka na prawej bardzo szybko zabarwiła się szkarłatem, krew z rany postrzałowej mieszała się z mokrym, miękkim błotem.

Magda stanęła tuż nad swoją ofiarą. Przykucnęła. W jednej dłoni trzymała pistolet, drugą powoli pogłaskała policzek Karola, który oddychał nierówno, urywanie; panika znów brała w nim górę.

Ścisnęła go za krocze.

Nie uda mi się, nie ucieknę...

Palcami zjechała niżej, od uda aż do postrzelonego miejsca.

Umrę, tu, umrę...

I wtedy gwałtownym ruchem wcisnęła lufę w otwartą ranę. Nieludzki, pełny bólu krzyk zawisł w czerni nocy.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam.

TYMCZASEM

Wszyscy kręcili się jak gówno w przeręblu.

Komisarz Adam Bukowski, który koordynował poszukiwania, przesłuchiwał Macieja Grzybickiego w jego mieszkaniu.

- Czy pański klient...

- Nie jest już moim klientem, to raczej przyjacielska relacja - wtrącił Maciej.

Bukowski podrapał się po ogolonej na zero czaszce i zmierzył zza okularów pokiereszowaną twarz Grzyba.

- Dobrze więc. Czy pański przyjaciel - powiedział z przekąsem - brał ostatnio udział w rekrutacji w firmie AEGamez?

- Tak, zgadza się, sam mu tę ofertę podesłałem.

- Jako przyjaciel?

- Potrzebował pracy - zirytował się Maciej. - Co to ma do rzeczy?

- Badamy tropy. - Komisarz westchnął. - Na starym gangsterskim cmentarzu pod Konstancinem zidentyfikowaliśmy ciało byłego pracownika AEGamez.

- O kurwa. - Tylko na taki komentarz było stać Grzybickiego.

- To wyglądało na egzekucję - poinformował sucho Bukowski, stukając rytmicznie długopisem w notesik. -

Policyjne patrole są i na cmentarzysku. Jeśli cokolwiek wzbudzi ich podejrzenia, od razu będziemy wiedzieć.

- Myślicie, że ktoś chce Karola...?

- Badamy wszystkie możliwości - odparł enigmatycznie komisarz. - Będę się zbierał, dziękuję za poświęcony czas.

Ruszył do drzwi i zatrzymał się z dłonią na klamce.

- Proszę się zastanowić, czy pana klient... przyjaciel mógł być zamieszany w jakieś przestępstwo? Zachowywał się dziwnie? Być może zrobił coś, co sprowokowało całe zajście? Jeśli miał wrogów, ktoś mógł się chcieć na nim zemścić. Gdyby przypomniał sobie pan cokolwiek, natychmiast proszę zgłosić to na policję.

Nie poczekał na odpowiedź, tylko wyszedł.

Grzyb westchnął ciężko i wybrał numer do Julii. Biedna kobieta bardzo przeżywała zaginięcie syna. Najpierw Tadeusz, teraz Karol...

Odebrała po dwóch sygnałach. Wziął głęboki oddech i streścił jej rozmowę z komisarzem.

- Tak, tak pani Julio, obiecuję... Tak, odezwę się, jak tylko będę wiedział więcej.

Maciej rozłączył się po kilku nerwowych minutach, pełnych szlochów i łez. Zagryzł dłoń, aby nie ryknąć wściekle. Dochodziła druga w nocy, a on nie mógł powiedzieć tej zrozpaczonej matce nic nowego. Policja obserwowała mieszkania Karola. Poinformowano Felicję Wersalkę, aby była czujna. Być może ktoś będzie chciał zażądać okupu. Po porwaniu na Mokotowie trop urwał się - nomen omen - za Konstancinem. Macieja przebiegł zimny dreszcz.

A jeśli i on skończy z kulą w głowie...?

Próbując zająć czymś myśli, rozsiadł się przy stole i odpalił laptop. Wszedł w pocztę i zaczął przeglądać najnowsze wiadomości. Jedna z nich natychmiast przykuła jego uwagę:

Od: yush_norbi@gamer.com

PORWANIE WIDMO!! KBZ WIZYTÓWKA KBZ, PILNE!!!

To jedyny sposób, jaki znalazłem na kontakt z Panem. Jestem kolegą Karola z gry, to znaczy tak mi się wydaje, bo nigdy go nie spotkałem, ale wszystko mi się układa w jedną spójną całość. Kontuzja, śmierć ojca, nawet o Panu wspominał. A tuż przed porwaniem miał być na Gierymskiego.

Do sedna: nie wiem czy to coś pomoże, ale wczoraj podesłał mi jako zagadkę zdjęcie wizytówki, która wyglądała na pierwszy rzut oka jak wizytówka dentysty. Odkryłem, że zamiast numerów telefonu są tam współrzędne. Sprawdziłem dziś sam na co pokazują i jest to las w Zabynijczu, czyli miejscowości skąd Karol pochodzi.

Przesyłam zdjęcie, które dostałem oraz screeny z Google Maps i naszych rozmów. Mam nadzieję, że go znajdziecie...

Norbert Terkowski

Grzyb dłuższą chwilę mrugał, nie mogąc uwierzyć w to, co przeczytał.

Wizytówka. Musiał zacząć działać, natychmiast. Porwali go parę godzin temu, cholera wie, co się z nim dzieje. Nikt nie wysunął żądań, do opinii publicznej nie dotarła żadna informacja od porywaczy.

E-mail od pana Terkowskiego mógł wiele wyjaśnić.

Drżącymi dłońmi wybrał numer do Marka Walickiego, który odebrał po kilku długich sygnałach. W prostych, żołnierskich słowach nakreślił policjantowi sytuację, a gdy tylko skończył rozmowę, ubrał się szybko, zabrał kluczyki do samochodu i wybiegł z apartamentu. Czekaając na windę, czuł, jak serce chce mu wyskoczyć z piersi. Przed oczami stanął mu dwunastolatek w przydużej koszulce Zagończyka, ten sam, który zafascynował go swoim talentem. Zagryzł wargę, przywołał jeszcze raz windę.

Nie wybaczysz sobie, jeśli cokolwiek mu się stanie.

OBECNIE

Powrót do leśniczówki był męką. Karol czołgał się w błocie, ponaglany kopnięciami i wyzwiskami. Przestrzelona noga paraliżowała bólem.

Wyobrażał sobie, że skręca kark tej suce, że łamie ręce i nogi, wrywa zęby, a potem pali żywcem, podtapia, ćwiartuje, tłucze młotem, rąbie siekierą, rozstrzeliwuje... Każda z tych wizji dodawała odrobiny sił potrzebnych do tego, by w towarzystwie upokorzenia w końcu doczołgać się do leśniczówki.

- Zawiąż sobie na udzie - poleciała oschle, rzucając w Karola swoim paskiem, kiedy byli już w środku. - To zatamuje krwawienie, jesteś mi jeszcze potrzebny.

- Ty pojebana, popierdolona kur...

Doskoczyła do niego i wymierzyła mu cios kolbą pistoletu. W szczęce Karola znowu coś chrupnęło, wraz z krwią połknął niewypowiedziane przekleństwa.

- Zawiąż. - Siadła przy stole jak nauczycielka czekająca na nieposłusznego ucznia.

Bartek przyglądał się wszystkiemu z niezdrową fascynacją, tak jakby brał udział w pokazach kina o rozszerzonej rzeczywistości.

Karol sapnął, obwinął pasek dookoła uda, starając się nie myśleć o nowym ognisku bólu w szczęce. Zacisnął mocno, skóra na nodze zapiekła.

- Siadaj - rozkazała Magda.

Podpierając się o stół, wstał i zajął swoje krzesło. Ze strachem stwierdził, że wymagało to dużo więcej wysiłku, niż się spodziewał. Robiło mu się słabo. Po takim krwawieniu zaczynał tracić wszelkie siły. A wraz z nimi - nadzieję.

- Zabiłem go? - spytał, gdy odzyskał oddech.

- Ducha? Na twoim miejscu wolałabym, aby tak właśnie było.

Zamrugła niewinnie, a on pokiwał głową.

- To demo - ciągnął, bo nie poznał jeszcze wszystkich odpowiedzi. - Podczas rozmowy w AEGamez... A potem ta płyta... Nie było tam nigdy żadnego demo, tylko wirus, prawda?

- Na oryginalną płytkę ciężko byłoby coś dograć, ale nie miałam zamiaru dostarczać ci nowej wersji gry. Wystarczył złośliwy skrypt, który odpowiednio zmodyfikował *Pitch Legends*, w które tak namiętnie grywasz, oraz doprowadził do przeciążenia i spalenia bezpiecznika. - Mrugnęła do niego porozumiewawczo. - Sprytna ze mnie bestia, co nie?

- Wierzyłem, że AEGamez, ta praca... to będzie nowy początek... - jęknął, ale bardziej do siebie.

Żał ścisnął wnętrzości. Naprawdę myślał wtedy, że ma szansę wyjść na prostą, odbić się.

- Bo to będzie nowy początek - powiedziała głosem, którego nie powstydziliby się żaden kaznodzieja. - To jest twoja szansa na odkupienie win.

Karol się skrzywił.

- Czy ta cała gierka, planowanie tego wszystkiego... Jest tego warte?

Uśmiechnęła się upiornie. Miał dość tego grymasu, chciał go jej zetrzeć z twarzy, wydrapać wraz z tymi cholernymi oczami.

- Zaraz się dowiem - odparła. - Jak się czujesz ze świadomością, że rznąłeś mnie w momencie, gdy umierał twój ojciec?

Słowa były tak nagłe i okrutne, że Karola aż zatkało.

- Słucham? - wydusił z siebie.

- Jak się czujesz z tym, że zamiast przy konającym ojcu byłeś ze mną? To chyba proste pytanie. Ale jeszcze zrozumiesz. A poza możliwością odpokutowania otrzymasz nawet szansę na zrewanżowanie się za śmierć ojca. Tylko że zanim do tego dojdzie, został nam jeszcze on. Gabriel. W końcu zawsze chodziło o niego, prawda?

Wyciągnęła papierosa, odpaliła, a potem przeniosła ich do zimnego, lutowego poranka w Słubicach.

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Ryszard i Ewa wrócili do domu obładowani zakupami.

- Gabriel, jesteśmy! - zawołała Ewa, ale odpowiedziała jej cisza. Spojrzała na męża. - Mówił ci, że będzie wychodził?

- Nie - przyznał Ryszard, zanosząc siatki do wąskiej kuchni.
- Pewnie włóczy się gdzieś z tym Karolem.

Ewa przygryzła wargę.

- Powinien był nam powiedzieć, dobrze wiesz, że...

- Wiem - wszedł jej w słowo. - Jak tylko ten nicpoń wróci, to się z nim porządnie rozmówię.

Objął żonę i pocałował ją czule w czoło. Kobieta nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła pojednawczo głową i zaczęła zdejmować gruby płaszcz i ośnieżone buty.

Gdy rozpakowali zakupy, Ewa zabrała się za przygotowywanie obiadu, a Ryszard usiadł w salonie i zaczął czytać *Złego* Tyrmanda. Zbierał siły przed poniedziałkiem, ponieważ czekała go praca przy odśnieżaniu. Ciężka, ale całkiem niezłe płatna, a przede wszystkim - na czarno. Nie zostawiał za sobą śladów.

Godzinę później Gabriela nadal nie było. Ryszard kątem oka obserwował, jak Ewa kręci się niespokojnie po domu - to wychodzi na papierosa, to wygląda na ulicę przez okno w

kuchni. Teraz poszła do łazienki, żeby zrobić pranie. Próbowła zająć czymś myśli.

A tyle razy mu powtarzali, żeby nie wychodził z domu bez wcześniejszego uzgodnienia. Ryszard westchnął ciężko, odłożył książkę i już miał wstawać, gdy usłyszał znajome trzaśnięcie drzwiami.

- Wróciłeś, no w końcu! - krzyknął, zadowolony, że nie musi szukać syna po całej okolicy. - Matka się już o ciebie martwiła!

Na korytarzu rozległy się energiczne kroki Ewy, która wyszła na spotkanie Gabrielowi. Ryszard sięgnął po odłożoną książkę, ale wtem powietrze przeszył przeraźliwy krzyk.

Zerwał się z fotela jak oparzony i wypadł na korytarz.

Ewa, łkając, to tuliła, to odsuwała się od Gabriela, który stał pośrodku przedpokoju z nieobecny wyrazem twarzy.

- Synku, synku, co ci się stało?! Co się stało?!

Ryszard poczuł, jak na sercu zaciska mu się żelazna obręcz. Kurtka Gabriela była cała we krwi.

Nachylił się nad synem, chwycił go za ramiona i potrząsnął nim mocno.

- Gabriel! - Chłopiec jakby otrzeźwiał i podniósł wzrok na ojca. - Co się stało, odpowiedz! Miałeś wypadek?

Gabriel najpierw otworzył usta, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko pokręcił głową. Jego wargi zaczęły niekontrolowanie drgać, a do oczu napłynęły łzy.

- Ja... ja... - wydukał. - Tato, ja... przepraszam, to nie tak miało być... ja...

Paskudne przeczucie naszło Ryszarda. Puścił syna i podbiegł do szafy. Przetrzepał jej zawartość, wyrzucając wszystkie kurtki i koszule na podłogę. Broni nie znalazł. Obejrzał się na Gabriela i poblądł.

- Czyja to krew? - Starał się być opanowany, ale głos i tak mu zadrżał. - Dzika? Jelenia? Za dużo tego na królika. Mów!

Ostatnie słowo zamieniło się w ryk. Gabrielem wstrząsnął niekontrolowany spazm. Padł na podłogę i zaczął się po niej tarzać. Ewa, z paniką w oczach, próbowała syna uspokoić. Nie zwracała uwagi na to, że na jej fartuchu zostają rdzawe plamy krwi.

Dopiero po kwadransie uspokajania Ryszard usłyszał odpowiedź na swoje pytanie.

- Kuby. To krew... Kuby. Chcieliśmy... Chcieliśmy z Karolem przestraszyć Szkodników. Nie poszło... tak jak planowaliśmy. Kuba mnie dusił, a Karol... on strzelił i... - Gabriel zamilkł, ale nie musiał kończyć. Ilość krwi na jego kurtce mówiła wszystko.

Ryszard zaczął drapać się po czaszce, zostawiając na niej czerwone ślady od paznokci.

- Gdzie jest moja strzelba? - zapytał.

- Została... tam - wymamrotał w odpowiedzi Gabriel.

Ryszard zacisnął zęby i podniósł rękę, tak jakby chciał uderzyć syna, ale zaraz ją opuścił zrezygnowany. Opadł na fotel.

- Kurwa, mamy przejebane, przejebane, to kurwa, koniec... Jak mogłeś, dziecko? Jak coś takiego przyszło ci do głowy? To koniec...

Gabriel rozplakał się wtedy bardziej, Ewa przytuliła go mocniej, ale zrobiła to raczej dla siebie niż dla syna. Też się bała, widząc reakcję Ryszarda. Wiedziała, przed kim się ukrywają. Pytanie: co dalej?

W podjęciu decyzji pomogły im odległe syreny policyjne. Spojrzał na Ewę. Ona też była bliska płaczu, ale wszystko rozumiała.

Ktoś już znalazł ciało, więc znów musieli uciekać.

Błyskawicznie spakowali niezbędny dobytek i pół godziny później zostawili za sobą ulicę Wilczą, domek z bali i Zabynijcz.

Gdy Gabriel spytał ojca cichym głosem, kiedy będą mogli tu wrócić, ten spojrział na niego groźnie we wstecznym lusterku.

- Nigdy.

Elektroniczny zegarek na desce rozdzielczej volkswagena pokazywał, że zbliża się godzina szósta. Nad charakterystycznymi, płaskimi terenami województwa lubuskiego pojawiły się pierwsze promienie słońca, a zasypane śniegiem pola skrzyły się złościście w ich blasku.

Ryszard ledwo widział na oczy. Na zmianę zaciskał szczękę i dłonie na kierownicy, próbując zmusić się jeszcze do wysiłku i przejechania ostatnich kilkunastu kilometrów. Całą noc kluczył po Polsce z obawy przed tym, że mogą mieć ogon. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, jak szybko życie potrafi się posypać. I to już po raz drugi w ciągu roku.

Zerknął w lusterko wsteczne i spojrział na śpiącego syna. Miał wrażenie, że patrzy na obcą osobę. Jak Gabriel mógł postąpić tak głupio? Tak nieodpowiedzialnie?

Uderzył wściekle dłonią o kierownicę. Doskonale wiedział, że nie jest książkowym przykładem rodzica, robił rzeczy mniej i bardziej nielegalne, ale zawsze robił to dla rodziny. Dla niego i dla Ewy. I gdy odzyskali namiastkę normalności, kiedy Ryszard patrzył z nadzieją w przyszłość, wszystko posypało się jak domek z kart.

O siódmej, osiemnaście godzin po wyjechaniu z Zabynijcza, słońce wyłoniło się już na dobre zza horyzontu. Volkswagen polo przejechał przez Długi Rów, kanał wypełniony wodą, i wjechał do Słubic od północy. Z głównej ulicy zjechali w Mieszka Pierwszego, a następnie od razu w Akademicką. Atmosfera stężała, gdy mijali po kolei prokuraturę, sąd rejonowy i komendę. W końcu dojechali na Daszyńskiego. Ryszard zaparkował samochód głęboko w podwórku.

- Idę do Eli - rzucił szorstko. - Zobaczyc, czy wszystko w porzadku. Zostancie tu dopoki nie wróce, jasne?

Nie zaczekał na odpowiedz. Trzasnął drzwiami i przeszedł szybko przez podwórko, rozglądając się nerwowo dookoła. Przemknęło mu przez myśl, że ostatni dzien w Zabynijczu wygladał podobnie jak ostatnia noc w Słubicach. Pośpieszne pakowanie, strach i nerwówka w oczekiwaniu na dokumenty z nowym nazwiskiem.

Schował się za stertą zużytych opon i odpalił papierosa. Musiał zebrać myśli, zanim zapuka do drzwi Elżbiety.

Wszystko wygladałoby inaczej, gdyby nie ostatni przemyt. Mieli dogadanego celnika - pewniaka, który puszczał bez zbędnej gadaniny, zwłaszcza że zawsze odpalali mu coś ekstra. Ryszard nie dociekał, skąd Janusz ma takie chody, ponieważ nie miał okazji poznać swojego chlebobawcy, ale nie zależało mu na tym. Wolał być zwykłym trybikiem w przemytniczej maszynie. Wszystko, żeby mieć za co wykarmić rodzinę.

Kursy zazwyczaj robili w parach, ale tego feralnego dnia jechał sam. Celnik wyczuł, że bez budzącego respekt Janusza ma szansę na dodatkowy grosz, przyczepił się więc do Ryśka. Oznajmił, że stawki się podniosły. Że ktoś oferuje więcej. Ryszard doskonale wiedział, że blefuje, ponieważ w Słubicach nie było takich ktosiów. Próbował to grzecznie wytłumaczyć, ale celnik stracił nerwy. Zaczęła się szamotanina, a pech chciał, że od strony Słubic nadjechał patrol policji, który zainteresował się zamieszaniem przy szlabanie.

Ryszard zaciągnął się potężnie papierosem. Żar doszedł do filtra, więc wyrzucił niedopałek i zgasił go podeszwą.

Pewniak, kurwa jego mać, zesrał się i wydał przemytnika policji. Oczywiście, znaleźli przy nim kontrabandę, więc z całym towarem zgarnęli go na komendę. A tam poszło już szybko. Pan komendant bardzo chciał zaistnieć w psiarskim światku, więc zaproponował „współpracę”. Maglowali Ryszarda

przez prawie dobę, aż w końcu uznał, że lepiej udać, że przystaje na ich warunki, a potem z Januszem znajdą rozwiązanie.

Jak się okazało, Janusz nie był zachwycony pomysłem Ryszarda. Co gorsza, wyglądał na śmiertelnie przerażonego tym, co jego wspólnik zrobił.

- Richard, kurwa, ty nie rozumiesz! Sypiesz czy nie, już sam fakt, że poszedłeś na ugodę, sprawia, że jesteś pierwszy do odstrzału, łapiesz?

Janusz zadziałał błyskawicznie. Załatwił u znajomego fałszerza dokumenty dla rodziny Ryśka. Stare papiery, w tym paszporty, spalili. Państwo Migalscy stali się rodziną Maślińskich. Jeszcze tej samej nocy wyjechali ze Słubic i zostawili za sobą stare życie. Janusz obiecał, że gdy sprawa ucichnie, odezwie się do Ryszarda.

Wszedł na betonowaną klatkę, ostrożnie, krok za krokiem. W niskim bloku panowała absolutna cisza. Doszedł pod drzwi mieszkania siostry i rozejrzał się raz jeszcze. Czysto. Zbiegł po schodach, by zabrać ze sobą Gabriela i Ewę.

Zapukał w zaparowane szyby samochodu.

- Idziemy.

Zabrali toboły, weszli ukradkiem na klatkę schodową po wąskich schodach. Ryszard raz jeszcze rozejrzał się po okolicy, ale nie zauważył niczego, co mogłoby zaalarmować jego przemytniczy zmysł przetrwania. Przeskakiwali po dwa, trzy stopnie naraz, aż znaleźli się u progu znajomego mieszkania. Ryszard zapukał. Dwa szybkie uderzenia, przerwa, znów dwa uderzenia.

Drzwi otworzyła kobieta o rumianej, okrągłej twarzy i pełnych kształtach. Spojrzała po rodzinie i uśmiechnęła się szeroko.

- Wchodźcie, cześć Ewa, kochanie. Gabriel, ale urosłeś! Wchodźcie, proszę.

Elżbieta stanowiła całkowite przeciwieństwo Ryszarda. Zawsze radosna, energiczna i optymistyczna. Jedynie oczy mieli identyczne. Małe, głęboko schowane w oczodołach, skąd orzechowe tęczęwki obserwowały świat. Chociaż nie widzieli się ponad rok, Ela o nic nie pytała. Przyjęła ich tak, jakby widzieli się w ostatni weekend.

Gabriela uspokoił nieco widok znajomych ścian. Mieszkanie w Słubicach nic się nie zmieniło. Pachniało papierosami, które ciocia Ela uwielbiała palić. W kuchni coś się gotowało, bulgotało kojąco w garnku. Poczul się nagle bardzo zmęczony. Mimo że przespał całą noc, pragnął znów zasnąć. Liczył na to, że po pobudce wszystko okaże się tylko koszmarem...

- O, jest i Madziula. Nie chowaj się, chodź tutaj, przywitasz się z wujostwem.

Z mniejszego pokoiku wyłoniła się zaspana dziewczynka z rozczochranymi włosami. Do białej piżamki w drobne niebieskie kwiaty przytulała kurczowo brązowego misia i bacznie obserwowała nowo przybyłych swoimi różnokolorowymi oczami.

- Chodź, malutka, chodź. To wujko Rysiek, pamiętasz? I ciocia Ewa. No i twój ulubiony Gabriel.

Jakieś trybiki zaskoczyły jej w głowie. Uśmiechnęła się, podbiegła do gości, uściskała każdego, a potem zaczęła ciągnąć kuzyna do swojego pokoju.

- Pokażę ci zabawki, chodź!

Gabriel spojrział błagalnie na rodziców, lecz twardy wzrok ojca mówił, żeby nawet nie próbował lamentować. Swój wkład w całej aferze miał większy, niżby chciał. Teraz wszystko jest w rękach dorosłych.

Westchnął cicho, zdjął kurtkę, zimowe buty, a potem wziął swój plecak i ruszył za dziewczynką.

Pokój był malutki. Do połowy ściany oblepiono go wyblakłą tapetą w roślinne wzory, nad łóżkiem wisiały krzyżyk i święty

obrazek. Okno, zasłonięte różowymi firankami, wychodziło na zagracone podwórko. Pod ścianą stało małe - nawet jak na dziewięciolatkę - różowo-białe biurko. Zapewne znalezione przy jakimś śmietniku.

- Zobacz, Gabryś, jakie mam ładne zabawki! - zapiszczała, wyciągając spod łóżka poszarpany karton. - Tę dostałam ostatnio na urodziny od mamusi...

- Magda, nie mam siły na te głupie, brzydkie lalki - warknęła.

Zazwyczaj lubił spędzać czas z młodszą kuzynką, ale teraz go denerwowała. Poza tym w mieszkaniu była jedyną osobą, której mógł odpyskować, dając upust swoim emocjom.

- Chcę tylko spać.

Wygięła usta w podkówkę, oczy lekko się jej zaszklily.

Jaka delikatna - pomyślał. *Jezu, przecież nie poradzi sobie w życiu, jak taka będzie.* Zrobiło mu się jej szkoda, więc powiedział zaraz:

- Przepraszam. - Sięgnął po plecak. - Ta nagła wyprowadzka... Trochę mnie zmęczyła, wiesz? No i zostawiłem w Zabynjczu przyjaciela.

- Oo, przyjaciela? Kto to? - rozweseliła się.

- Karol. Graliśmy razem w piłkę, bardzo dobry z niego piłkarz. Założyliśmy nawet własny klub.

Wyciągnął z plecaka jeden z numerów „Bravo Sport”. Otworzył go i wyjął ze środka ładnie złożoną stronę, na której poprzyklejano różnokolorowe litery wycięte z gazetki. Układały się z w napis.

- Klub... Białych... Zębów - wydukała Magda, śmiesznie marszcząc czoło przy każdej z literek. - I co robił ten wasz klub?

Znów wróciły strach i panika. Szkodniki by się nie zatrzymały, wiedział o tym. Gdyby nie Karol... Mógłby teraz nie siedzieć w pokoju kuzynki, nie opowiadać jej swojej historii.

- Walczyliśmy ze złem - wyznał dumnie. - Jak zrobisz mi herbatę, to trochę ci opowiem...

Pisnęła z radości i wybiegła. Słyszał tylko jej podekscytowany głos: „Mamo, mamusiu! Gabryś opowie mi o walce ze złem! Mogę mu zrobić herbatę?”.

Dobrze być w domu - pomyślał, siadając na podłodze.

Chwilę później opowiadał Magdzie o tym, jak poznał Karola, który wyciągnął do niego pomocną dłoń na pierwszym treningu. O obozie w Krukłankach i przebieraniu się za duchy. O tym, że wtedy powstał ich klub. O przytykach i docinkach Szkodników. O planowanej zemście. O tym, jak to Karol w końcu wziął sprawę w swoje ręce i uratował go, zabijając Kubę. Wszystko ubrał w słowa tak, jakby opowiadał Magdzie jedną z baśni braci Grimm, i świetnie się przy tym bawił. A potem uświadomił sobie, że nie pożegnał się z Karolem. Uciekł spanikowany, zostawił go z bronią w rękach. Przeraził się, że przyjaciel może mieć z tego powodu dużo nieprzyjemności.

Tchórz i egoista. Oto kim się stał w swoich oczach. Sam namówił Karola do działania, chociaż ten miał wątpliwości. Zrobiło mu się przykro, bo wcześniej nie widział, że on to wszystko robił dla niego. Nie chciał zostawić go z tym samego, a kiedy trzeba było podjąć szybką decyzję - nie zawahał się.

Jego przyjaciel stał się mordercą.

- Gabriel, wstawaj, kochanie, musimy jechać. - Obudził go łagodny głos Ewy.

Nie pamiętał, kiedy zasnął. Rozkleił powieki i spojrzał na mamę. Siedziała na skraju łóżka.

- Która godzina?

- Już późna - odparła. - Pakuj się, będziemy się zbierać.

- Już? - jęknął. Ledwo zdążył się zadomowić w mieszkaniu ciotki, a już musieli ruszać.

- Tak kochanie, już. Jedziemy. - Wstała i wyszła z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Gabriel niemrawo wygrzebał się z pościeli i zaczął zbierać rozrzucone gazetki, które pokazywał kuzynce.

- Mama mówi, że będziecie wyjeżdżać.

Magda stała w progu, kręcąc się i skubiąc rąbek koronkowej spódniczki.

- Tak. - Nie wiedział, co innego może dodać. Smutek ścisnął go za gardło.

Z gazetki, którą trzymał w rękach, wysunęła się kartka z wyklejonym napisem „Klub Białych Zębów” i pofrunęła pod nogi dziewczynki. Magda schyliła się, nabożnie ją podniosła i trzymając w dwóch dłoniach, jak ksiądz Hostię na mszy, podała Gabrielowi.

- Wiesz co? Mam pomysł - powiedział nagle.

Na biurku Magdy leżał otwarty zeszyt. Pierwszym lepszym mazakiem kuzynki zapisał na czystej stronie adres Karola.

- Mogę mieć do ciebie prośbę?

- Tak - odpowiedziała, gorliwie kiwając głową, aż podskoczył ciasno zawiązany kucyk.

- Wyślij tę okładkę do mojego przyjaciela, dobrze? Żeby wiedział, że nic mi nie jest.

- I żeby mógł dalej walczyć ze złem? - spytała.

Gabriel uśmiechnął się mimowolnie.

- Dokładnie tak. Zrobisz to?

- Zrobię - zgodziła się i zaraz dodała: - Najwyżej poproszę mamę o pomoc.

- Jasne - zaśmiał się.

Chwytał plecak i wyszedł na korytarz. W przedpokoju stali już ubrani rodzice. Obok ciocia Ela przeglądała paszporty. Przygryzała wargę, a na jej rumianej twarzy zagościła wątpliwość.

- Na pewno się wam uda?

- Nie ma wyjścia - powiedział Ryszard, odbierając dokumenty. - To pewny człowiek, wie, co robi.

- Zachowa wszystko w tajemnicy? - Elżbieta patrzyła twardo na brata.

- Mam nadzieję. - Spojrzał przez ramię i zobaczył Gabriela.

- W końcu. Pożegnaj się i wychodzimy...

Na ostry, niespodziewany skrzek dzwonka u drzwi podskoczyli wszyscy.

Zapadła cisza. Ewa błędziła wzrokiem od męża do Elżbiety, Ryszard zacisnął usta i patrzył twardo na siostrę, jakby chciał powiedzieć „nie otwieraj”.

Drugi dzwonek, tym razem ktoś dłużej go przytrzymał. Gabriel poczuł, jak dłonie Magdy wczepiają się w jego koszulkę. Objął ją ramieniem i cofnęli się kawałek do sypialni. Przełknął ślinę. Dzwonek nie może zwiastować nic dobrego.

Do trzeciego dzwonka dołączyło donośne pukanie do drzwi. Ryszard wyrzwał przez wizjer.

- To Sebastian - wyszeptał. - Od paszportów.

- Nie otwieraj - wyartykułowała Ewa, niemal błagalnie.

- Schowajcie się - poprosił.

- Nie rób tego.

- Halo? Richard! Otwórz! - rozległ się donośny krzyk zza drzwi.

Ryszard chwilę jeszcze stał spięty, aż w końcu zdecydował.

- Może być coś z papierami - powiedział. - Jeśli jest błąd w dokumentach, nigdzie nie wyjedziemy. Schowajcie się.

Ewa i Ela zamknęły się wraz z dziećmi w kuchni. Ryszard odetchnął głęboko; przekręcił klucz w zamku i ściągnął łańcuch. Kiedy otworzył drzwi i dostrzegł panikę wymalowaną w oczach fałszerza, a jego usta bezgłośnie ułożyły się w słowo „przepraszam”, wiedział, że jest już za późno.

Sebastian czmychnął, a z cienia wyłoniły się cztery postacie. Trzem osiłkom w czarnych kurtkach przewodził młody mężczyzna, młodszy nawet od Ryszarda. Pomimo chłodu panującego na zewnątrz nie miał kurtki, tylko czarny golf i błyszcząca, srebrną marynarkę. Ciągłe poprawiał bardzo jasne włosy zaczesane do tyłu. Szare oczy błysnęły radością, gdy ujrzał byłego przemytnika.

- No cześć, Richard, kopę lat. - Głos miał głęboki, emanujący spokojem; zupełnie niepasujący do drobnego, jeszcze chłopięcego ciała. - Wejdziemy z chłopakami na chwilkę, pogadamy.

Nie czekając na zaproszenie, przepchnął Ryszarda i wszedł do środka, a wraz z nim -jego świta.

- Nie bardzo mam czas, właśnie miałem wycho...

- Masz czas, Richard, masz czas, naprawdę - przerwał mu ulizany. - Gdzie jest jakaś łazienka? Zaraz się zleję, cholerne zapalenie pęcherza.

Odwrócił się i przeszedł korytarzem do końca. Pstryknęło światło, a zaraz potem dało się usłyszeć, jak strumień uderza o wnętrze muszli. Gangster nie pofatygował się nawet, by zamknąć drzwi.

- A dokąd to się wybierasz, Rysiu? - spytał, cały czas sikając. - W jakieś ładne miejsce, mam nadzieję?

- Do pracy, ciężkie czasy - odparł, siłąc się na spokój, lecz tak naprawdę niemal drżał ze strachu. Nie o siebie. Bał się o Ewę i Gabriela. O siostrę i jej małą Magdę. Porachunki nie powinny się odbywać w tym miejscu.

- O tak, to prawda, jest ciężko - przyznał mężczyzna, gdy wrócił już do przedpokoju. Nie zapiął rozporka. - A najgorzej, kiedy ktoś ci w pracy przeszkadza, prawda?

Dobrze wiedział, w jakim kierunku wszystko zmierza.

- Ale nie uprzedzajmy faktów - kontynuował gangster. - Na wszystko przyjdzie pora. Na przykład teraz chyba czas, żebyś przedstawił nam swoją rodzinę, nieprawdaż?

Zanim Ryszard zdążył jakkolwiek zaprotestować, towarzysze ulizanego rozeszli się po mieszkaniu. Zbiry wyprowadziły przerażone kobiety i dygocące ze strachu dzieci z kuchni. Magda pochlipywała, a jej chude łydki lśniły od moczu.

- Przejdźmy dalej, nie będziemy przecież stać jak te kołki przy wejściu - zakomenderował jasnowłoso.

Wprowadzili piątkę więźniów do salonu i kazali im klęknąć na szorstkim, wydeptanym dywanie. Sam gangster zaś usiadł na kanapie i obserwował swoje ofiary.

- Posłuchaj, mam pieniądze, wszystko oddam... - zaczął Ryszard, lecz ten zaraz mu przerwał.

- Czyli przyznajesz się do winy? - Bardziej stwierdził niż spytał. Srebrna marynarka zamigotała w świetle żyrandola, gdy nachylił się do byłego przemytnika.

- Nikogo nie wsypałem. - Ryszard próbował odzyskać swój wewnętrzny spokój. - Policja nie dała mi wyboru. Albo wróć do środowiska i pomogę w ujęciu innych, albo idę siedzieć. Okłamałem ich, a gdy tylko mnie wypuścili, spakowałem rodzinę i uciekłem...

- Okłamałeś ich? - powtórzył ostro. - Jak? Mówiąc, że się zgadzasz? A może mnie teraz okłamujesz, he? Bo widzisz, traf trafem, akurat jak się ulotniłeś, to na powrocie z Frankfurtu zatrzymali bardzo dużą dostawę.

- Zrobiłem to jedynie, żeby mnie wypuścili, spytajcie Ducha, on wszystko wie...

- Dlaczego on? - Wstał z kanapy i uklęknął przed Ryszardem, patrząc mu prosto w oczy. Czekał, aż ten pierwszy opuści wzrok. Gdy tego nie zrobił, kontynuował: - Czemu zgłosiłeś to jakiejś płotce, co? A nie poważnym ludziom z poważnego miasta, którzy robią tutaj, kurwa, poważne biznesy.

Ten twój Duch przekazał mi, uwaga, cytuję: „Rysiek powiedział, że przystał na ich propozycję, ale żeby się nie martwić. Wyjedzie na jakiś czas. Nie wiem dokąd, szefie”. Stop. Koniec cytatu.

Zapadła cisza. Magda wtuliła się w Elżbietę, która dygotała i nie podnosiła wzroku. Ze zwykle rumianej twarzy odpłynęła wszelka krew. Ewa mocno trzymała Gabriela za rękę, aż pobielaly jej knykie. Nie odwracała wzroku, patrzyła prosto na gangstera.

Czekali na wyrok.

- I jak ja mam to zrozumieć, co, kurwa? - wycodził przez zęby.

Podniósł się z klęczek, aż skrzypnęły kolana, i bez żadnego ostrzeżenia wymierzył Ryszardowi kopnięcie prosto w szczękę. Padł jak rażony prosto na Elżbietę, która zawyla rozdzierająco.

- Stul pysk, krowo jebana! - krzyknął gangster i wymierzył kobiecie siarczysty policzek. Umilkła momentalnie.

Ryszard, mimo że wciąż zamroczony, próbował się poderwać, aby bronić rodziny, lecz był w dużo gorszej pozycji. Kolejny kop, tym razem piętą, zmiażdżył mu nos oraz górną wargę. Trysnęła krew, obrzydliwe mlaśnięcie zawisło w powietrzu i mężczyzna padł na ziemię jak bezwładny worek.

Gangster wytarł but o kanapę, poprawił mankiety, a potem zwrócił się do dryblasów:

- Przetrząšnjicie chałupę, macie znaleźć kasę.

- W niebieskiej torbie jest kosmetyczka - odezwała się niespodziewanie Ewa. - Tam znajdziecie wszystko, co mamy.

Mężczyzna spojrzął na kobietę, poprawił w zamyśleniu włosy.

- Sprawdź to - rzucił do jednego z bandytów. - Ja idę się odlać, wykończy mnie to choróbsko.

Znów zapanowała cisza, przerywana jedynie rżeniem Ryszarda. Osilek szybko znalazł kosmetyczkę i posłusznie zaniósł ją do salonu. Jego szef wrócił z łazienki chwilę później. Tym razem nawet nie pokwapił się, aby spuścić wodę w toalecie.

Otworzył saszetkę i wyciągnął z niej trzy zwitki banknotów. Przeliczył je nieśpiesznie, a gdy skończył, przez twarz przebiegł mu grymas niezadowolenia.

- Chyba, kurwa, kpisz. Tym się chcieliście wykupić? Piętnaście tysięcy dolarów?

Podzielił pieniądze równo pomiędzy trójkę przybocznych.

- To jest, kurwa, tylko za czas moich chłopaków. Oni też mają rodziny, wiecie? Wyrrywają się od nich, żeby zajmować się takimi szumowinami jak wy. - Splunął na Ryszarda. - Ten przerwany transport kosztował górę co najmniej pół miliona. Rozumiecie? Pięćset tysięcy. Plus odsetki, oczywiście. - Zawiesił głos i czekał, aż do wszystkich dotrze powaga sytuacji. - Więc jeśli macie gdzieś pod ręką akurat te sześćset tysięcy, lepiej je teraz wyciągnijcie. Skończy się to dużo przyjemniej, prawda chłopaki?

- Prawda - powtórzyli wszyscy jednocześnie.

Ani Ewa, ani Ela, ani tym bardziej krztuszający się krwią Ryszard nie wydali z siebie słowa.

Jasnowłosa westchnął ciężko, przeciągle.

- Zabierajcie ich - powiedział spokojnym, rzeczowym głosem.

Ryszard znów próbował postawić się bandytom, lecz został tylko dotkliwie pobity. Jego twarz była jedną wielką miazgą. Ewa drapała i gryzła ręce oprychów, dopóki jeden z nich nie uderzył jej pięścią - trochę na odczepnego, lecz wystarczyło, by kobieta zwiotczała. Gabriel, pociągnięty za kołnierz, wstał, chociaż nogi odmawiały posłuszeństwa. Cały spanikowany oddychał płytko i urywanie.

- Je zostawcie - zarządził gangster, kiedy podwładni próbowali zabrać Elżbietę i Magdę.

- Ale szefie. - Zamrugął tępo osiłek. - Nie mieliśmy wszystkich...? W razie czego?

- Przychodzisz w gościnę i gospodarzy chcesz zajeść? - zdziwił się. - Na litość boską, nie bądźmy zwierzętami. Poza tym ona - wskazał na Elżbietę - i tak nic nikomu nie powie. Jedno moje słowo i straci robotę w urzędzie. Co gorsza, po wszystkim nie zatrudnią jej nawet jako dziwki w najgorszym z burdeli. Dopiero wtedy moglibyśmy ją zajeść. Ale to rozsądna kobiecina, matka dbająca o dziecko. - Zwrócił się bezpośrednio do niej. - Będziesz trzymać język za zębami, prawda?

Elżbieta, ze łzami obficie płynącymi po policzkach, gorliwie pokiwała głową. Do piersi tuliła przerażoną Magdę.

- Widzicie, a nie mówiłem? - jasnowłosy błysnął zębami, a potem wskazał na Ryszarda, Ewę i Gabriela. - A tych na pakę, pojedziemy sobie na wycieczkę.

Podszedł do Ewy, chwycił ją mocno za twarz. Spojrzał głęboko w jej załzawione oczy, a potem pocałował w usta. Kobieta zeszywniała. Gdyby nie uścisk jednego z dryblasów, osunęłaby się na podłogę.

- Ostrożnie z tą ślicznotką - ostrzegł. - Będę chciał się jeszcze zabawić.

Głośny płacz i błaganie o litość. Kapiąca krew i obrzydliwy świst wydobywający się ze zmiażdżonego nosa. Strach i niezrozumienie, przemieszane z nadzieją, że to jedynie sen. A na koniec jasnowłosy diabeł w srebrnej marynarce, zamykający grzecznie za wszystkimi drzwiami.

OBECNIE

Magda rzuciła na stół pustą paczkę po papierosach. Wyglądała na roztrzęsioną; po raz pierwszy od przyjazdu do leśniczówki okazała słabość.

- Ewę zgwałcili przynajmniej dwa razy. Potem rozcięli brzuch, rozorali macicę i zasypali ją tytoniem. A na koniec poderżnęli gardło. Ducha wysłali, żeby schował ciała. To była część jego pokuty.

- Boże - jęknął mimowolnie Karol. Serce biło mu jak oszalałe.

- Ryszarda torturowali najdłużej. Obcięli mu wszystkie palce, połamali piszczele, przypalali go papierosami - wyliczała beznamiętnie. - Umarł jako ostatni. Widział wszystko, co się działo z jego najbliższymi.

Torsje wstrząsnęły Karolem, ale powstrzymał się od wymiotowania. Przy opisach Magdy tragiczna śmierć Kuby brzmiała jedynie jak nieszczęśliwy wypadek.

- Długo składałam to sobie do kupy, wiesz? - spytała nagle. - Byłam małą dziewczynką, gdy Gabriel opowiedział mi waszą historię. „Chcieliśmy nastraszyć Szkodników, pożyczylimy więc magiczną różdżkę od mojego taty i to Karol zaczarował jednego z nich! Zamienił go w wielką, moką plamę!” - prychnęła. - Wielka, mokra plama. Drążyłam to i drążyłam.

Zastanawiałam się długo, aż w końcu zmusiłam matkę, aby powiedziała mi prawdę. Później odszukałam archiwalne zabytniczkańskie gazety i przejrzałam policyjne akta. Po latach wszystko złożyło się w całość.

- A Gabriel, czy on też...? - wtrącił się słabym głosem.

- Obeszli się z nim najłagodniej - zapewniła. - Strzał w tył głowy. Egzekucja na oczach ojca. Ryszarda postrzelili na koniec w brzuch. Umierał jeszcze kilka godzin.

- Boże, to wszystko... to straszne.

- To wszystko - syknęła cicho - jest twoją winą.

- Magda, to nie jest tak, dobrze wiesz... - bronił się. - Chciałem pomóc Gabrielowi, inaczej to skończyłoby się źle. Nie możesz mnie winić za wszystko, co się im stało, do cholery!

Ostatnie słowa niemal wykrzykiwał, ale Magda zupełnie go zignorowała. Wstała od stołu, podeszła po raz kolejny do obdartej z lakieru komody. Co rusz rzucała spojrzenia na swoich więźniów, lecz Karol i tak nie miałby sił uciekać. Czuł, jak zimno wdziera się przez ranę do jego krwiobiegu. Bartek z kolei nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie choćby pomyśleć o ucieczce.

Magda wróciła do nich, w dłoniach trzymała kamerę GoPro i malutki, trójnogi stojak. Szybko zamontowała urządzenie na jego szczycie.

- Więc sytuacja wygląda tak. - Z kieszeni bundeswerki wyciągnęła czarną chustę i obwiązała nią sobie twarz. - Za chwilę włączę nagrywanie. Nadszedł czas twojej pokuty. Przyznasz się do morderstwa Jakuba Frankowskiego. Opowiesz o wszystkim, co doprowadziło do tego, że tu teraz siedzisz.

Karol zadygotał ze strachu, ale wciąż naiwnie wierzył, że uda mu się wybrnąć z tej sytuacji.

- I co ci to da? - jęknął. - Jak mnie do tego zmusisz?

- To akurat nie będzie trudne - zaśmiała się. - Wolisz umrzeć tutaj czy przeżyć, a potem, kto wie, może jeszcze wyjść na wolność?

To było pytanie retoryczne. Nie musiał odpowiadać. Magda dobrze wiedziała, co wybierze.

- Nie bój się, to będzie transakcja z obopólną korzyścią. Obiecałam powiedzieć ci coś więcej na temat śmierci twojego ojca. Tadeusza, tak?

Karol pomału odpływał. Nie odczuwał już bólu, ręce miał jak z ołowiu, robił się senny, lecz imię ojca przywróciło go do rzeczywistości.

- Kto? - spytał ostro.

Magda zamaszystym gestem wskazała na siedzącego obok Bartka.

- Duch zabrał go na wycieczkę. Wzięli ze sobą kanister z benzyną, parę butelek i cóż. Stało się.

- Nie... - zaprotestował słabo Bartek.

- Zrobił prowizorycznego Mołotowa i wrzucił do domu. Straszna śmierć. Twój ojciec z pewnością na taką nie zasłużył.

- Ty... - Karolowi ścisnęło się gardło. - Ty pierdolony... zajebię cię... - Szarpnął się na krześle, ale tylko prawie z niego spadł. Dyszał ciężko, złość pulsowała mu w skroniach. - Zaćpana, nędzna kreaturo... Od zawsze wszystko niszczyłeś, już od dzieciaka...

- Otóż to - wtrąciła się.

Coś stuknęło na drewnianym blacie. Nóż sprężynowy leżał na wyciągnięcie ręki Karola.

Spojrzał na Magdę, która celowała w niego z pistoletu.

- Za chwilę włączę nagrywanie - ostrzegła. - I wszystko jest bardzo proste. Masz przyznać się do winy. Niestety, za śmierć Kuby raczej cię nie skażą, sprawa się przedawniła. Dlatego zabijesz Bartka. Wykorzystaj ten gniew, w końcu to morderca

twojego ojca! I jak słusznie zauważyłeś, to wszystko to też jego wina. Gnębił mojego kuzyna. Bo był inny, był lepszy. Przez niego musiałeś strzelić, ponieważ chciałeś obronić Gabriela. Musi zginąć. I zginie. Na wizji.

- Ale... Ja nie... To nieludzkie... - Cała złość nagle wyparowała. Patrzył ze strachem to na nóż, to na Magdę.

- Powiem inaczej - odezwała się. - Po twoim zeznaniu ktoś na pewno umrze. Od ciebie zależy, czy życie straci jedna, czy też dwie osoby. Twój wybór. Możesz zdecydować po tej pięknej, kwiecistej mowie, którą zaczynasz wygłaszać... teraz. Pamiętaj, lewy profil masz lepszy.

Nacisnęła odpowiedni przycisk, kamera rozpoczęła nagrywanie. Karol spojrział w obiektyw, a potem w dwukolorowe tęczówki Magdy. Nie było wątpliwości - jeśli on się zawaha, ona bez mrugnięcia okiem pociągnie za spust.

Zaczął historię od tego, jak Maciej Grzybicki przyprowadził Nowego na trening w Zagończyku. Godzinę później, gdy było już po wszystkim, padł na podłogę, a zimno wdarło się do jego serca. Wtopił się w drewno, jakby zanurzał się w grubej warstwie śniegu. Wyobraził sobie, że ciało przykrywa teraz kołdra delikatnych śnieżynek. Powieki zaczęły mimowolnie opadać.

Ostatnie spojrzenie przemknęło po śliskich palcach zaciśniętych na nożu, wciąż mokrym od ciepłej krwi.

EPILOG

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Karol oparł dłonie na udach, żeby zaraz znów je podnieść pod światło padające z okratowanego okna. Obejrzał ich wierzch i wnętrze, by po raz kolejny upewnić się, że pod paznokciami i w zagłębieniach linii papilarnych nie ma już krwi Bartka Czekaja.

Wsparł się na kulach i podszedł do malutkiej umywalki w celi. Namydlił dłonie i zaczął je energicznie szorować. Wiedział, że w jego czynności wkradła się odrobina szaleństwa, ale nie bronił się przed nim. Miał krew na rękach. To, czego wypierał się przez dwadzieścia siedem lat, teraz nie miało już sensu.

Dogorywającego Karola znalazł w leśniczówce Marek Walicki. Wszystko dzięki Yushowi. Widmowski wciąż nie spotkał swojego konsolowego przyjaciela w realu, ale zawdzięczał mu życie, był tego pewien. Na miejscu zbrodni technicy zabezpieczyli wszystko, łącznie z kamerą zawierającą makabryczne nagranie. Zanim Karol został przesłuchany przez policję, na YouTube pojawiło się *Wyznanie Widmowskiego*. Media wpadły w histerię. Były reprezentant Polski podwójnym mordercą! Polemizowano, czy Widmowski powinien ulec presji porywaczki i zabić Czekaja, czy może się jej postawić. Poza tym skąd wiadomo, że na pewno by go zabiła? Znów był na topie – tym razem jako materiał dziennikarski. Jako obraz człowieka, który przebił dno.

Opłukał dłonie z mydlin i przejrzał się w lustrze. Niestrzyżone włosy opadały mu na czoło i okalały wychudłą twarz. Gdyby nie wory pod oczami, zmarszczki i cera

zniszczona przez alkohol, mógłby się pokusić o stwierdzenie, że wygląda tak jak czternaście lat temu, w swoim złotym okresie. Wrócił na pryczę i położył się ostrożnie, ale ból i tak przeszedł go od rany postrzałowej aż do uda. Spojrzał na wilgotne dłonie. Czyste. Przynajmniej na chwilę.

Mijał trzeci miesiąc aresztu. W tym czasie jego matka nie odezwała się ani razu. Karolowi serce pękało, gdy o niej myślał, ale doskonale wiedział, że swoimi decyzjami zniszczył jej życie. Zabrał jej dom, męża i syna. Odwiedził go za to Maciej Grzybicki.

Karol początkowo wzbraniał się przed rozmową z nim, bojąc się, że tamten znów zechce wydusić z niego jakieś smaczki i sprzedać je pismakom. Była to obawa racjonalna, biorąc pod uwagę ich ostatnie przejścia, ale racjonalizm przegrał z chęcią zobaczenia znajomej twarzy. Okazało się, że Grzybicki przeprowadził własne śledztwo.

Dzięki swoim rozległym znajomościom dotarł do aktu notarialnego sprzedaży działki rodziny Gabriela w Zabynijczu. Wyszło na jaw, że ziemia została kupiona na siostrę Ryszarda, Elżbietę Korc, dlatego też Magda, posługując się dokumentami ze swoim prawdziwym nazwiskiem, mogła tę działkę spieniężyć. Wszystko odbyło się dwa lata temu za pośrednictwem Łukasza Desroches'a, którego Magda notarialnie do tego upoważniła. Karol zastanawiał się tylko, po co tyle zachodu. Na pewno nie po to, by ukryć prawdziwe nazwisko. Prędeż, aby zostawić trop Karolowi. Jeden z jej planów.

Druga zdobyta informacja to nieoficjalne wyniki traseologii. Ślady opon nad stawami, gdzie znaleziono ciało Czarka Jasły, oraz te z podjazdu Widmowskich zabezpieczone po pożarze pasowały do śladów sprzed leśniczówki. Według informatora Grzyba nie ma więc wątpliwości, że za wszystkie zdarzenia odpowiadają porywacze.

Na koniec spotkania Karol poprosił Macieja, aby ten odwiedzał czasem Julię. Grzybicki obiecał, że zadba o nią, a potem się pożegnali i mieli się nie widzieć aż do czasu rozprawy Widmowskiego.

Zamek w drzwiach celi zaskoczył i do środka zajrzał policjant. Karol podniósł się na łokciach, pozytywnie zaskoczony wizytą.

- No, Widmowski, wyskakuj. - Startł rękawem pot lejący się z czoła. - Masz gości.

Karol wstał, poczekał, aż strażnik założy mu kajdanki, a potem posłusznie i bez słowa opuścił celę. W głowie zaś tłukło mu się jedno pytanie: kto przyszedł go odwiedzić? I to bez zapowiedzi? Areszt to nie kawiarnia, nie wpada się tutaj ot tak. Lecz mimo tej pewności w głębi duszy miał nadzieję, że to matka. W końcu nadzieja umiera ostatnia.

Mundurowy prowadził go przez żółto-białe korytarze, aż dotarli do drzwi doskonale znanego Karolowi pokoju przesłuchań. Zmarszczył brwi i nawet trochę się zmartwił. Przecież wszystko z niego wyciągnięto w pierwszych tygodniach, zwłaszcza że starał się współpracować. Nie miał już nic do ukrycia.

Zanim policjant otworzył drzwi, Karol zerknął przez bulaj; w środku, przy stole siedział brodaty komisarz Adam Bukowski, wachlujący się teczką. Na krześle obok, ku zaskoczeniu Karola, bujał się Marek Walicki.

- Powinienem był zgolić tę cholerną brodę - powiedział Bukowski z przymkniętymi oczami. - Twarz poci mi się jak kocia dupa.

- Wygląda też podobnie - zauważył z przekąsem Walicki.

Drzwi do pokoju skrzypnęły. Obaj policjanci spojrzeli w ich kierunku.

Podpierając się o kulach, do środka wszedł bez słowa Karol Widmowski, ubrany w granatowe spodenki i koszulkę

gimnastyczną. Marek wskazał mu krzesło po przeciwnej stronie stołu. Bukowski odchrząknął, poczekał, aż więzień usiądzie, a potem otworzył teczkę i zaczął przeglądać akta sprawy, która niedługo miała przejść na sale wykładowe jako kazus i anegdota.

Karol odezwał się jako pierwszy:

- Złapaliście ją? - Wychylił się w oczekiwaniu.

Walicki spojrzał na niego.

- Jeszcze nie, niestety.

- To po co tu jesteśmy? I jak to jest w ogóle możliwe? Dałem wam przecież wszystko!

- Owa Magda dobrze zatarła za sobą ślady. - Bukowski zdjął białą gumkę z teczki, ale jeszcze jej nie otworzył. Bawił się rogiem; zaginał go i odginał, aż powstało białe pęknięcie na tekturze. - Byliśmy w mieszkaniu przy Gierymskiego. Niestety, nie znaleźliśmy w środku żadnych tropów. Ktoś zaproszył w nim ogień, chociaż straż pożarna sugeruje awarię instalacji elektrycznych.

Widmowski, przed chwilą jeszcze nabuzowany, widocznie oklapł.

- Mieszkanie należało do Łukasza Desroches'a, którego ciało znaleźliśmy w Dąbrówce. Administracja spółdzielni nie miała żadnych danych osobowych mieszkającej z nim kobiety.

- No tak, oczywiście.

Bukowski wyczuł rozczarowanie w głosie Karola. Poprawił okulary i otworzył teczkę. Powoli wyjmował z niej zdjęcia i rozkładał je na stole, kolorową stroną do dołu. Przełknął ślinę. Wróciły do niego emocje związane z filmem z leśniczówki. Wyznanie Karola i krwawą kaźń - nóż sprężynowy zanurzający się w szyi, plecach i między żebrami Bartosza Czekaja, a to wszystko w akompaniamencie szloch człowieka zmuszanego do morderstwa pod groźbą śmierci - oglądał kilkanaście razy.

Analizował kadr za kadrem i szukał czegokolwiek, co pomogłoby schwytać osoby, które doprowadziły do tego szaleństwa.

Walicki wskazał na zdjęcia rozłożone przez kolegę i zwrócił się do Karola:

- Na karcie pamięci, na której zapisało się zeznanie, znaleźliśmy także plik tekstowy zawierający współrzędne.

W oczach Karola pojawił się błysk, ale nic nie powiedział. Marek odwrócił fotografie.

- Udało się nam dotrzeć do owego miejsca. To wawóz w nadodrzańskim lesie, pomiędzy Nowym Lubuszem a Słubicami. Lokalna ekipa techniczna dokopała się tam do trzech ciał. Wstępne ekspertyzy patologów potwierdziły, że zwłoki leżały w tym miejscu około trzydziestu lat. Okaleczenia pasują do tych opisanych przez tę psychopatkę.

- Ponadto - dodał Bukowski - pasują do kilku innych morderstw z tego okresu, które przypisuje się tajemniczemu mafiosowi z lat dziewięćdziesiątych, Diabłu ze Słubic. Wciąż czekamy na pełne wyniki sekcji zwłok, lecz już możemy przypuszczać, że odkryliśmy miejsce pochówku pańskiego przyjaciela.

- Przykro mi, Karol. - Walicki obrócił ostatnią z fotografii. - Niestety, historia Magdy wydaje się wiarygodna. Gabriel nie żyje od prawie trzydziestu lat.

Widmowski, który już przecież wiedział, że jego przyjaciel nie żyje, zdziwił się własną reakcją na słowa Marka. Zaparło mu dech w piersiach, a pot wyszedł na czoło. Sięgając po zdjęcia, bardzo starał się zachować spokój, ale zdradzało go drżenie dłoni.

Pierwszy kadr: wysokie sosny, soczysta zielona trawa na szczycie wzniesienia, głębokie urwisko z sypkiego piachu, a u jego stóp wykopany dół, odgradzony żółto-czarnymi taśmami. Kolejne ujęcie: w dole trzy podłużne, czarne foliowe worki.

Następne zdjęcie: otwarte worki, w których leżą ciała, zniszczone przez lata rozkładu i pasożyty, zupełnie nieprzypominające ludzkich istot, którymi niegdyś były. Na niektórych kościach wisiały strzępy ubrań.

Karol westchnął głęboko i odłożył fotografię. Policjanci dali mu chwilę na przetrawienie informacji.

- Kiedy byliśmy w okolicy, odwiedziliśmy panią Elżbietę Korc - powiedział Bukowski. - Bardzo miła, sympatyczna staruszka, chciała ugościć nas ciastkami i kawą. Gdy zaczęliśmy wypytywać o Magdę, od razu nas spytała, czy ją znaleźliśmy.

- Okazało się, że Magdalena Korc vel Migalska - Marek rozłożył bezradnie ręce - zniknęła sześć lat temu. Elżbieta zgłosiła zaginięcie na lokalnym komisariacie, ale tamtejsi policjanci szybko sprawę zamknęli. Zniknęła dorosła kobieta, a wraz z nią torba ubrań. Wniosek był prosty: córka miała dość opieki nad matką, więc zrobiła angielskie wyjście.

- Elżbieta podejrzewała, że uciekła do Niemiec, ponieważ tam studiowała informatykę na Politechnice Drezdeńskiej - dodał Bukowski.

- A Duch co zeznał? - spytał Karol. - Dlaczego jej pomagał? To nie było takie małe, jednorazowe zlecenie, tylko skrupulatnie przemyślana akcja. Nie pasuje mi to do gościa, który zajmował się przemytem szlugów przez granicę.

Walicki zaśmiał się krótko, a w jego oczach błysnęła złośliwa iskierka.

- Ciężko będzie coś z niego wyciągnąć, ponieważ unieszkodliwiłeś go tak skutecznie, że nie wybudził się jeszcze ze śpiączki.

- Za to ciekawych informacji udzieliła nam pani Elżbieta - wtrącił się Bukowski. - Z początku nie chciała opowiadać o zaginięciu Migalskich, ale jej opowieść pokrywa się w większości z tym, co usłyszał pan od Magdy...

- Wciąż nie mogę się przyzwycząić do tego nazwiska - rzucił pod nosem Karol, ni to do siebie, ni do policjantów. - Gabriel Migalski, Migalski Gabriel. Te słowa do siebie po prostu nie pasują, rozumiecie?

Walicki pokiwał głową, a Bukowski taktownie odczekał chwilę i podjął przerwany wątek:

- Pani Korc bardzo przeżyła informację o śmierci rodziny brata. Przyznała, że nawet po tylu latach miała nadzieję, że chociaż mały Gabriel przeżył. Tak nam powiedziała: „Mieszkam całe życie w Słubicach. Widziałam, jak kwitnie przemytnictwo, wiedziałam, czym brat się zajmował. Niebezpieczni ludzie tutaj rządzą, potrafili ułożyć sobie każdego. Tylko Rysiek i Janusz porządni byli w tej całej zgrai”.

- Janusz Tokaj, czyli nasz Duch - pośpieszył z wyjaśnieniem Marek. - W latach osiemdziesiątych notowany za drobne przestępstwa, w dziewięćdziesiątych przynajmniej dwa razy złapany za rękę przy przemytach papierosów. Przyjaciół Migalskich, postawny mężczyzna o ptasim wyglądzie. Brzmi znajomo?

- Aż za bardzo.

- Pracował w warsztacie samochodowym, aż pewnego dnia sprzedał mieszkanie w Słubicach i rozpląnął się bez śladu. Jakieś pięć, sześć lat temu.

- Czyżby wyjechał z Magdą?

Bukowski zebrał zdjęcia i schował je z powrotem do teczki.

- Naszym zdaniem postanowiła wykorzystać poczucie winy Janusza. Na pewno czuł w kościach, że nie zrobił wystarczająco dużo, aby ochronić Ryszarda Migalskiego i jego rodzinę.

- Cała operacja była nieźle skoordynowana. - Walicki splótł ramiona na szerokiej piersi. - A wszystko po to, aby dorwać ciebie, Karol. Noc, kiedy gangsterzy zmasakrowali Ryszarda i porwali Migalskich, musiała odcisnąć ślad w psychice Magdy. Od tej pory jedynym łącznikiem z wujostwem był ten wasz klub,

o którym naopowiadał jej Gabriel. Jednak dopóki jej nie znajdziemy, nie dowiemy się, kiedy zdecydowała się całą winą obarczyć ciebie.

- Chociaż, nie ukrywajmy, miała ku temu niezłe podstawy. - Bukowski nie mógł odmówić sobie wbicia tej jednej szpilki. Widmowski pozostał niewzruszony.

- Prześledziliśmy ich kroki tam, gdzie to było możliwe - kontynuował Marek. - Na przykład ten gość z AEGamez, Desroches. Znalazł się w złym miejscu o złym czasie. Według relacji pracowników firmy od dawna głądził o rzuceniu wszystkiego i przeprowadzce „gdzieś jak najdalej stąd”. Zapewne Magda, która zatrudniła się w AEGamez w dwa tysiące osiemnastym roku, postanowiła to wykorzystać, a potem po prostu pozbyli się biedaka. Łukasz Desroches został zamordowany strzałem w tył głowy, typowa egzekucja. Stare mafijne cmentarzysko, na które go podrzuciono, miało jedynie zmylić tropy, ale balistyka potwierdziła, że Desroches'a i ciebie postrzelono z tej samej broni. - Wskazał na zabandażowaną nogę Karola.

Widmowski tylko pokiwał głową. Wyczerpała go ta rozmowa.

- Dlaczego mi o tym wszystkim mówicie? - Spoglądał to na Bukowskiego, to na Walickiego. - To nie jest część przesłuchania, nic nie zmienia w mojej sytuacji.

Bukowski wziął głęboki oddech, poprawił kołnierzyk.

- Czas nie leczy ran, to pusty frazes. Gdyby tak było, nie gnębiłby się pan pytaniami przez dwadzieścia siedem lat. Rany zaleczyć można tylko prawdą. Surową, czasem brutalną, ale prawdą.

- Tak myślę - odparł Karol. Wbił wzrok w blat stołu. - A czy Ryszard...?

- Zostanie pośmiertnie oczyszczony z zarzutów - odpowiedział szybko Walicki.

- Więc sprawiedliwości stało się zadość - podsumował Karol.

Bukowski wstał od stolika.

- To byłoby tyle z mojej strony. Mogę jeszcze dodać, że areszt niedługo się zakończy, prokuratura układa już zarzuty. Wszystko się ruszy i będzie pan przeniesiony do zakładu o lepszym standardzie.

Bez pożegnania opuścił pokój przesłuchań. Walicki wstał z ociąganiem, podszedł do kolegi z dzieciństwa i położył mu dłoń na ramieniu.

- Dorwiemy ją, zobaczysz - zapewnił, a potem ruszył w ślad za komisarzem, ale zatrzymał się w drzwiach. - Jeszcze jedno mi się przypomniało.

Karol obrócił się i spojrzał na Marka.

- Ten plik tekstowy ze współzrędnymi podpisano jako „130216”. Nasi technicy nie widzą tu żadnego związku ze sprawą, ale może tobie te numery coś mówią? - Walicki z napięciem obserwował Karola.

Ten pokręcił tylko bezradnie głową, ale gdy policjant zamykał za sobą drzwi, nagle go olśniło. 13-02-16. Trzynasty lutego szesnastego roku. Podpis, jaki haker pozostawił po sobie w bazie danych Twojego Futbolu. Haker, albo raczej hackerka.

Już miał zatrzymać Marka, ale ostatecznie zrezygnował. I tak wiadomo, kto stoi za całą intrygą, ta wiedza nic już by nie zmieniła.

Karol został więc sam. Zastanawiał się, jak się czuje z bagażem nowych informacji. Tylko że w tym momencie nie czuł kompletnie nic. Gabriel nie żył, a jemu przyszło odpokutować za własne grzechy. Siedział tak, dopóki nie odprowadzono go do celi.

Policjanci wyszli na parking. Walicki wyjechał jako pierwszy, chcąc uniknąć korków w drodze do Piaseczna, a Bukowski oparł się o karoserię kanarkowego seata i odwlekał chwilę wejścia do rozgrzanego wnętrza. Zwrócił uwagę na to, że liście

pobliskich drzew zaczynają się złocić i spadać na ziemię. Kasztany dojrzewały, a ptactwo zbierało się do odlotu do ciepłych krajów. Zamyślił się.

Nie powiedział wszystkiego ani Walickiemu, ani Widmowskiemu.

Wstępna ekspertyza patologa wykazała, że przy szczątkach rodziny Gabriela znaleziono ślad genetyczny łączący się z morderstwem, które popełniono kilkaset kilometrów dalej, kilka lat później. Do tego *modus operandi* sprawcy było niepokojąco podobne. nierozwiązana sprawa, która od wielu lat zaprzętała głowę komisarzowi, nagle mogła otrzymać drugie życie. Jednocześnie policjanta naszło paskudne przeczucie, że kiedy Widmowski zaczął rozgrzebywać własne niedokończone sprawy, otworzył puszkę Pandory.

I najgorsze dopiero z niej wylezie.